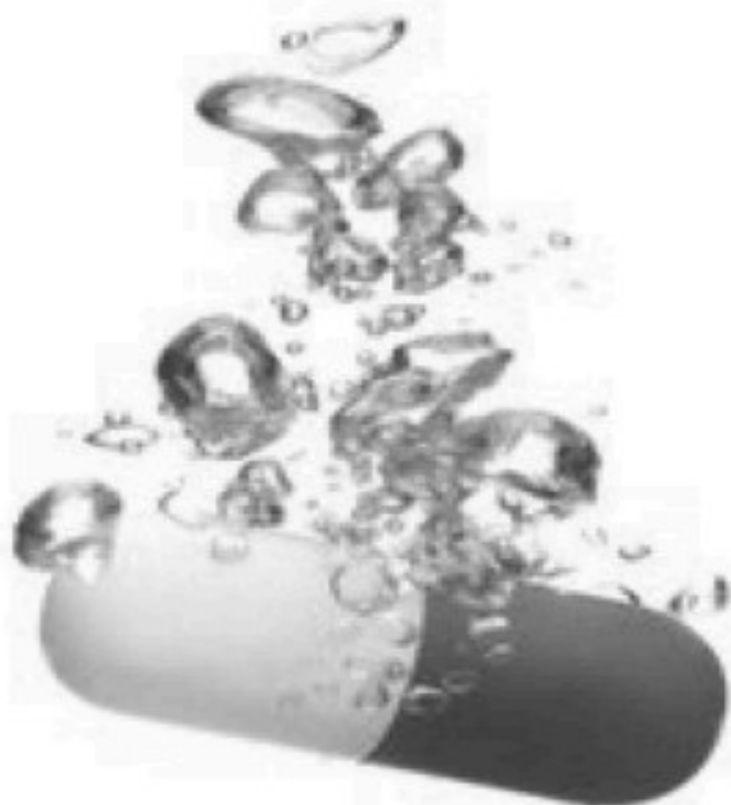


Michael **PALMER**

Eksperyment

NOWY REWELACYJNY LEK MOŻE OKAZAĆ SIĘ NAJWIĘKSZYM KOSZMAREM...



PALMER MICHAEL

Eksperyment

MICHAEL PALMER

(Miracle Cure) Przełożył Zygmunt Halka

Judith Palmer Glantz Za twoją troskliwość matki i wdzięk jako eks...

i

pamięci ukochanego ojca.

Brak nam ciebie, tato

Podziękowania

Choć niniejsza książka jest mojego autorstwa, nie powstała jednak w izolacji. Wyrażam głęboką wdzięczność mojej cierplivej redaktorce Beverly Lewis, jej asystentce Christine Brooks i moim niezastąpionym agentkom: Jane Rotrosen Berkey, Don Cleary i Stephanie Tade.

Prócz tego składam podziękowania:

doktorowi Anthony'emu Zietmanowi za wieczór w King's Rook;

doktorom Michaelowi Fiferowi i Igorowi Palaciosowi oraz zespołowi pracowni hemodynamicznej za wysokie kwalifikacje i gościnność;

doktorowi Jerry'emu Faichowi za lekarstwa;

doktorowi George'owi Allmanowi za podzielenie się ze mną swoją wiedzą i doświadczeniem;

doktorowi Michaelowi Czorniakowi za artykuły;

doktorom Bobowi Smithowi i Billowi Wilsonowi za instrumenty;

Beverly Trico, Samowi Dworkisowi i Mimi Santini-Ritt za lektury;

Mattowi, Bekice, Danielowi i Luke'owi za pomysły i pomoc w rozwiązywaniu problemów.

Specjalne podziękowanie składam doktorowi Cary'emu Atkinsowi – człowiekowi renesansu i terapii złamanych serc.

Wyżej wymienieni mieli znaczny wpływ na poziom smaku artystycznego i koloryt tej książki. Wszelkie błędy lub zła interpretacja faktów mogą być wyłącznie moją winą.

ISTNIEJĄ TRZY RODZAJE MISTYFIKACJI: KŁAMSTWA, CHOLERNE KŁAMSTWA I STATYSTYKA

(zarzut postawiony przez Marka Twaina Benjaminowi Disraelemu)

Prolog

Wytężając wszystkie siły, Sylvia Vitorelli zdołała wepchnąć pod plecy trzecią poduszkę. Siedziała teraz w łóżku, utrzymując górną część tułowia niemal pionowo, ale wciąż czuła mdłości i brakowało jej powietrza. To przez tę wilgoć i zapach stęchlizny – tłumaczyła sobie. Gdyby była w swoim apartamencie w Bostonie – a nie na wsi, na farmie syna, daleko od Nowego Jorku – to by się nie wydarzyło. Nie chodzi o to, że w Bostonie oddychało jej się lepiej. Już od miesięcy miała obrzękłe kostki i spuchnięte palce. Lecz w ciągu ostatnich paru tygodni narastały trudności z oddychaniem, zwłaszcza kiedy leżała.

Zakłęta pod nosem. Nie powinna była zgodzić się na wyjazd do Fulbrook. Powinna była powiedzieć Ricky'emu, że jeszcze nie jest gotowa. Ale chciała wyjechać. Duch jej męża Angela sprawiał, że przebywanie w ich apartamencie napełniało ją nieustannym przygnębieniem. Poza tym kurz i hałas tej części North End, biorący się z sąsiedztwa tunelu głównej arterii komunikacyjnej Bostonu, nie uprzyjemniał życia w ich mieszkaniu. I telefon od jej synowej, która zwykle zachowywała się tak, jakby wizyty teściowej były dla niej bardzo kłopotliwe, a jednak zadzwoniła, zapraszając ją na prawie dwutygodniowy pobyt poza miastem. „Dzieci bez przerwy pytają o ciebie, mammo – powiedziała. – A jesień jest tu taka urocza”.

Popatrzyła na zegarek. Ricky, Stacey i dzieci będą jeszcze przynajmniej przez pół godziny w kościele, a potem mają pójść w odwiedziny do przyjaciół. Wymówiła się od towarzyszenia im, udając, że boli ją głowa. W rzeczywistości wydawało jej się, że nawet nie byłaby w stanie się ubrać. Miała zamiar wstać, żeby coś zjeść, a także posłuchać mszy świętej transmitowanej w telewizji, ale kiedy spróbowała się ruszyć, doznała gwałtownego ataku kaszlu, połączonego z przerażającym, bulgoczącym odgłosem w klatce piersiowej.

Pierwszy raz w życiu ogarnęła ją panika. Straszliwe bulgotanie w płucach trwało w dalszym ciągu. Walczyła o oddech. Pot lał jej się z czoła strumieniami, piekąc ją w oczy. Obok, na stoliku nocnym, leżała torebka. Zaczęła w niej grzebać, szukając pigułek, nie wiedząc nawet, jak sobie z nimi poradzi, kiedy je znajdzie. Jej palce, ostatnio nieco obrzękłe, były teraz sztywnymi, obrzydliwymi kiełbaskami, pocętkowanymi, o niebieskawym zabarwieniu.

Powietrze w zatęchłym pokoju wydawało się ciężkie i gęste. Dodatkowa moczopędna tabletkę powinna jej pomóc. Prócz tego może zażyje tabletkę nitrogliceryny. Ogarnięta paniką opróżniła torebkę, wysypując jej zawartość na łóżko. Wraz z kilkoma fiolkami pigułek była też karta z Boston Heart Institute – Bostońskiego Instytutu Serca – z terminarzem jej wizyt. Krople potu spływającego po twarzy spadły na atrament. Następną wizyta przypadała za osiem dni. Żeby przylecieć do Ricky’ego, musiała zrezygnować z jednej dawki vasclearu – pierwszy raz od ponad roku. Ale ominięcie jednej porcji leku nie powinno być przyczyną tak znacznych kłopotów z oddychaniem. Ostatnio ograniczono częstość podawania jej leku i przyjmowała go raz na dwa tygodnie, a wkrótce miała go przyjmować raz na miesiąc. Prócz tego kardiolog, do którego zatelefonowała, aby spytać, czy może wyjechać, nie miał żadnych

zastrzeżeń.

Boże, pomyślała, połykając w pośpiechu po jednej pigułce z każdej fiołki. Co się ze mną dzieje? Przypomniała sobie nagle, że nitroglicerynę, której nie brała od chwili rozpoczęcia kuracji vasclarem, powinno się rozpuszczać w ustach, pod językiem, a nie połykać. Chciała włożyć tabletkę pod język, lecz ręce trzęsły jej się do tego stopnia, że zawartość fiołki wysypała się na pościel i na podłogę.

W lewym serdecznym palcu czuła pulsowanie krwi. Złota obrączka, którą nosiła od ponad pięćdziesięciu lat, wydawała się całkowicie zatopiona w obrzęku. Sam palec był przerażająco spuchnięty i miał ciemnofioletową, niemal czarną barwę. „Boże, proszę, pomóż mi... Pomóż mi!”.

Tonąc, próbowała poprzez bulgotanie w klatce piersiowej złapać nieco powietrza. Spod mostka zaczął się rozrastać w stronę szyi świdrujący, silny ból, typowy dla dusznicy bolesnej – taki sam jakiego doznawała przed rozpoczęciem kuracji. Musi zatelefonować do Ricky’ego. A może lepiej zadzwonić pod dziewięćset jedenaście? Musi coś przedsięwziąć. Koszula nocna była mokra od potu. Oddychała w przerwach między uporczywymi atakami kaszlu, łapiąc w płuca cenne odrobiny powietrza. W pokoju gościnnym nie było telefonu.

Ostatkiem sił przesunęła się na skraj łóżka i staniając się na nogach, poczłapała w stronę komody. Stopy miała jak balony wypełnione wodą, duże palce jak okruszki, ledwie wystające z opuchlizny. Kolejny atak kaszlu odebrał jej resztę powietrza. Chwyciła się rogu komody, z trudem utrzymując pozycję pionową. Kaszel stał się bezlitosny, nie ustając nawet na moment. Pot ściekał z niej strumieniami. Głowę trzymała na tyle wysoko, że mogła dostrzec, iż lustro było zbryzgane krwią. Za szkarłatną mgłą spoglądała na nią twarz koloru popiołu. Widok był przerażający. Włosy miała sklezione potem, usta i policzki pokryte krwawą pianą.

Ogarnięta paniką, jakiej nigdy jeszcze nie zaznała, Sylvia odwróciła się od swojego

odbicia w lustrze, potknęła się i runęła ciężko na podłogę. Padając, usłyszała trzask pękającej kości w lewym biodrze. Nagły, oślepiający ból spowodował stopniowy odpływ świadomości. Po chwili ból w biodrze i w klatce piersiowej wydawał się łagodnieć. Ricky... Barbara... Maria... Johnny... Oczami wyobraźni widziała pojawiające się na mgnienie oka twarze jej dzieci. Na koniec ujrzała swojego Angela. Uśmiechając się, przywoływał ją do siebie.

Część pierwsza

DWA LATA PÓŹNIEJ

Rozdział 1 *THE BOSTON GLOBE*

Lek z dżungli nadzieją w leczeniu chorób serca

Naukowcy z bostońskiego Newbury Pharmaceuticals donoszą o odkryciu nowego leku, mogącego stanowić przełom w dziedzinie leczenia chorób serca, będących obecnie przyczyną największej liczby zgonów w Ameryce...

–Nie możesz położyć siódemki kier, Brian. Trzy kolejki temu wzięłem ósemkę kier.

–Założę się, że masz ósemki.

–W porządku... Przegrałeś... Skończyłem. Remik.

Brian Holbrook patrzył, jak ojciec wygrywa kolejną partię, zdobywa dziewiętnaście punktów i znów wprawnie tasuje karty. Ręce, które niegdyś potrafiły kruszyć orzechy, były teraz upstrzone plamami, wskutek sześćdziesięciu trzech lat spędzonych na słońcu, i wychudłe w rezultacie niemal dziesięciu lat bezczynności. Ale wciąż potrafiły operować kartami.

Jack Holbrook – dla wielu, odkąd Brian mógł sięgnąć pamięcią, Black Jack Holbrook – nie był zawodowym hazardzistą, niemniej uwielbiał się zakładać. Gotów był założyć się o wszystko, na przykład o wynik meczu o Super Bowl lub o to, czy następny samochód wyjeżdżający zza rogu będzie produkcji amerykańskiej czy zagranicznej. Wysokość zakładu – dwa dolary, dziesięć czy sto – nie miała najmniejszego znaczenia. Liczył się tylko hazard. Był najzagorzalszym współzawodnikiem, jakiego Brian znał w życiu.

Brian ostrożnie, starając się, żeby ojciec nie zauważył, zerknął na zegarek. Trzecia. Grali w remika już od prawie dwóch godzin. Po cencie za punkt, a mieli grać, dopóki jeden z nich (przeważnie to bywał Jack) nie uzyska dziesięciu tysięcy punktów. Do tej pory Brian przegrał ponad siedemdziesiąt dolarów.

–Może byśmy skończyli i pooglądali futbol w telewizji? – zaproponował.

–Może byśmy pojechali do Bostonu, zjedli wczesną kolację i obejrzeli nowy film z Van Dammem?

–Muszę być o dziewiątej w klubie.

–To jeszcze kawał czasu. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio spędziliśmy cały dzień razem... tak jak dziś.

Jack miał rację. Mając dwie prace i raz na tydzień odwiedzając dziewczynki, Brian był zwykle albo zajęty, albo pogrążony w głębokim śnie, leżąc twarzą w dół na kapie łóżka. Klub nazywał się Aphrodite i był jednym z klubów rockowych na Lansdowne Street, naprzeciw Fenway Parku. Brian był wykidajką. Biorąc pod uwagę jego wzrost (sześć stóp) i wagę (dwieście piętnaście funtów), miał do tego odpowiednie warunki, ale ze względu na wiek – trzydzieści osiem lat – i wykształcenie można się było po nim spodziewać innego zajęcia. Ze stopniem doktora medycyny i specjalizacją w zakresie chorób wewnętrznych i kardiologii był

ewenementem wśród ochroniarzy. Lecz bez licencji, wystawianej przez Board of Registration and Discipline in Medicine – Komisję do spraw Rejestracji i Specjalności w Medycynie – jego dyplom był bezużyteczną kartką papieru.

Rzadko trafiało mu się tak całkowicie wolne, niedzielne popołudnie. Becky i Caitlin pojechały na weekend do rodziców Phoebe, więc jego wizyta została przełożona na wtorek. Prócz tego z jakichś powodów jego szef w Speedy Rent-A-Car zapomniał mu wtrzynić kolejną niedzielę w biurze. Darryl, domorosły strateg, uwielbiał egzekwować swoją władzę wobec podwładnych, zwłaszcza wobec świeżo upieczonych absolwentów szkół, którzy traktowali agencję jako punkt startowy na rynku pracy. Przez długi okres, od chwili kiedy Brian zaczął tam pracować, nie wiedział, że ma do czynienia z doktorem medycyny. Kiedy się dowiedział, zaczął stawać na głowie, żeby nadrobić stracony czas.

Brian był wykidajką, szeregowym pracownikiem wypożyczalni samochodów, córki pozwolono mu odwiedzać tylko raz w tygodniu i mieszkał z ojcem, lecz był już pewny, że po osiemnastu miesiącach ciężkiej pracy – wysłuchiwanie porad, spotkań w klubie Anonimowych Narkomanów i niezliczonych godzin w towarzystwie Freemana Sharpe'a, jego kuratora z AN, który sam wyszedł dwadzieścia lat temu z uzależnienia od heroiny – zdołał opanować swoje własne demony. Za to standard jego życia pozostawiał wiele do życzenia.

Sobotni nocny dyżur w Aphrodite skończył się o trzeciej, więc zwlókł się z łóżka dopiero o dziesiątej. Miał zamiar pobiegać, a potem być może przyłączyć się do którejś grupy chłopaków grających w futbol w parku. Lubili, kiedy z nimi grał, zwłaszcza gdy kazał któremuś z nich wybiec daleko naprzód, a potem posyłał mu długie, pięćdziesięciu- lub sześćdziesięciojardowe podania. Zrezygnował z zamiaru, gdy zobaczył ojca. Człowiek, który był jego trenerem, począwszy od szkoły Popa Warnera, przez całą średnią, aż po uniwersytet, siedział owinięty wełnianym szalem w swoim ulubionym fotelu, w którym spędził większą część nocy. Obok na stole leżały lekarstwa na serce i środki przeciwbólowe. Był nieogolony i wyglądał mizernie.

–Masz jakieś plany na dzisiaj, trenerze? – spytał Brian.

–Tak. Sułtan Brunei ma wpaść do mnie wraz ze swoim haremem. Powiedziałem mu,

żeby trzy piękności zarezerwował dla mnie.

–Może zrobię ci coś na śniadanie? Młodzieżowa fryzura Jacka, posągowe rysy twarzy i resztki letniej opalenizny sprawiały, że mimo siwizny wyglądał na młodszego i zdrowszego, niż w rzeczywistości był. Brian jednak wiedział, że stan serca ojca się pogarsza. Żyły pięciu bypassów, które miał od sześciu lat, z całą pewnością zatykały się coraz bardziej. Brian wziął do ręki małą fiolkę tabletek nitrogliceryny i sprawdził jej zawartość. Brakowało ponad połowy.

–Ile zażyłeś wczoraj? – spytał.

Jack wyrwał mu fiolkę i schował do kieszonki koszuli.

–Szczерze mówiąc, nie przypominam sobie, żebym wziął chociaż jedną.

–Powiedz prawdę.

–Spójrz na mnie. Wyglądam dobrze. Pilnuj własnych spraw i daj mi spokój.

–Ty jesteś moją sprawą, Jack. Jestem twoim synem, poza tym przypominam ci, że jestem

kardiologiem.

–Nie. Jesteś tylko wykidajką w knajpie i sprzedawcą samochodów.

Brian już miał zamiar zareagować na afront, ale zdołał się opanować. Prawdopodobnie Jack był jeszcze bardziej niewyspany niż on sam.

–Masz rację, trenerze – odparł, zmuszając się, żeby nie zacisnąć szczęk. – Zacznę ci dawać rady, kiedy znów będę kardiologiem. Ani trochę wcześniej. Teraz upiekę ci bajgielkę.

Salonik mieszkania na pierwszym piętrze, mieszkania, które od dziesięciu lat – czyli od czasu ataku serca Jacka – było jego własnością, nie nosił śladów kobiecej ręki, podobnie jak pozostałe pomieszczenia. Ściany i niemal wszystkie wolne miejsca wypełnione były fotografiami i trofeami sportowymi. Większość nagród miała wypisane imię Briana. Mieszkanie mogło usatysfakcjonować człowieka, który potrzebował błyszczących rupieci i oprawionych w ramki dyplomów do podtrzymania poczucia własnej ważności. Kiedy Brian wprowadził się do ojca, obecność trofeów zaczęła stanowić dla niego problemem psychologiczny, ale Freeman Sharpe pomógł mu przełamać jego stosunek do tych rzeczy. „Pamiętaj, że twój ojciec cię kocha i że zawsze chciał dla ciebie lepiej niż dla samego siebie. A skoro on naciska twoje guziki, powiedz sobie, że ma do tego prawo, gdyż on je w tobie zainstalował”. W rezultacie nauczył się panować nad swoim stosunkiem do trofeów, podobnie jak i do wielu

innych spraw, które wydawały mu się rezygnacją z jego strony.

W drodze do niewielkiej kuchni zerknął na jedną z fotografii w korytarzu. Było to zdjęcie drużyny Uniwersytetu Massachusetts, zrobione przed rozpoczęciem tamtego pechowego sezonu. Figurował na nim w środku przedostatniego rzędu, z numerem 11. Pierwszy raz, odkąd mógł sięgnąć pamięcią, przykuła jego uwagę twarz po prawej stronie ostatniego rzędu. Był to doktor Linus King, ortopeda zespołu. Brian patrzył na tę fotografię na ścianie wiele razy – wisiała w samym przejściu. Dziwne, że do tej pory nie zwrócił uwagi na tego człowieka. Po niezliczonych zabiegach terapeutycznych i poradach lekarskich Brian uświadomił sobie, że stał się uzależniony od przepisywanych na receptę środków przeciwbólowych. Lecz jeśli ktokolwiek inny mógł ponosić winę za to uzależnienie, to był nim z pewnością King.

Brian powstrzymał się od nagłego impulsu, żeby uderzyć pięścią w podobiznę Kinga. Przez cały rok leczenia kolana Linus King, autorytet w dziedzinie medycyny sportowej, był zawsze zbyt zajęty, żeby dokładnie przeanalizować wyniki terapii, ograniczając się do prowadzenia rozmów ze swoim pacjentem na temat uporczywego bólu w stawie. Zalecał cierpliwość i zabiegi rehabilitacyjne, zapisując przy tym setki tabletek percocetu i innych środków przeciwbólowych. W końcu powtórne badanie rezonansem magnetycznym wykazało uprzednio niewykryte złamanie. Unieruchomienie w gipsie i trzy miesiące odpoczynku wyleczyło złamaną kość, ale w ciągu tego okresu Brian przeszedł przez ręce tłumu lekarzy, z których każdy wolał napisać receptę, niż wysłuchać pacjenta. Uzależnienie Briana było w pełni rozwinięte i wystarczająco zaspokajane, zanim po raz pierwszy wypisał receptę dla samego siebie.

–Jack, czy rzeczywiście czujesz się na tyle dobrze, żeby pojechać do miasta? – spytał Brian.

–Nie wiem. Tak mi się zdaje. Czuję się, jakbym był w więzieniu. Wygrywanie z tobą w remika nie wydaje mi się najbardziej pasjonującą formą współzawodniczenia na świecie.

–Proponuję ci układ. Pociągniemy karty. Jeśli wygrasz – pójdziemy na Jean Claude’a, a potem do restauracji, którą wybierzesz.

–A jeśli przegram?

Brian czuł, że ojciec wie, do czego zmierzał.

–Jeśli przegram, to i tak wybierzemy się do miasta, ale obiecasz, że potem pójdziesz do doktora Clarkina.

–Czuję się dobrze.

–Nie czujesz się dobrze. Minęło sześć lat od operacji. Clarkin poprawi twoje przeszczepy albo je wymieni.

–Nie chcę Clarkina, nie chcę następnej operacji. Powiedziałem ci to tysiąc razy. Mam dość wszelkich sond i rur.

Jak to często bywa wśród lekarzy lub ich rodzin, wszystko, co tylko po operacji Jacka mogło potoczyć się źle, wydarzyło się w rzeczywistości. Niewydolność serca, zakażenie, korekta przeszczepu, ponowne zakażenie. Osiem strasznych tygodni w szpitalu, co świadczyło, jak bardzo był chory. Przez większą część tego czasu chciał po prostu umrzeć. To prawda, że Black Jack był bardziej uparty niż inni, ale po spędzeniu z nim tych pięćdziesięciu sześciu dni Brian nie mógł mieć mu za złe twardego oporu wobec perspektywy powrotu na salę operacyjną.

–Jak chcesz – powiedział Brian. – Ale pierwszy raz widzę, że boisz się zakładu.

–To dlatego, że mam zwyczaj honorować moje przegrane. Wiem, że tym razem mogłoby mi się to nie udać. Proponuję coś innego. Pociągnijmy karty: oddasz mi siedemdziesiąt jeden dolarów, które przegrałeś, albo postawisz mi kino i obiad.

–Zgoda. – Brian wyciągnął królową trefl. – Zdaje się, że szczęście do mnie wraca.

Jack odkrył trójkę karo. Patrzył na nią przez kilka długich sekund.

–Może do mnie też – oznajmił.

Włożył swój ulubiony sweter, wytarty pomarańczowy kardigan, który dostał od matki Briana tuż przed jej śmiercią trzynaście lat temu.

–Nie będzie ci zimno, jeśli zdejmę dach? – spytał Brian.

–Na pewno nie... ale, nim pojedziemy, chcę ci coś wyjaśnić.

–Wal śmiało.

–Przykro mi, że nie potrafiłem się opanować dziś rano, kiedy ci powiedziałem, że nie jesteś kardiologiem.

–Drobiazg. Poza tym nigdy nie przywiązywałem wagi do tego, co kiedykolwiek mówiłeś. Czemu miałbym nagle zacząć?

–Jestem rozdrażniony... to dlatego. Nie rozumiem, jak to wszystko mogło się zdarzyć.

–Wiem, tato. Czasem musimy spaść na samo dno, żeby zacząć doceniać życie.

–Jestem pewny, że coś się zmieni.

Brian spojrzął w bok.

–Ja też tak sędzę – odparł.

Wiedział, że nie ma żadnych podstaw tak myśleć. BRDM – Komisja do spraw Rejestracji i Specjalności w Medycynie – stwierdziła przed sześcioma miesiącami, że poczynił postępy w leczeniu i mógłby odzyskać prawo praktyki, ale jej polityka polegała – w wypadkach narkomanów i alkoholików – na uzależnieniu przywrócenia licencji od ścisłego dozoru w miejscu pracy i wyrwykowych kontroli moczu. Bez miejsca pracy nie mogło być mowy o licencji. Była to sakramentalna zasada komisji. Brian odpowiedział, że w Bostonie, gdzie mieszczą się trzy uczelnie medyczne i liczne szpitale kształcące specjalistów, jest więcej kardiologów niż dorszy w oceanie. Jak można było liczyć na to, że ktokolwiek zaryzykuje zatrudnienie lekarza bez ważnej licencji?

Dwójka dzieci oraz niepewny stan zdrowia Jacka wykluczały przeniesienie się Briana gdzieś dalej od wschodniego Massachusetts. Tak więc robił to, co robił, odpowiadając przy tym na oferty pracy w pismach kardiologicznych i w „New England Journal of Medicine”. Starał się tak długo, aż przekroczył własną wytrzymałość na odmowy, widząc, jak dawni koledzy, o których myślał, że są jego przyjaciółmi, odwracają się od niego. Raz nawet zamieścił własne ogłoszenie.

Były szef oddziału kardiologii i kierownik pracowni hemodynamicznej w szpitalu bostońskim podejmie praktykę we wschodnim Massachusetts, na Rhode Island albo w południowym New Hampshire.

Bez pracy nie odzyska licencji. Bez licencji nie dostanie pracy. Paragraf 22.

W ostatnich miesiącach po prostu przestał próbować. Zrezygnowany, zaczął przemyśliwać nad wyborem innej drogi życiowej. Sytuacja nie była łatwa, ale na pocieszenie zdał sobie sprawę, że w ciągu tych wszystkich frustrujących miesięcy rozczarowań z powodu odmownych odpowiedzi nie przyszło mu do głowy, żeby pić alkohol lub brać pigułki.

–Jesteś gotów, tato?

–Idź pierwszy i otwórz dach. Zaraz przyjdę.

Jack Holbrook poszedł powoli w kierunku łazienki. Kiedy usłyszał, że frontowe drzwi otworzyły się i zamknęły, oparł się o ścianę, próbując oddychać wolniej, gdyż ukłucie bólu, promieniującego od okolic mostka, sięgnęło aż do szczęki. Szperając w kieszonce koszuli, wydobyl fioletową tabletkę z tabletkami nitrogliceryny i rozpuścił jedną pod językiem. Pół minuty później ból zaczął ustępować. Otarł krople potu z górnej wargi i

wziął głęboki oddech.

–Wszystko w porządku, Jack? – zawołał Brian z frontowych schodków domu.

–W porządku, Brian. Wszystko gra.

Towne Deli było małym, modnym lokalem przy Boylston, znanym z baru z pysznymi sałatkami i kanapkami po dziewięć dolarów. Brian wysadził ojca przed wejściem i przez dziesięć minut szukał wolnego miejsca do zaparkowania. Kondominium, w którym mieszkał Jack, położone było na robotniczym przedmieściu, w Reading, przez które biegła trasa 128 na północny zachód od centrum. Jazda do miasta, będąca koszmarem w zwykłym, roboczym dniu, w niedzielne pogodne popołudnie była czystą przyjemnością. Trzyletni czerwony leBaron, jedyna dobra rzecz, jaka pozostała Brianowi po rozwodzie, był idealnym

samochodem na tę okazję.

W drodze Brian czuł, że Jack chciałby się o nim czegoś dowiedzieć. Jakie ma perspektywy pracy? Czy są nowe wieści od członków komisji? Czy poznał jakąś interesującą kobietę? Być może ciepły dzień i przyjazna atmosfera powodowały, że ojciec nie zdradzał się ze swoimi myślami, Brian zaś unikał drażliwego tematu, jakim było zdrowie staruszka. Rozmawiali o sporcie albo milczeli.

Brian wszedł do Towne Deli i zobaczył, że ojciec siedzi przy małym stoliku w rogu lokalu. Zatrzymał się przy drzwiach i przez chwilę patrzył, co zostało z człowieka, który wywarł tak silny wpływ na pierwsze dwie dekady jego życia. Niemal od chwili kiedy Brian postawił pierwszy krok, trener był przy nim, nadzorując jego odżywianie, życie towarzyskie i treningi, tworząc kogoś, kto – jak sądził – będzie jednym z najznakomitszych quarterbacków. Może nawet by mu się udało, gdyby nie pewien mecz.

Jack siedział bez ruchu, studiując menu. Nagle, niemal podświadomie, położył rękę na piersi, przesuając ją w stronę szyi. Brian pobiegł do niego. Ojciec miał szkliste spojrzenie i pod opalenizną był popielaty.

–Jack, co z tobą? Czy cię boli?

Jack odetchnął przez nos i skinął głową.

–Trochę – wymamrotał.

Brian sprawdził puls, przykładając palce do tętnicy szyjnej. Był miarowy, lecz nitkowaty. Czoło Jacka pokrywał lśniący pot.

–Jezu – wyszeptał Brian. – Jack, czy masz swoją nitro?

Jack wydobyl buteleczkę z kieszonki koszuli.

–Nie powinienem był przyjeżdżać do Bostonu – powiedział ochryplym głosem.

–Nonsens – odparł Brian, odczuwając dziwny, paradoksalny spokój, który od wielu lat opanowywał go w krytycznych sytuacjach. – To by nic nie zmieniło. Głowa do góry, tato. Posadzę cię tu na podłodze i dam ci tabletkę nitrogliceryny. Czy masz jeszcze tę aspirynę, którą włożyłem ci do portfela? Dobrze. Zaraz ją wyjmę.

Jack miał albo ostry atak dusznicy z powodu niedostatecznego dopływu krwi do serca, albo całkowite zamknięcie tętnicy wieńcowej, czyli zawał mięśnia sercowego, podczas którego część serca była w ogóle pozbawiona dopływu krwi. Jeśli przyczyną był zakrzep zatykający tętnicę, tabletki aspiryny mogła przyczynić się do jego rozpuszczenia, zanim doszłoby do trwałego uszkodzenia mięśnia sercowego.

–Jakieś kłopoty, proszę pana?

Brian podniósł wzrok na łysiejącego kierownika restauracji. „Ależ skąd, mam zwyczaj sadzać ojca na podłodze we wszystkich lokalach”.

–Ma chore serce. W tej chwili boli go w piersi – powiedział.

–Może... może zadzwonię po pogotowie? Albo spytam, czy na sali jest lekarz?

–Ja jestem lekarzem – odparł, wypowiadając to po raz pierwszy od półtora roku. – Ale pogotowie to dobry pomysł.

Nie mógł sobie darować, że zgodził się na wyprawę do Bostonu. Wszyscy opiekujący się Jackiem lekarze – internista, kardiolog, chirurg – byli w Suburban Hospital, do którego trzeba

było jechać spory kawał drogi trasą 128. Tam też znajdowała się dokumentacja choroby jego ojca. Był to znakomity szpital, znany z osiągnięć w dziedzinie rehabilitacji ortopedycznej, a w niektórych kręgach z osoby dawnego szefa oddziału kardiologicznego, czyli lekarza o nazwisku Brian Holbrook.

Zbadał powtórnie puls Jacka i otarł mu czoło.

–Jak bardzo cię boli, Jack? W skali od jeden do dziesięć?

–Szóstka. Nitro mi pomaga. Jaka szansa, że to nie jest zawał?

–Pięćdziesiąt na pięćdziesiąt.

–To źle.

–Poczekaj chwilę. W ambulansie będzie tlen i środek przeciwbólowy. Poczujesz się znacznie lepiej.

–Stawiam dziesięć dolarów przeciw jednemu, że w ambulansie będzie kobieta. Trzymasz zakład?

–Zgoda. Nie denerwuj się. Chcesz się położyć płasko na podłodze?

–Nie mogę.

W dali słychać było syrenę nadjeżdżającej karetki. Brian bezustannie sprawdzał puls w przegubie dłoni Jacka. Pocienie się, charakterystyczne dla zawału, było teraz mniejsze.

–Coraz lepiej, tato. Jak z bólem?

–Dziesiątka.

–Tak cię boli w skali do dziesięciu?

–Nie, jesteś mi winien dziesiątkę.

Jack skinął głową w stronę drzwi, w których pojawiła się młoda brunetka w niebieskim kombinezonie pogotowia. Brian przedstawił jej ojca i opowiedział o rozwoju sytuacji i o skromnych środkach zaradczych, które zastosował.

–Jest pan lekarzem? – zapytała natychmiast młoda kobieta.

–Jestem kardiologiem. Nazywam się Brian Holbrook.

–Praca w pogotowiu nie daje takiej satysfakcji jak pańska, doktorze Holbrook – powiedziała, wykonując równocześnie bardzo sprawnie tuzin różnych czynności. – Jeśli coś przeoczyłam, proszę zwrócić mi uwagę.

–Dziękuję. Jack jest pacjentem Suburban Hospital.

–Za chwilę zostanie pacjentem White Memorial. Zgadza się pan?

White Memorial był nie tylko najlepszym szpitalem w mieście, ale również siedzibą Boston Heart Institute, jednego z najdoskonalszych ośrodków kardiologicznych. Brian przypomniał sobie rozmowę kwalifikacyjną, w której przepadł, starając się tam o praktykę specjalizacyjną. List zawiadamiający o decyzji odmownej nie był wówczas dla niego zaskoczeniem. Pomyślał, że wszystko, co go później spotkało, było dowodem, że przeprowadzający rozmowę okazał się niezwykle przewidujący.

Spostrzegł, że dożylny zastrzyk morfiny i trochę tlenu natychmiast poprawiło stan

Jacka.

–Gdybym sam miał prosić o przyjęcie ojca do szpitala – powiedział do młodej lekarki pogotowia – to Boston Heart byłby na pierwszym miejscu.

Rozdział 2

Brian wcisnął się do ambulansu, który odbył krótką podróż z Back Bay do White Memorial. Nim wyjechali z Towne Deli, ból u ojca zmniejszył się do rozmiaru dwóch lub trzech w skali dziesięciu, mimo to podczas jazdy Brian przez cały czas czujnie obserwował monitor. Brak dodatkowych uderzeń serca stanowił dobry znak, natomiast zapis elektrokardiogramu wskazywał zdecydowanie na ostry epizod wieńcowy.

Kardiologiem Jacka w Suburban był Gary Gold, jeden z czwórki dawnych kolegów Briana, jedyny, który wierzył, że Brian wraca do normy, i uważał, że powinien odzyskać prawo praktyki, gdy tylko będzie gotów do pracy. Brian wyrzucał sobie, że nie nalegał silniej na Gary'ego, żeby poddał Jacka powtórnej koronarografii, stanowiącej podstawę do ponownej konsultacji chirurgicznej. Cóż mógł jednak zrobić wobec zdecydowanego oporu Jacka co do kolejnej operacji?

White Memorial był kompleksem kilkunastu architektonicznie różnorodnych budynków, ciągnących się na odcinku czterech przecznic wzdłuż rzeki Charles. Wszędzie wokół, podobnie jak w wypadku większości dużych szpitali, trwały prace nad rozbudową. Spychacze i ciężki sprzęt budowlany sąsiadowały z ambulansami, a dwa wysokie żurawie obejmowały swoimi kranami wszystkie budynki, z wyjątkiem najwyższych. Jedna z tablic zapowiadała nowe centrum ambulatoryjne, inna dwudziestopiętrową siedzibę Instytutu Badawczego Hellmana. Cały szpital stanowił zamknięty, niekończący się cykl zapadania na zdrowiu i rekonwalescencji, rozkładu i restauracji, umierania i rodzenia się – tak samo jak przebywający w nim pacjenci.

W obszernej izbie przyjęć panował hałaśliwy, lecz przy tym kontrolowany zamęt. Poczekalnia była pełna. Dwie pielęgniarki zajmowały się selekcją przypadków. Brian chłonął tę atmosferę, w czasie gdy transportowano Jacka w głąb oddziału, do stanowiska z monitorem. Dramatyzm i fachowość, promieniujące z tego miejsca, były jego naturalnym żywiołem. Po wejściu na oddział poczuł się tak, jakby przedtem oddychał pod wodą i nagle wy dostał się na powierzchnię. Przewidywał przyływ emocji, kiedy znajdzie się w znajomym klimacie, ale nie spodziewał się tak silnego uczucia spełnienia i łez w oczach. Nie tak dawno stanowił część tego otoczenia i stracił wszystko z własnej winy. Jego ewentualny powrót, był nie tylko kwestią „kiedy”, lecz przede wszystkim pytaniem „czy w ogóle?”.

–Jak się czujesz, Jack? – spytał Brian, biorąc ojca za rękę, gdy czekali, aż pielęgniarka skończy rozkładać czyste prześcieradło na wąskim wózku w pokoju numer sześć.

–Znacznie lepiej. Już mnie nie boli.

–Znakomicie.

–Zakładam się o dwa dolary, że nie dostanę obiadu. Brian rzucił okiem na monitor. Uniesienie odcinka ST elektrokardiogramu nie wydawało się szczególnie uderzające, co było dobrym symptomem.

–Jeśli tu serwują typowe pożywienie szpitalne, to wygrasz podwójnie – powiedział.

Pomógł obsłudze przenieść Jacka na łóżko, potem stanął z boku, podczas gdy rezydent o

nazwisku Ethan Prince rozpoczął wstępną diagnozę. Brian z zazdrością patrzył na szybką i dokładną pracę młodego człowieka. Potem przypomniał sobie, gdzie się znajduje. Suburban był rzetelnym szpitalem, ale żaden z jego stażystów lub rezydentów nigdy jeszcze nie otrzymał pozytywnej odpowiedzi po rozmowie kwalifikacyjnej w White Memorial. Wykluczenie z grupy dziesięciu procent najlepszych studentów uczelni medycznej powodowało, że nie warto było zabiegać nawet o wstępną rozmowę.

–Znasz tu kogoś? – zapytał Jack.

Lekarz osłuchujący go stetoskopem poprosił, żeby nie rozmawiał.

Mam nadzieję, że nie, pomyślał Brian.

–Myślę, że nie – wyszeptał.

Odniósł wrażenie, że wywołał wilka z lasu. Usłyszał własne nazwisko, więc obejrzał się. W drzwiach stała Sherry Gordon, niewiele starsza od Briana, ale w porównaniu z nim wyglądająca jak babcia. Była jedną z najsprawniejszych pielęgniarek izby przyjęć, z jakimi Brian kiedykolwiek pracował.

–Hej, jesteś przecież dziewczyną z Suburban – powiedział, podchodząc do niej i pozwalając się uściskać i pocałować w policzek. – Co ty tu robisz?

–Śmietanka zbiera się na wierzchu. Mieli moje podanie od lat. Wolne miejsca rzadko się tu zdarzają.

–Podoba ci się tutaj?

Wskazała ręką na bałagan i uśmiechnęła się.

–A jak myślisz? – patrzyła na niego badawczo. – Co u ciebie? Czujesz się dobrze?

Brian wytrzymał jej wzrok.

–Miałem trzy miesiące rehabilitacji – odparł na tyle cicho, żeby słowa dotarły tylko do niej – a potem miliard spotkań AA i AN... ale tak, czuję się dobrze.

–Cieszę się, Brian. Naprawdę, bardzo. To twój ojciec, prawda? Pamiętam ten koszmar, przez który przeszedł w Suburban.

–Sześć lat temu. Cztery lata wcześniej miał zawał mięśnia sercowego, potem stopniowo jego dusznica zrobiła się nie do wytrzymania, więc zdecydowaliśmy się na operację. Masz rację, to był koszmar. Co gorsza, bypassy przyniosły niewielki skutek. Teraz znów prawdopodobnie ma umiarkowany zawał.

–Zaraz przyjdzie do niego świetny spec. Szczeniak przypomina mi ciebie.

–Żałuję.

–Poproś go, żeby się postarał poddać ojca kuracji środkiem vasclear. Wszyscy teraz o nim mówią. Muszę wracać, żeby pomóc doktorowi Gianatasiovi. Jest przy ciężko chorej kobiecie... tam dalej, w głębi korytarza.

–Phil Gianatasio?

–Tak. Znasz go?

–Z dawnych czasów, kiedy razem byliśmy stażystami, a potem rezydentami. Nawet nie miałem pojęcia, że jest w Bostonie. Czuję się, jakbym wrócił do rodzinnego domu. Powiedz mu, że jestem tutaj, Sherry. Wpadnę, kiedy będę pewny, że tata poczuł się lepiej, dobrze?

–Dlaczego nie? Teraz muszę uciekać. Życzę zdrowia ojcu.

Vasclear. Brian nie słyszał prawie nic o tym leku, a to, co wiedział, pochodziło z gazet. Nie był tak *au courant* w bieżących osiągnięciach medycyny, jak w czasach kiedy dwa razy w tygodniu prowadził obchód na kardiologii, prócz tego czytał lub choćby przerzucał tuziny rozmaitych czasopism. Mimo to dotrzymywał kroku rozwojowi medycyny, oglądając nagrania wideo i uczęszczając na dwa kursy, ale vasclear, najnowszy spośród długiego szeregu eksperymentalnych środków, nie został jeszcze obszernie omówiony.

Ethan Prince zdjął stetoskop z uszu, przejrzał jeszcze raz elektrokardiogram Jacka, potem podał go Brianowi. Brian przyjął papier pozornie spokojnie, świadomie starając się ukryć przed młodym lekarzem skwapliwość i wdzięczność. W kilku spośród dwunastu standardowych krzywych wykresu istniało w dalszym ciągu dwumilimetrowe podniesienie segmentów ST.

–To wygląda na utrzymujące się uszkodzenie ściany przedniej – powiedział Brian.

–Myślę to samo. Postaram się, żeby go jak najszybciej przyjęli. W tym czasie powinniśmy podjąć decyzję, czy próbować rozpuścić zakrzep. Zanim to zrobimy, postaram się przywołać jakiegoś kardiologa. Pierwszym dyżurnym jest doktor Gianatasio, ale on jest po uszy zajęty na czwórce. Muszę sprawdzić, kto dyżuruje poza nim. – Odwrócił się do Jacka, którego barwa skóry znacznie się poprawiła. – Panie Holbrook, ma pan minimalny zakrzep, skutkiem czego część pańskiego serca pozostaje niedokrwiona.

–Atak serca – stwierdził Jack. – W porządku. Proszę mówić bez ogródek.

–W tej chwili nie możemy powiedzieć, czy to jest rzeczywiście zawał, dopóki nie zrobimy paru badań krwi i jeszcze jednego elektrokardiogramu.

–Dwa dolary, że tak.

–Co takiego?

–Niech pan go nie słucha – odparł Brian, ujmując powtórnie rękę ojca. – Był obrońcą w szkolnej drużynie futbolowej... ofensywnym i defensywnym. Otrzymał zbyt wiele ciosów w kask.

–Rozumiem. Pójdę już. Muszę się dowiedzieć, kto jest dyżurnym kardiologiem, ale chciałbym tu wrócić z doktorem Gianatasiem.

–Jeszcze sekundę. Sherry Gordon poradziła mi, żeby wziąć pod uwagę vasclear.

Rezydent wzruszył ramionami.

–Prawdopodobnie wie pan o nim to samo, co ja. To jest lek Boston Heart Institute. Są pogłoski, że przynosi obiecujące rezultaty.

–Dziękuję.

„Anestezjolog – rozległo się w głośniku... – potrzebny anestezjolog na izbie przyjęć...”

–Z kobietą w czwórce musi być źle. Myślę, że chcą przeprowadzić intubację pod narkozą.

Ethan Prince wybiegł z pokoju, zostawiając Jacka z pielęgniarką. Brian niepewnie przestępował z nogi na nogę, czując zakłopotanie, gdyż nie mógł w niczym pomóc. O dwa pokoje dalej jakiś chory na serce pacjent był w stanie poważnego zagrożenia. Brian stanowił dodatkową parę wykwalifikowanych rąk – był jedynym kardiologiem, z którym doktor Gianatasio mógłby w tej chwili przeprowadzić konsylium. Mimo całego pożytku, jaki mógłby

komuś przynieść, jego status nie różnił się niczym od uprawnień studenta, który nie ukończył studiów medycznych.

–Doktor Holbrook?

Krępa ciemnowłosa pielęgniarka, stojąca w drzwiach, wyglądała bardzo władczo. Miała ponury wyraz twarzy.

–Słucham?

–Doktorze Holbrook, nazywam się Carol Benoit. Jestem pielęgniarką oddziałową. Przepraszam, że się wtrącam, ale doktor Prince powiedział, że stan pańskiego ojca jest unormowany. Czy mogę z panem przez chwilę porozmawiać?

–Naturalnie.

–Doktorze Holbrook, w czwórce leży kobieta, której stan jest krytyczny. Doktor Gianatasio pyta, czy pan nie miałby nic przeciwko temu, żeby mu pomóc.

Brian poczuł natychmiast przyływ adrenaliny.

–Czuję się zaszczycony – odparł, może zbyt gorliwie. Spojrzał na Jacka, który leżał wygodnie z zamkniętymi oczami i odpoczywał. Oddychał bez wysiłku, a zapis pracy serca na monitorze był regularny. Można było zostawić go na chwilę. Brian ruszył w stronę drzwi, ale pielęgniarka oddziałowa nie ustępowała z drogi. Zaprowadziła go do odosobnionego miejsca w korytarzu, poza zasięgiem uszu Jacka i personelu.

–Zanim pan tam pójdzie – oświadczyła surowym szeptem – chcę, żeby pan wiedział, iż zażądałam od Sherry Gordon informacji, kim pan jest i w jakim szpitalu pan pracował. Powiedziała mi, że stracił pan prawo praktyki.

–I co dalej?

–Kiedy przycisnęłam ją, żeby wyjaśniła to, dowiedziałam się z jakiego powodu.

Początkowa ostrożność, z jaką Brian przyjmował słowa tej kobiety, zmieniła się w całkowitą nieufność. Wyprostował się na swoją całą wysokość, a nawet jeszcze trochę więcej.

–Proszę przejść do rzeczy – stwierdził.

–Nie chcę, żeby ktokolwiek nie mający ważnego prawa praktyki medycznej zajmował się pacjentami na moim oddziale.

–Szczерze mówiąc, nie wiem, dlaczego dzielenie się moją wiedzą i doświadczeniem można nazwać praktykowaniem medycyny.

Carol Benoit patrzyła na niego nieubłagany wzrokiem.

–Będę przy tym obecna i będę uważnie obserwowała.

Brian wszedł z powrotem do pokoju Jacka, żeby mu powiedzieć, iż będzie obok i wkrótce wróci. Potem otrząsnął się i poszedł do pokoju numer cztery.

Przed dziesięciu laty Brian i Phil Gianatasio odbywali wspólnie dwuletni staż w Eastern Massachusetts Medical Center. Współpracowali z sobą zgodnie – Philowi nie przeszkadzała ekstrawagancja i pewność siebie Briana, Brian zaś doceniał fakt, że Phil, raczej solidny i drobiazgowy niż błyskotliwy, zdawał sobie sprawę z własnej niedoskonałości i nigdy nie wstydził się poprosić o pomoc. Po odbyciu stażu Brianowi zaoferowano stypendium specjalistyczne w jednym z najlepszych szpitali w Chicago, a Phil, grając na zwłokę, jak się Brianowi zdawało, zaciągnął się do armii. Z początku pisali do siebie i telefonowali. Później

wzajemne kontakty zaczęły słabnąć, aż wreszcie urwały się całkowicie.

Phil pozdrowił go z daleka, stojąc u wezłowania wózka. Był zawsze nieco zbyt otyły, ale od tamtych czasów musiał przytyć przynajmniej o dwadzieścia funtów. W jego ciemnych włosach pojawił się łysy krążek, za to z tyłu były dłuższe, niż Brian pamiętał. Nie zniknął natomiast wyraz ciepła i uprzejmości na jego twarzy. W tej chwili jednak Phil był wyraźnie zaniepokojony. Przyczyna była oczywista.

Na wózku leżała nieprzytomna kobieta o zmierzwionych, siwiejących już, rudych włosach, w wieku około siedemdziesięciu lat, będąca wyraźnie w stanie zatrucia. Oddychała niemal niewyczuwalnie, charkocząc, a bladość wokół oczu i ust stanowiła przerażający kontrast w stosunku do purpury pozostałej części twarzy. W pokoju byli poza tym doktor Ethan Prince, jeszcze jedna pielęgniarka, anestezjolog, a w rogu starszy mężczyzna w wymiętym ubraniu, z wystającym z kieszeni marynarki stetoskopem. Brian domyślił się, że to prywatny lekarz kobiety. Widać było od razu, że czuje się niepewnie w obliczu kryzysowej sytuacji. Przy drzwiach stała Carol Benoit, obserwując scenę, ale nie angażując się czynnie.

Wykres na monitorze... tętno... saturacja krwi... cera... kolor skóry pod paznokciami... koc oziębiający... Zanim Brian przeszedł parę kroków od drzwi do łóżka, jego mózg zdążył już przetworzyć setki danych. Czuł się ożywiony atmosferą działania i pośpiechu. Wiedział, że to tylko ulotna chwila, ale teraz to nie miało znaczenia.

–Brian, twój widok koi moje oko – powiedział Phil. – Jesteś jak bóg z tragedii greckiej, wyskakujący ze ściany teatru, kiedy jest potrzebny.

–Bez euforii, Phil. Skończyłem z robieniem boskich rzeczy. To mi przyniosło same kłopoty. Co to za przypadek?

–Pani Violet Corcoran. Ma sześćdziesiąt osiem lat. Jest pacjentką doktora Dixona. To jest Fred Dixon. Fred, przedstawiam ci Briana Holbrooka. – Brian i starszy doktor wymienili ukłony. – Fred twierdzi, że ona nigdy do tej pory poważniej nie chorowała.

Coś w głosie Phila sugerowało, że obdarzanie zaufaniem Dixona w roli prywatnego lekarza wiązało się z pewnym ryzykiem. A jednak fakt, że przybył w niedzielne popołudnie, troszcząc się o swego pacjenta, zaprzeczał, zdaniem Briana, jego niekompetencji.

–Leczył ją erytromycyną, rozpoznając zakażenie górnych dróg oddechowych – ciągnął Phil. – Parę godzin temu zatelefonował jej mąż, donosząc, że jego żona źle wygląda. Ma czterdzieści stopni gorączki, tętno sto czterdzieści. Ma ostre zapalenie dolnego lewego płata płuc. Ciśnienie sto sześćdziesiąt. Teraz spadło do stu.

–Wstrząs z powodu zakażenia?

–Prawdopodobnie. Ale popatrz na to.

Phil wskazał palcem ekran monitora, na którym widniał przebieg pracy serca. Brian ocenił, że to trwały częstoskurcz komorowy. Ten rodzaj częstoskurczu w większości wypadków był niestabilny i stanowił zapowiedź całkowitego zatrzymania pracy serca.

–Myślę, że to jest częstoskurcz komorowy.

–Wszyscy tak myślimy. Od kiedy tu przybyła, ma powtarzające się nawroty. Z początku krótkie. Teraz coraz bardziej się wydłużają.

–Co jej podajecie?

–Różne środki farmakologiczne. Do tej pory próbowaliśmy ksylokainy, bretylium i pronestyliu. Teraz mamy zamiar spróbować neparstnicy. Na razie nic z tego nie poskutkowało.

–Rytm jest za szybki, żeby przerwać go stymulacją?

–Właśnie.

Brian wskazał na stetoskop Phila.

–Pozwolisz?

Carol Benoit nie wytrzymała.

–Doktorze Gianatasio – wtrąciła się. – Przepraszam, że interweniuję, ale muszę panu przypomnieć, że doktor Holbrook nie ma prawa do leczenia i nie może dotykać naszych pacjentów.

Na parę sekund w pokoju zaległa cisza. Słyszeć było tylko cichy bulgot butli z tlenem. Potem Gianatasio obszedł wózek, zdjął z szyi stetoskop i podał go przełożonej pielęgniarek.

–Przyjmuję tę uwagę, pani Benoit – powiedział bez gniewu. – Proponuję, żeby pani zbadała tę kobietę i postawiła własną diagnozę.

Twarz Benoit skurczyła się i zaczerwieniła. Odepchnęła podawany jej przez Phila instrument i wyszła.

–Róbcie, co chcecie – powiedziała na odchodnym – ale będzie pan odpowiadał za wszystko, co się tu zdarzy.

–Zaryzykuję. Brian, jeżeli nie przyjdzie ci do głowy coś, czego jeszcze nie stosowaliśmy, polecę Sule, żeby chorą intubowała i spróbujemy ratować ją wstrząsem.

Brian wziął od niego stetoskop Littmanna i podszedł do łóżka.

–Jeżeli nie ustalimy przyczyny takiego rytmu i nie zrobimy czegoś, żeby ją usunąć – powiedział – sądzę, że uderzenie impulsem elektrycznym niewiele zmieni.

–Może to jest rozległe zakażenie u osoby z wcześniejszą chorobą serca.

–Możliwe.

–Cokolwiek to jest, pospiesz się. Znów się pojawiło. Brian najpierw przyjrzał się starannie Violet Corcoran.

Było w niej coś, co przypominało mu przypadek, z którym zetknął się podczas stażu. Gdzie? Co to było? Położył rękę w okolicy serca, potem na szyi, później zbadał puls w łokciu, w przegubie i w pachwinie. Na koniec włożył do uszu końcówki stetoskopu Littmanna, a stroną z membraną zbadał kolejno serce, klatkę piersiową i szyję. Następnie powtórzył badanie, używając strony z lejkiem.

–Sule, wprowadzaj rurę – zdecydował Phil. – Potem spróbujemy wstrząsu. Cholera! To postępuje coraz szybciej.

Brian nie odpowiadał. Był całkowicie pochłonięty szmerem, który słyszał w przedniej części szyi Violet. Nagle przypomniał sobie. W tym samym czasie, po jego lewej stronie, pani anestezjolog wprowadziła do tchawicy kobiety rurę do oddychania z taką wprawą, że Brian nawet tego nie zauważył.

–Damy jej najpierw dwieście dzuli, a potem zaraz trzysta pięćdziesiąt – zarządził Phil.

–Poczekajcie! – zawołał Brian, dotykając pewnego miejsca na szyi Violet. – Phil, posłuchaj tutaj.

Był niemal pewien, że wyraźnie wyróżnialny szmer był odgłosem turbulencji krwi przepływającej przez pobudzoną do wzmożonej aktywności tarczycę.

–Ciśnienie spada – oznajmiła Sherry Gordon. – Dziewięćdziesiąt.

Phil słuchał przez kilka sekund.

–Słyszałem ten odgłos, kiedy ją przedtem badałem, ale myślałem, że to jest szmer pochodzący z serca.

–Raczej nie.

–Tarczycza?

–Jestem prawie pewien. Spotkałem w życiu tylko jeden przypadek przełomu tarczycowego, ale ten wygląda identycznie. Wysoka gorączka, bardzo szybki puls, śpiączka, coraz dłuższe okresy częstoskurczu komorowego.

Gianatasio jeszcze raz posłuchał szmeru.

–Możliwe – powiedział z podnieceniem. – Do diabła, to na pewno jest to. Fred, czy ta pani chorowała na nadczynność tarczycy?

Fred Dixon wertował swoje notatki i wyniki badań laboratoryjnych.

–Osiemdziesiąt – zawołała Sherry.

–Rzeczywiście – odezwał się Dixon niepewnym głosem. – Rok temu zauważyłem u niej nieznaczne powiększenie tarczycy. Ale ludzie w jej wieku miewają raczej niedoczynność niż nadczynność tarczycy, poza tym nie sądziłem...

–Brian, co z tym robimy? – przerwał mu Phil.

–Zadzwoń po endokrynologa. Na razie radziłbym podawać jej duże dawki steroidów, dożylnie spore dawki propranololu, żeby zablokować wpływ hormonu na działanie serca, prócz tego jeszcze jakiś specyfik powodujący chemicznie zastopowanie produkcji hormonu przez tarczycę. Endokrynolog będzie wiedział, co zaordynować i w jakiej dawce. Jeśli nie przyjdzie, zajrzemy do jakiegoś podręcznika.

–Do roboty – rzucił Gianatasio. – Pani Benoit, proszę się dowiedzieć, kto jest dyżurnym endokrynologiem, i wezwać go, żeby jak najszybciej przyszedł. Jeśli jest pod telefonem, niech doktor Holbrook z nim porozmawia. Potem proszę pójść do pokoju rezydentów i przynieść mi *Podstawy medycyny wewnętrznej* Harrisona i

najgrubszą książkę na temat endokrynologii... Jeśli będzie miała mniej niż dwa cale grubości, proszę pójść do biblioteki. Uwaga do wszystkich obecnych: żeglujemy po nieznanych wodach...

Rozdział 3

–Żadnych autografów. Koniec z autografami. Przykro mi, ale doktor Holbrook dzisiaj już nie podpisuje.

Udając, że chowa się przed wyimaginowanym tłumem, Phil Gianatasio wrócił do pokoju numer sześć.

Brian, siedzący samotnie przy łóżku Jacka, popatrzył na Phila z rozbawieniem.

–Jeżeli nie przestaniesz się wygłupiać – powiedział – to napiszę autograf na twoim tyłku.

–Jaki teraz jest okazały! – wykrzyknął Gianatasio, klepiąc się po nim. – Pupsko jak u nosorożca. Zad hipopotama. Po prostu cudo! Możesz na nim złożyć autograf, napisać życiorys i jeszcze starczy miejsca na parę sonetów. Boże, Holbrook, to, czego dokonałeś, jest niesłychane. Stara Violet uniknęła nie kuli, lecz kartacza z haubicy!

–Co się dzieje? – zamruczał Jack, budząc się z odurzenia po valium.

Niestety „kula” dosięgła Jacka, jego organizm bowiem odniósł ranę. Badanie krwi potwierdziło zawał mięśnia sercowego, chociaż wyniki wskazywały na to, że nie był rozległy i nie spowodował bezpośredniego zagrożenia życia. A jednak sześćdziesięcioletni Jack, biorąc pod uwagę historię jego choroby, żył zdecydowanie na kredyt.

Brian był również poruszony uratowaniem pani Corcoran, mimo to postanowił trzymać swoje emocje na wodzy i pozwolić Gianatasiowi zmanifestować je za nich obu. Gestem zaprosił Phila, żeby usiadł.

–Jakie są ostatnie wiadomości? – spytał.

Gianatasio z wdzięcznością przyjął zaproszenie.

–Ostatnia jest taka, że facet, który tutaj siedzi, przywędrował z ostatniego rzędu trybun przy stanie dwóch autów w dziewiątej rundzie i wyeliminował kostuchę trzema rzutami. Ta jest najświeższa.

Brian zwrócił się do ojca.

–Tato, ten przerośnięty dzieciak to Phil Gianatasio. Pewnie nie pamiętasz, że we wczesnym średniowieczu byliśmy razem rezydentami.

–Naturalnie, że pamiętam. Miał przystojną, ciemnowłosą żonę. Jego ojciec prowadził

restaurację.

Jack wyciągnął rękę nad boczną poręczą wózka. Phil uścisnął ją.

–Ma pan wspaniałą pamięć – powiedział. – Tata dalej ma tę restaurację, a Joannę wciąż jest przystojną, ciemnowłosą żoną... niestety, nie moją.

–Brian też się rozwiódł – stwierdził Jack, nie próbując ukryć niezadowolenia.

–Nie jesteś już z Phoebe? – Phil uniósł pytająco brwi.

–Dwa lata temu zdecydowaliśmy się na separację. Przed rokiem rozwiedliśmy się oficjalnie – odparł Brian, czując, że jego podniecenie zaczyna wygasać. – Mamy dwie córki.

–Zdaje się, że nie jesteś z tego powodu szczęśliwy.

Brian wzruszył ramionami.

–Zerwanie nie było moją winą. Phoebe wyszła za mnie, spodziewając się, że będę zapoznanym doktorem na prerii, a skończyło się na zapoznanym doktorze na odwyku.

Phil uśmiechnął się smutno.

–Joannę miała znanego doktora w szpitalu... zawsze tak było, zwłaszcza kiedy wylądowałem tu trzy lata temu.

–Masz dzieci?

–Może następnym razem. Ale dość już o mnie. Panie Holbrook, czy pan wie, co zrobił pański syn? W ciągu tych kilku minut, kiedy pan drzemał, postawił, ni stąd, ni zowąd, niesłychanie trudną do wypracowania diagnozę, ratując tym życie słodkiej staruszce.

–To ładnie z jego strony – rzekł Jack bez entuzjazmu.

Odwrócił się twarzą do ściany.

Phil popatrzył na Briana, który w milczeniu pokręcił głową. W żadnym wypadku nie powinien był wspomnieć o rehabilitacji. Jack był twardy jak skała w wielu kwestiach, ale nie w tej jednej.

–Później – powiedział samymi wargami.

Phil przytaknął z sympatią. Był lekarzem i też miał ojca. Wiedział, jak trudno żyć oczekiwaniem.

–A więc – kontynuował Phil, chrząkając, żeby głos zabrzmiał czysto – wiadomości z sąsiedniego pokoju są dobre. Rzeczywiście dobre. Jest z nią teraz endokrynolog. Całkowicie zgadza się z diagnozą i zaproponowaną terapią. Sensacja o przełomie tarczycowym już się rozniosła po szpitalu. To miejsce żywi się takimi przypadkami. A ja byłem w środku tego wszystkiego i niczego nie dostrzegłem.

–Byłeś zbyt blisko. Musiałeś zająć się utrzymaniem jej przy życiu.

–Zawsze byłeś miły.

–Mówię prawdę.

Jego słowa zostały zakłócone chrapaniem ojca, który tym samym zadał kłam swoim skargom na bezsenność.

–Ty też potrafiłeś tak chrapać w pokoju dyżurnym – powiedział Gianatasio. – Nie wiedziałem, że to dziedziczne.

–Phil, powiedz mi, co wiesz o vasclearze.

Twarz Gianatasia spoważniała.

–To rzeczywiście coś, Brian. Źródło wiecznej młodości lub najbliższa temu rzecz, jaką kiedykolwiek wynalazła medycyna.

–Co to jest?

–Częściowo fosfolipid, częściowo enzym. Pochodzi z kory drzewa, które pewien facet nazwiskiem Art Weber znalazł w Ameryce Południowej. W południowej części miasta istnieje firma Newbury Pharmaceuticals. Chemicy z tej firmy dokonują całego procesu syntezy. Brian, ten środek odblokowuje arterie.

–Na stałe?

–Arteriogramy wykonane przed odblokowaniem i po nim są zdumiewające.

–Jakie są objawy uboczne?

Gianatasio potrząsnął przecząco głową.

–Wiem, że to brzmi fantastycznie, ale Boston Heart jest bliski zakończenia ściśle kontrolowanej, drugiej fazy badań klinicznych przeprowadzanych metodą podwójnie ślepej próby. Do tej pory nie zanotowano skutków ubocznych.

Brian zorientował się, że jego serce bije szybciej. Poczł się jak onkolog na wieść o uniwersalnym lekarstwie na raka, leku, który nie powoduje ubocznych skutków, takich jakie przynosi konwencjonalna chemioterapia. Mimo głośnego chrapania Jacka zniżył głos do szeptu.

–Phil, co mam zrobić, żeby włączyć do tych prób ojca?

–Nie bardzo wiem. Kto będzie jego lekarzem?

–Jeszcze nie wiadomo. Rezydent zatelefonował do faceta, który ma dyżur.

–Na Boga, nie! Bart Rutstein bierze prywatnych pacjentów tylko dlatego, że nie może zdobyć wystarczająco dużo pieniędzy na swoje laboratorium prób genetycznych i na wyżywienie piątki swoich dzieci. Mogę się zająć twoim ojcem, jeśli chcesz. Ale mam lepszy pomysł. Kierownikiem programu Vasclear w klinice jest Carolyn Jessup. Ma ogromną prywatną praktykę i wielu jej pacjentów jest objętych badaniami. Może się zgodzi, żeby ojciec dołączył do nich.

–Carolyn Jessup! Byłoby wspaniale, gdyby zajęła się Jackiem, bez względu na to, na jakich warunkach. Kilka lat temu przeszedłem prowadzony przez nią kurs cewnikowania serca. Był w swoim zakresie najlepszy, na jaki uczęszczałem.

Brian przypomniał sobie wysoką, elegancko ubraną kobietę, około pięćdziesiątki, poruszającą się z wielką pewnością siebie na podium sali wykładowej, w której zgromadziło się stu pięćdziesięciu kardiologów z całego świata. Miała chłodny, atrakcyjny wygląd modelki, będąc przy tym świetnym lekarzem i pedagogiem.

–Żeby dostać się na jej kurs, trzeba upilnować moment jego ogłoszenia. Jessup jest trochę wyniosła, czasem bywa deprimująca, ale jest znakomitym specjalistą. Kiedy się tu dostałem, trwały poszukiwania nowego szefa Instytutu. Wszyscy myśleli, że z palcem w nosie dostanie tę posadę. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się nie stało. Może sprawił to jej sposób bycia... odnosi się do innych ze zbytnią rezerwą, może winić należy płęć, a może nie potrafi być politykiem. Bóg jeden wie... przecież ma mnóstwo publikacji.

–Jeśli się nie mylę, Ernest Pickard otrzymał to stanowisko?

–Tak. Przyszedł z Narodowego Instytutu Zdrowia.

–On też nie jest byle kim.

–Masz rację. Zrobił tu dużo dobrej roboty. Trzeba obojgu oddać sprawiedliwość, gdyż od chwili kiedy rozpoczął tu rządy, nie było między nimi rywalizacji. Dobrze wiemy, jakie jest środowisko szpitalne. Gdyby tylko jedno z nich spojrzało krzywo na drugie, ktoś natychmiast by to rozgłosił i werble zaczęłyby bić na alarm.

–Możesz do niej zatelefonować?

–Mogę. Zaraz to zrobię. Jeśli nie ma jej dziś wieczór w szpitalu, z pewnością będzie jutro. Muszę ci jednak powiedzieć, że chociaż jako etatowy pracownik mam prawo do niej się zwrócić, a ona z pewnością mnie zna, jestem w hierarchii akademickiej kilka dziesiątek szczebli niżej.

–Być na etacie w najlepszej uczelni medycznej na świecie i w Boston Heart! Na Boga, Phil, to wspaniale. Jestem z ciebie dumny, naprawdę.

Nastąpił moment krępującej ciszy.

**–Brian, nie chciałem szpanować przed tobą moim etatem – powiedział w końcu Phil.
– Wiesz dobrze.**

–Gdybym nie wiedział w ogóle nic – odparł Brian – to jedno wiedziałbym na pewno. Prócz tego miałem takie same szanse jak ty, ale poszedłem inną drogą. Może powinienem był wcześniej zwrócić się o pomoc, ale się nie zorientowałem, że idę w złą stronę, a przynajmniej, że dzieje się coś, z czym sam sobie nie poradzę. Nie chciałem, żebyś ani ty, ani ktokolwiek inny, chodził wokół mnie na paluszkach dlatego, że tamto się zdarzyło. Odkąd sięgam pamięcią, prowadziłem moje życie z przyspieszeniem rakiety kosmicznej, która musi nabrać odpowiedniej prędkości, żeby uwolnić się od grawitacji. Teraz widzę, że szansą dla mnie jest nauczyć się, w jaki sposób osiągać cele życiowe, poruszając się wolniej. Jeszcze nie bardzo to umiem... mój najniższy bieg jest w dalszym ciągu szybszy niż u innych najwyższy, ale się poprawiam.

–Muszę przyznać – odparł Phil – że widać to po tobie. Opowiem ci o vasclearze.

–Co o nim wiesz?

–Jak już mówiłem, lek jest testowany metodą podwójnie ślepej próby w trzech grupach dawkowania: mała dawka, duża dawka i placebo. Grupy dawkowania oznaczone są jako alfa, beta i gamma, ale ponieważ kod ślepej próby nie został jeszcze ujawniony, nikt nie wie – ani Jessup, ani nawet Art Weber, facet, który wynalazł lek – kto jest w której grupie. Weber jest dyrektorem programu z ramienia firmy farmaceutycznej.

Brian wiedział, że ta droga była słuszna. Metoda podwójnie ślepej próby była jedynym w pełni wiarygodnym sposobem oceny nowego leku. Żeby uzyskać obiektywny pogląd, nikt – ani pacjent, ani lekarz aplikujący lek, ani oceniający rezultat kuracji – nie powinien wiedzieć, czy lek był prawdziwy, czy stanowił środek obojętny. Informacja zawarta była w komputerze, który dzielił pacjentów na grupy i określał dawki. Jeszcze lepiej byłoby, gdyby w trakcie trwania kuracji następowała zamiana, na przykład gdyby grupa biorąca placebo i inna, otrzymująca prawdziwy

lek, zamieniały się, nie wiedząc, która jest którą.

–Jeśli lekarstwo jest tak dobre, jak sądzisz – zauważył Brian – z pewnością wszyscy się zorientują, w jakich są grupach.

–Nie mamy wątpliwości, że grupa beta dostaje większą dawkę. To są ci, którzy osiągają najbardziej znaczące rezultaty. Niemniej, jak dotąd, komputer nie ma jeszcze dostatecznej liczby danych, która zezwalałaby na ujawnienie kodu. Myślę, że dzieje się tak, ponieważ liczba pacjentów jest ciągle niezbyt wielka. Od czasu gdy parę lat temu przeszli do Drugiej Fazy, mają ich tylko około sześciuset, to znaczy po około dwustu w każdej z grup. Mimo to słyszałem wieści, że kod ma być wkrótce ujawniony. Co więcej, słyszałem również, że środek niebawem ma się pojawić na rynku, bo przynosi tak doskonałe rezultaty.

–To nadzieja dla ludzkości, ale może być za późno dla Jacka. Spróbuj, jeśli możesz, Phil. Biedak tyle już wycierpiał.

–Rezydent mi opowiedział. – Gianatasio popatrzył na zegarek. – Muszę teraz zobaczyć,

co się dzieje ze Stormy. Tak nazywają Violet Corcoran w WMH. Jack wkrótce zostanie przeniesiony na oddział intensywnej opieki kardiologicznej. Odwiedzę go, gdy tylko...

Ciche chrząknięcie odwróciło ich uwagę. W drzwiach stał wysoki, kościsty, dobrze ubrany mężczyzna.

–Ernest! – wykrzyknął Phil.

–Byłem zajęty w gabinecie, ale usłyszałem wieść o niecodziennych okolicznościach uratowania życia. Przyszedłem podziękować człowiekowi, który tego dokonał.

Phil przedstawił Briana dyrektorowi BHI, stwierdzając, że to właśnie on jest osobą, która zasłużyła na uznanie za to wszystko, co wydarzyło się w pokoju numer cztery.

–Chciałbym, żeby to uznanie spotkało mnie – powiedział Phil – ale jedyną rzeczywiście sensowną rzeczą, którą zrobiłem, było poproszenie mojego starego przyjaciela o konsultację.

–Czasem zaproszenie dobrego konsultanta jest jedyną sensowną rzeczą, którą lekarz potrafi zrobić. Miło mi pana poznać, doktorze Holbrook. – Uścisk dłoni Pickarda był szczery, jego słowa starannie wyważone i dobrze dobrane. – O ile się nie mylę – ciągnął – już się kiedyś spotkaliśmy?

–Proszę?

–W pewnym sensie, oczywiście. Oglądałem pański występ w meczu przeciw nam na Harvardzie. Wykonał pan pięć podań, zakończonych przyłożeniem. Pamięta pan ten mecz?

–Tak.

–To był niezwykle wyczyn.

–Możliwe, ale wasi chłopcy zdobyli znacznie więcej punktów niż my w teście uzdolnień na egzaminach wstępnych.

Pickard roześmiał się głębokim basem.

–Mimo to – stwierdził – kiedy zobaczyłem, jak pan gra, byłem niemal pewny, że zostanie pan profesjonalistą. Był pan znakomity.

Brian wymienił spojrzenie z Gianatasiem.

–Nie zostałem – odparł.

–Medycyna na tym skorzystała. Szczególnie my, jeśli to, czego się dowiedziałem, jest prawdą. Proszę mi opowiedzieć o przebiegu wydarzeń.

–Ernest, jeśli nie masz nic przeciwko temu – wtrącił się Phil – pójdę sprawdzić, jak się czuje nasza pacjentka. Wrócę, kiedy sobie porozmawiacie.

Pickard odsunął dwa krzesła od łóżka i poprosił Briana, żeby usiadł.

–Rozumiem, że to pański ojciec.

–Był naszym trenerem w czasie meczu, który pan oglądał.

–Pewnie jest z pana dumny.

Brian zastanawiał się, co Pickard wie o nim i o jego sytuacji. Rzucił okiem na Jacka i na ekran monitora.

–Czasem – odrzekł.

–Czy jego stan jest stabilny?

–W tej chwili.

–Doskonale. Powiedziano mi, że zdiagnozował pan przełom tarczycowy, u będącej w krytycznym stanie kobiety, po zaledwie dwóch minutach badania.

–Spotkałem się z takim przypadkiem, kiedy jeszcze byłem stażystą. Ta pacjentka miała podobne objawy.

–To niezwykle. Proszę mi o tym opowiedzieć.

Jak na człowieka o jego posturze i zakresie władzy, Pickard wydawał się nieco powolny i zrelaksowany. Brian opisał szczegółowo, jak doszedł do swojej diagnozy, wspominając o charakterystycznych przesłankach, zauważonych w historii choroby Violet, o zapisie pracy serca i o objawach, które doprowadziły go do ostatecznej konkluzji.

Szef BHI słuchał ze skupioną uwagą. Kiedy Brian skończył relację i odpowiedział na kilka dodatkowych pytań, wstał i uściśnął mu rękę.

–To był znakomity przykład rozumowania w krytycznej sytuacji – oświadczył. – Gratuluję panu i przypuszczam, że opowie pan o wszystkim podczas prezentacji pacjentki na nadzwyczajnym obchodzie.

–Z przyjemnością.

–Jeśli jest coś, co mógłbym dla pana zrobić, to proszę się nie krępować.

Chciał już wyjść, kiedy Brian powiedział:

–Mam prośbę. Słyszałem, że doktor Jessup kieruje badaniami nad vasclearem.

–Tak.

–Czy mógłby pan ją nakłonić, żeby przyjęła ojca jako swojego pacjenta?

–Myślę, że tak. Carolyn jest w tej chwili w domu. Rozmawiałem z nią przed niespełną godziną. Muszę pana jednak ostrzec, że nie mam wpływu na to, kto może zostać włączony do programu Vasclear, a kto nie. To jest w wyłącznej gestii doktora Webera i doktor Jessup.

–Rozumiem.

–W takim razie zatelefonuję do Carolyn, kiedy tylko obejrzę pańską pacjentkę.

Znów odwrócił się, żeby wyjść, i znów się zatrzymał po słowach Briana.

–Doktorze Pickard, mam jeszcze coś.

Słyszał własne słowa, jakby je wypowiadał ktoś obcy.

–Proszę?

–Jeśli to byłoby możliwe... bardzo potrzebuję pracy.

Rozdział 4

Błyszcząca, wyposażona w najnowszy sprzęt, pracownia hemodynamiczna Boston Heart Institute mieściła się w suterenie. Brian szedł za wózkiem, na którym wieziono ojca korytarzami White Memorial i dalej do Boston Heart.

Od ataku serca Jacka minęły dwa dni. Zgodnie z przepowiednią lekarza prowadzącego, doktor Carolyn Jessup, nie było żadnych komplikacji. Nadszedł czas, żeby zbadać stan jego tętnic wieńcowych i zdecydować o przyszłym leczeniu. Jediną opcją, niedostępną dla niego, była kuracja preparatem vasclear. Wprawdzie Jessup, po interwencji Ernesta Pickarda, zgodziła się przyjąć Jacka jako swojego pacjenta, ale protokół eksperymentów z nowym lekiem wykluczał objęcie testami pacjentów, którzy kiedykolwiek przeszli operację wszczepienia bypassów.

–Zakładam się pięć do dwóch, że mnie tu zabiją – mamrotał Jack.

Zrzędził bezustannie na temat oczekującej go koronarografii, chociaż wobec doktor Jessup nie ujawniał twardego oporu przeciw temu badaniu. Brianowi wydawało się, że być może ojciec poddał się urokowi lekarki. Uśmiechnął się na tę myśl.

–Nonsens – odparł Brian. – Ona robi to najlepiej.

–Myślałem, że ty jesteś najlepszy.

–Ja się nie liczę.

Perspektywa poddania Jacka kuracji lekiem vasclear na razie przedstawiała się niejasno, za to szanse Briana na zatrudnienie w BHI rosły. Poprzedniego dnia, między dyżurami w Speedy i Aphrodite, odwiedził biuro Ernesta Pickarda. Z narożnika piątego piętra rozciągał się widok na rzekę Charles. Przez pół godziny opowiadał szefowi BHI o swoim życiu, o swoim uzależnieniu i o przebiegu leczenia. Kiedy się rozstawali, Pickard nie dał po sobie poznać, co myśli, ale wieczorem Brian odczytał na automatycznej sekretarce informację od swojego dawnego kolegi Gary'ego Golda, zawiadamiającą, że Pickard zasięgał u niego opinii o Brianie.

Sanitariusz zawiózł Jacka do poczekalni. Brian, zaproszony przez doktor Jessup w charakterze obserwatora, przebrał się w szatni w strój szpitalny i udał się do pracowni. Spośród wszystkich badań kardiologicznych najbardziej lubił właśnie koronarografię. Zabiegowi towarzyszyło zawsze napięcie i profesjonalizm, wrażenia pokrewne tym, które odczuwał, grając w futbol na pozycji quarterbacka.

Trzeba było mieć pewną, a zarazem delikatną rękę oraz umiejętność przeniesienia dwuwymiarowego obrazu, oglądanego na ekranie monitora, na trójwymiarowość serca i pacjenta. Przy tym wszystkim zawsze istniało niebezpieczeństwo wystąpienia

stanu krytycznego.

W pracowni nie było jeszcze nikogo. Brian myślał nad zabiegiem, który Carolyn Jessup za chwilę przeprowadzi na jego ojcu. Pierwszym krokiem będzie miejscowe znieczulenie prawej pachwiny Jacka i wprowadzenie „na ślepo” przez skórę dwóch długich, cienkich, pustych w środku cewników – jednego do żyły udowej, potem w górę, żyłą główną, do

prawego przedsiionka; drugiego zaś do tętnicy udowej, potem w górę, aortą, do dwóch jam po lewej stronie serca.

Dwa osobne cewniki są niezbędne dlatego, że – z wyjątkiem niektórych wrodzonych lub spowodowanych chorobą okoliczności – nie ma bezpośredniego połączenia między prawymi jamami, które pompują krew do płuc, a lewymi, które odbierają krew z płuc i tłoczą ją, za pośrednictwem aorty, do tętnic wieńcowych i do pozostałych części ciała.

Kiedy cewniki będą już na miejscu, co zostanie sprawdzone wstrzyknięciem kontrastu widocznego na obrazie rentgenowskim, zmierzy się ciśnienie krwi w jamach serca i naczyniach. Następnie lewy cewnik zostanie umieszczony najpierw w prawej, a potem w lewej tętnicy wieńcowej Jacka, czyli w dwóch głównych naczyniach krwionośnych, wychodzących z aorty i doprowadzających krew do mięśnia sercowego. Wstrzyknięcie i przepływ kontrastu rentgenowskiego przez tętnice będzie rejestrowany za pomocą wideokamery i przekazywany na ekran monitora. Tętnice będzie można oglądać pod ośmioma różnymi kątami.

Ciesząc się, że jest znów w swoim środowisku, nawet w charakterze obserwatora, Brian obejrzał zmechanizowany stół, aparat rentgenowski dużej mocy i rozmaite typy cewników, wiszące w sterylnych, celofanowych opakowaniach wzdłuż ścian, na oznaczonych napisami haczykach. Właśnie oglądał wózek z instrumentami na wypadek stanów krytycznych, kiedy wysoki, chudy jak tyka, czarny technik laboratoryjny przywiózł na wózku Jacka. Przedstawił się jako Andrew.

–Doktor Jessup uprzedziła, że pan przyjdzie – powiedział. – Zaraz ma tu być. Witamy w laboratorium.

–Lepiej, gdybyście uznali, że nie jestem wart badania, i zawieźli mnie z powrotem do pokoju – odezwał się Jack.

–Czy pański ojciec jest zawsze taki? – odparł strofująco Andrew.

–Gdzie tam. Nigdy w życiu. Możliwe, że jest odrobinę zamroczony głupim jasiem.

Sala pracowni, która początkowo, gdy Brian był sam, wydawała mu się rozległa, zaczynała się szybko zapierać. Następną przybyłą osobą była operatorka konsoli.

Zajęła swoje stanowisko za szklaną ścianą i zaczęła przygotowywać aparaturę monitorującą i rejestrującą. Tuż za nią przyszła z damskiej szatni instrumentariuszka, włożyła fartuch i rękawiczki i zaczęła przygotowywać tacę z narzędziami. Brian pomógł Andrew przenieść Jacka z wózka na zmechanizowany stół fluoroskopowy.

–Jezu, Brian, czuję się, jakbym leżał na krze lodowej. Czemu nie montują w tych stołach jakiegoś ogrzewania? Prócz tego przydałoby się coś miękkiego. Czy promienie rentgena nie przechodzą przez prześcieradło? Hej, Andrew, gdzie jest poduszka? Chyba mogę leżeć na poduszce, co?

Brian domyślał się, że potok słów Jacka i litania skarg oznaczały, że był śmiertelnie przestraszony. Andrew, myśląc to samo, położył uspokajająco rękę na ramieniu Jacka. Brian upewnił się, że jego przypuszczenia są słuszne, gdyż Jack nie próbował odsunąć dłoni pielęgniarki.

–Dzień dobry wszystkim.

Do sali weszła doktor Carolyn Jessup i z miejsca objęła komendę nad całym zespołem. Włosy miała schowane pod papierowym czepkiem, była ubrana w luźny strój szpitalny i tenisówki, wyglądając w tym wszystkim równie atrakcyjnie, jak w kostiumie podczas wykładu. Podeszła prosto do stołu, na którym leżał Jack.

–Sprawowałeś się grzecznie, Jack? – spytała.

–Trochę narzekałem, ale byłem grzeczny. Kiedy widać ci tylko oczy, wyglądasz bardzo tajemniczo.

Brian jęknął wewnątrz. Black Jack Holbrook, którego piorunujący wzrok mobilizował dwustuczterdziestofuntowych zawodników do rycia brzuchami w dwudziestu młynach, nagle przeobraził się w przymilne szczenię.

–Wszystkie kobiety wyglądają w takim stroju ponętnie i tajemniczo – odparła Jessup. – Dlatego tak trudno dostać pracę w salach operacyjnych. Czy masz jakieś pytania, zanim zaczniemy?

–Tylko jedno. Co ja tu robię?

–Bez tych zdjęć działalibyśmy na oślep, próbując znaleźć najlepszy sposób, żeby ci pomóc.

–Zgadza się, pod warunkiem że jednym z tych sposobów nie będzie operacja.

Brian opowiedział wcześniej Jessup o następstwach katastrofalnej rekonwalescencji Jacka.

–Myślę, że jest gotów na wszystko – wyznał jej wówczas – z wyjątkiem powtórnej operacji wszczepiania bypassów.

Wyraz oczu Jessup zdradzał zrozumienie uprzedzeń Jacka.

–Zorientujemy się – odparła.

Pochyliła się nad nim i wyszeptała kilka słów otuchy, potem podeszła do pielęgniarki, która pomogła jej włożyć rękawiczki i strój operacyjny.

Igrzyska zostały otwarte, pomyślał Brian, widząc, jaki jego ojciec, rozplaszczony między stołem a potężną kamerą fluoroskopową, jest mały i kruchy.

Carolyn w masce, rękawiczkach i stroju operacyjnym podeszła do stołu, popatrzyła na operatorkę konsolety i resztę personelu, sprawdzając, czy wszyscy są gotowi, i rozpoczęła pracę. Jej ruchy były ekonomiczne i precyzyjne. Zręczność, z jaką wprowadziła do tętnicy udowej i do żyły grube igły kierunkowe, była imponująca.

–Brian, kazałam przywieźć z Suburban jego poprzednie zdjęcia – powiedziała, wsuwając równocześnie długie cewniki bez zmniejszania tempa. – Powinny być tu dzisiaj.

–Operowano go cztery lata temu, więc nie wiem, na ile się przydadzą. Przyznaję, że jeszcze nie widziałem takiego cewnika do tętnic jak ten.

–Jesteś bardzo spostrzegawczy. To jest prototyp Ward-Dunlopa, wytwórni instrumentów chirurgicznych. Od trzech lat współdziałamy z nimi przy opracowywaniu i wdrażaniu tego cewnika. Jesteśmy jedną z kilku instytucji oceniających. Wszystkie używane przez nas cewniki pochodzą z tej firmy.

–Domyślam się z jakiego powodu. Wyglądają na znacznie udoskonalone w porównaniu z tymi, które stosowaliśmy.

–I są. Spodziewamy się, że za rok będą ich używały wszystkie pracownie hemodynamiczne w kraju. Hej, Jack, czujesz mnie przy sobie?

–Czuję... ale wolałbym, żeby to było na Hawajach. Jego słowa robiły się coraz mniej wyraźne. Oczy miał zamknięte. Narkoza zaczynała działać zgodnie z planem.

–W porządku – stwierdziła Jessup. – Jeżeli coś cię zaboli albo zaniepokoi, to krzyknij.

–Dobrze.

–Jeszcze jedno, Jack. Chcę, żebyś wiedział, że poprosiłam pewnego lekarza, żeby

przyszedł i obejrzał wraz ze mną twoje tętnice.

–Nie ma sprawy. Rób, jak uważasz.

–To doktor Randa. Jest szefem oddziału chirurgicznego w BHI.

–Żadnej operacji – z trudem wymamrotał Jack.

–Wiem, co czujesz, Jack – powiedziała, jak się wydawało Brianowi, z pewnym odcieniem kokieterii w głosie – i w tej chwili do niczego cię nie namawiam. To będzie tylko konsultacja. Wpadnie na chwilę z przyjacielską wizytą i obejrzy zdjęcia, dobrze?

–Jeśli... tak... uważasz.

Brian był zadowolony, że ojciec tak łatwo się poddał, chociaż był świadomy, jaką rolę w tym małym zwycięstwie doktor Jessup odegrał środek uspokajający. Cieszył się także, że na konsultację został przywołany Laj Randa, chociaż słyszał kiedyś czyjąś opinię o chirurgu, że jest stutrzydziestofuntowym dupkiem o aksamitnych rękach.

Doktor Jessup wprowadzała cewniki do serca Jacka, sprawdzając ich położenie wstrzykiwaniem małych dawek środka cieniującego i robiąc krótkie ujęcia aparatem włączanym za pomocą nożnego pedału. Brian nie był zdziwiony tym, że robiła sprawdziany znacznie rzadziej niż inni lekarze. Zmierzyła ciśnienie i wstrzyknęła małe dawki kontrastu do jamy prawej strony serca, a potem zajęła się znacznie ważniejszą lewą stroną, przede wszystkim tętnicami wieńcowymi.

–W porządku – powiedziała. – Zacznijmy od prawej tętnicy. Pokaż mi projekcję lewą przednią skośną, Andrew.

Technik nastawił ogromną kamerę na pierwszy z ośmiu różnych kątów widzenia, a doktor Jessup zrobiła pierwsze wstrzyknięcie barwnika. Brian obserwował ojca, śledząc równocześnie zapis pracy serca na elektrokardiografie i obraz tętnic wieńcowych na monitorze wideo. Po każdym wstrzyknięciu drzewko tętnicze rozjaśniało się bielą na tle pulsującej szarości samego serca. Wiedział, że chociaż wszyscy ludzie mają główne naczynia krwionośne w zasadzie takie same, to jednak pełny obraz tętnic jest równie indywidualny i niepowtarzalny jak odciski palców.

Naczynia Jacka były w złym stanie, tak jak podejrzewał. Błazki miażdżycowe blokowały odcinki niemal wszystkich ważnych tętnic. Dwa przeszczepy z jego poprzedniej operacji okazały się całkowicie zamknięte. Jack i Shirley Holbrookowie przez trzydzieści lat trwania ich małżeństwa pili i palili ponad miarę. Po śmierci żony, która umarła na spowodowaną alkoholem żółtaczkę i niewydolność nerek, Jack przestał pić. Rok lub dwa lata później rzucił również papierosy, ale zniszczenia wywołane paleniem były faktem.

Po ostatnim wstrzyknięciu barwnika do lewej tętnicy wieńcowej – zwanej Kreatorką

Wdów – Brian cicho zagwizdał przez zęby i uciekł wzrokiem w bok. Doktor Jessup odwróciła się w jego stronę.

–Niezbyt wesoły widok – powiedziała współczująco. Była w trakcie wyciągania cewników, kiedy otworzyły się drzwi do męskiej szatni i do laboratorium wszedł Laj Randa, za nim zaś, w stosownej odległości, dwaj jego asystenci. Szef chirurgów miał nie więcej niż pięć stóp wzrostu, skórę koloru kawy z mlekiem, czarną bródkę i świdrujące, czarne oczy. Na głowie nosił jedwabny turban w kolorze królewskiego błękitu, a na prawym przegubie stalową bransoletę. Z całą pewnością jeden z sikhów, pomyślał Brian. Mistyczni, głęboko religijni, mieszkający w Pendżabie w północnych Indiach, prześladowani od wieków. W czasie stażu miał kolegę, który był sikhą. Okazał się najbardziej stanowczym, upartym i wrażliwym człowiekiem, jakiego Brian spotkał w życiu. Randa miał spektakularną prezencję. Jego włosy poniżej turbana wyglądały na nigdy niestrzyżone, a większość brody była ciasno zwinięta pod podbródkiem.

–Powiedz mi, Carolyn – rzekł Randa, nie zwracając uwagi na Briana – ile ten człowiek ma lat?

Mówił po angielsku z hinduskim akcentem.

–Sześćdziesiąt trzy. On...

–Kto go operował?

–Sześć lat temu, w Suburban, Steve Clarkin zrobił mu pięć bypassów – wtrącił się Brian.

Randa zaniemówił i powoli odwrócił się w stronę Briana.

–Kim pan jest?

–Jestem synem Jacka. Brian Holbrook. Jestem... Zamilkł, bo Randa zdążył się już odwrócić.

–Carolyn, poleć pielęgniarkę, żeby mi pokazała film.

Jessup skinęła na operatorkę konsoli w kabinie rejestracji. Pielęgniarka słyszała rozmowę równie dobrze jak wszyscy inni. Randa z pewnością wiedział to także i mógł zwrócić się bezpośrednio do niej. Stutrydziestofuntowy dupek. Ktokolwiek to powiedział, z pewnością miał rację.

Chwilę później monitor zaczął odtwarzać angiogram Jacka.

–Zobaczcie – powiedział Randa do swoich pochlebców – tylko trzy przeszczepy czynne, z których jeden jest już niemal zamknięty. Typowy wynik operowania przez Clarkina.

Uwaga była w każdych okolicznościach nie na miejscu, a jeszcze bardziej w obecności pacjenta Clarkina. Jessup, widocznie znając chirurga, wydawała się obojętna.

–Rozumiem – oświadczył Randa, kiedy na monitorze zniknął obraz – że planujecie podawać temu człowiekowi waszą magiczną herbatkę.

–Laj, nie mówmy o tym tutaj.

–Przeczytałem w „Boston Herald” artykuł o waszym leku. W „Herald”! Dlaczego nie w „National Enquirer”?

–Nie mam pojęcia, skąd prasa codzienna otrzymała informację na temat vasclearu – odparła cierpliwie doktor Jessup.

–Najwidoczniej ktoś im te informacje dostarcza. Brzydzi mnie czerpanie wiadomości na

tematy medyczne z brukowców. Od zarania nauki zdołały się już ukształtować sposoby informowania środowiska naukowego o nowych odkryciach. Nie ma wśród nich „Boston Herald”.

–Mam przynajmniej pół tuzina akademickich recenzji na temat tego leku, przyjętych do druku lub już opublikowanych przez bardzo prestiżowe pisma. Instytut Żywności i Leków ma tysiące stron naszej dokumentacji badawczej i tuziny naszych angiogramów. Teraz proszę cię, Laj, podyskutujmy na ten temat gdzieś indziej. Jeśli chodzi o tego pacjenta, to nasze protokoły dotyczące badań podwójnie ślepej próby nie pozwalają leczyć vasclearem chorych, którzy przeszli operację wszczepienia bypassów, zatem pan Holbrook w żadnym wypadku nie może zostać zakwalifikowany.

–Jeśli tak, to dobrze.

Randa minął ją i podszedł do stołu. Brian zauważył, że Jack na moment otworzył oczy. Był obudzony i świadom, co się dzieje.

–Jestem doktor Randa – powiedział szef oddziału chirurgicznego, nie uważając za stosowne, żeby ucisnąć rękę Jacka ani upewnić się, czy go słyszy. – Pański angiogram wykazuje znaczne zmiany miażdżycowe w tętnicach. Powinien pan jak najszybciej poddać się operacji wszczepienia bypassów. Doktor Jessup uzgodni z panem wszelkie szczegóły i ustali datę operacji. Spróbuję, jeśli tylko znajdę lukę w

moim rozkładzie zajęć, operować pana, zanim zostanie pan zwolniony do domu, gdyż inaczej będzie pan musiał leżeć w łóżku, nim się czegoś nie zaaranżuje. Jeden z moich asystentów wróci tu jeszcze dzisiaj. Do widzenia, Carolyn.

–Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała, kiedy szedł w stronę drzwi.

Brian natychmiast podszedł do ojca.

–Dobrze się czujesz? – spytał.

–Nie chcę operacji – odparł Jack.

–Zobaczymy, co się da zrobić. Słuchaj, tato, nie mam zamiaru cię stracić, no a dziewczynki byłyby całkowicie załamane. Zrobię, co się da, żebyś uniknął operacji, ale przyrzeknij mi, że postąpisz zgodnie z moją radą, jeśli nawet to będą znowu bypassy.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

–Nie podoba mi się ten facet – odparł w końcu Jack.

–Nie musi ci się podobać, Jack – wtrąciła się doktor Jessup. – Musisz uwierzyć w to, że on jest jednym z najlepszych chirurgów na świecie.

Dała znak Brianowi, żeby poszedł za nią tam, gdzie Jack nie mógł ich słyszeć.

–Zdaję sobie sprawę, że Randa jest totalnym gburem – powiedziała – ale wiedz, że w sali operacyjnej jest czarodziejem. Ostatnio stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia ze względu na sukcesy vasclearu. Wcale się nie dziwię, że czuje się zagrożony naszymi rezultatami.

–Domyślam się dlaczego. Czuje się jak kowal na widok forda T. Doktor Jessup, pomyśmy o włączeniu Jacka do testów nad vasclearem...

Lekarka potrząsnęła głową.

–Przykro mi, Brian. W ciągu trzech lat badań ani razu nie złamaliśmy zasady. Mogę ci jedynie obiecać, że porozmawiam z doktorem Artem Weberem, dyrektorem programu z

ramienia Newbury Pharmaceuticals. Lecz jeśli nawet wyrazi zgodę, w co osobiście wątpię, Jack zostanie włączony losowo, jak wszyscy pozostali pacjenci. To da mu zaledwie trzydzieści trzy procent szans na to, że dostanie się do grupy otrzymującej najwyższą dawkę, i tyle samo szans na przyjmowanie placebo.

–Rozumiem, mimo to proszę zrobić, co się da. Jeśli będziemy bardzo naciskali, to

być może zgodzi się na operację. Ma pani na niego taki wpływ, jakiego do tej pory nie miał żaden inny lekarz. Lecz jeśli uda nam się poddać Jacka kuracji lekiem, to nie będziemy musieli namawiać go na operację.

–Możemy zyskać trochę czasu, stosując inne lekarstwa. Po zmierzeniu ciśnienia krwi w trakcie koronarografii przyszło mi do głowy parę pomysłów. Prócz tego obiecuję, że porozmawiam z doktorem Weberem. W dalszym ciągu jednak polecam operację.

–W porządku. Nie mam kontrargumentów. Muszę mieć trochę czasu, żeby to przemyśleć i przedyskutować z Jackiem. Niewiele pacjentów przeszło takie piekło po operacji. Mało brakowało, żebyśmy go stracili.

–Słyszałam.

–Dziękuję za wszystko. Nie ma powodu, żeby pani traciła czas w pracowni. Zostanę z tatą, dopóki nie wezmą go na górę.

Doktor Jessup uśmiechnęła się zagadkowo.

–Jest pewien powód. Wróćmy do środka.

Brian poszedł za nią z powrotem do pracowni, gdzie przeniesiono już Jacka ze stołu na jego wózek.

–Jak się czujesz, tato?

–Nie ubawiłem się, jeśli to masz na myśli. Co to był za facet... jakiś Arab?

–Hindus. Nie ma najlepszych manier.

Przerwała im doktor Jessup, zwracając się do personelu.

–Proszę, żeby wszyscy przeszli na parę minut do szatni. Chciałabym porozmawiać z tymi dwoma panami na osobności. Dziękuję. – Poczekala, aż drzwi się zamkną, potem wyjęła z kieszeni białą, niezaadresowaną kopertę, którą podała Jackowi. – Doktor Pickard, naczelny dyrektor szpitala, przyniósł to do mnie na chwilę przed moim wyjściem do pracowni. Trafiło do jego gabinetu w późnych godzinach rannych. Przepraszam, że nie może wręczyć pisma osobiście. Cieszę się, że mogę go zastąpić. Otwórz kopertę, Jack.

Jack otworzył kopertę lekko trzęsącymi się rękami i wyjął niewielką kartkę o wymiarze portfela. Patrzył na nią przynajmniej pół minuty, w końcu powiedział cicho: „O Boże!”. Spojrzał na Jessup i spytał:

–To prawda? – Potwierdziła ruchem głowy. – Carolyn, to pomoże mi bardziej niż operacja lub jakiegokolwiek lekarstwo... Czytaj, synu.

Podał mu kartkę ponad boczną poręczą wózka. Brian zorientował się, co to jest, dopiero wtedy, gdy wziął ją do ręki.

STAN FEDERALNY MASSACHUSETTS KOMISJA DG SPRAW REJESTRACJI

I SPECJALNOŚCI W MEDYCYNIE

Gubernator David Connolly

UDZIELA LICENCJI PANU...

Dalej następowało nazwisko i adres Briana. U dołu był dodatek informujący, że licencja jest tymczasowa, ale to nie miało znaczenia. Brian spoglądał na kartkę, bojąc się, że jeśli zacznie mówić, to się rozplacze.

–Zaczynasz pracę w następnym poniedziałek, na stanowisku stażysty z doktoratem – oznajmiła Jessup. – We wtorek będziesz mi asystował w tej samej pracowni. Najdalej za miesiąc, jeżeli przejdiesz test, będziesz samodzielnie wykonywał koronarografię. Za to musisz nam coś przyrzec.

–Wszystko – powiedział Brian. – Co tylko zechcecie.

–Przyrzeknij, że nie będziesz się więcej popisowywał swoimi zdolnościami, tak jak podczas rozpoznania przełomu tarczycowego.

Angus „Mac” MacLanahan był zawsze dumny ze swojego stosunku do życia. Lata temu pracował jako maszynista w Glasgow, później, po wyemigrowaniu do Stanów, został blacharzem samochodowym, naprawiającym karoserie jaguarów. Był optymistą, wyrażał zadowolenie z warunków życiowych, niemniej zawsze zdradzał ochotę do poprawienia ich. Ostatnio jednak musiał zwalczać w sobie smutek, gdyż wiedział, że już nie jest zdrowy. Każdy krok, kiedy wspinał się na wzgórze, wracając z kliniki do swojego pustego mieszkania, był dla niego sporym wysiłkiem.

Przez długi czas wszystko szło dobrze. Zbudowany jak byk, przy tym łagodny jak baranek, był znany w swoim otoczeniu ze swojej siły i witalności. Został głównym mechanikiem w Back Bay Jag. Miał anielską żonę i trójkę wspaniałych dzieciaków. Potem Mary się dowiedziała, że ma guz w piersi i szczęście się odwróciło – operacja, wizyty u lekarzy, straszliwa, wyniszczająca organizm chemioterapia, lecz mimo to bóle w kościach, ubytek na wadze i w końcu miłosierna śmierć.

Nie upłynęło sześć miesięcy od zgonu Mary, kiedy Mac po raz pierwszy poczuł ból w klatce piersiowej. Pracował pod maską samochodu, gdy nagle złapał go ból – dotkliwe, piekące darcie, zaczynające się pod mostkiem, które natychmiast ogarnęło całą górną część tułowia – barki, szyję, szczęki, uszy. Podświadomość mówiła mu, że to serce, ale zdrowy rozsądek nie chciał się z tym zgodzić. Wypił szklanekę wody, usiadł, otarł czoło i twarz z potu, oddychając głęboko, dopóki ból nie ustąpił.

Nie powiedział o tym nikomu – ani synom, ani współpracownikom, ani swojemu

lekarzowi. Przez parę miesięcy uważał, przerywając pracę w chwilach, kiedy zaczynał czuć, że ów straszliwy ból nadchodzi. Pewnego razu, będąc po jednym lub dwóch piwach, zrobił błąd, relacjonując symptomy takich chwil swojej przyjaciółce Marty Anderson. Następnego dnia Marty zaprowadziła go do lekarza.

Teraz, po dwóch latach, zastanawiał się, czy nie powinien był posłać ich do wszystkich diabłów.

Dzieliło go od domu zaledwie pięć przecznic. Mimo że był dopiero przy sklepie 7-Eleven, musiał już trzy razy zatrzymać się, żeby odpocząć. Lekarka w klinice, wyglądająca na nastolatkę, zaleciła mu, Bóg wie który raz z rzędu, dietę bez soli, i zwiększyła liczbę tabletek na odwodnienie do dwóch, nakazując przyjmować je dwa razy dziennie. Mac przypomniał jej, że już i tak musi stawiać sobie butelkę przy łóżku, ponieważ susia trzy lub cztery razy w ciągu nocy, ale lekarka tylko się uśmiechnęła, zapewniając go, że swędzenie w kostkach i brak tchu znikną, jeśli będzie spożywał mniej frytek i piwa.

–Czemu nie da mi pani czarnej pigułki? – odparł, tylko częściowo żartując.

Wszedł do 7-Eleven i wziął z półek karton mleka, keczup, pudełeczko waniliowych ciasteczek i małą torebkę doritos. Wysiłek kosztował go utratę tchu.

–Dobrze pan się czuje? – spytał sprzedawca.

–Nic mi nie jest – z wysiłkiem odparł Mac. – Może odrobinę... brak mi tchu.

–Na pewno?

–Zaraz będzie mi lepiej... moment... już płacę. Położył pieniądze, potem zmusił się do wysiłku, żeby nie opierać się o szklaną powierzchnię kontuaru. Powłócząc nogami, skierował się do wyjścia.

–Na pewno nie chce pan, żebym po kogoś zadzwonił? Jedna przecznica, a potem już tylko pół, dodawał sobie otuchy. Czuł się źle, ale – do diabła – skoro trzeba, to przejdzie te półtorej przecznicy nawet po tłuczonym szkłe. Jeżeli mu się wkrótce nie poprawi, będzie musiał podjąć decyzję w sprawie mieszkania. Wspólne życie było nie do pomyślenia, a on nie chciał stać się ciężarem dla któregoś z dzieci. Może doktor Dziecinna Buzia miała rację, pocieszał się. Może zwiększona dawka środków odwadniających poskutkuje.

Nim doszedł do domu, rozboleły go nogi. Myślał tylko o tym, żeby zdjąć buty i skarpetki i położyć się na szezlongu. Ostatnią przeszkodą między nim a szklanką mleka z ciasteczkami i meczem w telewizji była klatka schodowa. Otworzył drzwi frontowe, potem wewnętrzne, antywłamaniowe, i trzymając w jednej ręce plastikową torbę z artykułami spożywczymi, drugą zaś wspierając się na poręczu, zaczął krok po

kroku wspinać się w górę.

Dobrnął do swojego mieszkania na drugim piętrze i zatoczył się na drzwi, chwytając z wysiłkiem powietrze i grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu klucza. W mieszkaniu, jak zwykle, panowała grobowa ciemność. Miał uraz na punkcie tego, że niepotrzebnie pali się światło. Wchodząc do środka, poczuł wyraźny zapach gazu. Zamknął za sobą drzwi, myśląc o tym, że zapewne zgasł płomyk w piecyku. Musi pootwierać okna, a potem naprawić ten cholerny piecyk. Nacisnął guzik włączający światło w saloniku, ale już nie zobaczył iskry, którą spowodowały obluzowane styki kontaktu.

Przeładowane gazem powietrze w ułamku sekundy zmieniło schludne mieszkanie w prawdziwe piekło. Bębenki w uszach Maca MacLanahana pękły, gałki oczne zdawały się topnieć, a ubranie zamieniło się w popiół. Jego skóra i tkanka płucna zdążyły się spalić, zanim siła wybuchu roztrzaskała go o ścianę przy drzwiach. Resztki świadomości opuściły go w chwili, kiedy zaczęły się palić ściany.

Brian wyszedł ze szpitala o piątej i pospacerował do kościoła metodystów w South End.

Kiedy przed piętnastoma miesiącami wrócił z Fairweather Treatment Center w Greenville, w Karolinie Północnej, był zbyt ostrożny, żeby uczęszczać na spotkania AN albo AA tam, gdzie mógłby spotkać swojego dawnego pacjenta. W rezultacie zdecydował się na towarzystwa anonimowców Bostonu.

Podczas trzeciego czy czwartego spotkania, odbywającego się w suterenie kościoła metodystów, w czasie przerwy na kawę podszedł do niego czarny, drobnej budowy mężczyzna. Nosił ciemne okulary w szylkretowych oprawkach i wyglądałby bardzo profesjonalnie, gdyby nie duża blizna w kształcie litery F na twardych mięśniach ramienia i wytatuowane niebieskim tuszem litery u nasady palców rąk, składające się po zaciśnięciu pięści na napis HARD LUCK.

–Musisz zdawać sobie sprawę – powiedział tamtego wieczoru Freeman Sharpe swoim łagodnym barytonem – że to nie jest Anonimowy Trądzik. Choroba, z którą walczymy, jest śmiertelna. Jest przebiegła, potężna, a przede wszystkim nieustępliwa. Jeśli będziesz siadał w ostatnim rzędzie, a w czasie przerw zamykał się w sobie, to wcześniej czy później się załamiesz.

Sharpe zgłosił się jako ochotnik na kuratora Briana, potem pomagał mu kontaktować się z ludźmi i omijać różne pułapki w czasie długiego procesu rehabilitacji. Do tej pory telefonowali do siebie niemal codziennie. Freeman Sharpe potrafił zawsze znaleźć rozsądne rozwiązanie wobec wszelkich problemów Briana. Nie było pytania, na które Brian nie uzyskałby odpowiedzi.

Teraz jednak czuł, że nurtujące go obecnie pytanie może sprawić trudność nawet Sharpe'owi.

Nie będzie miał już do czynienia ani z Aphrodite, ani ze Speedy Rent-A-Car, ani z Darrylem; zacznie zarabiać przyzwoite pieniądze, a za trzy dni będzie znów leczył pacjentów. Osiągnął to, do czego dążył. Dlaczego w takim razie dokuczał mu niepokój?

Niejasne obawy Briana poczęły się rozwiewać, gdy tylko znalazł się w suterenie skromnego kościoła. Chociaż uczęszczał przede wszystkim na spotkania grupy Anonimowych Narkomanów, chodził również na spotkania Anonimowych Alkoholików. Każdy narkotyk stanowi zagrożenie – tak go nauczono w Fairweather – a zobowiązanie do odrzucenia wszelkich poprawiających samopoczucie substancji obejmowało również alkohol.

Freeman Sharpe pomachał do niego już z daleka, potem podał mu rękę, uściskał, a na koniec przyjrzał mu się uważnie.

–Nie gniewaj się za to, co ci powiem, młody człowieku – stwierdził Freeman – ale nie wyglądasz na kogoś, komu spadł z ramion ciężar.

–Widać to po mnie?

–Jeszcze jak.

–Boję się.

–Czego?

–Nie wiem.

–Nie wierzę. Powiedz, co cię gnębi.

–A więc... Boston Heart Institute jest jakby na szczycie piramidy.

–Co z tego?

–Z moją przeszłością będę uważnie obserwowany.

–Więc co?

–Nie chciałbym sprawić im zawodu.

Freeman przetarł okulary, zacisnął pięści i popatrzył na wytatuowany napis **HARD LUCK**.

–Rozumiem – odparł.

Ludzie przychodzący na piątkowe zebranie zaczęli zajmować miejsca w salce, więc Freeman wyprowadził Briana na świeże, chłodne, letnie powietrze. Wątpliwości Briana zmusiły Sharpe'a do nakłonienia go, żeby zrezygnował z części zebrania.

–A więc tak – oświadczył, opierając się o ścianę, krzyżując ramiona, a przy tym wszystkim nie spuszczał oczu z Briana. – Boisz się, że skompromitujesz ten przeświatny Boston Heart Institute. Powiedz mi, kto dokładnie zaproponował ci tę pracę?

–Pickard. Ernest Pickard, dyrektor.

Brian wyczuwał intencję Freemana i był wdzięczny, że prowadzi go do konkluzji.

–Dyrektor... i zatrudnił cię z własnej inicjatywy?

–Tak.

–Po przejrzeniu twoich akt, testów, opinii o tobie i tak dalej?

–Tak.

–Sprawdził twoje referencje?

–Tak.

–I mimo to przyjął cię do pracy?

–Tak.

–Czy to mądry facet?

–Bardzo.

–Z tego wynika, że nie jesteś jedynym odpowiedzialnym za to, że znalazłeś się wśród personelu szpitala. O tym, że nadajesz się do tej pracy, zdecydował bardzo inteligentny człowiek, który zna się na rzeczy, potrafi ocenić talent medyczny i w dodatku zna twoją przeszłość.

–Chyba tak.

–Czy już się zorientowałeś, co chcę przez to wszystko powiedzieć?

Miał w dalszym ciągu zaplecione ramiona i patrzył przenikliwie na Briana. Potrafił po mistrzowsku wyczuwać momenty, w których należało odpowiadać, od tych, w

których należało pytać.

–Moim jedynym zadaniem jest pracować najlepiej jak potrafię – odparł Brian bez nadawania swoim słowom tonu przedrzeźniania dziecinnego przyrzeczenia.

–A nie być najlepszym. Myślę, że już pojąłeś, iż to całe gówniane „muszę być najlepszy” możesz sobie darować. Nawet jeśli najlepszą rzeczą, jaką zrobisz w tej pracy, będzie katastrofa, to odpowiedzialność za to poniesie ten, który cię zatrudnił, czyli Pickard.

Rozdział 5

Doktor Alexander Baird obejrzał się na kamerzystów i dziennikarzy kłębiących się w sektorze dla prasy w sali konferencyjnej. Błysnęły dwa flesze, potem cała seria. Posiedzenie Senackiego Komitetu do spraw Rządowych i Zespołu Kontroli Administracji Rządowej miało pięciominutową przerwę. Baird, dyrektor FDA – Instytutu Żywności i Leków – żałował, że nie opróżnił pęcherza przed wejściem do sali. Myśl o przepychaniu się do toalety przez falujący tłum była odstręczająca.

Zadaniem Zespołu było orzeczenie, czy FDA sprawuje właściwie swoje obowiązki. Samo określenie „właściwie” miało drobny posmak polityczny. Dwa lub trzy dni wcześniej, zanim polecono mu stawić się na tym posiedzeniu, usłyszał krążące wśród jego personelu pogłoski, że bieżąca sesja będzie się cieszyła znacznie większym zainteresowaniem niż inne. Nikt dokładnie nie wiedział dlaczego. Teraz, po trzech kwadransach pytań na błahe tematy, Baird w dalszym ciągu nie wiedział, jaka była przyczyna takiego zainteresowania ze strony mediów i innych obserwatorów.

–Teri, nie mogę pozbyć się wrażenia, że oni wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem – wyszeptał, spoglądając na podium, które pozwalało członkom Zespołu górować nad resztą zebranych.

Doktor Teri Sennstrom, kierownik zespołu opiniowania leków sercowo-naczyniowych, nalała sobie szklankę zimnej wody. Jej szef odmówił, kiedy zaproponowała mu to samo.

–W takim razie jest nas dwoje, którzy nie wiedzą – odparła. – W Little Bighorn o tej porze roku jest bardzo pięknie, nie sądzi pan, generale Custer?

–Cholernie śmieszne.

–Cholernie prawdziwe. Czuję zasadzkę, ale nie mogę zorientować się, na czym polega.

W ciągu dziesięciu miesięcy zasiadania w komisji FDA Baird przyzwyczał się polegać całkowicie na opinii Teri. Miała trzydzieści sześć lat, tyle, ile jego własna córka. W przeciwieństwie do Margaret, która przebrnęła przez dwa wydziały uniwersyteckie, biznes i pedagogikę, i wciąż nie wiedziała, co zrobić ze swoim życiem, Teri, która objęła stanowisko w agencji trzy lata przed przyjściem Bairda, była skoncentrowana, zaradna i lojalna. Postanowił, że gdy tylko będzie wakat na stanowisku jednego z zastępców dyrektora FDA, Teri Sennstrom znajdzie się na wysokiej pozycji na liście jego kandydatów. Dziś siedziała po prawej stronie Bairda, w charakterze jego eksperta do spraw badań klinicznych. Po jego lewej siedział Barry Weisman, prawnik FDA, weteran walk politycznych.

Zebranie Zespołu, odbywające się pod przewodnictwem wpływowego senatora republikańskiego ze stanu Massachusetts, Waltera Loudermana, było drugim posiedzeniem, w którym Baird brał udział jako szef Instytutu Żywności i Leków. Jego pierwsze wystąpienie w tej roli okazało się walką z cieniem – pouczającą sesją, na której bezustannie uśmiechający się Louderman zręcznie dał Bairdowi do zrozumienia, że chociaż Baird jest człowiekiem prezydenta i do szpiku kości liberałem, Kongres i wszystkie ważne komitety są kontrolowane przez Partię Republikańską. Na dzisiejszym posiedzeniu Louderman, umiarkowany

republikanin o nieskrywanej orientacji nacjonalistycznej, miał zabrać głos na końcu.

Baird, z pochodzenia małomiasteczkowy lekarz rodzinny, później profesor w Medical College w Missouri, został powołany przez prezydenta z zadaniem zreformowania FDA. Instytut był fatalnie zarządzany przez poprzedników i zamieszany w liczne skandale, włącznie z obrzydliwym braniem łapówek za oszukańcze firmowanie pokarmu dla niemowląt. Ponieważ Baird wypowiadał się bez ogródek w kwestiach socjalnych, poczynając od tematu palenia papierosów po kontrolę sprzedawania broni, był do tego stopnia krytykowany za brak oglądy, zmysłu politycznego, a nawet fizycznej wytrzymałości, że spodziewał się, iż nie zagrzeje długo miejsca na swoim stanowisku.

Pochylił się ku Teri i zasłonił ręką mikrofon.

–Jak myślisz, co powiedziała by na ten cały cyrk Harvey Wiley?

Wiley, chemik na przełomie wieku, obrońca praw konsumenta, prowadził kampanię polityczną, której rezultatem było uchwalenie w 1906 roku ustawy o żywności i lekach. Był powszechnie uważany za ojca FDA.

Teri roześmiała się ze skojarzenia Bairda.

–On był politykiem – powiedziała. – Wiedziała by, na czym polega ten cały cyrk. Z tego, co o nim wyczytałam, potrafił, kiedy było trzeba, walczyć gołymi pięściami. Uwaga na marginesie, doktorze Baird. Cyrk ma na celu poruszyć i rozerwać widza. To nadzorowane przesłuchanie Zespołu przypomina mi teatr... teatr absurdu. – Wskazała ręką na senatorów wracających na swoje miejsca, potem przyglądała nią jasne włosy. – Akt drugi – oświadczyła.

Barry Weisman wyłączył mikrofony: swój i Bairda.

–Alex – oświadczył – powtarzam jeszcze raz. Jestem przy tobie. Gdybyś chciał cokolwiek, choćby tylko zwolnić tempo, połóż rękę na mikrofonie i udaj, że szepczesz mi coś do ucha. To robi wrażenie, także na telewidzach. Pamiętaj, że niezależnie od tego, ile powiedzą ci komplementów i ile wyszczerzą do ciebie zębów, bądź cały czas czujny. Nie zdekoncentruj się nawet na moment.

–Nawet na moment – powtórzył jak echo Baird.

–Jeszcze jedno. Im dłużej uda ci się skupić uwagę kamer na twarzy doktor Sennstrom, tym lepsza reklama dla agencji.

–Czy przy innej okazji zasługiwałabym na dyskryminację? – spytała Teri.

Weisman wyszczerzył zęby w uśmiechu. Był od kilku lat bliskim przyjacielem Teri – od czasu gdy doszedł do ostatecznego wniosku, że się nim nie interesuje.

–To taki biologiczny truizm – odparł.

–A teraz, doktorze Baird – zaczął Louderman – przejdźmy do naszych spraw. Mój szanowny kolega z Teksasu, senator Harrington, ma parę pytań dotyczących aktualnego stanu pewnych zagadnień opracowywanych przez pański Instytut.

Teri przykryła ręką mikrofon i wyszeptwała:

–Myślę, że wiesz, co to za facet.

Baird skinął potwierdzająco głową. Bart Harrington był popychadłem Loudermana, a czasem jego pięścią. Cokolwiek Harrington wygłaszał, z całą pewnością zostało mu wcześniej

wtłoczone do głowy przez prezesa Komitetu. Bairdowi wydawało się, że wie, co się zaraz będzie działo. Jednym z jego pierwszych pociągnięć po objęciu stanowiska przewodniczącego FDA było usunięcie z rynku kontrowersyjnego lekarstwa przeciwko otyłości, o nazwie kinethane, trzy lata po tym, jak zostało zatwierdzone do powszechnego użytku. Okazało się, że lek, który przyniósł pewnej teksaskiej kompanii setki milionów dolarów zysku, spowodował u pewnej niewielkiej, a jednak znaczącej, liczby spośród milionów jego użytkowników niespodziewane, czasem kończące się śmiercią zapalenie trzustki.

Oskarżono lek o spowodowanie dwudziestu pięciu zgonów. Sprawa oparła się o sąd. Producenci przeciwstawili oskarżeniu świadectwo wynajętego za duże pieniądze zespołu ekspertów z dziedziny statystyki, stwierdzające, że poprawa zdrowia, towarzysząca nawet nieznamacznemu schudnięciu, skonfrontowana z „naturalną” zapadalnością na ten rodzaj zapalenia trzustki, znacznie góruje nad ryzykiem. Ale FDA miało własnych statystyków. W konsekwencji Baird wycofał lekarstwo z rynku.

Baird wiedział, że najbardziej bezpardonowe przesłuchania Zespołu Kontroli odbywały się najczęściej z powodu dopuszczania przez Instytut lekarstw, które później okazywały się szkodliwe. Spodziewał się pytań związanych z ustaleniem, dlaczego FDA tak długo tolerowała kinethane, i miał dobrze przygotowane dane dokumentujące oraz miał Teri Sennstrom. Przygotowując się do odparcia ataku,

wyjął z leżącej przed nim sterty akt półcalowej grubości teczkę. Ten atak jednak nie nastąpił.

–Doktorze Baird – zaczął Harrington – chcę panu pogratulować z powodu sukcesu, jaki pan osiągnął, przywracając Instytutowi należną mu rangę.

Baird spojrział z ukosa na Barry’ego Weismana, który zareagował podrapaniem się po podbródku i wzruszeniem ramion.

–Dziękuję, senatorze – odparł Baird. – Robimy, co w naszej mocy.

–Na dzisiejszym posiedzeniu interesują nas szczególnie dane dotyczące programu badań kwalifikacyjnych nowych lekarstw.

–Który etap badań interesuje pana?

–Na przykład jak długo trwają badania, zanim lek zostanie zatwierdzony do powszechnego użytku?

–Zaczynając od prób na zwierzętach?

–Tak.

–Bardzo różnie, zależnie od rodzaju lekarstwa, staranności sponsorującej je firmy farmaceutycznej i wielu innych czynników. Całkowity okres badań może trwać od pięciu do dziesięciu lat, a nawet więcej, i kosztować od stu dwudziestu pięciu milionów dolarów wzwyż.

–Okres testowania na ludziach ma trzy fazy, prawda?

Brian był zdziwiony specyfiką pytania, ale odparł w tym samym tonie.

–W zasadzie tak. Każda z trzech faz obejmuje z reguły więcej pacjentów niż poprzednia i więcej instytutów badawczych.

–Czy zdarzyło się, że jakieś ratujące ludzkie życie lekarstwo zostało zatwierdzone do powszechnego użytku, będąc jeszcze w drugiej fazie badań, zamiast po ukończeniu

zwyczajowych trzech?

–Tak, senatorze Harrington, były takie wypadki.

Harrington, którego pokryta żyłkami twarz i nos W. C. Fielda sugerowały, że może mieć problem alkoholowy, zajrzał do swoich notatek, a potem chrząknął w celu przeczyszczenia krtani.

–Doktorze Baird, czy może nam pan powiedzieć coś o leku o nazwie lovastatin?

–A dokładniej?

–O historii tego leku z punktu widzenia FDA.

Teri zasłoniła mikrofon.

–Domyślasz się, do czego zmierza? – wyszeptała.

Baird potrząsnął głową.

–W takim razie postępuj dyplomatycznie – ostrzegła.

–Lovastatin jest znakomitym środkiem na obniżenie poziomu cholesterolu, opracowanym przez firmę Merck i Company. Został dopuszczony do powszechnego użytku w sierpniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku.

–Zatwierdzenie nowego lekarstwa jest ostatnią czynnością, po której lekarstwo zostaje dopuszczone do powszechnego użytku, prawda?

–Tak, senatorze.

–Czy może nam pan powiedzieć, doktorze, ile czasu upłynęło między przedstawieniem lovastatinu do zatwierdzenia a jego zatwierdzeniem?

–Zanim na to odpowiem – stwierdził Baird, czując się tak, jakby szedł na oślep przez całkowicie zaciemniony pokój – muszę przypomnieć, że nowe lekarstwo może być przedstawione naszemu Instytutowi dopiero, kiedy faza pierwsza, druga i trzecia zostają...

–Tak, tak, rozumiem, doktorze. Czy może pan odpowiedzieć na moje pytanie?

Ton głosu Harringtona i jego wtrącenie się postawiły Bairda w stan alarmu.

Spokojnie! – napisał Weisman na karteczce leżącego między nimi bloczku.

–Dziewięć miesięcy – oświadczył Baird. – Ale badania nad tym lekarstwem trwały...

–Dziękuję, doktorze.

–Nie, senatorze. Jeśli pan pozwoli, skończę moją odpowiedź. Firma Merck przeprowadziła drobiazgowo badania kliniczne swojego leku i osiągnęła nadzwyczajne, wiarygodne rezultaty. Prace nad lovastatinem zaczęły się pod koniec lat siedemdziesiątych.

–Wobec tego proszę nam powiedzieć, ile czasu upłynęło od początku drugiej fazy badań na ludziach do zatwierdzenia lekarstwa?

–Nie dysponuję w tej chwili taką informacją. Postaram się...

–Tylko trzy lata, doktorze Baird. Trzy lata od początku drugiej fazy badań na ludziach do chwili zatwierdzenia leku.

Harrington z głupawo zadowoloną miną zwrócił się w stronę Waltera Loudermana i skinieniem głowy dał do zrozumienia, że przekazuje mu pałeczkę. Louderman, krzepki, szpakowaty prawnik, wychowanek Harvardu, przerzucał jakieś papiery. Zanim utkwiał blade, niebieskie oczy w Bairdzie, wypił, nie spiesząc się, łyk wody.

–Doktorze Baird – zaczął – jest jeszcze jeden lek, o którym chciałbym, żeby pan nam

opowiedział. Proszę mnie poprawić, gdybym źle wymówił jego nazwę. Chodzi o zidovudine.

–Doskonale pan to wymawia, senatorze Louderman. – Czemu miałbyś wymawiać źle? Prawdopodobnie ćwiczyłeś to setki razy, zanim przybyłeś tu, żeby zaprezentować się przed kamerami. – Lekarstwo, o które pan pyta, nazywa się AZT i jest bardziej znane pod tą nazwą.

Barry Weisman dał Bairdowi znak ręką, żeby na chwilę przestał mówić, potem przekręcił mikrofon w swoją stronę.

–Senatorze Louderman – powiedział – czy mógłby nam pan wyjaśnić, w jakim kierunku zmierzają pańskie pytania?

–Cierpliwości, panie Weisman. Za chwilę pan się zorientuje. Doktorze, zechce pan nam zrelacjonować historię AZT, podobnie jak pan opowiedział o lovastatinie?

Baird szukał w tym pytaniu pułapki, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

–AZT jest lekiem przeciwbakteryjnym, opracowanym przez kompanię Burroughs-Wellcome, obecnie Glaxo Wellcome, stanowiącym wartościowy środek do zwalczania wirusa powodującego AIDS.

–Kiedy rozpoczęły się kliniczne badania nad tym środkiem?

–Nie jestem pewny daty. Gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych.

–Faza pierwsza rozpoczęła się w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Druga – siedem miesięcy później. Próby na ludziach ukończono we

wrześniu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego, zaledwie osiem miesięcy po rozpoczęciu drugiej fazy badań. Trzeciej fazy w ogóle nie było.

Baird czuł ciśnienie w pęcherzu i przeklinał się za to, że w czasie przerwy nie skorzystał z toalety. Mimo to, być może z powodu zmęczenia, zdenerwowania, obawy lub wszystkiego razem, wypił kilka łyków zimnej wody, którą Teri nałała mu do szklanki. Dał jej znak, żeby ustosunkowała się do wypowiedzi Loudermana.

–Nie wiem, czy nadążamy za pańskim rozumowaniem, senatorze – powiedziała. – FDA może być dumny z szybkości, z jaką zatwierdziliśmy do powszechnego użytku zarówno lovastatin, jak i AZT.

–I chwała wam za to, doktor Sennstrom, ponieważ oba te leki niosą olbrzymie możliwości uratowania życia bardzo wielu ludziom...

Louderman przerwał, rzucił okiem w kierunku rzędu kamer i jeszcze raz zajrzał do leżących przed nim akt.

Uwaga! Nadchodzi! – napisał na karteczce Weisman, robiąc z litery „o” twarz z zafrasowaną miną.

–... doktorze Baird i doktor Sennstrom – odezwał się w końcu Louderman – czy słyszeliście o leku o nazwie vasclear, będącym obecnie w drugiej fazie badań klinicznych?

–Owszem, słyszeliśmy – odparł Baird.

–Możecie nam powiedzieć, jakie jest jego działanie?

–Możemy powiedzieć, na czym rzekomo polega jego działanie. Badany jest pod kątem właściwości, które być może ma, umożliwiających, jak wieść niesie, rozpuszczenie miażdżycy tętnic.

–Rozpuszczenie miażdżycy... ma pan na myśli wyleczenie stwardnienia tętnic?

W tym momencie Baird przypomniał sobie, że Newbury Pharmaceuticals, mała firma farmaceutyczna reklamująca vasclear, mieściła się w Bostonie, czyli istniała na glebie, z której wyrastał Louderman. Nagle zrozumiał sens i cel całego posiedzenia. Była to rzeczywiście pułapka. Przykrył ręką mikrofon.

–Barry – wyszeptał – już wiadomo, do czego zmierza Louderman. Jeśli poczujemy, że nas zbyt mocno przyciska, wyjdź z sali, spróbuj połączyć się z prezydentem i poproś, żeby go zastopował.

Odwrócił się ponownie w stronę Loudermana.

–Na podstawie tego, co do tej pory wiem o tym leku, senatorze, a muszę przyznać, że nie jest tych informacji wiele, mówi się o możliwości eliminowania zmian miażdżycowych. Chcę zwrócić pańską uwagę, a także wszystkich tu obecnych, na fakt, że badania nad vasclearem są dopiero we wstępnym stadium.

–Lek, który leczy stwardnienie tętnic... a pan niewiele wie na jego temat?

–Lek, który być może leczy stwardnienie tętnic, senatorze. Interesujemy się setkami nowych lekarstw, będących w trakcie badań. Poza tym, jak już powiedziałem, badania nad vasclearem są we wstępnym stadium.

–Przepraszam, ale pan się myli – zareplikował Louderman. – Badania tego środka są dalece zaawansowane. Amerykanie powinni się dowiedzieć, że rezultaty okazały się rewelacyjne. Wiem, że uczeni z Newbury Pharmaceuticals dwukrotnie zwracali się do pańskiego Instytutu, prosząc o udzielenie lekarstwu takiego samego priorytetu, jakim obdarzono lekarstwo przeciw AIDS, i dwukrotnie pańscy ludzie odmówili.

Do roboty! – napisał na karteczce Baird.

Barry Weisman wyjął z teczki telefon komórkowy, schował go do kieszeni marynarki i pośpiesznie wyszedł z sali konferencyjnej. Baird, chcąc zyskać na czasie, wypił jeszcze jeden łyk wody. Wiedział, że badania nad vasclearem przynosiły wielce obiecujące wyniki. Z drugiej strony miał świadomość, że sztab Loudermana wywiera presję na zespół wyznaczony do oceny danych klinicznych, dostarczonych przez Newbury Pharmaceuticals Company.

Zyski z lekarstwa zwalczającego miażdżycę byłyby niebotyczne. Louderman zabiegał o nominację na urząd prezydenta z ramienia Partii Republikańskiej. Przyspieszenie starań o rejestrację takiego leku mogło zamienić się w olbrzymi chwyt propagandowy, a prócz tego część profitów ze sprzedaży lekarstwa z pewnością zasiliłaby konto jego kampanii.

Z drugiej strony Baird słyszał od swojego personelu, że chociaż wstępne wyniki drugiej fazy badań nad vasclearem były znakomite, należało przeprowadzić więcej eksperymentów na ludziach.

–Przepraszam, doktorze – usłyszał głos Loudermana – zechce pan odpowiedzieć na moje pytanie?

–Ja... hm... czy mógłby pan je powtórzyć, senatorze?

–Pański Instytut szybko zatwierdził zarówno lovastatin, jak i zidovudine, gdyż były to leki ratujące życie. Czy vasclear, środek zwalczający chorobę pociągającą za sobą ogromne koszty społeczne, często kończącą się śmiercią, zasługuje na miano lekarstwa ratującego życie?

–W tej chwili nie można go nazywać inaczej niż lekiem o dużych możliwościach.

–Jest pan w błędzie! – Louderman uderzył pięścią w blat stołu w celu zaakcentowania swojej opinii. – Widzę, że nie zapoznał się pan osobiście z wynikami badań nad tym lekiem. Gdyby pan to zrobił, byłby pan daleko bardziej entuzjastyczny.

–Możliwe – odparł Baird.

–Komitet zbierze się znowu za miesiąc, doktorze Baird. Mam nadzieję, że do tego czasu będzie pan w stanie wytłumaczyć narodowi amerykańskiemu, dlaczego ratujące życie, darowujące życie, podtrzymujące życie lekarstwo...

Ktoś z otoczenia Loudermana podszedł do niego z tyłu i wręczył mu telefon. Louderman słuchał przez pół minuty, powiedział parę słów i oddał go z powrotem. Jego uśmiech stał się lodowaty. Baird zauważył nerwowy tik w kącie oka senatora.

–Okazuje się – oznajmił Louderman – że ma pan oddanego sobie protektora w dużym, białym domu o parę ulic dalej. Życzy sobie, żeby na ocenę vasclearu dać panu tyle czasu, ile będzie pan potrzebował, z zastrzeżeniem, że nada pan temu procesowi bezwzględny priorytet.

Baird przyjął spojrzenie senatora bez emocji.

–Zrobię, co w mojej mocy – odparł.

–Spodziewam się – rzucił szorstko Louderman. Wyprostował się na całą wysokość, patrząc raczej w stronę kamer niż na Bairda. – Mam poza tym nadzieję, że wszyscy ci przywiązani do łóżek ludzie z bólami w klatce piersiowej i symptomami wstrząsu będą równie cierpliwi wobec pana jak nasz prezydent.

Nie czekając na replikę, dał znak, że posiedzenie jest zamknięte.

Baird poczekał, aż podium opustoszeje, i zwrócił się do Teri.

–Nie chciałem mu zdradzić, że ty jesteś kierownikiem zespołu badawczego pracującego nad tym lekiem.

–Nie miałabym do ciebie pretensji, gdybyś to zrobił. Panujemy nad sytuacją.

–Wiem, że nie miałabyś. Jaką masz opinię o tym, co powiedział Louderman?

–Nie podobał mi się podtekst o naszym podejściu do lekarstwa na AIDS, natomiast cudowny lek stulecia pochodzi z Ameryki Środkowej. Widzę jasno, że Louderman przymierza się do prezydentury.

–Wszyscy to widzą. Sądzisz, że powinniśmy przyspieszyć procedurę?

–Jeszcze nie potrafię tego ocenić. Wygląda bardzo obiecująco. I bez wątpienia mieści się w kategorii ratujących życie.

Przez chwilę przyglądał się jej twarzy. Weisman miał rację. Inteligencja i uroda Teri z pewnością przyczyniała się do korzystnego wizerunku Instytutu.

–Wobec tego dobrze – oświadczył. – Wiesz, co masz robić. Nie lubię być do czegokolwiek zmuszany, ale kiedy zgodziłem się objąć to stanowisko, wiedziałem, że to sprawa polityczna. Lekarstwo stanie się jednym z moich priorytetowych celów, lecz musisz mi pomóc. Streść dla mnie komplet danych do jakiegoś sensownego „rozmiaru”.

–Nie ma sprawy.

–Zacznij zaraz i spotkamy się, dajmy na to, za tydzień.

–Dobrze.

–Jeszcze jedno, Teri.

–Tak?

–Niech Louderman pręży mięśnie, ile tylko zechce. To wyłącznie polityka. Na nas ciąży odpowiedzialność. Nie chcę jeszcze jednego kinethane’u. Nie chcę jeszcze jednego thalidomidu. Jeśli ten lek wywołuje skutki uboczne, musimy trzymać go z dala od rynku i nieważne, czego sobie życzy pan Louderman czy nie Louderman.

Rozdział 6

Oddział poczty, centrum łączności, sekcje: bezpieczeństwa, personalna i finansowa. Brian skreślał kolejne pozycje na praktycznie skomponowanej liście spraw do załatwienia, chodząc po niezmiernych korytarzach, budynkach i pomieszczeniach, składających się na White Memorial Hospital. Minęło dziesięć lat od jego ostatniego zetknięcia z rzeczywistością szpitalną, więc czuł się równie spięty i zdenerwowany jak owego dnia w Chicago, kiedy zaczynał swoją praktykę specjalistyczną na kardiologii.

Kobiecie w pralni próbował wytłumaczyć, że będzie pracował jako stażysta, ale tytuł doktora stawiał go o szczebel wyżej. Zdezorientowana pracownica po dłuższym zastanawianiu się dała mu dwa krótkie płaszcze przewidziane dla lekarza oddziałowego i dwa długie po kolana do zajęć w sali operacyjnej.

–Nie dam panu białych spodni – powiedziała z azjatyckim akcentem. – Białe spodnie są dla rezydentów.

Ostatnią pozycją na liście było biuro kontroli personelu, gdzie na polecenie doktora Pickarda nazwisko Briana figurowało już na liście lekarzy, pielęgniarek i innych pracowników szpitala, którzy podlegali wyrwykowemu badaniu moczu w celu sprawdzenia, czy nie nadużywają alkoholu lub narkotyków. Pracująca w tym biurze pielęgniarka była uprzejma, budząca zaufanie i wyglądała na wykwalifikowaną, mimo to Brian czuł się zakłopotany.

System polegał na tym, że przynajmniej raz w tygodniu, w dniu wylosowanym przez komputer, otrzyma wezwanie na swoim pagerze: „stawić się u dr Jones”. Potem będzie miał dwie godziny, żeby zgłosić się na badanie. Jedynym usprawiedliwieniem przekroczenia limitu czasu na pobranie próbki moczu było zajęcie w sali operacyjnej lub w pracowni hemodynamicznej.

Nieprzyjemne, ale wykonalne, pomyślał. Z pewnością na to zasłużył.

Podpisał różne dokumenty, wziął kopie, arkusz instrukcji i poszedł do pokoju konferencyjnego spotkać się z Philem Gianatasim, który miał go oprowadzić po szpitalu. Phil już na niego czekał, z ciasteczką w kształcie anatomicznego serca i bardzo przystojną, szczupłą brunetką w wieku około trzydziestu lat. Carrie Sherwood była sekretarką oddziału badań klinicznych.

–Zaprosiłem ją, żebyście się poznali, ponieważ ona organizuje zajęcia kliniki, a chciałbym, żebyś zaczął z nią współpracować w przyjaźni. Ostatni rezydent, który nastąpił jej na odcisk, wyskoczył z własnej woli z dachu Cromwell Building.

–Philip, przestań!

Ze sposobu, w jaki seksowna sekretarka zareagowała na żart, Brian domyślił się, że oboje z Philem byli kochankami. Po paru minutach ogólnej rozmowy i zjedzeniu kawałka ciastka poszła wolnym krokiem na oddział badań, pozwalając im na przedłużone podziwianie swojej figury. Brian pokiwał głową z aprobatą.

–Piękna kobieta – powiedział.

–Wiesz, co w niej jest najlepsze? – odparł Phil. – Gównu ją obchodzi, że nie mam talii. Prócz tego ma mnóstwo przyjaciółek. Wiem przynajmniej o dwóch, które nie miałyby nic przeciwko temu, żeby się umówić z doktorem medycyny, będącym w dodatku czymś pośrednim między Joem Montana a Alekssem Trebekiem.

–Moje gratulacje.

–Tak naprawdę, masz kogoś? Brian potrząsnął głową.

–Miałem parę przygód, ale nie stać mnie było na uczucie.

–Z tego, co mówi Carrie, jej przyjaciółki nadają się na jedną lub dwie noce.

–Zacznijmy od ważniejszych spraw, dobrze?

Brian nie mógł uwierzyć, że w ten sposób odpowiada na ofertę przyjaciela. Czyżby do tego stopnia skapcał?

–Daj mi trochę czasu – dodał – żebym się tu zaaklimatyzował. Potem pomówimy z Carrie.

–Doskonale. Doktor Pickard zaproponował, żebyśmy obeszlili oddział badawczy, laboratoria, a na końcu klinikę doświadczeń z vasclearem. Ponieważ będziesz się sporo

zajmował tą kliniką, chce, żebyś najpierw obejrzał wideo.

–Wideo?

–Personel nazywa je *Vasclear über alles*. To jest film informacyjny, który pokazujemy naszym pracownikom, gościom, a nawet pacjentom. Jest całkiem niezły, tyle że lekarzom wydaje się zbyt uproszczony, a większości naszych pacjentów zbyt trudny.

Brian poczuł natychmiastowe ożywienie.

–Chciałbym go zobaczyć.

–„Więc pójdź w me ślady, mój przyjacielu”. Wybacz, że nie będę u twego boku w czasie seansu, ale po obejrzeniu kilkunastu projekcji znam go na pamięć. Skoro mówimy o tym leku... czy Jessup wspomniała coś o twoim ojcu?

–Nie. Pomówię z nią jutro, kiedy będziemy się przebierali do zajęć w pracowni hemodynamicznej, mimo że nie miałem zamiaru rozpocząć pracy od wykorzystywania znajomości z zastępcą dyrektora. Raz zatelefonowała, po wypisaniu Jacka ze szpitala, pytając, jak się czuje, ale nie wspomniała o vasclearze, chociaż obiecywała, że pomówi z doktorem Weberem na temat włączenia Jacka do programu badań, zanim zostanie wypisany.

–Myślę, że nie powinieneś spodziewać się zbyt wiele – odparł Phil. – Jak na faceta bez poczucia humoru Weber jest przyzwoity, ale ma obsesję skrupulatnego przestrzegania w najdrobniejszych szczegółach wszystkich punktów protokołu, jeśli chodzi o ten lek. Myślę, że gdybym sam miał szansę na nieśmiertelność w historii medycyny, nie mówiąc o kilku miliardach dolarów, dręczyłaby mnie podobna obsesja. Jaka jest opinia doktor Jessup na temat terapii Jacka?

–W dalszym ciągu upiera się przy operacji.

–Czy twój ojciec zgodzi się na nią?

–Szczерze mówiąc, Phil, po ośmiu koszmarnych tygodniach, które przeżyliśmy razem, obaj myślimy, że powinien spróbować vasclearu.

–O ile trafi do grupy beta.

„O ile trafi do grupy beta”. Brian podszedł do okna i popatrzył na Cambridge, po drugiej stronie rzeki. Czy w innym wypadku będzie miał dość odwagi, żeby ukraść lekarstwo? Pytanie uporczywie powracało w jego myślach. Nie uświadamiał sobie, że z całej siły zaciska zęby, dopóki nie rozboleły go szczęki.

–Włóż kasetę – powiedział, zaciągając zasłony – i pozdrów ode mnie Carrie.

Phil rzucił mu pilota i wyszedł. Brian umieścił się w jednym z wysokich foteli, wyściełanych skórą koloru byczej krwi, oparł wygodnie, zdjął buty i położył nogi na stole. We wczorajszym „Globe” zamieszczono nieduży artykuł o senatorze Loudermanie, który naciskał dyrektora Instytutu Żywności i Leków, żeby przyspieszył zatwierdzenie vasclearu do powszechnego użytku. Jeśli Jack nie zostanie objęty programem eksperymentalnym, to może standardowy tryb leczenia, zastosowany przez Jessup, pozwoli mu przetrwać okres, nim Louderman osiągnie swój cel.

Myślał intensywnie nad różnymi możliwościami. Potem nacisnął „start”.

Powiedzieć o tym dwudziestopięciominutowym filmie informacyjnym, że jest afektowany i kosztowny, byłoby za mało, wzięwszy pod uwagę jego grafikę, muzykę, efekty dźwiękowe, animację i scenariusz, który na dobrą sprawę mógł być napisany przez któregoś z ewangelistów.

YASCLEAR

Nie musicie już szukać Źródło życia jest tutaj

Pierwsze ujęcia pokazywały obrazy i litografie Ponce de Leona, szukającego źródła młodości. Następne – szybki lot nad dżunglą, z tłem muzycznym wyjętym żywcem z filmu o Indianie Jonesie, towarzyszącym litanii najważniejszych leków, pochodzących z roślin dżungli. Koniec prologu pokazywał niczym nieuzasadnione zdjęcia dzikusów, żyjących w Ameryce Południowej, odżywiających się mięsem. Odkryli oni tajemnicę uchronienia się przed miażdżycą i żyli – jak informował przekonywający głos komentatora – po sto lub więcej lat.

Cięcie montażowe przenosiło akcję do Newbury Pharmaceuticals – wyrazy uznania dla jej skromnych osiągnięć w przeszłości, wycieczka po odnowionej, wypucowanej fabryce, położonej w przemysłowej części Bostonu, i zdjęcia z laboratoriów badawczych. Na koniec głos komentatora zapowiedział wyjaśnienie przez kierownika badań doktora Arta Webera spraw decydujących o cudowności vasclearu.

Opalony, niebieskooki Weber, o włosach barwy piasku, miał młodą twarz i typową hollywoodzką urodę. Jego akcent był odrobinę wschodnioeuropejski. Wykorzystując animację i film z sali operacyjnej, Weber wyjaśniał pochodzenie miażdżycy i wysiłki współczesnej medycyny w zwalczaniu – jak to nazywał – spustoszeń powodowanych przez najgroźniejszych wrogów cywilizowanego świata: jedzenie, lekarstwa, zmiany obyczajowości i – na końcu – operacje chirurgiczne.

Brian zauważył, że wszczepianie bypassów, wybrane jako przykład, było szczególnie krwawe. Z pewnością nie przeprowadzał jej Laj Randa. Pacjent stojący wobec takiej perspektywy poddałby się ochotniczo jakiegokolwiek próbie alternatywnego leczenia, byle tylko uniknąć noża.

„Proces oczyszczania tętnic za pomocą vasclearu następuje stopniowo – ciągnął Weber. – Tu widzimy obraz prześwietlenia tętnic jednej z naszych pacjentek, a tu zdjęcie tętnic tej samej pacjentki po dwunastu miesiącach terapii tym lekiem. Zauważmy stopień oczyszczenia pnia lewej tętnicy wieńcowej... prawej... w tych miejscach... i tętnicy okalającej. A jaka była reakcja pacjentki? Zapytajmy ją o to”.

Radosny kobiecy głos – któremu towarzyszyły harfy, rogi anielskie i potęgujące dramat ujęcia kamer – relacjonował: „Zaczęłam mieć bóle w szyi i w barkach. Mój lekarz zbadał mi serce. Okazało się, że jest w fatalnym stanie. Dano mi do wyboru: albo zdecyduję się na operację wszczepienia bypassów, albo poddam się testom z vasclearem. Wciąż nie wiem, do której grupy zostałam wylosowana, ale sądzę, że do tej z wyższą dawką, ponieważ objawy choroby ustąpiły niemal natychmiast i już się nie pojawiły”.

Ujęcie kamery objęło twarz pacjentki. Typ babci, o jakiej każdy może tylko marzyć – wylewna, uśmiechnięta, o szczerym spojrzeniu.

„Jak dotąd – mówił Weber – nie możemy jeszcze twierdzić, że vasclear będzie oddziaływał na każdego, ale nasze badania na ludziach dowodzą, że siedemdziesiąt pięć procent pacjentów wykazuje znaczną poprawę. Obecnie naukowcy z Newbury Pharmaceuticals, współpracując z lekarzami ze światowej sławy Boston Heart Institute, poszukują sposobów na to, żeby ów niezwykle rezultat jeszcze polepszyć”.

Film kończył się przejmującymi obrazami szczęśliwej ludzkości świata, która będzie miała do dyspozycji tak cudowny lek. Zanim dobiegł końca, Brian był już całkowicie opętany vasclearem. Lekarstwo to kusiło go jak cukierek w porcelanowej miseczce, w saloniku jego cioci Bei, gdy był dzieckiem, któremu ojciec zabronił jeść słodczy.

Uporczywy popołudniowy deszcz uwięził Billa Elovitza i tuzin innych ludzi w wyjściu z domu towarowego Filene. Urodziny Deborah były dopiero za tydzień, więc pomyślał, że głupio postąpił, przyjeżdżając do Bostonu w taką pogodę. Wypadało jednak coś kupić żonie, mimo że nie była wymagająca – pod warunkiem że szlafrok będzie różowy i będzie kosztował o czterdzieści procent taniej.

Była godzina popołudniowego szczytu ruchu ulicznego. Po przeciwnej stronie ulicy tłum przemokniętych pasażerów metra zniknął w tunelu prowadzącym do stacji śródmiejskiego węzła kolejki podziemnej. Elovitz naciągnął na głowę kaptur swojego przeciwdeszczowego płaszcza i zawiązał i tasiemki pod brodą. Oliwkowy płaszcz był prezentem od Deborah. Dostał go już wiele lat temu, ale zdążył użyć zaledwie kilka razy.

Płytką wnęka wejściowa domu towarowego nie chroniła przed strugami deszczu. Elovitz miał siedemdziesiąt cztery lata i był na emeryturze. Zastanawiał się, czy wyjść na ulicę w czasie takiej burzy. Dwaj chłopcy, śmiejąc się i krzycząc do siebie, przemknęli obok niego i pobiegli chodnikiem.

–Przyjemnie być młodym – powiedziała stojąca obok starsza kobieta.

–Przyjemnie w ogóle być – odparł Elovitz. – Nie zanoszę się na to, że przestanie padać. Miłego dnia.

Ścisnął w rękę uchwyt dużej torby sklepowej zanurkował w deszcz, przez ulicę, w stronę stacji. Nim dotarł do schodów, zabrakło mu tchu. Przez minutę trzymał się ściany, dopiero potem odważył się zejść na perony. Zdawał sobie sprawę, że jego stan jest spowodowany wilgotnym, dusznym powietrzem, lecz również był pewien, że jest w tym jeszcze coś innego. Od jakiegoś czasu malała jego wytrzymałość na wysiłek fizyczny. Prędzej czy później powinien dać się zbadać. Na razie jednak musi jakoś wrócić do domu.

Zaczął schodzić po schodach. Idąca przed nim kobieta pośliznęła się na mokrym betonie. Gdyby nie to, że wpadła przy tym na rosnącego mężczyznę, upadek mógł skończyć się fatalnie. Skłębiony tłum przemokniętych, spieszących się ludzi i gęste powietrze spowodowały, że Elovitz, zwykle spokojny i opanowany, teraz się denerwował.

Od Charlestown, gdzie wraz z żoną żyli i pracowali przez ostatnie dwadzieścia pięć lat, dzieliło go sześć przystanków Orange Line. Nim dotarł na peron, zaczął się dusić z braku powietrza. Ogarnęło go uczucie klaustrofobii. Próbował gorączkowo znaleźć jakieś przestronniejsze miejsce wśród tłumu – gdzie mógłby zaczerpnąć głębi, potrzebny mu w tej chwili łyk powietrza.

Betonowy peron, wysepka dla pasażerów przyjeżdżających i odjeżdżających w jego kierunku, był zatłoczony. Zaduch wilgotnej odzieży, mokrych włosów i potu był przykry i wydawał mu się dziwnie zatrważający.

–Przepraszam, proszę mnie przepuścić – dyszał Elovitz, przeciskając się między ludźmi w stronę krawędzi peronu. – Przepraszam, proszę mi wybaczyć, muszę koniecznie przejść.

Peron znajdował się o ponad trzy stopy nad szynami. Elovitz był pewien, że gdy znajdzie się w pierwszym rzędzie, będzie mógł swobodniej oddychać.

–Hola, niech pan trochę uważa! – obruszył się ktoś za nim.

–Gdzie się, kurwa, pchasz – warknął inny mężczyzna. Elovitz ścisnął mocniej swoją torbę. Z oczami wlepionymi w wolną przestrzeń przed nim rzucił się do przodu. W chwili kiedy już mu się zdawało, że upadnie, znalazł się między dwiema kobietami na samym brzegu peronu. Powiew powietrza z pobliskiego tunelu był słodki i odświeżający. Zwarty tłum pomógł mu utrzymać pionową pozycję. Zaczerpnął głęboko powietrza. Z prawej słyszał łoskot nadjeżdżającego pociągu.

Nagle tłum za jego plecami zafalował. Gdy reflektory kolejki wyskoczyły z tunelu, Elovitz poczuł silne pchnięcie od tyłu, które wyrzuciło go na skraj peronu. Kolana się pod nim ugięły, potknął się i stopa ześliznęła mu się z betonowej krawędzi. Upadł ciężko na torowisko. Z góry dobiegały krzyki przerażenia. W lewym ramieniu poczuł przejmujący ból złamanych kości nadgarstka. Głową uderzył w szynę, ale mimo oszołomienia przetoczył się i próbował dźwignąć na kolana. Pociąg zbliżał się z ogłuszającym piskiem wszystkich hamulców. Dziesięć jardów... sześć... trzy... Elovitz dźwignął się na nogi i zataczając się, cofnął o kilka kroków. To go uratowało. Zderzak maszyny zatrzymał się o niecałe trzy stopy przed nim.

Nagle uświadomił sobie, że niemal wszyscy na peronie coś do niego krzyczą.

„Stój!”. „Trzecia szyna!”. „Nie dotykaj trzeciej szyny!”. „Nie ruszaj się!”. „Wysokie

napięcie!”. „Nie ruszaj się!”.

Zdumiony i zdezorientowany kakofonią dźwięków odwrócił się, popatrując to na tłum, to na światła pociągu.

„Nie ruszaj się!”. „Wysokie napięcie!”. „Stój!”. „Nie!”.

Jeden z mężczyzn zeskoczył na tory i biegł w jego stronę. Elovitz odruchowo zrobił krok w lewo. Zawadził butem o szynę i walcząc o zachowanie pionowej pozycji, zataczał się po torowisku. Stracił do reszty równowagę i przy akompaniamencie wzmożonych krzyków, jak w zwolnionym filmie, upadł ciężko na szynę wysokiego napięcia.

Phil nie wracał, więc Brian skorzystał z wolnej chwili, żeby zatelefonować do ojca. Jack mógł obejść się chwilami bez opieki, lecz Briana przez większość dnia nie było w domu i musiał zapewnić mu posiłki i możliwie częsty kontakt osobisty lub telefoniczny. Troska o Jacka ze strony jego przyjaciół i sąsiadów była budująca. Jedna z pań sporządziła rozkład dnia Jacka i werbowwała opiekunów, wpisując ich na listę. Trener widocznie czuł się marnie, gdyż nie protestował przeciw tej opiece ani nie sarkał.

–Jak samopoczucie, tato?

–Nie narzekam.

Głos miał trochę niepewny.

–Spacerowałaś i gimnastykowałeś się?

–Trochę.

–Boli cię?

–Nie bardzo.

Na Boga, trenerze, Brianowi chciało się krzyczeć. Kiedy w końcu przestaniesz być takim macho i powiesz mi, jak się naprawdę czujesz?

–Za pół godziny przyjdzie do ciebie domowa pielęgniarka – zmusił się, żeby mówić spokojnie. – Poproś ją, żeby mnie wywołała pagerem, bo chcę się dowiedzieć, w jakim jesteś stanie. Podaj jej mój numer.

–A jak ty się czujesz? Uratowałeś kogoś od śmierci?

–Nie, ale także nikogo nie zabiłem. To mi wystarcza.

–Stawiam pięć dolców, że w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin uratujesz komuś życie.

–Nie o to chodzi, tato. Wyczyny są dla telewizji.

–Pięć dolców.

–Dobrze, przyjmuję. Będziesz wieczorem oglądał Skarpety?... Jack? – Cisza przedłużała się. – Jack? Co się z tobą dzieje?

–Nic – odezwał się w końcu Jack. Głos miał jeszcze bardziej nienaturalny niż przed chwilą. – Czuję się dobrze.

Brian wiedział, że ojciec włożył sobie pod język nitroglicerynę. Ból w klatce piersiowej, kiedy nie podejmował żadnego wysiłku, był złą wróżbą.

–Niech pielęgniarka mnie wywoła – przypomniał. Wrócił Phil, przynosząc kawę i pączki.

–Małe co nieco dla dwóch głodujących doktorów, nim skończą wizję lokalną – oznajmił.

–Phil, jesteś przecież kardiologiem. Jak możesz odżywiać się tak niezdrowo?

–Jak ci to wyjaśnić... po prostu mam słaby charakter. Spytaj Carrie. Jedzenie faworków nie może przynajmniej pozbawić mnie prawa wykonywania zawodu.

–Dobry argument. Ale kiedy już się tu zaaklimatyzuję, poćwiczymy razem dla zdrowia.

–Jeśli uważasz, że porzucenie pigułek było trudne, zobaczysz, co to jest prawdziwa trudność, kiedy będziesz próbował zaciągnąć mnie do sali gimnastycznej.

Przeszli przez dwudziestopięciolóżkowy oddział, mający świetny personel, a potem schodami na górę, przez blok operacyjny, księstwo Laja Randy.

–No, dobrze – powiedział Phil. – Co ty na to, gdybym ci teraz zaproponował zwiedzenie pracowni doświadczalnych? BHI ma więcej nawiedzonych badaczy, niż wskazują na to jego wyniki. Ja sam mam małą pracownię, w której próbuję stresami i odpowiednim odżywianiem rozwinąć chorobę wieńcową u kilku chomików.

–Udaje ci się?

–Kogo to obchodzi? Ważne, że publikacje, które szczęściem dla mnie wydrukowali w różnych pismach dzięki tym małym, włochatym gnojkom, przyniosły mi stały kontrakt. Wszystkie eksperymenty mają na celu to jedno. Na tym polega akademicka

medycyna, mój przyjacielu. Chomikuj albo zginiesz.

–Zrozumiałem. Słuchaj, jeśli nie masz nic przeciwko temu, nie chodźmy do pracowni, tylko zwiedzmy klinikę badań nad vasclearem. Według rozkładu będę miał tam zajęcia jutro wieczór. Poza tym jednym z powodów, dla których nigdy specjalnie nie pociągała mnie medycyna akademicka, była niechęć do eksperymentów.

–Oddział badań nad vasclearem prowadzi wyłącznie eksperymenty – odparł Gianatasio. – Jeśli chcesz, przekażę cię Lucy Kendall, pielęgniarce oddziałowej. Po południu będę miał urwanie głowy w moim gabinecie, więc przyda mi się trochę czasu na przygotowanie.

–Zgoda. Powiedz, Phil, ile osób wie o mnie?

–Co masz na myśli?

–Na przykład ta Lucy Kendall. Czy ona wie, że dopiero teraz odzyskałem licencję i dlaczego?

Gianatasio wzruszył ramionami.

–Jeśli plotka nie dotyczy jej samej, to wątpię, żeby ją to interesowało – odparł. – Ale szpital jest szpitalem. Ludzie lubią ryć pod innymi, a my, lekarze, jesteśmy w tym najlepsi. Przestałem zastanawiać się, kto wie o mnie i o Carrie, a kto nie. To znacznie upraszcza życie. Prawdopodobnie mówi się o tobie, zwłaszcza po tym, co zrobiłeś w izbie przyjęć, ratując Stormy, ale ja sam nic takiego nie słyszałem. Powiem ci, jeśli czegoś się dowiem.

–Będę ci wdzięczny.

Klinika była bez wątpienia perłą instytutu – miała dziesięć sal dla pacjentów, którzy podlegali terapii lekiem, była wyłożona dywanami, udekorowana artystycznie, wyposażona w elektronicznie sterowane podnoszenie oparcie łóżek i indywidualny wybór programów z

muzyką i informacją. Lucy Kendall, pielęgniarka oddziałowa, zanim skończyła oprowadzać Briana po klinice, zdołała opowiedzieć mu sporą część swojego życiorysu. Była żoną lekarza domowego, praktykującego na przedmieściu. Niedawno urodziła drugie dziecko, tym razem chłopca.

Brian na ogół nie zauważał kobiecej kokieterii. W trakcie jego małżeństwa Phoebe bezustannie podkreślała różnicę między kobietą partnerską a nimfomańską. Natomiast Lucy Kendall okazała się nawet dla niego łatwa do rozszyfrowania. W sposób emocjonalny i bezpośredni opowiedziała mu, jak się cieszyła, że jej figura wróciła szybko do normy po porodzie. Wydawała się zadowolona, że Brian

przyjmował za dobrą monetę niezbyt taktowne wynurzenia i zgadzał się z jej zdaniem.

Brian czuł się uspokojony tym, iż będzie miał do czynienia z kobietą tak dalece pochłoniętą sobą, że prawdopodobnie nie będzie zainteresowana ani nim, ani jego życiorysem. Wydawała się nie zdawać sobie sprawy z tego, że Brian przy każdej okazji, pytając o jej życie, próbuje nawiązać do spraw związanych z vasclearem.

Wiedział dobrze, co robi, wyciągając z niej coraz więcej informacji na temat lekarstwa – gdzie jest przechowywane, jak jest oznakowane, jak się je aplikuje i gdzie trzymane są rejestry. Wiedział dobrze, co robi, mimo to ciężko mu było podjąć decyzję.

Penetrował to miejsce, jakby przygotowywał skok – podobnie jak kiedyś penetrował aptekę w Suburban Hospital. Wykorzystywał Lucy Kendall w taki sam sposób jak młodą farmaceutkę szpitalną w Suburban. w poszukiwaniu słabego punktu w systemie. Tym razem nie chodziło o pigułki, które zaspokoilyby jego uzależnienie. Przygotowywał plan, na wypadek gdyby Jessup i Weber odmówili włączenia Jacka do eksperymentów z vasclearem albo gdyby nie trafił do grupy beta.

Poczuł, że zaczyna dygotać. Nie upłynął nawet jeden dzień, odkąd wrócił do pracy, a już knuł plan, jak ukraść lekarstwo. Czy była jakaś różnica między kradzieżą eksperymentalnego leku, żeby pomóc ojcu, a kradzieżą pigulek w celu uniknięcia własnego złego samopoczucia? Program psychoterapeutyczny, który przeszedł, opierał się na bezwzględnej uczciwości.

Czy był emocjonalnie gotów złamać założenie, bez względu na to, jak bardzo czuł się zmartwiony i niezależnie od szlachetności pobudek? Czy możliwe, że po tych wszystkich spotkaniach, sesjach terapeutycznych i rozmowach na temat sensu życia nie zmienił się ani na jotę, że oszuka swoich terapeutów, kuratora i, co gorsze, samego siebie?

Wątpliwości spowodowały uczucie niesmaku, ale nie zniechęciły go do dalszego działania.

Rozdział 7

THE WASHINGTON POST

FDA oskarżony o ślamazarność wobec rewelacyjnego leku na serce

Senator Walter Louderman, republikanin ze stanu Massachusetts, prezes Senackiego Komitetu do spraw Rządowych, oskarża dyrektora Instytutu Żywności i Leków, doktora Alexandra Bairda, o ślamazarność w procesie zatwierdzenia do publicznego użytku lekarstwa, które, jak twierdzi Louderman, może co roku uratować życie setek tysięcy Amerykanów...

Zapadał już zmierzch, kiedy Lucy Kendall z żalem skończyła odpowiadać na pytania Briana i poszła zająć się pacjentami. Jej gadatliwość pozwoliła Brianowi dowiedzieć się sporo na temat aplikowania vasclearu, niemniej brakowało mu pewnych szczegółów, które miał nadzieję poznać podczas dyżuru w klinice.

Z wysokości piątego piętra patrzył na zasnuty ulewnym deszczem ruch uliczny w godzinach szczytu. Dwudziestominutowa w normalnych warunkach jazda do Reading zajmie mu dwa, a nawet trzy razy więcej czasu. Raport domowej pielęgniarki nie przynosił alarmujących wieści o Jacku, poza tym Brian, spodziewając się, że jego wizyta zapoznawcza ze szpitalem potrwa długo, poprosił sąsiadkę o ułożenie planu dyżurów przy Jacku aż do dwudziestej drugiej. Nie było ani jednego powodu, żeby spieszyć się do domu, za to wiele, żeby poznać jak najlepiej szpital White Memorial i Boston Heart Institute.

Miał właśnie zadzwonić do Lexington, żeby życzyć dobrej nocy swoim dziewczynkom i powiedzieć Phoebe, że przetrwał jakoś pierwszy dzień, kiedy odezwał się jego pager. Zatelefonował na podany numer. Zgłosił się Phil.

–Skończyłeś, Brian?

–Prawie. Czemu pytasz?

–Idę na konsultację do izby przyjęć i pomyślałem sobie, że możemy się spotkać na dole. Chciałbym, żebyś podzielił się ze mną wrażeniami na temat kliniki.

–Zadzwońię tylko do dzieci, Phil, i schodzę na dół. Co tam masz?

–Zwykły tuzinkowy wypadek. Siedemdziesięcioletni mężczyzna, który upadł na szynę wysokiego napięcia na stacji Downtown Crossing T.

–Żyje?

–Nie tylko żyje, ale chce wrócić do domu.

–Całkiem jak ja. Idź do niego. Za kilka minut się spotkamy.

Brian wybrał numer Phoebe, zastanawiając się, czy kiedykolwiek będzie w stanie robić to bez zmuszania się, ze względu na stały ton niezadowolenia i cynizmu, który wyczuwał w jej głosie.

Gdy się poznali, był już uzależniony od środków przeciwbólowych, lecz upłynęły lata,

nim się zorientowała. Jej zmartwienie wywołało u niego gniewną reakcję, która w efekcie przyniosła lata kłamstw, wypierania się i oszustw. Freeman powiedział, że niewiele rzeczy jest gorszych niż utrata zaufania. Obawy Phoebe były spowodowane jego nieuczciwością i jej własnym stosunkiem do problemu uzależnienia. Nic nie mogło tego zmienić prócz czasu – czasu i zmian wewnętrznych w nim samym, a to mogła przynieść tylko długotrwała kuracja odwykowa.

Caitlin podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale telefonu. Miała dziewięć lat – lubiła czytać, była poważna, jak jej matka, i tak do niej podobna, że Brian czasem myślał, że to Phoebe siedzi zwinięta w fotelu z książką w ręku. Mimo że od jego wyprowadzenia się z domu minęły dwa lata, Caitlin do tej pory nie chciała przyjąć tego do wiadomości i nigdy o tym nie mówiła. Teraz opowiedziała Brianowi o swojej francuskiej klasie w szkole, o *Heidi*, którą właśnie skończyła czytać, i o utworze, który nauczyła się właśnie grać na fortepianie. Przyjęła z umiarkowanym entuzjazmem wiadomość, że spędzi dzień z nim i z Jackiem. Widocznie Phoebe jeszcze jej nie powiedziała, że ze względu na odzyskanie przez ojca prawa do wykonywania zawodu, Caitlin i Becky będą musiały jeździć tam, gdzie ojciec będzie chciał się z nimi spotkać. Nie będzie już więcej spotkań pod nadzorem.

–*Je t'aime, Papa* - pożegnała się z nim Caitlin, zanim oddała słuchawkę młodszej siostrze.

–Ja też cię kocham, córeczko – powiedział Brian, z trudem pokonując nagle ściśnięcie gardła.

–Puk, puk – zaświergotała Becky, nie dbając o konwencjonalne wyrazy powitania.

Miała prawie siedem lat, była promienna, żywa i, w przeciwieństwie do eterycznej Caitlin, mocno zbudowana. Brian zapytał je kiedyś, czy jest rzecz, na punkcie której obie się zgadzają. Nie zdziwiło go, że jedna z nich powiedziała „tak”, a druga „nie”.

–Kto tam? – odparł.

–Ivan.

–Co za Ivan?

–Ivan Dziecioł. Daję ci mamę. Pa!

–Becky! – zawołała Phoebe. – Wracaj tutaj i porozmawiaj z ojcem... Już zniknęła.

–Nie szkodzi. Opowiedziała mi dowcip o dzieciole. To wystarczy.

–Dobrze się rozwija.

–Wiem. Obie są... Ja mam już oficjalną posadę.

–Gratuluje ci. Powinieneś być z siebie dumny.

–Za tydzień dostanę pensję. Stażyści z doktoratem nie zarabiają dużo więcej niż zwykli stażyści, ale będę mógł ci przysyłać prawie o pięćdziesiąt procent więcej pieniędzy.

–To dobrze dla nas wszystkich – oświadczyła Phoebe, jak zwykle oficjalna. – Mój bank podnosi alarm, kiedy przekraczam konto. Jeśli twoje obietnice okażą się prawdziwe, będę mogła pracować o kilka godzin mniej w tygodniu... być może zajmę się skautyniem.

–To dobry pomysł – odparł, nie reagując na niezbyt subtelne przypomnienie mu wielu lat niedotrzymanych obietnic.

Po chwilowej ciszy, która nastąpiła, Brian zorientował się, że czekała na ripostę.

–Wiesz dobrze – stwierdziła w końcu – że mimo mojego rozczarowania i złości do ciebie, zawsze wierzyłam, że potrafisz się przełamać.

Nie chwał dnia przed zachodem słońca, chciał ją ostrzec. Zamiast tego podziękował jej. Nigdy jeszcze nie okazała się sentymentalna.

Izba przyjęć znajdowała się w stadium ciszy po burzy. Brian przeszedł przez zabłoconą recepcję i zobaczył Gianatasia w korytarzu przed salą numer cztery. Phil, pochylony nad mężczyzną w wózku inwalidzkim, przykładał mu do piersi stetoskop. Pacjent, wyglądający na zadeklarowane siedemdziesiąt cztery lata, miał przegub w gipsie, rękę na temblaku, a na głowie burzę niesfornych, siwych włosów. Poorana bruzdami twarz o prostych rysach była sympatyczna, chociaż teraz wyrażała niepokój. Człowiek, który przetrwał ciężkie koleje losu – pomyślał o nim Brian.

Phil wyprostował się i zdjął stetoskop z uszu.

–Wilhelmie Elovitz, przedstawiam panu doktora Briana Holbrooka.

–Proszę mi mówić Bill. Wszyscy tak mnie nazywają – odparł z sympatycznym uśmiechem Elovitz. Miał odrobinę żydowski akcent. Wskazał ręką kobietę, stojącą przy jego wózku. – To moja sąsiadka, pani Levine. Przyjechała, żeby zabrać mnie do domu.

–Bill będzie w wieczornych wiadomościach o dziesiątej – powiedział Phil. – Może nawet w CNN, a na pewno w *Chcecie to wierzyć, chcecie nie wierzyć* Ripleya. Peron kolejki na stacji Downtown Crossing był tak zatłoczony, że Bill został z niego zepchnięty tuż przed nadjeżdżającym pociągiem. Motorniczy zdołał zahamować, ale Bill, próbując wstać, potknął się i upadł prosto na trzecią szynę. Gumowy płaszcz spowodował, że nie stał się chrupiącym tostem i że skończyło się tylko na złamanym przegubie.

–Mówisz „tylko”, bo to nie jest twój przegub – zauważył sarkastycznie Elovitz.

–Dlaczego personel izby przyjęć wezwał na konsultację kardiologów? – spytał Brian.

–Trochę dlatego, że im się zdawało, iż każdy, kto upadł na dziesięć trylionów voltów, powinien być zbadany, a trochę dlatego, że jest pacjentem kliniki prowadzącej badania nad vasclearem. Trzeba dodać, że jednym z pierwszych.

Zainteresowanie Briana natychmiast wzrosło.

–Dobrze pan się po nim czuje?

–Nie wiem, co dla pana znaczy dobrze – odparł Elovitz – ale ja nie narzekam. Teraz proszę mi wybaczyć... moja żona nie czuje się najlepiej i niepokoi się o mnie. Muszę wracać do domu.

Brian zauważył, że mężczyzna po każdym zdaniu robi przerwę na oddech.

–Duszność? – zapytał Phila.

–Ma pewne objawy ZNS – odparł Gianatasio, używając skrótu dla zastoinowej niewydolności serca... gromadzenia się płynu w płucach z powodu osłabienia serca. – Słuchaj, Bill, masz kłopoty z oddychaniem. Ja już nie pracuję w klinice, ale doktor Holbrook jest nowy i chciałby cię zbadać. Możesz zadzwonić jutro i poprosić o umówienie cię z nim.

Elovitz zadarł głowę i popatrzył na Briana.

–Jest pan dobrym lekarzem? – zapytał.

–Myślę, że niezłym – odparł Brian.

–W takim razie zatelefonuję. Dziękuję, doktorze Gianatasio. Jedźmy, kochanie.

Zanim któryś z nich zdążył się odezwać, pani Levine popchała wózek korytarzem, znikając za zakrętem.

–Ciekawy facet – stwierdził Brian. – Co z jego sercem?

–Wymaga podreperowania. Nie mogę powiedzieć nic pewnego o pacjencie, którego badałem na korytarzu, w pełni ubranego i wyrwijącego się do domu. Dlatego poleciłem mu, żeby umówił się na wizytę u ciebie. Sprawdź u sekretarki w klinice. Jeśli w ciągu dwóch dni się nie odezwie, może trzeba będzie do niego zadzwonić. Chodźmy teraz do pokoju rezydentów. Chcę wiedzieć, czy Ostra Siostra leci na ciebie, czy nie.

Dwadzieścia minut później Brian odprowadził Phila do wyjścia ze szpitala, a potem wrócił, aby kontynuować swój inauguracyjny obchód. Gianatasio nie miał podstaw, żeby móc powiedzieć, czy stan Wilhelma Elovitza świadczył o niepowodzeniu kuracji, czy objawy jego choroby były spowodowane innymi przyczynami niż stwardnienie tętnic. Zwrócił jednak uwagę Briana na to, co ten już dobrze wiedział: mimo że lek miał pod wszelkimi względami tak znakomite rezultaty, u dwudziestu pięciu procent leczonych nim pacjentów nie stwierdzono reakcji.

Brian wrócił do Boston Heart i zwiedził blok operacyjny na trzecim piętrze, a potem laboratoria na drugim. Rejestracja pacjentów i biura administracji, a także klinika kardiologiczna mieściły się na parterze. W suterenie znajdowała się pracownia hemodynamiczna z jednej strony, z drugiej zaś pomieszczenia dla zwierząt doświadczalnych. W środku była kantyna z automatami. Brian uświadomił sobie, że od śniadania nie miał nic w ustach, prócz ciastka, którym poczęstował go Phil.

Zszedł schodami w pobliżu pracowni hemodynamicznej do sutereny. Nazajutrz rano miał zejść tą samą klatką schodową i przygotować się do koronarografii, pierwszy raz po półtorarocznej przerwie, asystując Carolyn Jessup. Pracownia i sąsiadujące z nią archiwum filmowe były zamknięte. Korytarz sutereny sprawiał wrażenie opustoszałego, paliły się tylko światła za podwójnymi szklanymi drzwiami do zwierzętarni. Idąc w stronę małej kantyny, zauważył, że wyszedł z niej mężczyzna, niosący nieduże tekturowe pudełko z dwoma kubkami kawy i kanapkami. Był wzrostu Briana, może nawet nieco wyższy, miał szerokie ramiona i szczupłą talię futbolisty, małe ciemne oczy, wysokie kości policzkowe, a na skórze twarzy ślady trądziku. Ubrany był w dżinsy i niebieską, zapinaną na guziki bluzę od dresu. Widok Briana tak go zaszokował, że niemal nie upuścił jedzenia.

Przez ułamek sekundy patrzyli sobie w oczy. Brian zdążył zauważyć jedynie wrogość, bez śladu inteligencji. Mężczyzna wymruczał coś na powitanie, próbował bez powodzenia uśmiechnąć się i poszedł kilka kroków dalej, do zakrętu. Tam

zatrzymał się, jakby był niezdecydowany, po czym wszedł na klatkę schodową naprzeciwko tej, którą zszedł Brian, prowadzącą na jeszcze niższy poziom, poniżej sutereny. Brian popatrzył na swój plan. Schody, widniejące na nim, kończyły się na suterenie. Próbował odgadnąć funkcję mężczyzny wśród personelu szpitala, sądząc po jego dresie, imponującej figurze i powiązaniu

z piwnicą. Posługacz? Ochroniarz? Pracownik pralni? Palacz w kotłowni?

Parę chwil później Brian odgrzewał w kuchence mikrofalowej kanapkę z kurczakiem i pił z papierowego kubka gorącą kawę, tak samo złą, jak wszystkie kawy z automatów. Dziobata twarz mężczyzny, podobna do pyska zdziwionego łosia, oświetlonego nagle reflektorami samochodu, tkwiła uporczywie w jego pamięci. W końcu cóż mógł tam robić złego? Kraść jedzenie z automatów?

Sygnał pagera przerwał jego refleksje. Wyświetlacz pokazał numer jego domowego telefonu. Rozejrzał się wokół za aparatem, potem, biorąc z sobą resztki kanapki i kawy, poszedł po lśniącym linoleum w stronę światła na końcu korytarza, gdzie na zewnętrznych szklanych drzwiach wymalowany był złotymi literami napis: Oddział Zwierząt Doświadczalnych. Wchodząc tam, poczuł zapach zwierząt i usłyszał ich odgłosy. Wrażenia stały się intensywniejsze, kiedy przekroczył drugą parę drzwi.

–O co chodzi?

Mężczyzna siedzący z nogami na starym porysowanym biurku był rozczochrany i mizerny. Brian zauważył szary, szczeciniasty zarost, rzadkie, siwiejące czarne włosy, dzinsy i poplamiony płaszcz laboratoryjny sięgający do kolan. Na plakietce stojącej na biurku widniał napis: „Earl”.

–Nazywam się Holbrook, doktor Brian Holbrook. Pracuję pierwszy dzień w BHI, więc próbuję się tu zorientować. Chciałbym skorzystać z telefonu, jeśli można.

–Jest do pana dyspozycji – powiedział Earl z nosowym akcentem mieszkańca Appalachów. – Słyszałem, że pan dzisiaj przychodzi. Będzie pan pomagał w przeprowadzaniu badań nad vasclearem, prawda?

Briana zaskoczyło, że jakiś podrzędny pracownik szpitala mógł o nim wiedzieć. „Jest prawdopodobne, że mówi się o tobie, ale ja sam nic takiego nie słyszałem”. Czy to nie Phil powiedział niedawno coś podobnego?

Zęby mężczyzny były żółte od nikotyny i w okropnym stanie, poza tym wydzieliał woń przyczyniającą się w znacznym stopniu do ogólnego fetoru panującego we wnętrzu. Ale prócz tego bił od niego jeszcze inny zapach – ten, na który Brian był szczególnie wczulony w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy – zapach alkoholu.

–Tak – odparł Brian. – Będę pracował w szpitalu i będę miał czasem popołudniowe

dyżury w klinice testującej vasclear. Czy pomaga pan przy eksperymentach ze zwierzętami?

–Jasne.

Brian podniósł słuchawkę telefonu, wrzucając niedbale na pół zjedzoną kanapkę do kubła ze śmieciami. Smród bijący od mężczyzny plus zapach alkoholu pozbawiły go apetytu. Numer Jacka był zajęty. Przed paroma godzinami pielęgniarka powiadomiła Briana, że stan Jacka jest wyrównany i że humor mu dopisuje. Zajrzał do rozkładu dyżurów przy Jacku. W tej chwili powinna być przy nim Sally. Uspokoił się na myśl, że to zapewne nic znaczącego.

–Zajęty – powiedział. – Mogę się przez chwilę porozglądać, dopóki nie uzyskam połączenia?

–Proszę się nie krępować. Ja tu zostanę.

–Na jakich zwierzętach testowano vasclear podczas wstępnych badań?

–Po trosze na wszystkich – odparł Earl. – Tak jak zwykle. Najpierw szczury i króliki, potem sporo świń, kilka owiec, kilka psów, a na końcu trochę małp. Przede wszystkim pracują na świńskich sercach. Niektóre z nich są podobne do ludzkich. Wcale mnie to nie dziwi. Znam wielu ludzi, którzy są zwykłymi świniami.

Jego rżący śmiech z własnego dowcipu skończył się atakiem kaszlu. Brian zauważył u niego świeżo zrobioną skórną próbę gruźliczą i zanotował sobie w pamięci, że w ciągu paru miesięcy trzeba go skontrolować.

–Były jakieś problemy z doświadczeniami? – spytał.

Earl rzucił mu dziwne spojrzenie.

–Skądże znowu – odrzekł w końcu. – Czemu pan o to pyta?

Brian uśmiechnął się, próbując zatuszować nagłą zmianę nastroju.

–Po prostu chcę się dowiedzieć jak najwięcej o tym leku – odparł, mówiąc celowo z odrobiną nosowym akcentem.

–Doświadczenia na zwierzętach powiodły się doskonale.

–To wspaniale. Przyjdę za chwilę i spróbuję znów się połączyć.

Odwrócił się i szybko wyszedł przez szklane drzwi z prawej strony biurka Earla i powędrował wzdłuż jednego z rzędów klatek.

Królestwo Earla było całkiem rozległe i lepiej utrzymane niż on sam. Kolejne klatki mieściły coraz większe zwierzęta. Były tam myszy, chomiki, szczury, króliki, nawet trochę małych psów. Za młodych lat Briana w jego domu nie było żadnych zwierząt, może więc dlatego nie miał nic przeciwko doświadczeniom farmakologicznym na nich, pod warunkiem że były otoczone należyłą opieką. Teraz jednak, patrząc na rzędy klatek, poczuł się wzruszony.

Daleko po prawej, oddzielony od reszty pomieszczenia szklaną ścianą, dostrzegł szereg większych klatek. Niektóre z nich były puste; w dwóch były owce, w dwóch innych duże psy, w ośmiu zaś zwierzęta z rzędu naczelnych: sześć szorstkowłosych gibbonów i dwa szympansy.

Klatki małp miały około czterech stóp szerokości i osiem głębokości. Były wysokie, jakby obliczane na wzrost dorosłego człowieka. Brian poczuł się usatysfakcjonowany, widząc bujające się drążki i zabawki dzieciinne – dowody troski o zwierzęta. Niektóre z małp oglądały go z taką samą ciekawością, z jaką on patrzył na nie. W pewnej chwili zwrócił uwagę na jednego z szympansów. Był to mniejszy z nich – miał posturę sześciolatniego dziecka. Siedział w bliższym rogu klatki, opierając się ciężko o siatkę i wydawało się, że spał. Oddychał głośno i z trudem, a jego brzuch był nienaturalnie rozdęty. Miał przy tym znacząco opuchnięte tylne łapy.

Jak się Brianowi zdawało, stan zwierzęcia wskazywał na ostry przypadek zatrzymania płynów. Płuca, nerki, wątroba, serce – przeskakiwał myślą rozmaite elementy, których niewydolność mogła spowodować ten stan, pamiętając o pewnych zaburzeniach hormonalnych, które również dawały podobne objawy.

Obok, oparty o ścianę, stał zmywak na kiju. Brian ujął go za część czyszczącą, wsunął kij przez oczka stalowej siatki i delikatnie szturchnął zwierzę. Bez rezultatu. Nie było żadnej reakcji. Powtórzył manewr odrobinę mocniej, przykładając czubek kija do sterczącego

brzucha szympansa. Zwierzę otwarło powoli kaprawe oko i popatrzyło na niego. Żadnej innej reakcji. Szympans był chory, a nawet umierający. Brian zanotował jego numer widniejący na kartce przymocowanej do klatki – 4386. Potem wrócił do biurka, przy którym Earl czytał komiks w „Heraldzie”.

Zanim spytał o zwierzę, zatelefonował powtórnie do Jacka. Ojciec podniósł słuchawkę po pierwszym sygnale.

–Brian?

–Tak, tato. Dobrze się czujesz?

–Naturalnie. Dzwoniłem, żeby się spytać, kiedy wrócisz do domu.

Brian zamrugał z wrażenia. Jego ojciec, kiedyś jeden z najambitniejszych na punkcie samodzielności mężczyzn, zaczynał się w miarę postępu choroby coraz bardziej poddawać. Brian spotykał się z tym syndromem u wielu pacjentów, ale Jack miał dopiero sześćdziesiąt trzy lata, co oznaczało, że proces jego starzenia się ulega przyspieszeniu. Będąc jedynakiem, Brian zdawał sobie sprawę z konsekwencji tego stanu rzeczy. Trener stawał się w szybkim tempie jego trzecim dzieckiem.

–Chciałem poczekać, aż ruch trochę się zmniejszy – odparł Brian. – Będę o siódmej trzydzieści... najpóźniej o ósmej. Czy coś ci przywieźć?

–Może lody?

–Nie wolno ci jeść lodów, Jack... Do diabła z tym. Słuchaj, będę przed ósmą i przywiozę ci rożek Oreo.

–To świetnie. Z takiego samego ciasta jak na herbatniki, dobrze?

–Załatwione, tato.

Pożegnał ojca i odłożył słuchawkę, zastanawiając się, czym to wszystko się skończy.

–Dziękuję – zwrócił się do Earla. – Serdeczne dzięki. Przy okazji... przyglądałem się jednemu z szympanсів, w klatce numer cztery-trzy-osiem-sześć. Mam wrażenie, że jest chory.

–Bzdura. Stary Jake jest tłusty i leniwy. Nie jest bardziej chory niż któryś z nas.

–Możliwe, ale wydaje mi się, że cierpi na przewlekłe zatrzymanie płynów. Pójdźmy tam, to panu pokażę.

–Nigdzie teraz nie będę chodził. Pójdę do niego przed wyjściem z pracy.

W jego głosie słyhać było wzburzenie.

–Spokojnie – powiedział Brian, starając się zachować pogodę ducha, chociaż czuł wzbierający w nim gniew. – To nie zajmie panu więcej niż minutę. – Wskazał ręką na „Heralda”. – Komiks będzie nadal na tej samej stronie, kiedy wrócimy.

W chwili wypowiedzenia tych słów wiedział już, że dowcipna uwaga stanowiła błąd.

Earl podniósł się chwiejnie i stanął twarzą w twarz z Brianem. Twarz miał purpurową, wykrzywioną złością. Odór alkoholu był silniejszy, niż Brian czuł przedtem.

–Słuchaj – wydyszał Earl. – Powiedziałem ci, że zajrzę do Jake’a, i zrobię to w

swoim czasie. Jesteś ćpunem, prawda? Wszyscy to mówią. Radzę ci: nie wtrącaj się i przestań rozkazywać innym.

Brian był wstrząśnięty. Rozsądek nakazywał mu odejść, nie wywołując konfliktu. A jednak drzemiący w nim quarterback nie mógł się na to zgodzić.

–Earl, jestem wprawdzie nowy, ale pracuję tu na stanowisku lekarza i nie wydaje mi się, że zażądałem czegoś niezwykłego. Powiedz mi tylko, do których doświadczeń używa się tej mały, a ja już sam porozmawiam z prowadzącym badania.

–To są moje zwierzęta. Jeśli trzeba będzie komuś złożyć raport, to ja to zrobię.

–Nie wnikam w twoje kompetencje, ale jesteś po alkoholu – mam wrażenie, że wypiliśmy sporo. Porozmawiam z doktorem Pickardem na temat tego, co się tutaj dzieje.

Earl wojowniczo wysunął podbródek.

–No to zaczynaj – syknął. – Donieś na mnie, komu tylko, kurwa, zechcesz. Założę się, że jeśli to zrobisz, będziesz bezrobotny prędzej, nim uda ci się wymówić słowo „ćpun”. A teraz się stąd wynoś!

Brian opanował się z najwyższym trudem. Następstwa wplątania się w bijatykę z pracownikiem szpitala, po ledwie kilku godzinach pracy, nie były warte wątpliwej satysfakcji. Zacisnął pięści, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Rozdział 8

BOSTON HERALD

Rewelacyjny lek na serce być może zostanie dopuszczony do powszechnego użytku już za parę tygodni

Przedstawiciele bostońskiego Newbury Pharmaceuticals donoszą, że testy eksperymentalnego lekarstwa na serce, przeprowadzone na pacjentach, powodują oczyszczenie zablokowanych tętnic wieńcowych w siedemdziesięciu pięciu procentach. Żądają przyznania swojemu odkryciu statusu lekarstwa ratującego życie, co pozwoli na wprowadzenie leku na rynek bez dalszych doświadczeń.

Przed swoim pierwszym, normalnym dniem pracy Brian spał zaledwie dwie godziny. Z pewnością wolałby lepiej przygotować swój umysł i organizm do przedpołudniowych zajęć w pracowni hemodynamicznej i popołudniowego dyżuru w klinice, ale emocje związane z poprzednim dniem spędzonym w szpitalu nie chciały go opuścić.

„... Donieś na mnie komu tylko, kurwa, zechcesz. Założę się, że jeśli to zrobisz, będziesz bezrobotny prędzej, nim uda ci się wymówić słowo»ćpun«,„

Jezu! Wbrew temu, co sądził Gianatasio, mówiono o nim. Było oczywiste, że chociaż powierzono mu odpowiedzialność za pacjentów – ich leczenie, przeprowadzanie koronarografii i zajęcia w klinice testującej vasclear – w hierarchii BHI zajmował niską pozycję. Pokonanie uzależnienia przywróciło mu jednak pewność siebie. Poczul siłę pozwalającą zmierzyć się z przeciwnościami, z którymi spodziewał się zetknąć w życiu szpitalnym.

Prawda objawiła mu się przed osiemnastoma miesiącami, dzień po przyjeździe do Fairweather Center. Na ścianie przy biurku Lois, wyleczonej narkomanki pełniącej funkcję doradczyni w poradni, wisiały wypisane na tabliczkach dwie dewizy:

CZAS JEST NARZĘDZIEM NATURY,

STWORZONYM PO TO, ŻEBY

WSZYSTKO

NIE ZDARZYŁO SIĘ OD RAZU.

KIEDY MÓWIMY O JUTRZE – BOGOWIE SIĘ Z NAS ŚMIEJĄ.

Brian wlepił wzrok w te słowa, nie rozumiejąc ich przesłania. Nagle Lois trzasnęła linijką w biurko.

–Już dość, doktorze Holbrook – zawołała – czas, żeby pan odpowiedział na pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. W jaki sposób chce pan się wydostać spod tej kupy gówna, która na pana spadła?

Upłynął zaledwie tydzień od momentu, kiedy dwaj agenci Urzędu Antynarkotykowego przyszli do jego gabinetu z kompletnym wydrukiem transakcji dotyczących sprzedaży percocetu i z tuzinem recept wystawionych na różnych członków rodziny Holbrooków, więc Brian był zbyt przestraszony, wytrącony z równowagi i przygnębiony, żeby zastanowić się nad pytaniem. Nie mógł w żaden sposób wiedzieć, że istniała tylko jedna odpowiedź, którą Lois gotowa była zaakceptować, więc już chciał się poddać. Był nieogolony, miał błyszczące, zaczerwienione oczy. W końcu podniósł głowę i powiedział:

–Nie wiem, chociaż chcę za wszelką cenę. Proszę mi pomóc.

Do tej pory nie miał pojęcia, co nasunęło mu tę odpowiedź. Nie zauważył błysku zadowolenia na twarzy doradczyni. Ale od tamtego dnia rozpoczęło się generalne naprawianie jego życia.

Fairweather Center specjalizowało się w leczeniu z nałogu alkoholików i narkomanów – pracowników służby zdrowia. Wielu spośród siedemdziesięciu adeptów, którzy leczyli się tam w tym samym czasie co Brian, było lekarzami. Prawie wszyscy, łącznie z Brianem, musieli przezwyciężyć własną arogancję, nałóg, sposób myślenia – w to miejsce narzucić sobie dyscyplinę i umiejętność wyrzeczeń – wszystko po to, żeby wyzwolić się od uzależnienia. Musieli się nauczyć, między innymi na wykładach z chemii organicznej, że sam rozum i siła woli nie zapewnią trwałego wyleczenia, i że w pierwszej fazie stanowią nawet utrudnienie.

Dla Briana nauki Lois i innych wychowawców były jak pień drzewa, przepływający obok tonącego. Uczepił się go i trzymał z całej siły, nie zastanawiając się, dokąd prąd go poniesie. Innym pacjentom Fairweather zebrania, kuratorzy i poddanie się sile wyższej wydawały się bez sensu. Podczas gdy klócili się, rozumowali i protestowali, pień mijał ich i odpływał. Kilku z nich – ludzi o ogromnej wiedzy i doświadczeniu, mogących dać z siebie tak wiele – już nie żyło.

„W ciągu ostatnich trzech miesięcy prowadziłeś bezpieczny żywot w Fairweather – powiedziała Lois, wręczając mu na pożegnanie plan dalszych zajęć. – Pamiętaj, że

tam, w Massachusetts, czeka na ciebie prawdziwe życie, które może być nieraz okrutne, szczególnie dla doktora nauk medycznych, z twoją przeszłością. To może cię napaść każdego dnia, każdej godziny, każdej minuty. Przetrwaj takie sytuacje, bez względu na to, jak długo będą trwały, bez sięgania po pigułki”.

„... Założę się, że jeśli to zrobisz, będziesz bezrobotny prędzej, nim uda ci się wymówić słowo»ćpun«,„

„... Prawdziwe życie może być nieraz okrutne...”

Brian przeszedł przez poczekalnię szpitala White Memorial. Echo tamtych słów rozbrzmiewało bez końca w jego mózgu. Czuł się wstrząśnięty tym, co zdarzyło się w zwierzętarni poprzedniego wieczoru, ale był spokojny, pewny, że przetrwa wszelkie trudności. Marzył o szansie powrotu do medycyny. Teraz przyszedł moment, żeby ją wykorzystać. Jeśli wykorzystanie szansy miało polegać na nadstawieniu drugiego policzka

draniom pokroju dozorczy zwierzętarni – był na to gotów. Rozpoczynając awanturę, zbyt wiele ryzykował – on sam, a przez niego także ojciec.

Poprzedniego wieczoru Brian wrócił do domu piętnaście po ósmej i zastał Jacka śpiącego w jego fotelu. Sally Johansen, sąsiadka pełniąca dyżur, położyła palec na wargach, a potem wskazała na fiolkę z nitrogliceryną i podniosła trzy palce. Trzy ataki bólu. Brian podziękował jej bez słów, pocałował w policzek i pozwolił odejść. Potem delikatnie zbudził Jacka, żeby dać mu rożek Oreo. Jack pochłonął lody i dał się potulnie zaprowadzić do łóżka, co do tej pory było nie do pomyślenia. Oznaczało to, że się załamywał. Nie można było zwlekać z podjęciem niełatwej decyzji.

Brian położył na podłodze obok tapczanu stertę pism i magazynów medycznych. Mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Włożył dres i poszedł na jogging. Przebiegł trzy mile w balsamicznym, nocnym powietrzu – pierwszy raz od wielu miesięcy. Niełatwo było strząsnąć z siebie wrażenie ze spotkania z Earlem, ale po przebiegnięciu pierwszej mili udało mu się wybiec myślą w marzenia o jaśniejszej przyszłości, kiedy znów będzie miał prywatną praktykę i perspektywę godziwych zarobków.

Wróciwszy do domu, wziął prysznic i pogrążył się w kilkugodzinnej lekturze. Powoli zaczynał go morzyć sen, gdy usłyszał, że Jack jęczy, potem, powłócząc nogami, idzie do łazienki, a jeszcze później wraca do łóżka. Skończył czytać rozdział i podszedł do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje. Jack spoczywał oparty na poduszkach, w ręku trzymał fiolkę z nitrogliceryną.

–Wstałeś, bo cię bolało? – spytał Brian, widząc zaskoczenie ojca.

–Och, nie... może trochę. Wczorajszy dzień nie był najlepszy.

–Dla mnie też – odparł Brian, natychmiast żałując swych słów.

–Co to znaczy? Powiedziałeś mi przez telefon, że nie było żadnych problemów.

–Zgadza się... z wyjątkiem ciebie i tamtego przypadku dusznicy.

–Zawrzyjmy układ – rzekł ojciec, wsuwając pod język tabletkę nitrogliceryny. – Jeśli ty będziesz szczery wobec mnie, ja będę szczery wobec ciebie.

Zamknął oczy i oparł głowę na poduszce, czekając aż środek rozszerzy tętnice wieńcowe i pozwoli na to, żeby do niedotlenionego mięśnia sercowego dopłynęła większa ilość krwi. Po paru minutach zasnął, chrapiąc głośno. Brian jeszcze przez jakiś czas stał nad łóżkiem, patrząc na ojca.

Jak by się to wszystko potoczyło, gdybym wtedy nie zmienił zagrywki, którą zadysponowałeś? – pomyślał.

Brian przybył do pracowni hemodynamicznej po zakończeniu obchodu na oddziale, na którym leżało osiemnastu pacjentów. Oprócz niego w obchodzie uczestniczyli: Phil, kardiolog, dwóch rezydentów, dwóch studentów medycyny i kilka pielęgniarek. Nie zaskoczyło go, że jego dawny przyjaciel okazał się znakomitym pedagogiem i lekarzem z powołania. Spośród tych osiemnastu pacjentów tylko dwoje objęto testami sprawdzającymi działanie vasclearu i chociaż byli poważnie chorzy, oboje znajdowali się w grupie gamma, która – według Phila – niemal na pewno otrzymywała placebo. Rozmowy na temat vasclearu

podczas obchodu, a przede wszystkim informacja o niewystępowaniu skutków ubocznych u pacjentów grupy beta upewniły Briana, że lekarstwo może Jackowi tylko pomóc.

Badanie, przy którym miał asystować Carolyn Jessup, stanowiło rutynowe cewnikowanie serca po osiemnastu miesiącach kuracji vasclearem sześćdziesięciodziewięcioletniej pacjentki, nazwiskiem Nellie Hennessey. Kiedy Brian schodził schodami do sutereny, w mózgu błyskały mu na kształt reklamy neonowej na przemian twarze Earla, dozorczy zwierząt, i dziobatego mężczyzny.

Zanim wszedł do pracowni, spojrział przez korytarz w stronę zwierzętarni. Numer 4386. Czy powinien był wspomnieć komuś o chorobie szympansa, a przy okazji o haniebnym zachowaniu Earla? W sytuacji ledwo co rozpoczętej pracy w Boston Heart odpowiedź na oba pytania brzmiała nie. Jeśli zwróci na siebie zbyt dużą uwagę, to Jack zostanie włączony do grupy objętych testem pacjentów co najwyżej losowo.

Andrew, laborant w pracowni, przebierał się w męskiej szatni w swój strój szpitalny.

–Dzień dobry, doktorze Holbrook – powiedział. – Witamy wśród załogi.

W jego słowach czuło się szczerą życzliwość. Brian podał mu rękę, którą tamten mocno uściskał. Kiedy spotkali się po raz pierwszy przy badaniu Jacka, Brian od razu poczuł do niego sympatię. Teraz zaczynał się wstydzić na myśl, że Andrew, podobnie jak wszyscy inni w szpitalu, prawdopodobnie znał którąś z wersji jego życiorysu. Muszę się do tego przyzwyczaić, pomyślał, przypominając sobie radę Freemana, którą tamten wielokrotnie mu powtarzał: „Przyzwyczaj się, wtedy przestaniesz się przejmować”.

–Mów do mnie Brian – odparł.

–Niech tak będzie. Jak się czuje twój ojciec?

–No cóż, sam widziałeś.

–Tak. Myślę, że przedstawienie, które urządził Randa, nie zniechęciło was do pójścia za jego radą. On już taki jest.

–Szczерze mówiąc, Randa przyczynił się do tego, że staram się umieścić ojca wśród testowanych vasclearem.

–Jaką ma szansę?

–Jeszcze nie wiem. Na przeszkodzie stoi jego pierwotna operacja wszczepienia bypassów.

–To niedobrze. Vasclear jest rewelacyjny. Pani Hennessey, którą zaraz będziemy mieli na stole, była w podobnym stanie jak twój ojciec, zanim rozpoczęła kurację. Zobaczysz, jak teraz wygląda.

–Jeszcze jej nie ma?

–Jest w poczekalni z Jennifer, pielęgniarką z pracowni. Lauren będzie operatorem konsoli. Znasz obie – były tu, kiedy robiliśmy badania twojemu ojcu.

–Jestem gotów.

–Doktor Jessup już przyszła. Widziałem, jak wchodziła do szatni, więc za chwilę powinna się zjawić. Ta pani Hennessey jest bardzo miła, naprawdę.

Brian wszedł do pracowni w chwili, kiedy pomagano Nellie Hennessey przenieść się z wózka na stół zabiegowy. Jej sympatyczna, filuterna twarz wydała mu się znana, ale dopiero

po chwili przypomniał sobie, gdzie ją widział. Była żywą reklamą vasclearu, uwiecznioną na wideo. Pamiętał jej ruchliwe, niebieskie oczy.

–Nellie, spójrz na tych dwóch mężczyzn – powiedziała Jennifer. – Dwa wieżowce. Wyglądają na koszykarzy.

Nellie Hennessey wskazała ręką na Briana.

–Andrew już znam, kochanie – odparła. – Kim jest ten drugi?

–Dopiero do nas przyszedł. Doktor Holbrook. Będzie asystował doktor Jessup przy twoim badaniu.

Nellie skinęła na Jennifer, żeby się nachyliła.

–Wygląda interesująco – oceniła scenicznym szeptem.

–Miło mi panią poznać, pani Hennessey – odezwał się Brian, ściskając jej dłoń. – Widziałem panią już wczoraj, kiedy oglądałem film reklamowy vasclearu.

–Ach, tak – odparła Nellie. – Piętnaście minut mojej sławy. Od kiedy jest pan lekarzem?

–Już od dość dawna. Ale tu jestem nowy. Przez chwilę się zastanawiała.

–Doktor Jessup jest tu najlepsza – oznajmiła w końcu. – Nauczy pana wszystkiego, czego pan jeszcze nie potrafi.

–Dziękuję, Nellie – powiedziała doktor Jessup, wchodząc do pracowni, przygotowana do badania, w czepku i w masce. – Dzień dobry wszystkim. Myślę, że pamiętacie doktora Holbrooka. Brian, dlaczego się nie myjesz? Zaczniemy, kiedy będziesz gotów.

Między szatnią a pracownią było miejsce służące do przygotowań przed zabiegiem. Brian nałożył maskę, nakrycie głowy i przez cztery minuty szorował ręce nad stalowym zlewem. Mimo że wykonał już przynajmniej tysiąc badań koronarograficznych i że dzisiaj miał tylko asystować, serce biło w nim w szalonym rytmie flamenco. Strząsnął wodę z rąk i wrócił do pracowni, gdzie pielęgniarka ubrała go w fartuch i nałożyła rękawice.

–Zaczynamy, ferajna – oświadczyła Carolyn. – Jesteś gotowa, Nellie?

–Już mnie bolą plecy od czekania. Skończmy z tym wreszcie.

–Narzekaj sobie.

Zabrała się do pracy, opowiadając przy tym historię choroby pacjentki.

–Pani Hennessey jest emerytowaną nauczycielką, ma sześćdziesiąt dziewięć lat...

–Sześćdziesiąt osiem i pół – sprostowała Nellie.

–... sześćdziesiąt osiem i pół. Dwa lata temu skierowano ją do mnie z objawami bólu w klatce piersiowej...

–Miewałam bóle w barkach, a czasem bolała mnie szyja – przerwała jej Nellie. – W piersiach na ogół nie. – Jej głos zaczynał się zamazywać.

Doktor Jessup wyczuła dwoma palcami puls tętnicy udowej Nellie i przebijając znieczuloną skórę, wsunęła gładkim ruchem grubą igłę w miejsce tuż pod swoimi palcami. Potem, przez igłę, zaczęła coraz głębiej wprowadzać sondę tętniczną w kierunku lewych jam serca Nellie.

–W towarzystwie Nellie w roli pacjentki – powiedziała – człowiek czuje się, jakby był w szkole. Ze wszystkiego dostaje się stopnie.

–Ciągłe masz u mnie „A”, kochanie – szepnęła Nellie. Jej język i usta były teraz suche

jak pieprz.

–Ten cewnik Ward-Dunlopa jest bardzo poręczny – zauważył Brian.

–Mam nadzieję, że tylko nim będziesz się posługiwał, kiedy sam zaczniesz wykonywać zabiegi.

–Nie mam nic przeciwko temu.

–Kiedy Nellie do mnie przyszła, test wysiłkowy był pozytywny, koronarografia wykazała znacznie zaawansowaną chorobę tętnic wieńcowych. Była doskonałą kandydatką do losowego przydzielenia jej do którejś z grup doświadczalnych w badaniach nad vasclearem. Dobrze się czujesz, Nellie?

Pacjentka miała zamknięte oczy. Oddychała głęboko i regularnie.

–Jennifer, może powinniśmy byli dać jej mniej głupiego jasia. Jeśli ja muszę być przytomna, to niech inni też będą. – Mrugnęła z uśmiechem do pielęgniarki. – Mówiąc serio, spisałaś się doskonale. Jest znakomicie przygotowana... W każdym razie, Brian, objawy choroby Nellie prawie natychmiast znikły i nigdy nie wróciły. To jest jej trzeci i ostatni sprawdzian kontrolny. Potem stanie się byłą pacjentką.

–Którą grupę vasclearu wylosowała?

–Beta. No, a teraz, doktorze, proszę kontynuować. Zamieńmy się rolami. Wprowadź sondę do prawych jam. Kiedy skończysz, znów się zamienimy i wtedy wstrzyknę

kontrast do tętnic wieńcowych. Nellie śpi, więc nie będzie stawiała ci stopni. Pracuj spokojnie i spróbuj mieć z tego satysfakcję.

–Dziękuję.

Brian poczuł się zaskoczony i szczęśliwy, że poprosiła go o coś więcej niż obserwowanie. Stał za plecami Carolyn, żeby zająć jej miejsce przy stole.

–W cewnikach Ward-Dunlopa wszystko działa podobnie jak w tych, których używałeś – wyjaśniła – lecz operowanie manipulatorami jest znacznie uproszczone, a połączenia na końcówkach zatrząskują się po lekkim przekręceniu.

–Imponujące – stwierdził Brian, obserwując wykres ciśnienia i rozchodzenie się kontrastu.

Pielęgniarka Jennifer stała teraz obok niego, patrząc uważnie na Nellie. Kontrolowała ciśnienie krwi i pilnowała dożylną kaniulę.

–Wszystko w porządku? – spytał Brian.

–Aparatura gotowa – odparła.

Brian zrobił parę pomiarów ciśnienia przez sondę, a potem wstrzyknął trochę kontrastu, żeby sprawdzić zastawki – trójdzielną i płucną. Znalazł się w sytuacji, o której już myślał, że nigdy się nie zdarzy – był znów w pracowni hemodynamicznej, co więcej, krok po kroku odzyskiwał umiejętność kierowania własnym losem.

–Wygląda na to, że jesteś zadowolony, kolego – zauważyła doktor Jessup, zajmując pozycję umożliwiającą zbadanie lewej strony serca i tętnicy wieńcowej.

–Czuję się, jakbym jechał rowerem. Ona ma całkiem dobre serce.

–Poczekaj, aż zobaczysz jej tętnice wieńcowe. W filmotece są ich zdjęcia sprzed osiemnastu miesięcy. Filmoteka jest tuż obok, następne drzwi za damską szatnią. Czy służba

bezpieczeństwa podała ci kod zamka?

–Tak.

–To dobrze. W wolnej chwili pójdz obejrzeć zdjęcia Nellie z okresu, zanim zaczęła przyjmować vasclear. Są tam dwie przeglądarki Vangarda. Jedna z nich służy do cofania obrazu.

–Jestem pod wrażeniem – odrzekł Brian. – Taka przeglądarka, o ile pamiętam, kosztuje dwadzieścia tysięcy dolarów.

–Będziesz pod jeszcze większym, kiedy zobaczysz zdjęcia – stwierdziła Carolyn. – Teraz obejrzymy lewą stronę serca i tętnice.

Eksperymentalną sondą Ward-Dunlopa manipulowało się wyjątkowo wygodnie. Widać to było wyraźnie na ekranie.

„Lewe przednie skośne górne... prawe przednie skośne dolne...”

Doktor Jessup podawała kolejne kąty ustawienia, czekała, aż Andrew odpowiednio nakieruje aparat rentgenowski, wtedy wstrzykiwała odrobinę kontrastu i uruchamiała aparat nożnym pedałem. Na jednym z ekranów widać było jasną biel kontrastu, który na krótko wypełniał tętnice wieńcowe Nellie, zanim ulegał przepłukaniu świeżą krwią; drugi ekran ukazywał bicie serca, zawartość tlenu i wysycenie nim oraz inne wskaźniki funkcjonowania organizmu. W oszklonym pomieszczeniu po prawej stronie, gdzie znajdowały się urządzenia pomiarowe, Lauren obserwowała oba ekrany i czuwała nad aparaturą rejestrującą na taśmie wideo kolejne wstrzyknięcia. Po badaniu taśmę przejrzy doktor Jessup i podyktuje raport. Szerokość każdej znaczącej tętnicy i każde jej zwężenie zostanie dokładnie zmierzone przez komputer i zarejestrowane.

–Prawe przednie skośne górne – zarządziła Carolyn, wykonując ostatnie spośród pięciu zdjęć lewej tętnicy wieńcowej. – Teraz niech wszyscy obecni słuchają: jeśli ktoś zna jakikolwiek powód, dla którego ta kobieta i ten cewnik powinni pozostać w świętym związku małżeńskim, niech przemówi w tym momencie... albo nigdy... Ponieważ nikt nie protestuje, przystępuję do usunięcia go.

Carolyn wyjęła sondę z taką samą płynnością i wprawą, z jaką wykonała poprzednie czynności. W tym momencie na ekranie pojawił się krótki ciąg dodatkowych uderzeń serca. Po chwili następny.

Kilka sekund później Nellie jęknęła głośno i otworzyła szeroko oczy.

Zaczęła głośno krzyczeć.

Rozdział 9

–O mój Boże!... Moje piersi, moje piersi...! O Boże, duszę się.

Nellie Hennessey, skomlać żałośnie, obejmowała rękami klatkę piersiową, rzucając się jak ryba wyciągnięta z wody i uderzając barkami i ramionami o kamerę rentgenowską, wciąż usytuowaną tuż nad nią. Na ekranie monitora widać było salwy dodatkowych pobudzeń serca, będące często zapowiedzią całkowitego zatrzymania jego akcji.

Brian nie miał wątpliwości, co się działo. Nastąpił atak serca – całkowite zamknięcie tętnicy wieńcowej. Ale z jakiego powodu? Przed chwilą oglądali jej tętnice, które nie wykazywały nawet śladu miażdżycy. W grę wchodziły dwie możliwości.

–Daj jej morfinę – rozkazała doktor Jessup. – Trzy miligramy, dożylnie. Albo nie, niech będą cztery. Jakie ma ciśnienie?

–Sto osiemdziesiąt na sto dziesięć – zameldowała Jennifer.

–Co o tym sądzisz, Brian?

–To może być skurcz tętnicy wieńcowej – odparł – albo końcówka cewnika ułamała się przy wyciąganiu. Czy to się już kiedyś zdarzyło?

–Nie – powiedziała Carolyn. Brian miał wrażenie, że zbyt szybko. – To znaczy, nie tutaj. Nie w chwili... Nellie... Nellie! Postaraj się leżeć spokojnie. Jennifer, co z tą morfiną?

–Dostała cztery miligramy.

–Zawieś kroplówkę z nitrogliceryną.

–Zaraz to zrobię.

–O mój Boże! – krzyczała Nellie. – Pomóżcie mi!... Błagam, pomóżcie mi!

Brian zdawał sobie sprawę, że jest tylko asystentem, natomiast Carolyn Jessup była profesorem, specjalistą o wieloletnim doświadczeniu. Niemniej życie Nellie Hennessey wisiało na włosku. Przez siedem lat pracował w prywatnym gabinecie o bardzo rozległej praktyce, a przez ostatnie trzy lata był szefem pracowni hemodynamicznej. Jeśli zauważy coś, czego Jessup nie dostrzeże, nie zawaha się i zwróci jej na to uwagę. Na razie panowała całkowicie nad sytuacją. Pomijając jednak sprawę odpowiedzialności, życie Nellie Hennessey było bardzo poważnie zagrożone.

–Dajmy jej siedemdziesiąt pięć miligramów ksylokainy na te dodatkowe uderzenia

serca – zdecydowała Carolyn. – Nellie, proszę cię, spróbuj leżeć spokojnie. Andrew, pokaż mi dolne LPS. Muszę zobaczyć, czy końcówka cewnika nie ułamała się i nie zaklinowała w tętnicy.

Andrew posterował elektronicznie kamerą, żeby ustawić ją w lewej przedniej skośnej pozycji. Nellie, zapewne dzięki morfinie, uspokoiła się, ale ciągle jęczała z bólu. Doktor Jessup uruchomiła nożnym pedałem kamerę fluoroskopową.

–Jest – zawołał Brian.

Inni zdolali dojrzeć odłamek dopiero po pewnym czasie. Na czarnym ekranie rysował się cienką, białą linią, długą na jeden cal. Opierał się o górną część mięśnia sercowego i poruszał przy każdym uderzeniu serca.

–Co o tym myślisz? – spytała doktor Jessup. – Lewa główna?

–Trudno powiedzieć, ale chyba tak.

Było niemal pewne, że końcówka cewnika ułamała się, pozostając w lewej głównej tętnicy wieńcowej, zwanej Matką Wdów.

–Lauren, zadzwoń na oddział operacyjny. Niech zbiorą zespół sztucznego płucoserca i zawołają chirurga. Może się bez nich obędziemy, ale chcę, żeby byli w pogotowiu.

–Jezu słodki, nie mogę oddychać – płakała Nellie. – Zróbcie coś... pierś mi pęka...! Proszę, na miłość boską, zróbcie coś!

Jej bezustanne krzyki podsycaly atmosferę napięcia panującego w pracowni. Brianowi imponowało, że zespół mimo to pracuje sprawnie. Napotkał przelotnie wzrok Andrew. W oczach technika dostrzegł zmartwienie, nieudolnie zamaskowane pozorami obojętności.

–Jennifer, jeśli ciśnienie jest w porządku, daj jej jeszcze dwie jednostki morfiny.

–Zrobione.

–Brian, co myślisz o intubowaniu? Potrafiłbyś to zrobić?

–W czasie pierwszych lat praktyki pracowałem na nocnych dyżurach w pogotowiu. Jeśli anestezjolog jest w tej chwili nieosiągalny, dam sobie radę.

–Lauren, wezwij pagerem anestezjologa. Andrew, przygotuj wszystko do intubacji. Upewnij się, czy pompa przy rurze działa prawidłowo. Nellie, wytrzymaj jeszcze chwilę. Słyszysz mnie? – Nellie skinęła głową z wysiłkiem. – Dobrze. Teraz posłuchaj.

Kawałek sondy, której używaliśmy, odłamał się i blokuje przepływ krwi. Musimy go wydobyć. Rozumiesz...? Dobrze. Kiedy go wyciągniemy, poczujesz się znacznie lepiej. Powiedz mi, kto cię tu przywiózł?

–Moja... córka.

–Muszę z nią porozmawiać. Gdyby ból narastał, powiedz o tym doktorowi Holbrookowi. Da ci więcej środka uśmierzającego. Andrew, potrzebny mi cewnik pętlowy Microvena. Podaj mi szybko!

Cewnik stanowił pętlę z drutu, przesuwającą się wewnątrz właściwej sondy. Manipulowało się nim za pomocą języczka spustowego. Nawet w najlepszych warunkach trudno było nim operować. W wypadku Nellie, która nie potrafiła uleżeć spokojnie dłużej niż piętnaście, dwadzieścia sekund, w dodatku przy bezustannych ruchach ułamanego fragmentu, poruszanego każdym uderzeniem serca, wyjęcie tego maleńkiego kawałka rurki stanowiło nie lada problem.

Brian podziwiał spokój, z jakim Carolyn zabrała się do pracy. Kiedy jednak dwie pierwsze próby złapania pętlą rurki nie powiodły się, usłyszał w jej głosie coraz wyraźniejsze oznaki zmęczenia. Oczy jej się zwężyły. Potrząsnęła ręką, żeby dać odpocząć mięśniom.

Atak serca Nellie rozwijał się coraz bardziej. Duża część mięśnia w przedniej części serca otrzymywała bardzo mało krwi lub nawet wcale. Na zmniejszony dopływ tlenu mięsień reagował bólem, który można było porównać ze ściskaniem serca w imadle, oraz zaburzeniami przewodzenia bodźców elektrycznych, powtarzającymi się sekwencjami dodatkowych skurczów. Na razie nie było jeszcze trwałego uszkodzenia, ale mogło nastąpić w każdej chwili, z pewnością nim zdołaloby się ją przetransportować na blok operacyjny.

Gdyby zaś dwa przedwcześnie skurcze wystąpiły jednocześnie, serce znalazłoby się w stanie elektrycznie obojętnym – jego akcja ustałaby całkowicie... Brian starał się nie myśleć o takiej ewentualności.

Jessup spróbowała po raz trzeci... czwarty. Zaciskała pięści ze zdenerwowania.

–Lauren, czy przygotowali już stół operacyjny?

–Jeszcze nie.

–Ciśnienie spada – powiedziała cicho Jennifer.

Carolyn Jessup przygotowała cewnik pętlowy do następnej próby. Spojrzała na Briana. Wyraz jej oczu zdradzał znużenie i klęskę, zdawał się mówić, że jedyną nadzieją pozostało to, iż zespół operacyjny zdoła się zebrać, zanim serce Nellie

zatrzyma się na zawsze. Ale do czasu kiedy Nellie powędruje na blok operacyjny i zostanie podłączona do sztucznego płucoserca, należało stoczyć jeszcze jedną bitwę: o utrzymanie serca w jak najlepszym stanie. Szansa na przetrwanie tego czasu bez poważnego uszkodzenia mięśnia malała z każdą sekundą. Co gorsza, z tą samą szybkością malała szansa uratowania życia Nellie.

–Pomóżcie... proszę... pomóżcie... Nellie jęczała już nieustannie.

Brian obejrzał jej oczy i stwierdził maksymalne zwężenie źrenic. Następne dawki morfiny byłyby ryzykowne. Spadek ciśnienia krwi pod wpływem narkotyku lub zahamowanie oddychania jeszcze bardziej pogorszyłoby sytuację.

–Masz jakieś pomysły? – spytała cicho Carolyn.

–Tylko jeden – odparł Brian. – Spróbuj zamiast pętli użyć szczypczyków do pobierania wycinków.

–Czego?

–Andrew, czy są tu gdzieś szczypczyki BIPAL?

–Chyba tak.

–Używałem ich wiele razy przy pobieraniu wycinków wsierdza. Mają na końcu dwa małe ostrza do pobierania próbek tkanki. Spróbuję złapać tymi ostrzami końcówkę cewnika.

–Znalazłem szczypczyki – zawołał Andrew.

–Zrób to, proszę – szepnęła doktor Jessup, odsuwając się na bok, żeby zrobić miejsce Brianowi.

–Telefonują z bloku operacyjnego – oznajmiła przez interkom Lauren. – Są gotowi.

Jessup zawahała się. Jeszcze jedna nieudana próba pochłonie więcej czasu, niż, być może, pozostało Nellie, natomiast operacja dawała jej przynajmniej pewną szansę. Na kilka sekund w pracowni zaległa kompletna cisza.

–Brian, musiałam chwilę pomyśleć – powiedziała w końcu. – Potrafiłbyś to zrobić?

Brian spojrział w dół na Nellie Hennessey, która leżała z zamkniętymi oczami, jęcząc cicho. Po jej policzkach toczyły się łzy bólu. Podobnie jak Carolyn, zdawał sobie sprawę, że najgorsze zbliża się błyskawicznie. Jeśli blokady nie usuną natychmiast, Nellie w najlepszym wypadku zostanie do końca życia osobą ciężko chorą na serce.

–Spróbuję – odparł.

–No to do roboty.

Brian odetchnął głęboko, żeby się uspokoić, i zaczął wprowadzać szczypczyki przez tętnicę ku odłamanej końcówce. W ciągu swojej praktyki lekarskiej spędził niezliczone godziny na studiowaniu podręczników i modeli serca, asystowaniu przy operacjach i na badaniach w pracowniach hemodynamicznych. Mimo że na ekranie widział tylko płaski obraz, doświadczenie pozwalało mu widzieć serce Nellie w trzech wymiarach, dzięki czemu mógł skutecznie kierować końcówką przyrządu.

„Komisja do spraw Rejestracji i Specjalności w Medycynie postanawia zawiesić pańskie prawo do wykonywania zawodu na okres...”

Dziwnym zbiegiem okoliczności wspomnienie tych słów przemknęło przez umysł Briana w chwili, kiedy zamykał końce szczypczyków. Na ekranie monitora dało się zauważyć drgnięcie odłamka.

–Zdaje się, że go chwyciłeś – pólszepem stwierdziła Jennifer.

Brian ostrożnie, bardzo powoli, wycofywał przyrząd. Przez moment zdawało się, że odłamek o coś zahaczył, ale zaraz się przesunął, co oznaczało, że jest uchwycony przez szczypce. Kawalek po kawaleczku Brian wycofywał instrument z lewej tętnicy wieńcowej, przez łuk aorty i dalej w dół. Natychmiast dało się zauważyć reakcję – z ekranu zniknęły niebezpieczne, przedwczesne skurcze serca. Nellie przestała jęczeć, zanim jeszcze odłamek został wydobyty z jej pachwiny.

–Boże – westchnęła – już mi lepiej. Coraz mniej mnie boli.

Wszyscy odetchnęli z ulgą. Radość Briana była większa niż z jakiegokolwiek triumfu na boisku.

„Postanawia zawiesić pańskie prawo do wykonywania zawodu...”

–Dzięki ci, Boże – wymruczał Brian pod maską.

–Lauren – odezwała się Jessup z błyskiem w oczach. – Zadzwoń do Chirurgów i powiedz im, że nie będą potrzebni.

Rozdział 10

Dochodziła druga, nim Carolyn Jessup zdołała znaleźć wolną chwilę, żeby, spełniając prośbę Briana, spotkać się z nim. Była zrelaksowana i jak zwykle elegancka, w szarym, bawełnianym kostiumie i białej bluzce. Czarne włosy zaczesana gładko do tyłu i zawiązała w węzeł. Jej gabinet był okazalszy niż gabinet Pickarda – jedną ścianę zajmowały od podłogi do sufitu półki z książkami, drugą rozmaite świadectwa, dowody uznania, dyplomy, zdjęcia w towarzystwie wybitnych osobistości i listy dziękczynne. Briana zdziwiło, że nie było żadnych fotografii rodzinnych ani z jakichkolwiek wakacji. Mając jednak ważniejsze sprawy na głowie, nie myślał o jej osobowości. Jeśli będzie trzeba, dowie się o niej wszystkiego z *Kto jest kim w amerykańskiej medycynie*.

Usiadł w niskim, skórzanym fotelu naprzeciw biurka. Jakieś ważne sprawy nie pozwoliły Jessup spotkać się z nim wcześniej, po szczęśliwym uratowaniu Nellie. Dopiero teraz mogła dać wyraz swojemu zadowoleniu. Utkwiła w nim brązowe oczy i oznajmiła:

–Jesteś tu zaledwie parę dni, a już zrobiłeś furorę. Brian wykonał ręką gest wskazujący na jego wzrost.

–Trudno mnie nie zauważyć – odparł.

–Czy zawsze chciałeś być lekarzem?

–Nie. Od dzieciństwa chciałem być zawodowym futbolistą, chociaż lubiłem naukę. Kiedy roztrzaskałem sobie kolano podczas meczu, postanowiłem zacząć robić w życiu coś pożytecznego, więc poszedłem na medycynę.

–Rozumiem. W tym szpitalu jest dwoje pacjentów, którzy powinni być ci szczególnie wdzięczni z powodu takiej decyzji. Ja również.

–Miło mi. Ja też ci dziękuję za to, że mi zaufałaś w pracowni.

Nie wspomniał o Jacku i vasclearze, mając nadzieję, że Carolyn sama poruszy ten temat.

–W rzeczywistości – odparła – to nie była wyłącznie kwestia zaufania. Sądzę, że Nellie nie przeżyłaby, gdybyśmy musieli posłać ją na operację. To była kwestia: zwyciężyć lub zginąć – albo nam się uda, albo Nellie umrze. Prawdę mówiąc, nie wierzyłam, że uda ci się wyciągnąć odłamek. Natomiast przypuszczam, a przynajmniej mam nadzieję, że nie chciałeś się ze mną zobaczyć po to, żeby usłyszeć ode mnie, jak wielkiej rzeczy dokonalesz.

–Nie, chociaż miło mi to słyszeć. Chciałem porozmawiać o Jacku.

–Doskonale. Zaraz to zrobimy. Ale jest coś, o czym powinieneś wiedzieć, a czego nie powiedziałam ci przed wyjściem z pracowni.

–Słucham?

–Boston Heart zajmuje się oceną leków i przyrządów medycznych na prośbę rozmaitych firm. Czasem jesteśmy jednym z wielu ośrodków współpracujących z sobą, czasem zaś odpowiadamy samodzielnie za wyniki badań. W każdym wypadku gra toczy się o dużą stawkę – dziesiątki, a nawet setki milionów dolarów. Personel, wyposażenie, pensje badaczy, pensje wykładowców, twoje uposażenie – to wszystko pochodzi z funduszków na badania i rozwój.

–To jasne – rzekł Brian, zastanawiając się, do czego Jessup zmierza.

–Dobrze. Jedną z dyrektyw ustanowionych przez doktora Pickarda i jego poprzednika jest to, że wszystkie problemy związane z testowanymi produktami mogą być zgłaszane wyłącznie doktorowi Pickardowi albo mnie. Ocena sytuacji i decyzja co do dalszych działań należy do nas.

Brian poczuł napięcie w mięśniach.

–Rozumiem – wybąkał.

–Personel pracowni hemodynamicznej, oddziału i całej kliniki wie, że dyskusje na temat naszych kłopotów z kimkolwiek – w instytucie lub na zewnątrz – stanowią podstawę do zwolnienia. Nasz system raportowania ma bardzo racjonalne podstawy. Bardzo często producent jest w stanie usunąć błędy związane z jakimś lekarstwem lub przyrządem w ciągu paru tygodni. Jeśli zaś biurokraci z Waszyngtonu lub z Instytutu Żywności i Leków w Rockville przyczepią się do czegoś, to sprawa może toczyć się latami. Cały personel kliniki zna naszą politykę. Nie wiem, czy ktoś cię o tym poinformował.

Brianowi spadł kamień z serca.

–Do tej pory jeszcze nikt.

–Rozmawiałeś z kimś na ten temat?

–Opowiedziałem Philowi Giatanasiowi o tym, co się stało. Znamy się od czasu, kiedy byliśmy rezydentami.

–Słyszałam. Z Philem nie ma kłopotów. Jest jednym z najlepszych, najbardziej lojalnych pracowników. Ma u nas stały etat.

–Zachowa to dla siebie. Ale... jest pewien szkopał. Zawsze byłem trochę zwariowany na punkcie nieodkładania roboty na później, zwłaszcza papierkowej. Nagrałem na dyktafon sprawozdanie z badania, nim jeszcze zdjąłem strój operacyjny. W sprawozdaniu zawarłem uwagi o złamanej końcówce cewnika i o jej wydobyciu, ale nie wspomniałem, że to ja operowałem szczypcami BIPAL.

–Nie ma problemu – odparła. – Kiedy otrzymasz kopię nagrania, przyślij ją do mnie. Podyktuję ją na nowo, więc nie musisz się już o to martwić.

Brian czuł się fatalnie z powodu, którego jeszcze nie zdradził. Zastanawiał się, czy upozorować przeoczenie i po prostu nie poinformować jej o tym, co dodatkowo zrobił. Wiedział, że reperkusje jego kroku powrócą wcześniej czy później, co może zakończyć jego karierę w BHI.

–Muszę się przyznać do czegoś jeszcze – powiedział. Twarz doktor Jessup zastygła w oczekiwaniu.

–Do czego?

–Kiedy skończyłem nagrywać, zauważyłem leżącą na biurku stertę formularzy Straży Medycznej Instytutu Żywności i Lekarstw. Chcąc doprowadzić sprawę do końca, wypełniłem jeden formularz i wysłałem.

Spostrzegł, że mięśnie twarzy Carolyn stwardniały.

–Składanie takich meldunków nie jest obowiązkowe – stwierdziła.

–Wiem. Zawsze zdawałem sobie sprawę, że lekarze są zbyt zajęci albo zbyt leniwi, żeby

informować o większości problemów dotyczących lekarstw i innych produktów. Sam nie byłem lepszy.

To było bardzo nierozsądne.

Brian nie miał pewności, czy słowa te wypowiedziała Jessup, czy zrodziły się w jego wyobraźni.

–Gdzie jest koperta? – spytała.

–Jaka koperta?

–Koperta z twoim raportem dla Straży Medycznej – mówiła oschłym tonem. – Wysłałeś ją?

–Ja... tak. Wrzuciłem ją do skrzynki na pocztę szpitalnej, po wyjściu z pracowni.

Jest mi ogromnie przykro. Gdybym wiedział...

Jessup już była przy telefonie, prosząc operatora o połączenie z oddziałem poczty. Czekala kilka minut, unikając spojrzenia na Briana, potem z rezygnacją odłożyła słuchawkę.

–Listy zostały już wybrane – powiedziała apatycznie. – Mamy umowę z firmą Ward-Dunlop, że gdyby były jakieś problemy z cewnikiem, poinformujemy tylko ich, dając im możliwość poprawienia błędów. Taki jest nasz styl prowadzenia interesów. Pod koniec roku urządzenie to ma zostać zatwierdzone do powszechnego użytku. Najpóźniej w styczniu będą je stosowały szpitale na całym świecie.

Ale ono ma wadę, pomyślał Brian. Carolyn wspominała o podobnym niepowodzeniu w innym szpitalu.

Doktor Jessup jakby czytała w jego myślach, bo nieco złagodniała.

–Brian, wiem, że chciałeś dobrze, a ja całkowicie się zgadzam z lekarzami starającymi się obronić pacjentów przed szkodliwymi lub niebezpiecznymi produktami i lekarstwami. Ale jest inny sposób, żeby to osiągnąć... lepszy, efektywniejszy i z pewnością tańszy niż opieranie się na najbardziej niekompetentnej, doszczętnie zbiurokratyzowanej instytucji rządowej. To, co nas spotkało w pracowni, stanowiło prawdopodobnie konsekwencję przypadkowego defektu w pojedynczym przyrządzie, a nie było wynikiem błędu projektowego.

–Rozumiem. Obiecuję, że to się nie powtórzy.

–Mam nadzieję. Ludzie z firmy Ward-Dunlop postarają się zminimalizować wagę twojego raportu. – Zajrzała do kalendarzyka, zerknęła na zegarek i spytała: – Mamy jeszcze coś do omówienia?

Brian nie miał złudzeń, że była rozgniewana.

–Chciałbym porozmawiać o ojcu.

–Ach, tak. Zdaje się, że odżył po lekarstwach, które zaordynowałam.

–Mam wrażenie, że jego stan jest bardzo niewyrównany. Czuje się kiepsko. Po obejrzeniu wyników Nellie jeszcze bardziej chciałbym, żeby Jack mógł być leczony vasclearem.

–Jemu trzeba chirurga, Brian.

–Mój ojciec ma hobby obstawiania różnych zakładów. Daj mu siedemdziesiąt pięć procent szans, które miała Nellie, kiedy rozpoczynała kurację vasclearem, a on z całą

pewnością wybierze ten lek, a nie operację.

–Brian, słuchaj. Jestem jego lekarzem i zalecam powtórzenie bypassów. Czy to do ciebie dociera?

–Obiecałaś porozmawiać z doktorem Weberem.

–Nie miałam czasu. Poza tym on jest bardzo kateryczny w kwestii badań. Wiem, że powie, iż nie przyjmujemy pacjentów po wszczepieniu bypassów.

–Czemu nie stworzycie takiej grupy?

–Nawet gdybyśmy go przyjęli, podlegałby losowaniu, podobnie jak wszyscy inni pacjenci. To dałoby mu trzydzieści trzy procent szans wylosowania pożądaney grupy.

–Nellie Hennessey miała takie same szanse i zobacz, do czego doszła. Chcę, żeby ojciec wyzdrowiał, ale nie chcę, żeby cierpiał tak jak po tamtej operacji.

–Doktor Randa, pomijając ujemne strony jego osobowości, jest o niebo lepszy od doktora Clarkina.

–Jestem pewien, że Randa również nie jest bezbłędny.

–Boże, ależ jesteś uparty. Coś ci powiem. Doktor Weber miał wyjechać, ale sądzę, że zdążył już wrócić. Będziesz po południu gdzieś w pobliżu?

–Będę miał dyżur w klinice.

–Dobrze. Zrobię, co się da, w zamian za to, co ty zrobiłeś dla Nellie. Porozmawiam z nim i skontaktuję się z tobą w klinice.

–Bardzo mi na tym zależy.

–Nie będzie dalszych raportów do FDA?

–Nie będzie.

–Doskonale. Na razie to wszystko.

Brian wstał, żeby odejść. Po sekundzie odwrócił się w stronę Carolyn.

–Powiedziałaś, że jestem uparty.

–Tak.

–Mam to po ojcu.

Rozdział 11

Pomnik Iwo-jimy wznosi się nad Potomakiem w sąsiedztwie cmentarza Arlington. Doktor Alexander Baird wsiadł, zgodnie z instrukcją, do wysłanej po niego limuzyny, posłuchał kierowcy, gdzie ma wysiąść, i powędrował obok imponującego monumentu do określonej ławki. Tam, odseparowany szpalerem zieleni od ścieżek i chodników, usiadł i czekał.

Normalnie zaczynał dzień o szóstej, udawał się na jogging ulicami Georgetown, potem jadł przygotowywane przez żonę śniadanie. Dzisiaj, ku własnemu niezadowoleniu, musiał zrezygnować z obu przyjemności, żeby pojechać wcześniej do biura w Rockville. Przez cały rano przeglądał stertę raportów na temat vasclearu.

Była pierwsza po południu. Poza nielicznymi biegaczami park wydawał się wyludniony. Słońce roziskrzało pomniki Jeffersona i Lincolna po drugiej stronie rzeki i odbijało się od kopuły Kapitolu. Siedziba Senatu z tej odległości wydawała się nieskazitelnie biała. Lecz Baird doskonale wiedział, że dać się uwieść wielu aspektom miasta – jego prezencji, potędze, celowości istnienia – byłoby tym samym, co ulec hipnozie pod wpływem piękna, symetrii i płynności ruchów kobry.

Od przesłuchania przed komitetem nadzorczym Waltera Loudermana upłynęły cztery dni. W tym czasie Baird, zgodnie z obietnicą, wzmocnił grupę Teri Sennstrom, odrywając trzech kontrolerów od ich programów i polecając im zająć się raportami na temat vasclearu i wyników cewnikowania. Okazało się jednak, że Louderman, podobnie jak inni senatorowie, nie miał zaufania do nikogo prócz siebie.

Zaczęły krążyć plotki, że jakieś większe firmy farmaceutyczne, bardziej znane niż Newbury, wywierały nacisk na Bairda, żeby, dopóki się da, nie dopuszczał vasclearu do powszechnego użytku, podczas gdy naukowcy tych firm pracowali nad preparatem różniącym się pod względem składu chemicznego od vasclearu, ale o podobnym działaniu i efektywności. Równocześnie w popularnych magazynach całego świata zaczęły się pojawiać artykuły pełne zachwytów nad wynikami cudownego lekarstwa, wyliczające straty spowodowane liczbą zgonów i wydatkami na opiekę zdrowotną wskutek przetrzymywania vasclearu w magazynach firmy Newbury. „Źródło wiecznej młodości zredukowane do strumyczka” – brzmiał tytuł artykułu w jednym z nowojorskich brukowców.

Gdyby ludzie Loudermana prowadzili jego kampanię prezydencką równie efektywnie jak kampanię vasclearu, powtórna elekcja urzędującego prezydenta byłaby niepewna. Prasa porównywała nowy środek z AZT, lekarstwem przeciw AIDS, co spowodowało lawinę listów do redakcji i do członków Kongresu, listów, w których domagano się, żeby Instytut przyznał „zbawicielowi” serc amerykańskich taki sam priorytet jak leкови przeciw „zarazie”, jak niektórzy agnostyczni protestujący

nazywali boży wirus.

Publiczny efekt kampanii nie mógł być lepszy. Nawet niezainteresowani wiedzieli teraz, że AZT został zarejestrowany w 1987 roku, po niecałych dwóch latach badań klinicznych i trzech miesiącach sprawdzania przez FDA. Mimo że Alexander Baird zajmował się wówczas

uczeniem studentów medycyny w Missouri, został napiętnowany za rozpatrywanie sprawy vasclearu w sposób dalece odbiegający od pospiesznego trybu zatwierdzania tamtego środka. Wynik był taki, że zadzwonił szef personelu Białego Domu, Stan Pomeroy, żeby umówić się z Bairdem na spotkanie.

Baird przetarł zmęczone oczy, patrząc z zazdrością na dwóch sportowców, biegnących lekko ścieżką z lewej strony. Panowała opinia, że sprawił się doskonale, przywracając Instytutowi dawne zaufanie społeczeństwa. Presja polityczna wydawała się dążyć do zatuszowania sukcesów, jakie odniósł podczas pierwszych dziewięciu miesięcy kierowania Instytutem. Jediną bronią, którą mógł przeciwstawić atakom, była jego własna intuicja i wiara w wartość badań naukowych.

–Nad czym tak się zamyśliłeś?

Stan Pomeroy usiadł na ławce i podał mu rękę. Baird uściśnił ją serdecznie. Pomeroy był pierwszym czarnym szefem personelu Białego Domu. Cieszył się ogólnym autorytetem w mieście, w którym prawdziwe poważanie było zjawiskiem niezwykle rzadkim. Swego czasu, kiedy Baird zwlekał z odpowiedzią na propozycję „wskoczenia” do tygla FDA, Pomeroy osobiście poleciał do Missouri, żeby go przekonać.

–Nad czymś, co mogłoby dopiero wyjaśnić poznanie tajemnicy życia – odparł Baird.

–To ci może zająć sporo czasu.

–Nie szkodzi. Na razie odłożę sprawę do wieczornej kąpieli.

–Dziękuję ci, że zgodziłeś się na spotkanie w takich okolicznościach.

–Czy miałem alternatywę? Pomeroy wzruszył ramionami.

–Zawsze miałeś alternatywę. Powiedziałem ci to, kiedy prosiliśmy cię, żebyś pokierował FDA. Prezydent zdawał sobie sprawę, jak niewdzięczna, kontrowersyjna praca cię czeka. Wiedział o tym wówczas i wie obecnie. Jesteś szefem.

Mówi do mnie, jakbym był prezydentem Stanów Zjednoczonych, przemknęło przez myśl Bairdowi. Ten człowiek potrafiłby przekupić nawet olbrzymiego goryla.

–Doceniam to, Stan – odparł.

Pomeroy otworzył walizeczkę i wydobył z niej teczkę pełną wycinków prasowych. Pobieźny rzut oka zorientował Bairda, że pochodzą z całego świata.

–Czytałeś je?

–Większość z nich.

–Co o tym myślisz?

–Mogę ci tylko powiedzieć, że przeglądając nawet pobieżnie prasę, znajdzie się dziesiątki, a nawet setki artykułów z wiadomościami o przełomie w poszukiwaniach lekarstwa na raka albo na choroby serca, albo na Alzheimerera, albo na AIDS. Społeczeństwo jest spragnione dobrych wieści dotyczących wszelkich chorób, ale najbardziej tych, które wymieniłem. Przeciek informacji do prasy jest formą wymuszenia, stosowaną przez badaczy w celu uzyskania większych funduszy. Tego samego sposobu używają firmy farmaceutyczne w celu wywarcia wpływu na opinię publiczną. Sęk w tym, że eksperymetatorzy i firmy farmaceutyczne wylewają swoje skargi przed prasą brukową, zamiast uprzednio oddać własne produkty do badań naukowcom, gdyż zdają sobie sprawę, że ich wytwory nie zniosłyby

dokładnej kontroli.

–Czy ten preparat odpowiada waszym kryteriom, Alex?

Baird milczał przez chwilę, potem popatrzył na odległe miasto i odparł:

–Trzeba przyznać, że dotychczasowe rezultaty są imponujące. Pacjenci drugiej fazy zostali losowo podzieleni na trzy grupy, po mniej więcej dwieście osób w każdej. Jedna z grup osiąga znacznie lepsze wyniki niż dwie pozostałe, z których jedna ma z kolei znacznie gorsze wyniki niż druga.

–Więc w czym tkwi problem?

–Sam nie wiem, Stan. Coś mi mówi, żeby uważać. Firma nazywa się Newbury Pharmaceuticals, ale jest nowa. Przed vasclarem produkowali tylko witaminy i parę powszechnie znanych leków. Pamiętaj, że FDA nie ma środków z budżetu ani kapitału, żeby móc prowadzić własne badania naukowe albo kliniczne. Jesteśmy w stanie oceniać produkty tylko według danych przedstawionych nam przez producentów. Im lepiej znamy firmę i jej metody badawcze, tym bardziej możemy ufać, że to, co nam mówi, jest całą prawdą. Prócz tego mam pewne podejrzenia co do samego preparatu.

–Jakie?

–Środek wydaje się aż za dobry. Może jestem tylko przestraszony ogromem możliwości tego lekarstwa, które ci ludzie powierzyli nam do oceny; przestraszony tym, że coś może być z nim nie tak. Jak dotąd wiemy tylko o spektakularnych wynikach, świadczących o przełamywaniu śmiertelnej choroby przy minimalnych skutkach ubocznych lub nawet całkowitym ich braku. W normalnym stanie rzeczy nasi statystycy pytają producentów, jaka jest przewaga korzyści nad ryzykiem, starając się ocenić, czy sumaryczne sukcesy warte są strasznych nieraz skutków ubocznych leku. Jeśli chodzi o vasclear... zakładając, że to, co nam przedstawiono, stanowi pełny obraz sytuacji... nie ma niczego do zakwestionowania. Jedyną negatywną cechą preparatu, o której się mówi, jest to, że nie działa na wszystkich. Około dwudziestu pięciu procent pacjentów grupy beta, to jest tej, która, jak przypuszczam, otrzymuje większą dawkę leku, nie wykazuje żadnej poprawy. Z drugiej strony każde lekarstwo przynoszące przy minimalnych skutkach ubocznych dobre wyniki u siedemdziesięciu pięciu procent osób leczonych wyniosłoby producenta na farmaceutyczny Olimp.

–Powtórzę pytanie, Alex. W czym tkwi problem?

Baird westchnął i przesunął rękami po skroniach.

–Może nie ma żadnego. A jednak dane, które nam przedstawiono, obejmują tylko dwa lata testów na sześciuset pacjentach. Gwarantuję ci, że w ciągu paru dni od zatwierdzenia vasclearu zaczną go używać dziesiątki tysięcy ludzi. W ciągu paru miesięcy będą ich już setki, a może miliony. To nie jest maść na świerzb, Stan. To lekarstwo, na które wszyscy czekają, lekarstwo, które może zmienić cały cywilizowany świat, stwarzając wielu ludziom możliwość cieszenia się życiem przedłużonym o lata... nawet o dziesiątki lat.

–Taki jest punkt widzenia prezydenta.

–Ale przetestowano tylko sześciuset pacjentów.

–Czy sprawdzacie skutki uboczne nowych produktów?

–Naturalnie. Lecz raporty i programy kontroli są nieobowiązkowe i przeważnie dziurawe, a ten lek będzie niczym uciekający pociąg. Jeśli raz wyrwie się na wolność, jeśli ciężarówki wyjadą z magazynów... a równocześnie lekarstwo przyniesie szkodliwe skutki, objawiające się dopiero po dłuższym czasie... to zanim zdołamy czemukolwiek zapobiec, powstaną ogromne szkody.

–Do tej pory nie było żadnych szkód.

–Nie.

–Czy doświadczenia są prowadzone starannie?

–Na podstawie tego, co wiemy, to tak. Jeden z naszych najlepszych pracowników zajmuje się sprawdzaniem danych, przedstawionych przez Newbury Pharmaceuticals. Nazywa się Teri Sennstrom. Wiesz, o kim mowa?

–Chyba tak. Młoda, jasne włosy, dość przystojna?

–Tak, chociaż naraziłbyś się wielu mężczyznom tym „dość”. Jest bardzo inteligentna i dokładna.

–Czy jeździła do Bostonu, żeby przyjrzeć się na miejscu doświadczeniom i spotkać z ludźmi, którzy je prowadzą?

–Raz, ale to było dawno temu.

–Nie zamierzasz jej znów posłać? A może sam pojedziesz, jeśli to miałoby ci ułatwić podjęcie decyzji.

–Mówisz o decyzji co do zatwierdzenia leku?

Pomeroy wyczuł, że Baird jest wzburzony. Usiadł na ławce tak, żeby móc lepiej widzieć twarz dyrektora FDA. Wyraz jego oczu odpowiadał napięciu w głosie.

–Alex, gdyby to nie było dla nas takie cholernie ważne, nie byłoby mnie tutaj.

–Kiedy zgadzałem się objąć tę funkcję, przyrzekłeś mi całkowitą niezależność w zarządzaniu Instytutem.

–W dalszym ciągu tak jest.

–Czyżby? W takim razie dlaczego czuję się jak foka prezydenta, zonglująca na nosie jego pieczęcią?

Pomeroy uśmiechnął się na to porównanie, po czym jeszcze intensywniej wpatrzył w oczy Bairda.

–Powiedz mi coś, Alex, ale całkiem szczerze. Gdybyś w tej chwili miał bóle w piersiach, co byś wybrał... vasclear czy operacyjne wszczepienie bypassów? Wiedząc tyle, ile wiesz w tym momencie...

Pytanie było hipotetyczne i nie całkiem fair. Pomeroy nie próbował tego ukryć. W rzeczywistości pytał o to, ile trzeba doświadczeń i ile danych na temat lekarstwa należy zgromadzić, zanim można powiedzieć „wystarczy”. Dla zręcznych manipulantów dane statystyczne były równie podatne jak plastelina.

„Podaj mi liczby – powiedział mu kiedyś jeden ze zdolnych statystyków w FDA – a ja z nich zrobię takie wyniki, jakie tylko będziesz chciał, bez żadnego oszukiwania. To

zależy wyłącznie od tego, które testy bierze się pod uwagę, a które się pomija”.

Baird milczał, patrząc na odległe miasto.

–Na podstawie dotychczasowych raportów i danych – powiedział w końcu, zdając sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze do poddania się – nie wiedząc nic więcej, zdecydowałbym się na lekarstwo.

Pomeroy odetchnął z ulgą.

–Dziękuję, Alex. Dzięki za twoją szczerość. Umówmy się, że oboje z doktor Sennstrom macie trzy tygodnie. Za trzy tygodnie, kiedy będziesz podpisywał zgodę na rozpowszechnianie nowego leku, prezydent będzie stał obok ciebie i ogłosi, że dzięki badaniom, finansowanym częściowo przez jego rząd, uczyniono wielki krok naprzód w kierunku możliwości wyleczenia miażdżycy tętnic. Jeśli w tym czasie pojawi się jakakolwiek rzeczowa przeszkoda, dla której trzeba będzie odłożyć zatwierdzenie leku, daj nam znać, na czym polega, a my ci damy tyle dodatkowego czasu, ile ci będzie trzeba... Alex, wiem, w tej chwili zastanawiasz się, czy nie zrezygnować ze stanowiska. Nie mogę uczynić nic więcej, niż poprosić cię, żebyś tego nie robił.

Baird w zamyśleniu przekręcał ślubną obrączkę.

–Dobrze, Stan – usłyszał własny głos, dobiegający jakby z odległego tunelu. – Niech będą trzy tygodnie.

Rozdział 12

Brian skończył obchód i poszedł do kliniki. Spodziewał się wiadomości od Carolyn Jessup na temat wyniku jej rozmowy z Artem Weberem. Powiedziała, że zatelefonuje przed końcem jego dyżuru. Jack spędził noc względnie spokojnie, żył jednak życiem inwalidy. Zdawał sobie z tego sprawę. Brian pomógł mu położyć się do łóżka, potem usiadł na krawędzi i któryś raz z rzędu wrócił do sprawy operacji i vasclearu.

–Chciałbym umrzeć – powiedział Jack. – Spójrz na mnie. Czego mogę się spodziewać? Chryste, nie mogę nawet pójść do kina, nie mówiąc już o pograniu w piłkę.

–Tato, czy nie rozumiesz, że czujesz się beznadziejnie, bo jesteś chory? Zapomniałeś, że masz wnuczki, że ja stanąłem na nogi, że możesz sam kogoś spotkać, pojechać gdzieś, potrenować chłopaków w Małej Lidze? Masz dopiero sześćdziesiąt trzy lata. Nie różnisz się niczym od każdego z nas. Powtarzam ci, Jack, cokolwiek to będzie... vasclear czy operacja... kiedy wyzdrowiejesz, będziesz inaczej myślał. Zobaczysz, że tak się stanie.

–Nie chcę, żeby mnie znowu kroili, Brian. Te wszystkie rurki. Po prostu nie mogę przestać o tym myśleć.

Brian wziął trochę lanoliny z witaminą E i zwilżył nią suchą, łuszczącą się skórę na stopach ojca. Górna część piżamy Jacka była rozpięta, eksponując długą bliznę po rozpiłowaniu mostka i liczne wgłębienia – ślady po rozmaitych drenach.

–Staram się, żebyś był leczony vasclearem, tato. Robię, co mogę. Ale jeśli nie uda mi się włączyć cię do grupy beta, musisz się zgodzić, żebym cię umówił z doktorem Randa. Wiem, że masz przykre wspomnienia z tamtej operacji. Wielu ludziom udaje się jednak po czterech, pięciu dniach wyjść ze szpitala. Wiem, że Randa to bufon, ale przy tym jest chirurgiem światowej klasy.

–Nie, Brian. Postaraj się o lekarstwo. Stawiam na nie.

Lucy Kendall podczas pierwszego spotkania z Brianem w klinice była zaskoczona. Dzisiaj się przygotowała. Miała na sobie obcisłe spodnie i sweterek i mogłaby być doskonałym obiektem do przeprowadzenia testu wydolności serca przez jej męskich podopiecznych. Narzekając na gorąco w sali, gdzie było dwadzieścia stopni, wysliznęła się zgrabnie ze szpitalnego płaszcza i przewiesiła go przez oparcie krzesła. Potem, w trakcie pokazywania Brianowi tych części oddziału, których nie zdołał zwiedzić podczas pierwszej wizyty, udało jej się kilka razy oprzeć bujne piersi na jego ramieniu.

–Ilu pacjentów mamy w dzisiejszym programie? – spytał, zupełnie nie będąc w

nastroju do przyjmowania załotów o subtelności młota kowalskiego, ale postanawiając wykorzystać je, żeby dowiedzieć się tego, co chciał.

–Po pięciu na godzinę, przez cztery godziny. Średnio tyle to trwa. Powiedziałaś, że masz mieszkanie w Reading. Mieszkasz sam?

–Nie, z ojcem. Czy lekarstwo dla nich otrzymujemy codziennie?

–Dla kogo?

–Dla pacjentów biorących vasclear.

–Och... Nie, skądże. Raz na tydzień. Każdego tygodnia wysyłam do Newbury imienne zapotrzebowanie, a oni dostarczają odpowiednią liczbę fiolek. Może po dyżurze wpadniemy gdzieś na drinka?

–Chętnie, ale muszę się spieszyć do mojego ojca. Jest po zawale serca. Nie musisz wracać do dzieci?

–Mam *au pair*, żeby się nimi zajmowała. Przyjęłam dziewiętnastoletnią ślicznotkę ze Szwecji, żeby Jerry miał o kim pomarzyć, kiedy mnie nie ma.

–A jak jest z dochodzącymi pacjentami, którzy nie przyjdą po swoją dawkę? Co robisz z porcjami lekarstwa dla nich?

–To bywa rzadko, chociaż czasem się zdarza. Trzymam ich dawkę pod kluczem. Co parę tygodni zapisuję, ile pozostało, a potem wyrzucam. Lubisz tańczyć?

–Nie tańczę zbyt często i jestem w tym kiepski, ale owszem, lubię. Gdzie jest klucz do lodówki z vasclearem?

–Osiem-cztery-dziewięć-zero.

–Nie rozumiem.

–Trzeba wybrać ten kod na klawiaturze lodówki. Osiem-cztery-dziewięć-zero. Powinnam mieć kodowany zamek w lodówce w moim domu. Może Jerry uznałby to za krytykę, że czterdzieści cali w pasie to za dużo. Ty masz trzydzieści sześć, prawda?

–Masz dobre oko. Powtórzmy jeszcze raz dawkowanie leku. Pięć razy na tydzień przez dwa tygodnie, potem trzy razy na tydzień przez dwa miesiące, potem raz na tydzień?

–Tak. Trzydzieści sześć w pasie – odstępiała o krok, szacując wzrost Briana – nogawka cztery stopy, zgadłam?

–Znowu masz rację. Imponujące. Ciekaw jestem, kto decyduje o dawkowaniu i w jakim stopniu ściśle należy je przestrzegać.

–Wiem tylko tyle, że kuracja dopuszcza sporadyczne przerwy. Klinika w czasie niektórych świąt jest zamknięta, poza tym wydaje mi się, że nikt w Newbury nie przejmuje się, gdy pacjent opuści jedną wizytę. Sporządzamy specjalny raport dopiero po niestawieniu się na dwie wizyty w ciągu tygodnia albo na dwie w dwumiesięcznym okresie, jeśli pacjent bierze lekarstwo raz na tydzień. To wszystko. Przyjemnie się z tobą rozmawia. Co ty na to?

–Dziękuję. Jesteś miła.

–Na pewno nie chcesz pójść na drinka?

–Z chęcią, ale następnym razem. Nie sądzisz, że powinniśmy zacząć? W poczekalni jest kilka osób.

Brian badał pacjentów przed zaaplikowaniem dawki vasclearu. Zajęcie było bardziej żmudne, niż przypuszczał. Wielu z nich miało bardzo zaawansowaną chorobę wieńcową.

Zauważył, że najbardziej chorzy byli w grupie alfa albo gamma. Starał się koncentrować na swoim zajęciu, chociaż przez cały czas myślał o wiadomości od doktor Jessup.

Był jeszcze inny powód, dla którego nie mógł się skupić. Podjął już decyzję. Jeśli Jack nie zostanie włączony do badań albo znajdzie się w innej grupie niż beta, Brian ukradnie wieczorem pierwszą dawkę, a potem będzie się starał wszelkimi możliwymi drogami zdobywać następne, tak długo, aż kod zostanie ujawniony, skończy się ścisła procedura

badawcza, a lek będzie dopuszczony do powszechnego użytku.

Była to bez wątpienia najbardziej przykra decyzja, jaką podjął od chwili swojego powrotu do zdrowia. Czy miał jakieś inne wyjście?

Wiedział, że musi zadecydować o jeszcze innej sprawie. Chodziło o Freemana Sharpe'a, który opiekował się nim od przeszło roku – najpierw jako przewodnik po zdradliwej ścieżce do wyzdrowienia, potem jako przyjaciel.

„Proszę cię o jedno – powtarzał mu Sharpe przy każdym spotkaniu. – Kiedy będziesz miał zamiar się napić albo coś zażyć, zadzwoń do mnie”.

W prośbie zawarte było niewypowiedziane życzenie, żeby Brian konsultował się z nim przed podjęciem każdej ryzykownej decyzji. Zastanawiał się, czy Sharpe starałby

się odwieść go od takiego kroku. Czy warto było stawiać go w trudnej sytuacji? Na razie istniało trzydzieści trzy procent szans na dostanie się Jacka do grupy beta, a w takim wypadku to pytanie stawało się bezprzedmiotowe.

Przebadał pierwszą grupę pacjentów, którzy następnie byli poddawani trwającej pół godziny infuzji, czyli wprowadzaniu preparatu do żył. Brian powtórzył w myślach swój plan. Źródłem vasclearu dla Jacka mogły być albo rezerwy preparatu, albo oszczędne dawkowanie podczas zabiegów na pacjentach. Wiedział, że rezerwy nie były skrupulatnie rozliczane, za to dość często ulegały wyczerpaniu. Jeśli Lucy Kendall spostrzeże, że preparat zaczął znikać, z pewnością zaostrzy kontrolę. Postanowił, że zamiast zabierać fiolkę z rezerwy, będzie co trzeci dzień, przynajmniej w ciągu pierwszych dwóch tygodni, zamieniał lek przeznaczony dla któregoś z pacjentów grupy beta na zwykły roztwór fizjologiczny. Lucy Kendall powiedziała wyraźnie, że program przewidywał luki w cyklu infuzji. Jedna dawka mniej nie przyniesie nikomu szkody. Nie będzie żadnego problemu.

Pomyślał ze wstydem, że cały proces planowania oszustwa przyszedł mu dość łatwo.

Obszedł pokoje, w których przeprowadzano zabiegi. Musiał sprawdzić, czy nie ma jakichś kłopotów. Następnie udał się do pomieszczenia, w którym przechowywano lekarstwa, żeby wypróbować kod zamka lodówki i policzyć zapas fiolek. Drzwi były szklane, więc nie widział powodu, żeby je zamykać. Będąc już w środku, wyjrzał na korytarz, udając, że przygląda się półkom z różnymi lekami nasercowymi i wózkowi inwalidzkemu. Nienawidził ukradkowego działania.

„Osiem-cztery-dziewięć-zero”.

Ukląkł przy małej lodówce, powtarzając kolejne cyfry i naciskając palcem odpowiednie guziki. Drzwi otworzyły się błyskawicznie. Wewnątrz były trzy płaskie tekturowe pudełka – dwa na środkowej półce, jedno na dolnej – każde z nich oznaczone odpowiednią literą greckiego alfabetu. Pudełko z literą beta zawierało cztery fiołki, mniej niż Brian oczekiwał. Wiedział jednak, że przy umiejętnym żonglowaniu tym zapasem wystarczy preparatu na pięć dni. Potem będzie musiał...

–Doktor Holbrook?

Niespodziewane pytanie przyprawiłoby kogoś o słabszym sercu o natychmiastowy atak. Brian zerwał się na równe nogi i odwrócił, zatraskując równocześnie drzwiczki lodówki. W drzwiach stał, uśmiechając się, doktor Art Weber. Mógł mieć nieco ponad czterdzieści lat, ale

nie wydawał się tak wysoki, jak wyglądał na wideo. Był jednak dobrze zbudowany, przystojny, miał ostre rysy twarzy i fascynujące, niebieskoszare oczy.

–Ach... tak... cześć – powiedział Brian, odzyskując szybko panowanie nad sobą. – Mam na imię Brian.

–Art. Art Weber.

W jego ustach „w” było zbliżone do „v”.

–Poznaję – odparł Brian. – Oglądałem wideo na temat vasclearu.

–Co o nim sądzisz?

–Jest znakomity. Świetna robota. Jeśli ten lek działa tak, jak o nim mówisz, to w medycynie może dojść do radykalnego przewrotu.

–Tu nie ma jeśli.

Brian wyszedł z pomieszczenia na lekarstwa i zamknął za sobą drzwi.

–No cóż, pani Nellie Hennessey jest najlepszym świadectwem – powiedział pogodnie Brian, starając się rozproszyć atmosferę napięcia. – Asystowałem dziś rano przy jej badaniu.

–Carolyn powiedziała mi, co zrobiłeś.

–Miałem szczęście. Odlamek cewnika utkwiał w dogodnej pozycji dla szczypczyków BIPAL.

–Nie o tym mówię. Mam na myśli raport do FDA o wadliwym przyrządzie.

Brian jęknął bezgłośnie.

–Teraz wiem, że postąpiłem wbrew polityce Instytutu. Obiecałem doktor Jessup, że to się nie powtórzy.

–Cieszę się. To samo dotyczy vasclearu. Nie mieliśmy z nim żadnych znaczących kłopotów, ale gdyby jakiegokolwiek powstały... w odniesieniu do naszego programu... to spodziewam się, że powiadomisz o tym doktor Jessup.

–Naturalnie.

–To dotyczy naszych pacjentów, a także zwierząt doświadczalnych.

Earl. Brian szybko zdecydował się nie reagować na wyzwanie. Dozorca zwierząt nie blefował na temat swoich wysokich koneksji.

–Oczywiście.

Czuł, że chwila, na którą czekał, nadeszła.

–Znakomicie – powiedział Weber. – Znakomicie. Jesteśmy blisko momentu, kiedy nasi statystycy pozwolą nam odkodować prowadzone przez nas badanie metodą podwójnie ślepej próby. Mamy nadzieję, że wkrótce potem FDA dopuści vasclear do powszechnego użytku.

–Byłoby wspaniale.

–Masz rację. Nie muszę mówić, że nakłonienie zbiurokratyzowanego FDA do skrócenia trwającego latami procesu oceny leku wymaga zestawu danych, których nie można zakwestionować, i przekonywającego rachunku zysków i strat.

–Które przedstawić.

–Które przedstawimy – powtórzył Weber. – Czy mogę się spodziewać, że od dzisiaj wszelkie raporty na temat jakichkolwiek kłopotów będą przechodziły przez nas?

–Tak – odparł Brian, zmuszając się do patrzenia Weberowi w oczy.

–Teraz na inny temat. Carolyn powiedziała, że chciałbyś włączyć ojca do programu badań.

–Prosiłem ją o to.

–Przejrzeliśmy razem historię jego choroby. Carolyn sugeruje, żeby poddać go powtórnej operacji wszczepienia bypassów.

–Mój ojciec ma bardzo przykre doświadczenia z pierwszej operacji. Gotów znieść wszystko, z wyjątkiem następnej.

–Może jeszcze się zastanowi. Bardzo mi go żal. Zrobiłem, co w mojej mocy. Poprosiłem statystyka odpowiedzialnego za badania metodą ślepej próby, żeby zaliczył go losowo do którejś grupy. Oto wynik.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął niewielką kartkę z wydrukiem komputerowym. Zawierała imię i nazwisko Jacka, datę urodzenia, płeć, nazwisko lekarza kardiologa i cyfrę siedem, określającą stopień zaawansowania choroby wieńcowej. O rząd niżej, wydrukowane wersalikami, widniało pojedyncze słowo: ALFA.

Alfa. Na pewno grupa placebo. Brian poczuł przygnębienie.

–Nie ma szans na dostanie się do grupy beta? – spytał.

Weber potrząsnął przecząco głową.

–Przykro mi, ale nie – powiedział. – Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale dopóki statystyka nie pozwoli nam na ujawnienie kodu określającego dozy leku podawane pacjentom w grupach alfa, beta i gamma, dopóty musimy zachowywać się tak, jakbyśmy nie wiedzieli, która grupa jest którą. W tej chwili, wobec tak zaskakujących wyników, całość wygląda na szaradę. Lecz nie mamy wystarczającej liczby pacjentów w poszczególnych grupach, żeby zakończyć stadium eksperymentu, chyba że dostaniemy zgodę od FDA.

–W jakim czasie spodziewasz się ujawnienia kodu?

–Już wkrótce. Możliwe, że w ciągu paru tygodni. FDA ma przysłać kogoś do omówienia tej sprawy ze mną i doktor Jessup.

–Czy jest sens, żeby włączyć Jacka do eksperymentu, nawet w grupie alfa? Czy to poprawi waszą statystykę?

–Prawdę mówiąc, nie. Badania zostaną zakończone, zanim jego udział będzie mógł na czymkolwiek zaważyć. Namawiam cię do pójścia za radą doktor Jessup i poddania ojca operacji. – Weber zauważył rozczarowaną minę Briana i dodał: – Przykro mi. Szczerze ci współczuję.

–Dziękuję – odrzekł Brian.

Szef programu nie usłyszał już jego odpowiedzi, gdyż wyszedł. Brian rzucił okiem na lodówkę, potem spojrzął na zegarek i poszedł do kabiny telefonicznej. Miał pięć minut do rozpoczęcia pracy z następną grupą pacjentów przyjmujących vasclear, a chciał wcześniej porozmawiać z Freemanem Sharpe'em.

Po piątym dzwonku Sharpe podniósł słuchawkę. Jego łagodny baryton miał jak zwykle kojący efekt.

–Freeman? Mówi Brian.

–Cześć, stary. Dzwonisz ze szpitala?

–Tak. Masz chwilę czasu?

–A pilnujesz się?

–Naturalnie.

–Wobec tego mam.

–Dopuszcili Jacka do udziału w eksperymencie, ale drogą losowania został włączony do grupy, co do której jestem pewny, że otrzymuje placebo.

-To źle. Czy jest szansa na zmianę decyzji?

-Chyba nie. Chcą go posłać na powtórny operację.

-A według ciebie powinien brać ten środek?

-Rano uczestniczyłem w badaniu kobiety starszej o pięć lat od Jacka. Miała chorobę wieńcową tak zaawansowaną jak on, chociaż nigdy nie wszczepiali jej bypassów i nie przeszła zawału serca. Drogą losowania została zakwalifikowana do grupy otrzymującej maksymalną dawkę. Teraz ma tętnice jak czterdziestolatka i nie stwierdza się u niej żadnych skutków ubocznych.

Sharpe zagwizdał z podziwem.

-Jakie masz zamiary? Będziesz kraść lekarstwo?

-Nie ma innego sposobu.

-Uda ci się zdobyć tyle, ile trzeba?

-Przez dwa, może trzy tygodnie na pewno tak. Możliwe, że to wystarczy. Myślę, że FDA zatwierdzi lek już niedługo, a wtedy Jack będzie miał szansę przeżycia.

-A jeśli nie?

-Dotychczasowe wyniki wskazują, że może liczyć na siedemdziesięciopięcioprocentową szansę. Jemu to odpowiada. Mnie również.

-Możesz to zrobić tak, żeby cię nie złapali?

-Postaram się.

-Bez niczyjej krzywdy?

-Myślę, że bez.

-Wiesz, że wracasz do starego proceduru podbierania leków szpitalowi. Będziesz umiał powstrzymać się w porę?

-Z twoją pomocą.

-Z bożą pomocą, kolego. Dobrze zrobiłeś, że mnie powiadomiłeś, ale porozmawiaj jeszcze ze swoją opatrnością.

-Zrobię to. Dziękuję, Freeman. Teraz ty zaczniesz się martwić.

–Zdajesz sobie sprawę z tego, co masz zamiar zrobić?

–Tak – odparł Brian.

Odłożył słuchawkę i udał się do magazynku lekarstw. W ciągu paru minut opróżnił dwie fiołki z vasclearem przeznaczonym dla grupy beta, nabierając ich zawartość do dwóch strzykawk. Opróżnione fiołki napełnił roztworem soli fizjologicznej. Schował strzykawki w kieszeni fartucha laboratoryjnego i poszedł przyjąć następnych pacjentów. Godzinę później zapakował strzykawki i komplet instrumentów do dożyłnej infuzji do swojej walizeczki, a potem zadzwonił do domu.

–Jak z tobą, Jack? – Nie odmłodziłem.

–Mam dobrą wiadomość. Dziś zaczynasz kurację vasclearem. Będziesz dostawał maksymalną dawkę.

–Hej, to świetnie. Czy to zasługa doktor Jessup?

–Nie. Innego lekarza. Obiecuj, że nie powiesz o tym pani Jessup.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

–Jeśli tak chcesz – powiedział w końcu Jack.

–Doskonale. Za parę godzin będę w domu. Jeszcze jedno...

–Słucham.

–Jestem ci winien dziesięć dolców.

–Za co?

–Uratowałem życie. Dwóm osobom.

Rozdział 13

Brian ustawił stojak do kroplówek przy fotelu Jacka, wyjął strzykawkę z vasclearem i wstrzyknął jej zawartość do ćwierćlitrowego pojemnika z roztworem glukozy.

–Jesteś gotów na następną porcję soku nadziei? – spytał.

Jack uśmiechnął się sarkastycznie.

–Oby była w nim jakaś nadzieja – powiedział. – Nie działa, prawda?

–Głowa do góry, tato. Za wcześnie na jakieś wnioski. Nie zniechęcaj się. Otrzymałeś dopiero sześć porcji. O ile mi wiadomo, większość pacjentów zaczyna odczuwać poprawę po znacznie dłuższym czasie. Niektórzy mieli objawy choroby jeszcze przez długie miesiące, chociaż ich testy wytrzymałościowe wykazywały powrót do normy.

–Osiem do pięciu, że mi nie pomoże.

–Do diabła, Jack, przestań tak mówić. Twoje nastawienie psychiczne ma duże znaczenie.

–Jestem zmęczony, Brian. Jestem zmęczony chorowaniem.

–Poczekaj tydzień, trenerze. Założę się, że za tydzień poczujesz się znacznie lepiej.

–A jeżeli nie?

–Jeżeli nie, to pójdziemy do Randy. – Widząc ponury wyraz twarzy Jacka, dodał: – Myślę, że po kolejnych siedmiu dniach lek zacznie działać.

W ciągu całego minionego tygodnia Brian nie miał trudności z manipulowaniem przechowywaną w lodówce rezerwą vasclearu dla grupy beta. Prócz tego jednorazowo zamienił dwojgu pacjentom vasclear na sól fizjologiczną. Oboje kończyli drugi rok kuracji lekiem. Wydawało się niemożliwe, żeby którekolwiek mogło z tego powodu ucierpieć. Mimo to miał wyrzuty sumienia.

Liczył na to, że już wkrótce nie będzie musiał uciekać się do oszustw. W południe następnego dnia podczas generalnego obchodu w White Memorial miała się odbyć prezentacja vasclearu, przeprowadzona przez Artę Webera i jego współpracowników, połączona z wyrażeniem stanowiska w tej sprawie przez przedstawiciela FDA. Brian spodziewał się, że zyska jakieś przesłanki co do tego, kiedy Jack będzie mógł oficjalnie przejść na pełną dawkę vasclearu, w wypadku gdyby potajemna kuracja przyniosła obiecujące rezultaty.

Pierwsze dwa burzliwe dni pracy w szpitalu przeszły w spokojną, choć pełną zajęć

rutynę. Cieszyła go atmosfera oddziału i spotkanie z każdym nowym pacjentem, odzyskiwał zaufanie do własnych umiejętności. Phil Gianatasio był dla niego nieocenionym oparciem. Wyrastał jak spod ziemi, za każdym razem kiedy sytuacja robiła się trudna. Był niezmordowany, prócz tego potrafił zademonstrować poczucie humoru w niemal wszystkich okolicznościach, za to w krytycznych momentach umiał zachować chłodny rozsądek i opanowanie jak żaden z dotychczasowych współpracowników Briana.

–Jack, czujesz ból w miejscu, gdzie wpływa lekarstwo?

–Nie.

Brian zmierzył ojcu ciśnienie krwi i puls. Wszystko było w normie. W żyłę przedramienia Jacka tkwiła cienka kaniula z zamykaną końcówką, którą Brian w okresach między kolejnymi infuzjami napełniał środkiem zapobiegającym krzepliwości krwi. Choć Jack uparcie twierdził, iż nie czuje się lepiej, Brian zauważył, że zużywa mniej nitrogliceryny. Co więcej, poszedł raz do ogrodu ze swoimi wnuczkami, a któregoś dnia wybrał się nawet sam.

Mimo pozytywnych objawów Brian zdawał sobie sprawę, że nie można zbyt na nich polegać. Specjalne badania kliniczne wykazały, że placebo wywiera znaczny wpływ na pacjentów. Im bardziej oni, ich najbliżsi i lekarze chcieli, żeby dana terapia skutkowała, tym lepsze przynosiła rezultaty – przynajmniej do pewnego stopnia.

Brianowi brakowało rozmowy z Carolyn Jessup na temat ojca – chciał się dowiedzieć, czy reakcja Jacka na preparat była podobna do reakcji zaobserwowanych u innych pacjentów. Wiedział, że przyznanie się do kradzieży vasclearu spowodowałoby natychmiastowe zwolnienie z pracy. Eksperymentując na ojcu, musiał działać na ślepo. Miał nadzieję, że utrzymywanie tajemnicy wkrótce stanie się niepotrzebne, czy to w rezultacie poprawy stanu zdrowia Jacka i zalegalizowania vasclearu, czy to na skutek operacji.

Przyjemną atmosferę pierwszego tygodnia zakłóciło jedno niesympatyczne spotkanie. Brian stawiał właśnie tacę na taśmie transportującej naczynia do zmywarki, kiedy zauważył zbliżającego się doktora Randę, w towarzystwie nieodłącznej pary swoich służalczych asystentów.

–Jak się ma twój ojciec, Holbrook? – spytał.

–Jest w domu.

–Wiem. Przyjęli go do grupy, na której testują lek?

–Nie – odparł Brian – ale mam nadzieję, że środek ten niedługo będzie powszechnie dostępny.

–Nie domyślasz się, Holbrook, dlaczego Weber i jego firma farmaceutyczna tak gwałtownie naciskają i szukają wszędzie poparcia, żeby przyspieszyć wejście ich produktu na rynek?

–Nie wiem. Może chodzi o pieniądze?

–I to nie o byle jakie pieniądze, mój przyjacielu. O ogromne pieniądze. Pojedyncza dawka leku ma kosztować ponad sto dolarów. To daje tysiąc dolarów na pacjenta w ciągu pierwszych dwóch tygodni. Sto tysięcy pacjentów to jest sto milionów dolarów. W ciągu dwóch tygodni. A sto tysięcy to zaledwie początkowa liczba pacjentów, którzy zaczną przyjmować lekarstwo w najbliższych miesiącach, i to tylko w naszym kraju.

–I co dalej?

–W celu zarobienia krociowych sum na preparacie Newbury Pharmaceuticals używa wszelkich możliwych sił do wywarcia presji mającej na celu obejście standardowej procedury badań naukowych. Zawężone badania ślepej próby bez przedstawienia wyników porównawczych z kilku niezależnych instytutów badawczych. Tylko tym dysponują. W takim ścinaniu zakrętów jest zawsze coś podejrzanego, Holbrook. Zawsze. Uczyłeś się biostatystyki podczas studiów. Wiesz, że badanie nie jest uznawane za statystycznie ważne, dopóki współczynnik n, czyli liczba przypadków, w równaniach nie przekroczy założonego

minimum.

–Mają imponujące rezultaty.

–Te rezultaty nie mają znaczenia, jeżeli nie są podparte matematyką.

Mówił podniesionym głosem, chcąc skierować na siebie powszechną uwagę.

–Doktorze Randa – odparł Brian. – Mój ojciec po operacji przebywał w szpitalu przez osiem tygodni. Był bliski śmierci. Obaj znamy statystykę powtórnego wszczepiania bypassów. Druga operacja niesie ponad dwukrotnie większe ryzyko.

–Nie w moich rękach.

–Proszę się przyznać – odważył się powiedzieć Brian – czy pańskie uprzedzenie w stosunku do Newbury Pharmaceuticals, ich preparatu i ich metod nie ma związku z obawą, że vasclear może zastąpić operacyjne leczenie choroby tętnic wieńcowych?

Sikh popatrzył na niego z pogardą.

–Jesteś głupi, Holbrook – powiedział. – Twojemu ojcu potrzebna jest operacja. Nie

poddaje się jej z powodu szumu wokół tego środka. Dopóki naukowcy nie zatwierdzą lekarstwa, nie jest ono niczym więcej niż smalcem z węża. Robisz błąd, czekając, aż stanie się ogólnodostępne.

Odszedł, nie interesując się odpowiedzią.

Katedra Hipokratesa mieściła się na terenie szpitala White Memorial, pod kopułą przykrywającą pięciopiętrowy Pinkham Building. Był to amfiteatr zbudowany w miejscu, gdzie odbyła się pierwsza operacja pod narkozą. Wkrótce stał się znany jako Hippodome. Pod witrażowym sklepieniem, obrazującym ważne wydarzenia w historii medycyny, stało czterysta twardych, drewnianych krzeseł, pokrytych luszczącym się fornirem. Po stu latach działalności postanowiono, że amfiteatr zostanie odnowiony. Wewnątrz pełno było rusztowań, na zewnątrz zaś zawisł nad kopułą ogromny żuraw, przypominający gigantyczną modliszkę.

Dwadzieścia minut przed dwunastą Brian wszedł na zalany słońcem taras pierwszego piętra Pinkham Building. Czekał tam na niego Phil z dwoma kubkami kawy.

–Bez mleka i z kostką lodu?

–Jak zwykle.

Była to szpitalna kawa, przeznaczona do szybkiego wypicia w drodze od jednego pacjenta do drugiego.

–Ja... pomyślałem sobie, że nie będziesz chciał faworka, więc nie wziąłem dla ciebie.

–To rozsądne – odparł Brian – pod warunkiem że nie wzięłeś dla mnie faworka, zanim zdecydowałeś, że ja nie zechcę.

–Boże, trafiłeś bez pudła w mój czuły punkt.

–Czego się spodziewasz po tym jarmarku?

–Nie wiem. Reprezentant FDA, który zabierze głos oprócz Erniego Pickarda i Arta Webera, ma podobno dobre wiadomości dla drużyny zajmującej się vasclearem.

–Mam nadzieję. To byłoby korzystne dla mojego ojca.

–Jak on się czuje?

Brian zawahał się, czy powinien ukryć prawdę przed starym przyjacielem. Szybko doszedł do wniosku, że nie może obciążać go świadomością, iż Jack potajemnie

dostaje dawki beta vasclearu.

–Prawdę mówiąc, niezbyt dobrze.

–Zgadza się na operację?

–Kiedy ostatnio mu o tym wspominałem, nie zareagował tak gwałtownie jak zwykle. Myślę, że to zależy, czego się dziś dowiemy od FDA na temat najbliższego losu tego preparatu. Powiedz mi, Phil, z własnego doświadczenia, po jakim czasie pacjenci otrzymujący vasclear zaczynają objawiać poprawę stanu zdrowia?

–To zależy. Niektórzy po paru dniach. Większość po dwóch tygodniach. Jeszcze inni po paru miesiącach. Pamiętaj jednak, że jedna czwarta nie wykazuje żadnej poprawy. Większość spośród tych ostatnich musi się poddać operacji. Niektórzy kończą w kostnicy.

Brian pokiwał głową. Obaj wiedzieli, że z wyjątkiem pewnych prostych kuracji, na przykład penicyliną w wypadku paciorkowca gardła, prawie żadne lekarstwo nie przynosiło tak rewelacyjnych skutków, a już na pewno nie inne środki nasercowe. Spojrzał na zegarek.

–Proponuję, żebyśmy weszli do środka. Chciałbym zająć jakieś dobre miejsce.

Obie windy były obłożone. Phil, narzekając po wejściu na każdy stopień, poszedł za Brianem schodami. Połowa miejsc była już zajęta, reszta zapełniała się szybko. Brian nie dziwił się. Temat vasclearu został poruszony przez „Star” i „National Enquirer”, prócz tego nie schodził z wieczornych wiadomości różnych stacji. Lek stawał się narodową dumą.

Znaleźli dwa miejsca na strapontenach w prawym przejściu, o sześć rzędów od proscenium – szerokiego na dwadzieścia stóp, głębokiego na dziesięć, wyniesionego o trzy stopy nad poziom podłogi. Mgliste światło słoneczne przenikało przez witraże, oblewając salę kolorowymi plamami. Z tyłu proscenium rozwinięto ogromny ekran. Między nim a wąskim pulpitem siedzieli: Ernest Pickard, Art Weber, Carolyn Jessup i jako ostatnia – najbliższej Phila i Briana – kobieta, mogąca mieć nieco ponad trzydzieści lat.

–To ma być reprezentant FDA? – Phil nie mógł uwierzyć własnym oczom. – Wygląda jak Jodie Foster w najlepszej formie.

–Co znaczy ta wątpliwość w twoim głosie, ty maniacu seksualny?

–No cóż, jestem, jaki jestem, Bri. Ta kobieta nie tylko wygląda jak Jodie Foster. Ma stopień doktora medycyny albo doktora filozofii, albo oba razem. To robi na mnie wrażenie, a zarazem onieśmiela.

–Jodie Foster ukończyła Yale, Phil.

–Ona również mnie onieśmiela. Mam to w genach. Moja matka próbowała wyrzucić ze mnie to gówno.

Brian nie był pewien, czy kobieta na scenie przypominała tak dalece Jodie Foster, ale skłamałby, mówiąc, że jej delikatne rysy i ciepły koloryt cery nie wydawały mu się nad wyraz powabne. Porównywać ją z Carolyn Jessup było jakby porównywać San Francisco z Upper East Side na Manhattanie. Siedząc naprzeciw ogromnej widowni, w jednym z sztandarowych szpitali akademickich Ameryki, nie wyglądała w najmniejszym stopniu na onieśmioną.

Z wybiciem dwunastej Ernest Pickard stanął za pulpitem.

Phil nachylił się do ucha Briana i wyszeptał:

–Dystyngowany Ernie, elegancka Carolyn, kierownik badań Art... i Jodie. Wyglądają, jakby pozowali do odlewu w brązie. Brakuje tylko ciebie w roli życzliwego reportera Clarka Kenta.

–Panie i panowie – zaczął Pickard – witam was. Szpital White Memorial i Bostoński Instytut Serca przeżywają wielkie dni. Jak wiecie, przez ostatnie parę lat prowadziliśmy pewne badania we współpracy z bostońską firmą Newbury Pharmaceuticals. Dziś chcemy wam zaprezentować wyniki naszej pracy. Przedtem jednak przedstawię wam osoby, które prócz mnie wezmą udział w prezentacji. Doktor Carolyn Jessup, profesor kardiologii i zastępca dyrektora BHI; doktor Art Weber, kierownik badań z ramienia Newbury Pharmaceuticals, i wreszcie nasz specjalny gość, doktor Teri Sennstrom, szef zespołu kwalifikacyjnego lekarstw sercowo-naczyniowych z Instytutu Żywności i Leków.

–Teri – wyszeptał Phil. – Ładne imię. Podoba mi się. Tobie chyba też, bo nie odrywasz od niej oczu.

–Przestań, Phil.

Minęło pół godziny prezentacji, lecz Brian nie dowiedział się niczego nowego. Weber opowiadał o kamieniach milowych w historii preparatu, uzupełniając swoją wypowiedź pokazem starannie dobranych slajdów. Po Weberze wystąpiła Carolyn Jessup z naukową informacją na temat harmonogramu dawkowania i wyników badań klinicznych, udokumentowaną przykładami arteriogramów kilku pacjentów. Panowała nad sceną, pulpitem, ekranem i widownią jak dyrygent nad orkiestrą symfoniczną.

Przez cały czas prezentacji Brian, mimo chęci udowodnienia Philowi, że się mylił, nie odrywał oczu od Teri Sennstrom. Ona również często patrzyła wprost na niego. Momenty zdalnie sterowanej więzi były krótkie i nie poparte żadnymi gestami,

niemniej istniały. Brian był tego całkowicie pewien.

Jessup wyczerpała wszystkie punkty swojej informacji i odpowiedziała na kilka pytań w kwestiach naukowych, do których była tak doskonale przygotowana, że Brian podejrzewał, iż ta część wystąpienia została wyreżyserowana. Na koniec zaanonsowała Teri Sennstrom.

–Znasz już numer jej telefonu? – spytał szeptem Phil, kiedy Teri podchodziła do pulpitu. – Wyglądało, jakby wymrugała go do ciebie alfabetem Morse’a.

–Phil, kiedy ty dorośniesz?

–„Kiedy księżyc piękne twe oczy, jak pizza wielkie, do cna zauroczy...”. Hej, ona nie ma obrączki ślubnej.

Brian był zbyt dumny, żeby przyznać się, że również to zauważył. Jedną z cech jego charakteru było to, że nie potrafił pogodnie reagować na docinki.

–Słuchamy wykładu – odciął się. – Lepiej uważaj. Teri Sennstrom była ubrana w brązowy, gabardynowy kostium i kremową bluzkę. Ciemne blond włosy miała spięte z tyłu głowy szylkretową klamerką, odsłaniając małe, perłowe kolczyki w uszach. Stojąc przy pulpicie, wydawała się nieco mniej pewna, niż kiedy siedziała na swoim miejscu na scenie.

Proszę, pomyślał Brian, patrząc, jak rozkłada przed sobą notatki. Powiedz, czego mogę się spodziewać dla ojca.

–To rzeczywiście wielki dzień – zaczęła Teri po złożeniu podziękowań gospodarzom i przekazaniu najlepszych życzeń od szefa FDA doktora Alexandra Bairda. – Okazuje się, że uczyniliśmy milowy krok w farmakologii chorób sercowo-naczyniowych. Przedstawione tutaj dane stanowią kwintesencję tysięcy stron raportów i setek arteriogramów, które mój zespół w FDA zweryfikował na przestrzeni ponad roku. Jesteśmy pełni uznania, doktorze Weber i doktor Jessup, dla skrupulatności, z jaką przestrzegany jest protokół badań. Szczególnie jednak jesteśmy pod wrażeniem dotychczasowych wyników. Życzeniem zarówno doktora Bairda, jak i prezydenta jest to, żeby ludzie potrzebujący tego środka mogli go otrzymać w jak najkrótszym czasie. Aby je spełnić, musimy, doceniając znaczenie vasclearu, zdecydować się na podobne ustępstwa, jakie nasza agencja poczyniła w przeszłości w stosunku do innych leków. Doktor Weber, doktor Jessup, doktor Pickard i my w FDA wierzymy, że proces kwalifikacji leku zbliża się do końca. Doktor Baird sądzi, że vasclear zasługuje na status lekarstwa ratującego ludzkie życie, i ma zamiar kontynuować procedurę zatwierdzenia go do publicznego użytku.

Kilka początkowych oklasków zapoczątkowało burzę, od której zadrżały witraże kopuły amfiteatru.

Tak! – pomyślał Brian. Tak!

–Chcemy doprowadzić do tego, żeby zatwierdzenie przez nas vasclearu, jako nowego leku, wyprodukowanego przez Newbury Pharmaceuticals, odbyło się za dwa tygodnie, tu – w tym historycznym amfiteatrze.

Znów rozległy się wyrazy aplauzu. Gianatasio podniósł pięść w geście zwycięstwa.

–Myślisz, że twój stary wytrzyma tak długo? – spytał.

–Musimy spróbować – odparł Brian, któremu nagle przyszło do głowy pytanie o to, jakie wstępne czynniki sprawiały owe dwadzieścia pięć procent niepowodzeń kuracji. Dwa tygodnie, pomyślał. Tyle możemy wytrzymać.

–Pora teraz – ciągnęła Teri – żebyśmy my, jako FDA, zwrócili się do was z prośbą o przysługę. Jak wiecie, naszym zadaniem jest chronić społeczeństwo, nie opóźniając przy tym niepotrzebnie terminu dopuszczenia do publicznego użytku lekarstwa ratującego życie. Chciałabym zachęcić wszystkich, którzy mają pytania lub informacje na temat vasclearu, zarówno pozytywne, jak i negatywne, do skontaktowania się ze mną. Doktor Weber i doktor Jessup zostali uprzedzeni, że zwrócę się do was z tą prośbą, i muszę wyrazić im moje uznanie, że popierają ją w stu procentach. Proszę o slajd.

Światło na sali przygasło, a na ekranie pojawił się slajd z nazwiskiem Teri, adresem FDA w Rockville, w stanie Maryland, i numerem telefonu, zaczynającym się od 800.

–Śmiesznie wymawia „i” – szepnął Gianatasio. – Lubię kobiety, których imiona kończą się na „i”.

–Jeśli nawet mają stopień doktora medycyny albo filozofii?

–Nie wiem. Nie spotkałem jeszcze takiej kombinacji.

–Powtarzam – kontynuowała Teri Sennstrom. – Zachęcam wszystkich, którzy mieli do czynienia z tym lekarstwem albo z pacjentem otrzymującym je, do skontaktowania się ze mną w biurze, w razie zauważenia jakichkolwiek niepożądanych efektów lub niewytłumaczalnych

objawów. Obiecuję, że wasze doniesienia zostaną objęte pełną tajemnicą. Nie muszę podkreślać, że znacznie, zdecydowanie znacznie łatwiej nie dopuścić lekarstwa na rynek, niż wstrzymać sprzedaż i wycofać z rynku, kiedy już wejdzie do powszechnego użytku. W ciągu najbliższych dwóch tygodni będę tu kilkakrotnie... w Boston Heart i w White Memorial... i będzie mi miło spotkać się z wami osobiście, żeby porozmawiać na temat preparatu. Myślę, że jesteście dumni z osiągnięcia waszej placówki. Dziękuję.

Aplauz był spontaniczny. Brianowi wydawało się przez chwilę, że szacowny personel WMH i BHI był bliski zgotowania Teri owacji na stojąco.

–Zwyciężyła – powiedział Phil, kiedy tłum zaczął opuszczać amfiteatr.

–Zwyciężyła – powtórzył Brian, myśląc już o tym, jak zdobyć dwutygodniową porcję vasclearu.

–Chcesz się z nią spotkać?

–Może, kiedyś.

–Czemu nie zaraz?

Brian potrząsnął przecząco głową.

–Teraz nie mogę.

–Zastanów się.

–Czemu?

–Bo jest dziesięć stóp za tobą i idzie w tym samym kierunku. Zostajesz sam, kolego. Będę z daleka obserwował, jak mistrz pracuje.

Nim Brian zdążył odpowiedzieć, Phil już gramolił się w górę po schodach. Teri podeszła do grupy osób, w której stał Brian. Podała wszystkim rękę, przytrzymując dłoń Briana o sekundę dłużej i odciągając go od grupy na tyle, żeby nie słyszano, co mówi. Przez moment patrzyli sobie w oczy.

–Zadzwoń do mnie. Mieszkam w hotelu Radisson, pokój czterysta osiemnaście – powiedziała cicho. Odwróciła się, witając z szerokim uśmiechem zbliżającego się prominenta.

Rozdział 14

Hotel Radisson położony był zaledwie o kilka przecznic od White Memorial. Brian powiedział Philowi, że wróci za półtorej godziny. Stosując się do wskazówek Teri, pojechał naokoło przez Beacon Hill, minął State House i wracając, zatrzymał się przed hotelem. Przeszedł obok recepcji i udał się schodami na czwarte piętro, do pokoju czterysta osiemnaście. Teri prosiła, żeby nikomu nie wspominał o ich spotkaniu, nie wyłączając przyjaciela, który go zastąpił. Mimo jego protestów nie ugięła się, obiecując, że wytłumaczy, skąd ta sytuacja, jakby żywcem wzięta z filmu w stylu płaszczka i szpady, dopiero gdy się spotkają. W rezultacie Brian powiedział Philowi Gianatasiowi, że psychoterapeuta zmienił mu termin wizyty.

Było piętnaście po drugiej, Brian rozpoczął dzień o szóstej rano i miał w perspektywie jeszcze wiele godzin pracy. Między czwartą a ósmą będzie przyjmować pacjentów w klinice badań nad vasclearem, a następnie czekał go całonocny dyżur na oddziale badań klinicznych. Nocny dyżur przypadał raz na dziesięć dni, co stanowiło pewną ulgę, gdyż w tak ogromnym szpitalu jak White Memorial niemal każdej nocy coś się działo.

Zapukał do drzwi pokoju czterysta osiemnaście. Teri otworzyła w ciągu kilku sekund. Była w tym samym stroju, który miała na sobie w amfiteatrze, zdjęła tylko żakiet; jedwabna bluzka uwypuklała jej piersi, które bynajmniej nie były chłopięce. Brian poczuł się trochę nieswojo, natomiast Teri, jeśli nawet była skrępowana, potrafiła to dobrze ukryć.

–Wejdz, proszę – powiedziała, podając mu rękę na powitanie. Jej długie, delikatne palce ginęły w jego dłoni. – Pomyślałam, że nie będziesz miał czasu, żeby coś zjeść, więc zamówiłam kolację do pokoju. – Gestem wskazała mu stolik stojący obok łóżka, nakryty dla dwóch osób. – Pozwolisz się zaprosić?

–Gdybyś wiedziała, czym karmią nas w szpitalu, nie zadawałabyś takich pytań.

Nie używała perfum, za to wydzielala z siebie delikatną, świeżą, upajającą woń, która kojarzyła się Brianowi z zapachem wiosennego deszczu. Usiadła na krześle bliższym łóżka, Brian naprzeciw niej, postanawiając trzymać fason, mimo że od rana nie miał w ustach nic prócz bajgielki.

Teri, jak gdyby czytając w jego myślach, rozładowała atmosferę. Zdjęła, pokrywkę i zaczęła jeść swoją sałatkę.

–Jestem zbyt zdenerwowana takimi oficjalnymi spotkaniami, żeby móc przedtem coś przełknąć – powiedziała, nie przejmując się, że mówi z pełnymi ustami. – Za to później mam wilczy apetyt.

–W auli wyglądałaś na bardzo opanowaną.

–Dziękuję. W Princeton, podczas studiów, chodziłam przez długi czas na zajęcia teatralne. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że aktorstwo odegra w mojej karierze większą rolę niż wszystkie naukowe przedmioty razem wzięte.

–Podoba ci się praca w FDA?

–Zawsze lubiłam oprócz biologii matematykę i statystykę, więc w jakiś sposób ta praca

jest dla mnie najodpowiedniejsza. Chwilę prawdy przeżyłam podczas pierwszego dnia na oddziale szpitalnym; byłam wówczas studentką trzeciego roku medycyny. Pewien pijak z krwotokiem z gardła wytrysnął mi na twarz przynajmniej litr krwi. Przepraszam, zapomniałam, że jemy.

–Jestem na takie rzeczy odporny – oświadczył Brian. – Gdyby jakiś alkoholik wylał na mnie litr krwi, to zapewne nawet bym nie zauważył. Moim życiowym celem był futbol.

–Wiem – odparła.

Brian odłożył widelec i spojrzał na nią.

–Byłeś quarterbackiem – dodała. – I to bardzo dobrym.

–Nie chciałbym o tym mówić.

–Ja też nie. Przepraszam, że zachowywałam się teatralnie. Czy mam zaraz zacząć się tłumaczyć, czy najpierw dokończymy lunch?

–Róbmy to równocześnie. Mam niewiele czasu, a jestem bardzo ciekawy.

Teri rozciągnęła w uśmiechu zmysłowe usta i błysnęła oczami koloru morskiej toni.

–Jak się zapewne domyślasz – zaczęła – vasclear jest najgorętszym kartoflem, który FDA miał do wyciągnięcia z ognia na przestrzeni ostatnich lat, o ile nie od chwili powstania. Mój szef doktor Alexander Baird pochodzi z Missouri, faktycznie i duchowo.

–Fundamentalny człowiek z reprezentacyjnego stanu?

–Dokładnie tak. Jego mandat zakłada ostrożność i ścisłe przestrzeganie procedury, ale teraz znalazł się pod kolosalnym naciskiem, zarówno ze strony polityków, jak i kół medycznych, domagających się, żeby zrobił rzecz najtrudniejszą dla niego – pominął proces oceny naukowej. Jak powiedziałam w czasie spotkania, doktor Baird

obietcał podpisać certyfikat w ciągu dwóch tygodni. To oznacza, że rezygnuje z dokończenia naszych badań nad lekarstwem. Interesuje cię coś jeszcze?

–Nie, prócz tego, po co tutaj jestem.

Na łóżku po lewej stronie Teri leżał sfatygowany neseser. Wyjęła z niego pojedynczą kartkę papieru i położyła na łóżku, obok Briana. Spojrzał na nią, ale nie musiał brać jej do ręki. Była to kopia jego raportu do Straży Medycznej na temat wadliwej sondy Ward-Dunlopa.

–Wszyscy w FDA wiedzą, pod jaką presją jest doktor Baird. Może oglądałeś w telewizji zasadzkę, jaką zgotował mu senator Louderman podczas otwartego posiedzenia Zespołu Kontroli Administracji Rządowej. Próbuje mu ulżyć, na ile tylko możemy. Kierownik programu Straży Medycznej wziął pod uwagę to, że pracujesz w Bostońskim Instytucie Serca, i przesłał twój raport doktorowi Bairdowi, który poprosił mnie, żebym porozmawiała z tobą osobiście.

–Ale przedtem trochę powęszył.

Brian próbował ją zaskoczyć, posyłając jej niespodziewaną piłkę. Ku jego zdumieniu była na nią przygotowana. Spojrzała mu w oczy, wytrzymując jego spojrzenie. Zakłopotany chrząknął, i czując nagłą suchość w gardle, wypił łyk coca-coli. Teri nie była typem dziewczyny z okładki magazynu mody, lecz okazała się pod każdym względem pociągająca.

–Mam wrażenie, że termin „trochę powęszył” ma usprawiedliwienie – powiedziała. –

Nie lubię takich rzeczy, Brian, ale ponieważ spędziłeś trochę czasu w wariatkowie, nie powinieneś się dziwić.

Wydobyła z teczki brązową kopertę i rozłożyła jej zawartość. Pierwszą rzeczą, która wpadła mu w oko, było powiększone zdjęcie z jego indeksu ze szkoły średniej.

–Boże – westchnął, przerzucając dokumenty.

Był tam jego życiorys na trzy strony, liczne zdjęcia i kopie artykułów w gazetach – w przeważającej większości z pism sportowych. Były stopnie ze szkoły średniej, wyższej i akademii medycznej, szczegółowy raport o wysokości kredytu bankowego, który kwalifikował go do kategorii C-minus, zdjęcia Phoebe i dziewczynek, zrobione ukrytą kamerą, a następnie raporty policji, decyzja komisji i wycinki z gazet na temat jego przestępstwa z receptami.

–To robota pewnej agencji w Waszyngtonie – wyjaśniła. – Byłam wstrząśnięta, podobnie jak ty teraz, widząc, jacy są dokładni. Działają na zasadzie rachunku dwójkowego „jest... nie ma”. Albo cię rozpracowują do końca, albo nie robią nic.

Wszystko im jedno, czy to Aldrich Ames, czy Brian Holbrook. Wiem tylko, że gdzieś tam, w jakiejś szafie, jest również moja teczka. Miałeś ciężki okres. Podziwiam cię, że udało ci się wrócić do normy.

Brian spojrzał na nią z rozdrażnieniem.

–Dziwię się, że nie mają pisma o zwolnieniu mnie z Fairweather.

–Jeśli to jest szpital, w którym ostatnio pracowałeś, to myślę, że próbowali.

–I co?

–W jednym z artykułów wspomniano, że twoje problemy zaczęły się po kontuzji podczas gry w futbol.

–Bo to nie jest najlepszy sport dla ludzi, którzy mają kolana.

–Brian, możesz mi wierzyć, że doktor Baird nienawidzi takich rzeczy, ale jest bardzo zaniepokojony decyzją, którą będzie musiał podjąć w związku z vasclearem. Pamiętaj, że ocena nowego lekarstwa przez FDA wymaga dużego kredytu zaufania do firmy, która skorzysta z jego dopuszczenia do powszechnego użytku. My sami nie mamy środków na przeprowadzenie badań kontrolnych na własną rękę. Znane firmy farmaceutyczne na ogół działają etycznie, natomiast z Newbury Pharmaceuticals nie mamy żadnych doświadczeń, a zdarzały się wypadki, że firmy świadomie nie podawały w raportach niektórych danych albo zmieniały liczby, żeby podnieść ocenę efektywności z prawdopodobnej do ewidentnej.

–Powiesz mi, o co tu w końcu chodzi?

–Brian, nie wszyscy wysyłają raporty na temat wad produktów. Większość instytucji medycznych testuje je na zasadzie umowy z wytwórcami lub firmami farmaceutycznymi, przewidującymi partycypowanie w zyskach.

–Powiedziano mi to.

–Okazało się, że inna osoba, ktoś z ośrodka medycyny na Uniwersytecie Wisconsin, spotkała się z taką samą wadą sondy. FDA zaczął badać tę sprawę, a tymczasem zdarzył się trzeci przypadek. Nie mamy jeszcze ostatecznego orzeczenia, ale żeby wyjąć odłamaną końcówkę sondy u pierwszego z owych pacjentów, trzeba go było operować, natomiast ten drugi zmarł. Jesteśmy bliscy wydania zarządzenia zakazującego aż do odwołania używania

tych sond. Nie będziemy mieli z tym trudności, ponieważ jeszcze nie zostały zatwierdzone do powszechnego użytku. Być może uratowałeś wielu ludziom życie.

–Mogłem z tego powodu stracić pracę.

–Wątpię w to. Kobieta z Wisconsin, która zawiadomiła nas o wypadku, w dalszym ciągu pracuje w tamtejszym szpitalu. Odpowiadając na twoje pytanie o cel naszego spotkania, chcę ci powiedzieć, że doktor Baird poszukuje uczciwych, oddanych współpracowników, którzy pomogą mu nabrać pewności, że nie ma czegoś wątpliwego, dotyczącego vasclearu, o czym on do tej pory nie wie. Twój raport lokuje cię w jego opinii na bardzo wysokiej pozycji.

Brianowi nagle zrobiło się ciasno pod szyją. Poluźnił krawat i odpiął guzik kołnierzyka koszuli.

–Powiedzmy sobie jasno – stwierdził. – Szef FDA żąda ode mnie, żebym donosił na osoby, które ofiarowały mi pracę, w sytuacji kiedy wszyscy inni stanowczo mi odmówili, i które jeszcze nie wiedzą, że skutkiem moich denuncjacji mogą stracić miliony dolarów?

–Brian, chcemy, żeby vasclear osiągnął to, na co zasługuje. Wiem, że czujesz się manipulowany, ale, jak powiedziałam rano, znacznie łatwiej nie dopuścić lekarstwa na rynek, niż je wycofać, kiedy recepty pójdą w ruch, a niemoralni farmaceuci będą prali mózgi i podlizywali się lekarzom domowym.

Brian zastanawiał się chwilę, potem odrzekł:

–Teri, nie mogę niczego obiecać. Muszę ci jednak wyznać, że od chwili kiedy zacząłem pracować w BHI, jestem szczególnie zainteresowany vasclearem. Kobieta, o której przypadku raportowałem do Straży Medycznej, jest pacjentką objętą programem vasclearu, prócz tego spotkałem w klinice dziesiątki innych, również otrzymujących ten środek. Z moich obserwacji wynika, że lek jest dokładnie taki, jak o nim mówią.

–W tym nasza nadzieja. Doktor Baird chciałby tylko, żebyś miał oczy i uszy otwarte, zachowując własną ocenę sytuacji. Rozmawiaj z pacjentami i personelem. Jeśli dowiesz się czegoś na temat tego preparatu – cokolwiek to będzie – porozum się ze mną. – Podała mu swoją wizytówkę, na której przedtem coś napisała. – To jest mój domowy telefon w Chevy Chase. Mieszkam sama i kładę się późno spać, więc możesz dzwonić o dowolnej porze. Gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość na automatycznej sekretarce w domu lub w biurze. Sprawdzam obie dość często.

Brian wsunął kartonik do portfela, zastanawiając się, czy wypada zapytać, czy może do niej dzwonić tylko w sprawach zawodowych. Nie potrafił jednak tego zřęcznie wyrazić.

To było tak, Phil. Umówiliśmy się w jej pokoju w hotelu. Nasmarowała całe moje ciało ciepłym olejkiem i kochaliśmy się przez parę godzin. Potem kazaliśmy przynieść

do pokoju kolację i kochaliśmy się przez następne parę godzin... Wiem, wiem. Alex Trebek i Joe Montana...

–Nie obiecuję, że zadzwonię.

–Rozumiem. Postąpisz, jak będziesz uważał. Doktor Baird powiedział, że być może będzie się z tobą kontaktował osobiście, gdyż sprawa jest dla niego tak bardzo ważna. Nie bądź przy nim onieśmielony. Jest bardzo powściągliwy, żeby nie powiedzieć nieco nieprzystępny, ale to wspaniały człowiek.

Podniosła się, obciągając spódniczkę, i włożyła z powrotem kopertę do neseseru, dając tym znak, że spotkanie dobiegło końca. Brian chciał coś rzec, cokolwiek, co mogłoby przedłużyć jego wizytę, ale w jej zachowaniu nie było nic zachęcającego, poza tym musiał wracać do szpitala. Zdawał sobie sprawę, że rozwód i zawieszenie prawa praktyki wpłynęły na jego brak pewności siebie bardziej, niż sądził. Prawda zaś była taka, że po prostu nie czuł się przygotowany na przygodę z kobietą pokroju Teri Sennstrom, o ile w ogóle był gotów mieć przygodę z jakąkolwiek kobietą. Przypomniawszy sobie hasło ze spotkań u Anonimowych Narkomanów: najpierw sprawy najważniejsze. Niemal słyszał Freemana wypowiadającego te słowa. Nie czas było troszczyć się o własne życie prywatne.

Teri odprowadziła go do drzwi. Otwierając je, po raz ostatni wchłonął jej zapach.

–Słuchaj, Brian – odezwała się, kiedy wychodził na korytarz. – Przykro mi, jeżeli postawiłam cię w trudnej sytuacji. Doktor Baird nie pozwolił sobie wyperswadować tego, by ciebie w to nie mieszać, chociaż próbowałam.

–Dziękuję ci.

–Ja... za trzy dni będę znów w Bostonie. Jeśli chcesz, to zatelefonuję do ciebie przed przyjazdem. Może wybierzemy się gdzieś na kolację?

Brian poczuł, jak serce przestaje mu bić na moment...

–Dobrze – powiedział, starając się nie okazać entuzjazmu. – Będzie mi bardzo miło.

Uśmiechnął się, odwrócił i wpadł na wózek z pościelą, popychany przez posługaczkę hotelową.

Rozdział 15

Brian rozpoczął swoje czterogodzinne zajęcia w klinice badań nad vasclearem od zapewnienia Jackowi trzydniowego zapasu lekarstwa – dwie dawki wziął ze świeżo przywiezionej rezerwy, jedną zabrał Jessie Pullman, pacjentce, która od długiego czasu otrzymywała dawki beta i która miała przybyć na zabieg o szóstej. W domu, w Reading, miał w lodówce jedną dawkę, na wypadek gdyby stałe źródło z jakiegokolwiek powodu zawiodło. Dwa tygodnie. Jeśli lek przyniesie oczekiwane skutki Jackowi, to za dwa tygodnie będzie można wstąpić do miejscowej apteki i kupić zapas na miesiąc.

Mając głowę nabitą myślami o Jacku, preparacie, własnej rehabilitacji, Teri, Freemanie, FDA i czekającym go całonocnym dyżurze pod telefonem, Brian wziął kartę pierwszego pacjenta. Nazywał się Wilhelm Elovitz, siedemdziesięcioletni mężczyzna, który wyszedł cało z upadku na szynę wysokiego napięcia kolejki podziemnej. Elovitz był pacjentem Pierwszej Fazy, zaczął przyjmować vasclear, nim jeszcze rozpoczęły się badania ślepej próby. Miał za sobą już dwa lata kuracji tym lekiem.

–Panie Elovitz, miło mi znów pana widzieć – przywitał go Brian. – Jestem doktor Holbrook.

–Mam na imię Bill – przypomniał mu Elovitz. – Wszyscy tak do mnie mówią.

Miał rozwichrzone, srebrne włosy i rozbijający uśmiech.

Brian spojrzał na opatrunek gipsowy na jego lewym przegubie, potem zauważył rząd wytatuowanych cyfr na wewnętrznej stronie prawego przegubu. Elovitz przetrwał holocaust.

Badając pacjenta, Brian z powodu tego odkrycia i własnych trosk nie był tak skupiony i uważny jak zwykle. W rezultacie uświadomił sobie przyczynę puchnięcia kostek Elovitza dopiero później, kiedy siedział już za biurkiem. Potem przypomniał sobie trudności z oddychaniem, które wraz z Philem zauważyli u niego na izbie przyjęć. Dzisiaj duszność nie objawiała się tak wyraźnie, niemniej utrzymywała się w dalszym ciągu. Można było postawić niemal pewną diagnozę, że Elovitz cierpiał na stopniowo nasilającą się chorobę wieńcową.

–Chwileczkę, Bill – powiedział Brian – chciałbym zajrzeć do historii choroby.

Otworzył teczkę z dokumentami szpitalnymi i przejrzał papiery. Elovitz, mieszkaniec Charlestown, z zawodu rzeźnik, został przekazany przez swojego lekarza domowego Carolyn Jessup z powodu typowych objawów choroby serca, objawiających się bólami w klatce piersiowej. Natychmiast poddano go kuracji vasclearem i przez jakiś

czas wydawało się, że następuje poprawa, gdyż bóle zelżały i mógł podejmować większy wysiłek fizyczny. Potem z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, stan jego serca znów się pogarszał.

Przed ośmioma miesiącami zabrano go na dwa dni do szpitala z powodu małego ataku serca. Od tego czasu przyjeżdżał co miesiąc, żeby otrzymać swoją dawkę vasclearu, ale zapiski, dokonywane przez zmieniających się lekarzy, praktykantów pielęgniarstwa i stażystów na oddziale kardiologii były bardzo pobieżne. Od sześciu miesięcy nie zrobiono mu prześwietlenia klatki piersiowej ani morfologii krwi. Każdy z zajmujących się Elovitzem leczył go z zastoinowej niewydolności serca, czyli powszechnie znanej utraty zdolności

mięśnia sercowego do pompowania krwi, spowodowanej miażdżycą tętnic. Wyglądało na to, że kiedyś, w przeszłości, któryś z kolejnych lekarzy postawił diagnozę, a wszyscy następnicy bez sprawdzania przyjęli ją za słuszną.

Brianowi przemknęło przez głowę, że jak na tak renomowany szpital było w tym zbyt wiele niedbalstwa, natomiast sama diagnoza wydawała mu się słuszną.

–Teraz słucham – zwrócił się do pacjenta.

–Co chce pan wiedzieć?

–Opowiedz mi, jak się czujesz.

–Ach, o tym. – Elovitz zrobił przerwę, żeby zaczerpnąć tchu. – Muszę panu zdradzić, doktorze, że niezbyt dobrze.

–Z jakiego powodu?

Elovitz przyłożył ręce do piersi.

–Mam stałe kłopoty z oddychaniem.

–W nocy śpisz, leżąc płasko?

–Ależ skąd. Kiedy leżę płasko, mam wrażenie, że się duszę. Śpię na trzech poduszkach. Moja żona nie potrzebuje ani jednej.

–Możesz chodzić po schodach?

–Mogę. W moim domu jest klatka schodowa, ale muszę raz przystanąć, aby odpocząć.

Brian przejrzał spis zaordynowanych Elovitzowi lekarstw, których ilość w ciągu ostatnich sześciu miesięcy znacznie urosła; wszystkie były przeciw miażdżycy tętnic

i zastoinowej niewydolności serca. Naparstnica, nitrogliceryna o przedłużonym działaniu, środek na rozszerzanie naczyń, aspiryna na rozcieńczanie krwi, dość silny środek moczopędny.

–Kiedy zaczęły ci puchnąć kostki? – spytał.

Elovitz wzruszył ramionami.

–Kiedy coś naprawdę się zaczyna? – zapytał, robiąc przerwy między zdaniami dla nabrania tchu. – Zaczyna się, potem przechodzi... człowiek nie zwraca na to uwagi... Przychodzi znowu, trwa trochę dłużej, ale też się o tym nie myśli... Aż pewnego dnia spostrzegasz, że ponownie to przyszło, lecz już się nie cofnęło. Tak było z puchnięciem kostek i tak było z trudnościami w oddychaniu... Przetrwiałem w życiu różne czasy, doktorze Holbrook – powiedział, wskazując na tatuaż – większość z nich nie była przyjemna. Jeśli coś nie jest zbyt dotkliwe, czekam, aż samo przejdzie.

–Ale kłopoty z oddychaniem i płytkość oddechu nie ustępują?

–Nie – odparł ze smutkiem Elovitz. – Niestety. Brian wyjrzał przez szklane drzwi na korytarz. Był już opóźniony w stosunku do rozkładu zajęć. Wiedział, że pacjenci czekają na jego badanie, żeby mogli dostać swoje porcje vasclearu i zwolnić miejsca dla wyznaczonych na następną godzinę. Ale ów mężczyzna, który w życiu tyle (wytrzymał i taką cenę zapłacił, zasługiwał na coś więcej niż pobieżne oględziny. Potrzebne mu było skrupulatne badanie i kuracja mająca na celu usunięcie prawdziwej przyczyny choroby jego serca. Diagnoza wszystkich lekarzy rezydentów, zapiski praktykantów pielęgniarstwa i stażystów... wszystko to było prawdopodobnie słuszne, ale opieka nad nim była nad wyraz niedbała.

Przemieścił Elovitza wraz z jego profilowanym krzesłem z sali, gdzie aplikowano

vasclear, do gabinetu ze stołem do badań. Potem poprosił Lucy Kendall, żeby dodatkowo przyjęła dwóch pacjentów, wyznaczonych na tę godzinę.

–Zrewanżuję ci się – powiedział, wstydząc się tego, że przymrużeniem oka podkreślił dwuznaczność obietnicy.

–Kiedy? – odparła.

Brian rozpoczął oględziny Elovitza od dokładnego zbadania naczyń: zmierzył ciśnienie krwi w obu ramionach, w pozycji stojącej i na leżąco; zbadał wziernikiem siatkówki obu oczu, żeby ocenić stan tętnic i żył, następnie zbadał starannie tętnienie żył szyjnych i tętno w tętnicy szyjnej, ramionach, pachwinach, pod kolanami, w kostkach i stopach. Na koniec, po zbadaniu płuc i brzucha, zajął się sercem.

Gdyby nie trudności z dłuższym przebywaniem w pozycji leżącej, Bill Elovitz byłby idealnym pacjentem. Brian osłuchiwał go przez minutę, dwie, czasem pięć, obracając go z boku na bok, każąc mu siadać, kłaść się, znowu siadać. Jeszcze jako student medycyny nauczył się nazw i znaczenia różnych normalnych i chorobowych odgłosów pracy serca. Potem, będąc już stażystą, a następnie rezydentem, nauczył się je rozróżniać, ale dopiero po latach praktyki szpitalnej jego ucho doszło do wprawy. Teraz, kiedy skończył badać Elovitza i wyjął z uszu stetoskop, przypomniał sobie rozmowę z szefem kardiologii na oddziale pediatrycznym pierwszego dnia po przybyciu na praktykę.

–Przepraszam, panie profesorze – spytał Brian – nie wiem, jak pan może słyszeć to wszystko, o czym pan opowiada, skoro puls tego dziecka wynosi sto czterdzieści na minutę.

–Synu – odparł wyrozumiale profesor – zanim skończysz praktykę na tym oddziale, twoje ucho będzie tak wyczułone, że kiedy usłyszysz skurcz w rytmie serca maleństwa, zdązysz się znudzić, zanim usłyszysz rozkurcz.

Serce Billa Elovitza było w stanie dalekim od normy. Brian słyszał w nim odgłosy, z którymi nie spotkał się w czasie całej swojej praktyki. Wzmocniona płucna składowa drugiego tonu serca. Czwartą ton serca pochodzący z prawej komory. Ciche szmery świadczące o nienormalnym przepływie przez zastawki – płucną i trójdzielną. To wszystko bez objawów zalegania płynu w klatce piersiowej.

Wszystko razem potwierdzało diagnozę lekarzy – zastoinowa niewydolność serca, spowodowana wzrastającym stwardnieniem tętnic wieńcowych. Stara maksyma lekarska brzmiała: „Jeśli usłyszysz tętent kopyt na równinach Arizony, nie spodziewaj się, że to zebra”. Doświadczenie Briana mówiło mu, że istniała taka zebra – alternatywa w stosunku do zastoinowej niewydolności.

Zastoinowa niewydolność serca z pewnością była najbardziej prawdopodobną przyczyną tętentu kopyt. Jeśli nie, to choroba Elovitza prawie na pewno była zlokalizowana w jego płucach, a kłopoty z sercem i puchnięcie kostek były objawami wtórnymi. Zebra, która galopowała po głowie Briana, nazywała się nadciśnienie płucne. Powodowało pogrubienie ścianek tętnic płucnych, wywołując duszność i wzrastający opór przepływu krwi, co w rezultacie zmuszało serce do zwiększonego wysiłku. Objawy choroby były niepowседневne, początkowo nieznaczne, ale w rezultacie katastrofalne. Przyczyny mogły być różne: skrzepy krwi biorące się z nóg i z miednicy, przemieszczające się do płuc, rozmaite infekcje, AIDS,

niektóre zwyrodnieniowe choroby płuc oraz różne toksyny i lekarstwa.

Prócz tego istniała również pewna niezwykle rzadka odmiana tej choroby zwana pierwotnym nadciśnieniem płucnym, której przyczyny w ogóle nie były znane.

Czy objawy choroby u jego pacjenta, leczonego vasclearem, świadczą o nadciśnieniu płucnym? Udowodnienie takiej diagnozy nastęrczy spore trudności. Poza tym jednoznaczne ustalenie przyczyny choroby będzie niemal niemożliwe: współistniejąca choroba płuc czy skutek uboczny vasclearu. Mimo to Brian postanowił dociec prawdy.

–Bill, kto cię przywiózł? – spytał.

–Moja żona. Poszła napić się kawy.

–Może powinienem na nią poczekać, żeby wam obojgu powiedzieć, co myślę?

–Nie – odrzekł z naciskiem Elovitz. – To niepotrzebne... Devorah ma dość kłopotów z własnymi nerwami. Bierze lekarstwa... Nie chcę jej martwić... Cokolwiek chcesz powiedzieć, powiedz to mnie.

Brian wzruszył ramionami.

–Niech będzie, jak sobie życzysz – stwierdził. – Lekarze, którzy dotąd się tobą opiekowali, myślą, że cierpisz na zastoinową niewydolność serca. Być może mają rację. Ja natomiast zacząłem się zastanawiać, czy to czasem nie jest pewien rzadki przypadek choroby płuc, zwanej nadciśnieniem płucnym. Nazywamy je w skrócie NP. Podkreślam, że nie jestem pewny, czy twój przypadek to jest właśnie NP. Ponieważ potwierdzenie takiej diagnozy wymaga przeprowadzenia sporej liczby testów, proponuję, żebyś zechciał położyć się na kilka dni w klinice BHI.

Pobrużdżona twarz Billa Elovitza zrobiła się nagle blada. Potrząsnął przecząco głową, najpierw z wahaniem, potem zdecydowanie.

–Musi pan znaleźć inny sposób, doktorze Holbrook – odrzekł.

–Dlaczego?

Elovitz pokazał swój tatuaż.

–Dlatego. A także ze względu na moją żonę... Nie mam nic przeciwko testom, ale w Buchenwaldzie był szpital... To było miejsce... tak jak cały obóz... zdeprawowane do ostatnich granic. Moi przyjaciele, rodzina i ja byliśmy tam zabierani wiele razy... Od tamtej pory minęło pięćdziesiąt lat i w ciągu tego czasu leżałem w szpitalu tylko raz, przez dwa dni, kiedy miałem atak serca... Niech pan robi swoje testy, doktorze Holbrook, jakiegokolwiek będą... ale niech pan nie kładzie mnie w szpitalu... chyba że miałbym umrzeć.

–W tej chwili nie ma takiego zagrożenia – odparł Brian. – Ale żeby przeprowadzić wszystkie badania, będziesz musiał kilka razy przyjeżdżać.

–Nie mam nic lepszego do roboty... Proszę mi powiedzieć, co mam zrobić.

Brian wypisał kilka skierowań: na EKG, prześwietlenie klatki piersiowej, echo serca, gazometrię krwi tętniczej, scyntyografię płuc, morfologię krwi i podstawowe oznaczenia biochemiczne. Mając te wyniki, będzie mógł zdecydować, czy potrzebny będzie najbardziej inwazyjny test – arteriogram płuc.

–Sekretarka sporządzi nam harmonogram testów, Bill. Większość badań możesz zrobić zaraz. W tym czasie dokonam pewnych zmian w twoich lekach.

–A co z vasclearem?

–Proszę?

Elovitz uśmiechnął się.

–Co z moim vasclearem?... To jeden z powodów, dla których tu dzisiaj przybyłem.

–Ach, tak... Słuchaj, Bill, ze względu na to, co się z tobą dzieje, i biorąc pod uwagę okres uczestniczenia w doświadczeniach, myślę, że lepiej odstawić vasclear do czasu zakończenia badań. Chodźmy, pomogę ci ustalić harmonogram.

Prowadząc Billa korytarzem, przypomniał sobie masowe nasilenie przypadków nadciśnienia płucnego w Hiszpanii, w latach osiemdziesiątych, spowodowane skażonym olejem jadalnym, i inne, kilka lat później w Nowym Meksyku, związane ze sprzedawaniem bez recepty tryptofanu L.

Prawdopodobnie badanie pacjenta było tym samym przedsięwzięciem, co wybieranie się na Saturna. Jeśli nawet Bill Elovitz miał NP, to stanowił pojedynczy, oderwany przypadek. Nie można było udowodnić ani nawet założyć, że vasclear ma cokolwiek z tym wspólnego. Niemniej Bill Elovitz był chory i jego stan się pogarszał. Poza sprawieniem mu pewnych niewygód i narażeniem jego towarzystwa ubezpieczeniowego na umiarkowany wydatek, nie było argumentów przeciw przeprowadzeniu badań. Jeśli miał NP, można było ulżyć jego cierpieniom i w pewnych granicach przedłużyć życie, lecz nie można było zatrzymać postępu choroby.

Kiedy wyszli z zakrętu korytarza, prowadzącego do poczekalni, Brian zauważył z pół tuzina ogromnych balonów, unoszących się na wstążkach nad biurkiem sekretarki. Podchodząc bliżej, zobaczył, że na biurku leży udekorowany tort, tak wielki, że można by nim nakarmić pluton wojska.

–Pospiesz się – zawołała podekscytowana Lucy Kendall. – Jesteśmy głodni.

Będąc o kilka kroków od biurka, dostrzegł ozdobny napis: *Doktorowi Holbrookowi*

z podziękowaniem.

Napis otaczała replika głównego podjazdu do White Memorial. Kiedy podszedł bliżej, Lucy i pielęgniarka wykonująca infuzje odsunęły się, a zza ich pleców wyłoniła się promieniejąca Nellie Hennessey. Miała na sobie niebieskie dżinsy i żółty T-shirt z napisem: *Kwestowałam wzduż Charles, żeby zgłodnieć*. Brian obszedł biurko i uściskał ją wśród oklasków pielęgniarek i kilku pacjentów.

–Piękny tort – powiedział.

–Dziękuję. Dekorowanie tortów to moje hobby – stwierdziła skromnie.

Przedstawiła Brianowi swoją córkę, pogodnego rudzielca o szczerym uśmiechu i oczach matki.

–Gdyby Megan nie poślubiła najwspanialszego mężczyzny pod słońcem – oświadczyła Nellie – namawiałabym ją, żeby dała ci szansę.

Rozległ się śmiech i ponowne oklaski. Lucy Kendall uchwyciła wzrok Briana i posłała mu swój najbardziej pożądlivy uśmiech. Chcąc jak najszybciej przestać być centrum zainteresowania, Brian ukroił pierwszy kawałek.

–Nellie, powiedz nam – poprosił jeden z pacjentów – co takiego właściwie zrobił ten wysoki przystojny doktor, żeby uratować ci życie?

Brian zauważył, że przez anielską twarz Nellie przemknął cień zakłopotania.

–No, cóż – odrzekła – zaczęłam mieć kłopoty z tętnicą, a ten chłopiec mi ją udroził.

Znów rozległy się oklaski, ale na tym się skończyło. Nie wspomniała o wadliwym przyrządzie Ward-Dunlopa ani o ułamanej końcówce.

Brian był ciekaw, czy ktoś z nią rozmawiał. Może ją przekupiono. Może intuicyjnie wyczuwała konieczność zachowania dyskrecji.

Odprowadził ją na bok i przedstawił Billowi Elovitzowi, potem usunął się, kiedy oboje zaczęli sobie opowiadać szczegóły swoich chorób. Nellie należała do siedemdziesięciopięcioprocentowej grupy sukcesu. Zachorujesz, otrzymasz vasclear, wyzdrowiejesz. Proste. Czyste jak cięcie skalpelem.

Ale na co chorował Bill Elovitz?

Początkowo znacznie mu się poprawiło, potem choroba znów się nasiliła. W ten sposób znalazł się w dwudziestopięcioprocentowej grupie pacjentów, którzy po prostu nie reagowali na vasclear. Teraz jednak istniało prawdopodobieństwo, że

zapał na rzadko spotykaną chorobę płuc. Czy jego diagnoza była słuszna? A jeśli tak, to czy źródło choroby było przypadkowe, czy stanowiło powikłanie w wyniku kuracji?

Jakie stąd płynęły wnioski dla Jacka?

Jeśli Elovitz nie reagował na lek, ponieważ miał NP, to nie można było winić za to vasclearu. Siedemdziesiąt pięć procent pozytywnych reakcji mówiło samo za siebie. Zatem choroba Billa nie powinna być argumentem do przerwania kuracji Jacka.

–Nellie, powiedz mi – spytał Brian – ile dokładnie czasu upłynęło od chwili, kiedy zaczęłaś przyjmować vasclear, do momentu ustąpienia symptomów twojej choroby?

–Ile czasu? Nie pamiętam, kochanie. Wiem tylko, że niewiele.

–Ja pamiętam, mamie – wtrąciła Megan. – Pierwszą dawkę dostałaś dziesiątego sierpnia, a ból ustąpił w dniu moich urodzin. Udekorowałaś wtedy tort uśmiechniętymi buziami i serduszkami, przypominasz sobie?

–Więc jak długo to trwało? – dopytywał się Brian.

–Och – odparła Megan. – Moje urodziny są dwudziestego czwartego. Przestało ją boleć dokładnie po dwóch tygodniach. Bardzo szybko.

Rozdział 16

Noc przeszła znacznie spokojniej, niż Brian przypuszczał. Nie był ani razu wzywany przez pager, a po godzinach, które spędził w klinice badań nad vasclearem, przywieziono zaledwie jednego pacjenta na oddział – trzydziestoosmioletniego mężczyznę będącego na eksperymentalnym leku przeciw myocarditis, wirusowemu zapaleniu mięśnia sercowego. Lek był ciągle „jeszcze w Pierwszej Fazie, czyli na etapie badania toksyczności i ustalania wielkości dawek. Brian zorientował się od razu, że kuracja tego pacjenta była całkowitym fiaskiem. Zastoinowa niewydolność serca mężczyzny pogłębiała się, tymczasem podawano mu coraz więcej lekarstwa. Był w kolejce do transplantacji serca, ale, podobnie jak wielu innych, znajdował się na tak odległej pozycji, że mógł prędzej doczekać się śmierci niż operacji.

Brian wysłuchał historii pacjenta, zbadał go i wypisał formularz przyjęcia do szpitala. Potem udał się do pokoju lekarzy, żeby przeczytać historię choroby mężczyzny i napisać na komputerze kartę rozpoznania. W czasie nawału zajęć wypisywanie kart pochłaniało zbyt wiele czasu, więc rezydenci najczęściej korzystali z dyktafonu. Użycie komputera sprawiało, że opisy przypadków były bardziej przemyślane i pełniejsze, dysponowało się natychmiastowym wydrukiem, a poza tym unikało się możliwości powstania błędów przy przepisywaniu.

Brian umieścił kartę i kubek z kawą obok laptopa, usiadł na krześle i włączył komputer. Niestety, ekran monitora pozostał czarny. Jeszcze raz nacisnął guzik – na tym kończyła się jego umiejętność poradzenia sobie w wypadku niezadziałania urządzenia – lecz znów bez rezultatu. Mógł posłużyć się dyktafonem, ale potrzebny był mu wydruk. Zatelefonował do biura napraw komputerów, zgłosił awarię, a następnie postanowił skorzystać z komputera w pomieszczeniu rejestracyjnym w klinice badań nad vasclearem.

Powiedział dyżurnym pielęgniarkom, dokąd się udaje, i – znając kod zamka – wszedł do kliniki. Wnętrze było puste, ciemne, panowała w nim nieprzyjemna cisza, w jakiś sposób budząca grozę. Mała, oszklona kabina rejestracyjna znajdowała się o parę kroków od wejścia, po lewej stronie. Brian nie włączył oświetlenia, użył natomiast kieszonkowej latarki, żeby znaleźć drzwi. Zapalił małą lampkę na stole, gdyż wolał ciepłe światło zwykłej żarówki od oświetlenia jarzeniowego. Potem zamknął drzwi i zaciągnął zasłony. Poczul się tak, jakby się znalazł w kokonie.

Było pół do jedenastej. Wiedział, że Jack z całą pewnością nie śpi. Kobieta z opieki zdrowotnej, którą wynajmował na noc, kiedy sąsiedzi spali, podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

–Jak on się czuje, pani Rice? – spytał Brian.

–Bez zmian od czasu pańskiego telefonu o szóstej. Siedzi i ogląda programy sportowe.

Wydawało mu się, że kobieta jest sfrustrowana lub znudzona, albo jedno i drugie.

–Swego czasu uprawiał sport – powiedział Brian napominającym tonem – w dodatku bardzo dobrze. Jak się czuje?

–Bolało go w piersiach, kiedy wstawał, żeby pójść do łazienki. Wziął pod język jedną z tamtych tabletek. Chciałam rozmasować mu plecy, zanim wyjdę o dwunastej, ale nie chce się położyć do łóżka.

–Może pani oddać mu słuchawkę?

–Jak się masz, Brian.

–Hej, Jack. Czemu jesteś taki niedobry dla pani Rice?

–Ona mnie dręczy. Nie potrzebuję masażu. Potrzebuję vasclearu.

–Dziś jest dzień przerwy. Mówiłem ci sto razy.

–Chyba zapomniałem. Niczego teraz nie mogę zapamiętać. Wiesz o tym. Chciałem więcej vasclearu, bo zdaje mi się, że zaczyna działać.

Brian poczuł nagle ożywienie.

–Jak to się objawia? Opowiedz mi.

–Nie potrafię tego wytłumaczyć. Po prostu dziś poczułem się lepiej.

–To świetna wiadomość, tato. Znakomicie. Ale pani Rice powiedziała mi, że zażywałeś nitroglicerynę.

–Tylko parę razy. Mówię ci, Brian, ten środek działa.

–Cudownie. Jutro przyniosę ci więcej.

–Liczę na to.

–Zadzwoń rano, Jack.

Brian odłożył słuchawkę, rozparł się wygodnie na krześle i zamknął oczy. Przyjemnie było usłyszeć od ojca coś innego niż to, że czuje się źle. W dalszym ciągu jednak, jeśli chciał pójść do odległej o kilka jardów łazienki, musiał zażywać nitroglicerynę. Czy wrażenie poprawy było tylko przejściowym zahamowaniem

stałego pogarszania się jego stanu, czy oznaczało radykalny zwrot ku lepszemu?

Otworzył teczkę z historią choroby. Kiedy kładł ją obok klawiatury komputera, usłyszał, że ktoś otworzył drzwi do kliniki. Chwilę później dobiegły go głosy rozmowy. Przez szczelinę w zasłonach zobaczył migotliwe światło zapalających się lamp jarzeniowych, a po chwili ujrzał Arta Webera i Carolyn Jessup, przechodzących obok pomieszczenia rejestracyjnego. Nie zauważyli jego obecności. Między nimi szedł wysoki, dobrze zbudowany, nieco łysiejący mężczyzna, ubrany niemal równie kosztownie jak Weber.

Brian nie widział twarzy wysokiego mężczyzny, ale jego sylwetka wydawała mu się znajoma. Para lekarzy zaprowadziła go do gabinetu zabiegowego numer jeden, znajdującego się najbliżej kabiny rejestracyjnej. Chwilę później w gabinecie zabłysło światło. Brian uchylił odrobinę drzwi w rejestracji. Głosy dochodzące z jedyńki odbijały się echem w pustym korytarzu.

–... Rutynowe badanie, aby stwierdzić, czy wszystko jest w porządku – usłyszał głos Jessup. – Zanim otrzyma pan dawkę, zrobimy elektrokardiogram.

–Jak pan się czuje? – spytał Weber.

–Doskonale. Ból, z którym zgłosiłem się do Carolyn, ustąpił po dwóch, a najwyżej trzech tygodniach kuracji i już nie powrócił.

Głos mężczyzny również wydawał się Brianowi znajomy.

–Doskonale – powiedział Weber.

–Ten wasz środek jest rewelacyjny, Art. To nie znaczy, że nie odczuwam od czasu do czasu ukłuc w różnych miejscach klatki piersiowej, ale one są krótkotrwałe.

–Całkiem naturalne – stwierdziła Jessup. – Każdy człowiek powyżej dwudziestki czuje czasem ukłucia w piersiach. Zadaniem lekarza jest odróżnić rzeczywisty ból serca... anginę pectoris... od skurczów mięśni w okolicach żeber czy dolegliwości spowodowanych nadmiarem kwasu podchodzącego z żołądka do przełyku, pęcherzykami gazu uwięzionego w jelitach poniżej przepony, lekkim zapaleniem płuc lub nawet zapaleniem ścięgna barkowego. Czasem bardzo trudno się zorientować. Lista możliwości jest długa.

–To znaczy, że w piersiach może się dziać wiele różnych rzeczy – zauważył mężczyzna.

Kto to jest? – zachodził w głowę Brian.

–Rzeczy przeważnie niewiele znaczących i niemających konsekwencji, Walter –

odparła Jessup. – Można nawet powiedzieć, że bóle w piersiach stanowią normalną reakcję organizmu na codzienne stresy. To odnosi się teraz do ciebie, ponieważ, na szczęście, dzięki doktorowi Weberowi i dobrym ludziom z Newbury Pharmaceuticals, twoją chorobę wieńcową udało się wyleczyć.

–To niewiarygodne – powiedział mężczyzna. Walter?

Brian podsunął się na swoim krześle bliżej uchylonych drzwi.

–Elektrokardiogram jest jak u nastolatka – zachwycała się doktor Jessup. – Znakomicie pan reaguje. Art, jesteśmy gotowi do zabiegu. Wprowadzę igłę, a ty tymczasem idź po preparat.

–Z przyjemnością. Jeden koktajl vasclearowy, proszę!

Weber wyszedł z gabinetu i udał się do magazynku lekarstw. Brian siedział zaskoczony, próbując poskładać razem to, co przed chwilą usłyszał. Było oczywiste, że mężczyzna imieniem Walter był Bardzo Ważną Osobą dotkniętą chorobą serca i leczoną vasclearem. Czy trafił do grupy beta losowo? Z całą pewnością nie.

–Oto vasclear, senatorze – rozległ się głos Webera. – Życzył pan sobie większą dawkę, prawda?

Walter Louderman! Briana zatkało z wrażenia. Nigdy nie głosował na republikanów, ale jeśli ten facet o twardych szczękach, były obrońca futbolowy, otrzyma nominację swojej partii na stanowisko prezydenta, to kto wie, czy nie zrobi wyjątku. Bez wątpienia Weber i Jessup złamali kod, żeby upewnić się, czy senator otrzymuje dawkę grupy beta. Niespodzianką było to, że senator Louderman choruje na serce – a przynajmniej chorował przed kuracją vasclearem. Rozgłoszenie takiej sensacji prawdopodobnie położyłoby kres jego prezydenckim aspiracjom.

Powinni byli mi zaufać, pomyślał z rozgoryczeniem.

Stawką było życie jego ojca. Wszyscy wiedzieli, że pacjentom z grupy beta podawano największe porcje leku. Jeśli chodzi o Loudermana, uciekli się do oszustwa. Dlaczego wciskali mu kit na temat losowania, zamiast ulokować również Jacka w tej grupie? Mogli to zrobić tak, żeby nikt, nawet Brian, nie wiedział o tym. Tymczasem Jessup dopuściła do tego, żeby komputer wylosował Jacka do tej parszywej grupy otrzymującej placebo, a potem

nalegała na powtórny operację.

Czy warto było ujawnić się? Co mógł w ten sposób zyskać?

Nasłuchiwał jeszcze przez pół minuty, potem przytknął drzwi i zasiadł przed

komputerem. Wywołał katalog rejestracji i wprowadził swoje hasło: GODEEP. Następnie poprosił o kartę Waltera Loudermana. Nie zdziwił się, gdy komputer odpowiedział, że nie ma takiej karty. Dane mogły wprawdzie figurować pod fałszywym nazwiskiem, ale Brian wątpił w to, że człowiek o tak wysokich aspiracjach politycznych zgodziłby się na takie ryzyko.

Zanotował sobie w pamięci, żeby zajrzeć do pomieszczenia taśmoteki obok pracowni hemodynamicznej. Zdawał sobie sprawę z nikłej szansy na odnalezienie danych o zdrowiu Loudermana. Był przekonany, że zarówno one, jak i taśma wideo z koronarografii są przechowywane w sejfie w gabinecie Carolyn Jessup. Może nawet trzymała je u siebie w domu. W tym momencie poczuł czyjąś obecność. Przy uchylonych drzwiach kabiny stał, patrząc na niego, Art Weber. Jego twarz była nieprzenikniona niczym maska.

Brian rzucił okiem na ekran komputera. Z miejsca, gdzie stał Weber, nie było widać, że próbuje wywołać dane Loudermana.

–Cześć, wejdź do środka – odezwał się Brian ze sztuczną uprzejmością.

Weber stopą rozchylił szerzej drzwi, ale nie ruszył się ze swojego miejsca.

–Byłeś tu, zanim myśmy przyszli? – spytał.

–Ja... owszem... byłem. Zepsuł się komputer na oddziale. Przyszedłem przed chwilą, żeby założyć kartę nowego pacjenta.

–Ach, tak. Widziałeś nas, kiedy wchodziliśmy z naszym... pacjentem?

–Tak.

–Poznałeś go?

Brian nie mógł wywnioskować niczego z wyrazu twarzy dyrektora programu. Zastanawiał się, czy nie skłamać, ale odrzucił ten pomysł. W rezultacie skinął twierdząco głową.

–Zostań tutaj i nie przerywaj sobie – powiedział Weber. – Muszę porozmawiać z doktor Jessup.

Zamknął drzwi kabiny, a następnie drzwi do gabinetu numer jeden. Brian poczuł, że jego początkowe obawy zaczynają przeradzać się w złość. Czy mogą go wyrzucić? Czy zrobią to, ryzykując, że opowie komuś o tym, czego był świadkiem? Odpowiedzi na te pytania potwierdzały smutną rzeczywistość... był całkowicie zbyteczny w BHI, a narkomani – nawet ci wyleczeni – byli we wszystkich społeczeństwach najmniej wiarygodni.

Carolyn Jessup wyłoniła się z gabinetu numer jeden, zapukała dyskretnie do szklanych drzwi, potem otworzyła je i weszła do kabiny. Brian starał się być opanowany. Zrobił jej miejsce, a sam usiadł na krawędzi biurka.

Patrzyła na niego, krzyżując ręce na piersiach. Zauważył jej stonowany, staranny makijaż i wymanikiurowane, połyskujące szkarłatnym lakierem paznokcie. Jeśli Phil Gianatasio czuł się onieśmielony przy Teri Sennstrom, to ta kobieta musiała mu się wydawać zatrwazająca.

–Tak się składa, Brian – zaczęła, dobierając starannie słowa – że znów musimy wrócić do rozmowy o działaniach, które trzeba podejmować dla dobra Bostońskiego Instytutu Serca.

–Na to wychodzi.

–Doktor Weber powiedział mi, że zdajesz sobie sprawę z tożsamości naszego tajemniczego gościa.

–Trudno nie rozpoznać senatora Loudermana.

Jessup uśmiechnęła się wymijająco.

–Zgadza się z tym – stwierdziła, rozplatając ramiona, ale nawet na sekundę nie odwracając ciemnych oczu od Briana. – Jakiś czas temu przysłano do mnie senatora, ze złą diagnozą dotyczącą bólów w klatce piersiowej. Zrobiłam komplet badań, mając nadzieję, że wynik będzie negatywny, ale było inaczej. Cierpiał na chorobę sercowo-naczyniową. Mając na uwadze... delikatność sprawy, wynikającą z charakteru jego stanowiska politycznego i dalszych planów, zrobiłam mu w i sekrecie koronarografię, która wykazała dziewięćdziesięcioprocentowe zatkanie tętnicy przedniej zstępującej, prócz tego pomniejsze zwężenia w prawej i w okalającej. Został natychmiast poddany kuracji vasclearem, kuracji, która przyniosła tak znakomite efekty, że wątpię, by jego zdrowie mogło się stać tematem rozważań prywatnych albo publicznych... gdyby się ubiegał o fotel prezydenta.

–Dziewięćdziesiąt procent – powtórzył Brian. – To fantastyczne. Myślę, że sytuacja jest bardzo korzystna, kiedy vasclear skutecznie leczy osobę tak wpływową jak senator.

–Zawsze dobrze mieć przyjaciół na wysokich stanowiskach – odparła spokojnie Jessup. – Ty też masz swoich w tym instytucie. Mnie i doktora Pickarda.

Groźba nie była zbyt zawaolowana. Brian szybko zareagował.

–Powiedziałem już raz, że jestem wdzięczny doktorowi Pickardowi i pani za danie mi szansy na to, bym znowu mógł stanąć na nogach. Narażenie się na utratę pracy jest

ostatnią rzeczą, którą bym zrobił. W mojej sytuacji to zbyt wielkie ryzyko.

–Dobrze to ująłeś. W takim razie, Brian, w interesie twojej własnej kariery i jeszcze czegoś, czegoś znacznie większego, przyrzeknij, że nie wspomnisz nikomu o senatorze Loudermanie. Powtarzam... absolutnie nikomu. Wiadomość, że jest u nas na kuracji, byłaby druzgocząca dla niego... i dla nas.

–Rozumiem.

–To dobrze.

Jessup obejrzała się przez ramię.

–Art, chciałbyś coś dodać?

Weber pojawił się na progu kabiny.

–Chcę ci wyrazić uznanie, Brian, za to, że dostrzegasz ważność sytuacji – powiedział. – Jeśli jest coś, co moglibyśmy dla ciebie zrobić, to nie krępuj się.

Brian wahał się przez chwilę, chociaż wiedział, że nie zdoła się powstrzymać.

–Mam prośbę. Domyślam się, że senator Louderman nie został zaliczony do grupy beta w drodze losowania.

Weber i Jessup wymienili spojrzenia.

–Brian, mówimy o człowieku, który może będzie naszym następnym prezydentem – odparła Jessup. – Nie mogliśmy ryzykować, stosując wobec niego procedurę podwójnie ślepej próby.

–W porządku – rzekł Brian. – Ale niezależnie od tego, jak ważny jest senator, dla mnie najważniejszą osobą na świecie jest mój ojciec.

–Naturalnie. A zatem chcesz, żeby został włączony do grupy beta.

–Myślałem o tym od samego początku i w dalszym ciągu mi na tym zależy. Ale, bez względu na waszą decyzję, jeszcze raz was zapewniam, że dochowam tajemnicę w sprawie senatora.

Ku jego zdumieniu, w oczach Carolyn Jessup pojawił się wyraz uznania... może nawet podziwu. Zdawało się, że mówią: Witaj w naszym klubie, doktorze Holbrook. Okazuje się, że masz wszystko, czego trzeba, żeby odnosić sukcesy.

–Zgoda, Brian – oświadczyła. – To całkiem skromna prośba. Proponuję, żebyśmy zaczęli kurację twojego ojca jutro po południu, powiedzmy o piątej. Zawiadomię

pielęgniarki, że jest włączony do grupy beta.

–Sądzę, że przyjazdy do szpitala to w jego stanie zbyt duży wysiłek. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym, żeby zaczął kurację w domu.

–Pod warunkiem że zdajesz sobie sprawę, iż w dalszym ciągu podtrzymuję opinię o konieczności operacji, i to możliwie jak najprędzej.

–Rozumiem. Nie widziałem taśmy Nellie Hennessey, ale według twojego zdania jej arteriogram wyglądał równie źle jak mojego ojca. Spotkałem ją dzisiaj w klinice. Jest o sześć lat starsza od Jacka, a wygląda i rusza się, jakby była o dziesięć młodsza. Chciałbym dać mu najpierw solidną porcję vasclearu.

–W takim razie dawka beta będzie najwłaściwsza. Art da ci jutro porcję na cały tydzień.

–Będę szczerze wdzięczny.

Wyraz szacunku w oczach Carolyn Jessup zmienił się w stalowy chłód.

–Mam nadzieję, Brian – powiedziała.

Rozdział 17

THE BOSTON GLOBE

Bostońska firma farmaceutyczna spodziewa się miliardowych zysków

Bostońska firma Newbury Pharmaceuticals swoje największe dochody czerpała do tej pory z eksportu witamin do Rosji i innych państw satelitarnych dawnego bloku sowieckiego. Dziś ta prywatna firma spodziewa się bonanzы, której wartość eksperci szacują na przynajmniej dziesięć miliardów dolarów w ciągu najbliższych trzech lat. Kluczem do tych olbrzymich zysków jest przewidziane pod koniec miesiąca zatwierdzenie przez FDA lekarstwa o nazwie vasclear. Producenci twierdzą, że środek wykazuje siedemdziesięciopięcioprocentową skuteczność w leczeniu miażdżycy.

„Pieniądze zaczną napływać z chwilą wyjazdu ciężarówek – twierdzi nasz ekspert do spraw rynku. – Wielkość zysków może nie mieć precedensu w przemyśle już i tak słynnym z bezprecedensowych sukcesów finansowych”.

Jesień była ulubioną porą roku Briana aż do pewnej listopadowej soboty, przed osiemnastu laty. Od tamtego dnia – mimo że zapach gnijących liści i wilgotnej ziemi, bogactwo kolorów i chłodne, krystaliczne powietrze Nowej Anglii wciąż go urzekały – jesień niosła z sobą również uczucie goryczy. Urodził się po to, żeby grać w futbol, nie liczyło się nic innego, w żadnej dziedzinie, nawet w medycynie, nic nie dorównywało emocji krótkiego sprintu w tył, żeby postać pierwszą piłkę meczu.

Dziś jednak stosunek Briana do jesieni był odmienny, ponieważ zadzwoniła Teri Sennstrom i miał się z nią spotkać za godzinę na obiedzie. Czuł, że powinien zrobić sobie przerwę – odłożyć wszelkie sprawy, choćby tylko na parę godzin.

Następne dni po oficjalnym przejściu Jacka na pełną dawkę vasclearu przebiegły gładko, mimo to Brian zaczął poważnie wątpić w to, że stan ojca ulega poprawie. Po dziesięciu dniach, od czasu kiedy otrzymał pierwszą dawkę beta, Brian zaczął dokładnie liczyć tabletki nitrogliceryny i założył specjalny zeszyt, żeby dochodzące pielęgniarki i sąsiedzi notowali fizyczną sprawność Jacka. Huśtawka nastrojów ojca była męcząca – przechodził od euforii z powodu drobnych znaków poprawy do głębokiej depresji przy równie nieznaczących objawach pogorszenia. Jeszcze trzy dni, postanowił Brian. Za trzy dni dojdą do magicznych dwóch tygodni, po których poprawiło się zdrowie Nellie Hennessey. Potem zacznie namawiać ojca na wizytę u doktora Randy.

Teri prosiła, żeby się spotkali w miejscu, gdzie było niewielkie prawdopodobieństwo natknięcia się na kogoś z BHI. Brian wybrał mały, niedawno otwarty lokal w Burlington, następnym miasteczku za Reading. Wyszedł ze szpitala przed szóstą, ale wcześniej sprawdził telefonicznie, co się dzieje w domu.

–Jak się czujesz, tato?

–Niezbyt dobrze.

Kolejka górską była w fazie zjeżdżania w dół.

–Boli cię w piersiach?

–Nie tak bardzo, ale czuję się źle. Boję się... nie wiem dlaczego.

Jack Holbrook, były obrońca, który kiedyś przetrwał na boisku mimo złamanej nogi, był nie tylko przestraszony stanem własnego zdrowia, ale otwarcie się do tego przyznawał. Najwyraźniej kończył się fizycznie.

–Chcesz, żebym do ciebie przyjechał?

–Powiedziałaś, że umówiłeś się z kimś na obiad.

–Umówiłem się, ale to nie jest takie ważne, jeśli źle się czujesz.

–Bzdura. Czuję się nieźle. Jestem tylko jakiś znudzony, a przy tym podminowany. Za godzinę zaczną się transmisje z meczów. Baw się dobrze.

–Na pewno nie chcesz, żebym przyjechał?

–Nie trzeba. Jest tu moja sąsiadka, Sally, prócz tego ktoś przyniósł mi lazanię. Jeśli tylko dasz mi wieczorem dawkę vasclearu...

–Natychmiast jak wrócę. Dziesiąta trzydzieści, najpóźniej jedenasta. Pytam po raz ostatni, nie chcesz, żebym teraz przyjechał?

–Nie.

–Mam z sobą pager.

–Doskonale. Nie martw się. Nie będzie potrzebny.

–W porządku. Oglądaj mecze. No i... Kocham cię, tato.

Nastąpiła chwila ciszy.

–Dobrej zabawy – powiedział Jack.

Rozłączył się. Brian jeszcze przez dobre pół minuty trzymał słuchawkę przy uchu, słuchając sygnału. Kocham cię. Program jego rehabilitacji zachęca do otwartego wyrażania uczuć, ale powiedział tak do ojca pierwszy raz od niepamiętnych czasów... może nawet pierwszy raz w życiu.

Kocham cię.

Dlaczego to powiedział?

Pełen mieszanych uczuć – z jednej strony ciesząc się, że znów zobaczy Teri, z drugiej zaś dziwnie zrezygnowany po rozmowie z Jackiem – włożył dżinsy i kraciastą koszulę i powędrował do szpitalnego garażu.

Teri czekała na niego przy stoliku wewnątrz Blues Barn, które stanowiło adaptację starej farmy, z zachowaniem jej prymitywnego wystroju. Była w pełni zrelaksowana i wyglądała uroczo w dżinsowym żakiecie i złotym podkoszulku typu T-shirt. Przywitała się serdecznie z Brianem i pocałowała go w policzek.

–Nie miałaś kłopotu z trafieniem tutaj?

–Najmniejszego. Dałeś mi dokładne instrukcje. – Gestem wskazała zatłoczone wnętrze. – Miałam ochotę na obiad w takim miejscu.

–Muzycy zaczynają o ósmej – stwierdził Brian. – Nie znam tego zespołu.

–Nieważne. Pracuję non stop, wiesz nad czym. Ten wieczór to jakby dwa tygodnie wakacji.

Zjawiała się kelnerka serwująca napoje. Brian poprosił o coca-colę z cytryną. Teri zamówiła to samo.

–Mam nadzieję, że zrezygnowałaś z czegoś mocniejszego nie ze względu na mnie – powiedział.

–Nie martw się o to. Nie jestem uzależniona od alkoholu. Potrafiłabym go zamówić i nie wypić.

–To jedyna rzecz, której się boję. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek wypił drinka, który nie byłby wstępem do dalszego picia, zakończonego w najlepszym wypadku rauszem... Tak było zawsze, zanim jeszcze uzależniłem się od proszków przeciwbólowych.

–Ale radzisz sobie z tym, chodząc na zebrania i słuchając dobrych rad. To się liczy.

–Prawda, miałaś moją teczkę. Znasz mój życiorys.

–Wstydzę się tego.

Odgarnęła niesforny kosmyk włosów z czoła, ale natychmiast opadł z powrotem. Brian musiał walczyć z sobą, żeby nie pomóc jej własną ręką.

–Pora, żebyśmy wyrównali szanse. Opowiedz coś o sobie.

–Jeżeli mojateczka w ogóle istnieje, to z pewnością jest znacznie mniej interesująca niż twoja. Pochodzę z Indiany. Mam siostrę. W mojej rodzinie jestem pierwszą osobą, która poszła na studia, w dodatku na medycynę. Ojciec do tej pory haruje w stalowni, pije o wiele za dużo, potem staje się obelżywy i zabiera się do bicia. Mama gotuje, sprząta, próbuje się uśmiechać, przyjmuje na siebie agresję ojca i nigdy nie mówi źle o kimkolwiek.

–Tyran i ofiary. Straszny dom.

–O, tak. Moja starsza siostra, Diana, zaszła w ciążę i wyszła za mąż, nie mając jeszcze osiemnastu lat. Stary sposób ucieczki.

–Czy chociaż za kogoś fajnego?

–Myślałby kto. Dodaj mu trzydzieści lat, zmień markę piwa, które pije, i masz tatę.

–A ty?

–Zostałam w domu. Kiedy miałam dziewiętnaście lat, porzuciłam dom i wyszłam za mąż za studenta medycyny. Stąd moje zainteresowania.

–Co się potem działo?

–Peter był przerażająco niepewny siebie. Potrzebował silniejszego oparcia, niż mogłam mu dać... a także raketowej podniety. Przyłapałam go, skłamał, przyłapałam go ponownie... wtedy stał się grubiański i zaczął zwalać winę na mnie. Po średniej szkole chciano mnie przyjąć do Princeton, ale odrzuciłam ofertę, żeby być z Peterem. Pracowałam w domu towarowym, uczęszczając przy tym na kursy na miejscowym uniwersytecie powszechnym. Napisałam do Princeton, a oni byli tak uprzejmi, że zgodzili się przyjąć mnie ponownie. Zaproponowali mi nawet stypendium. Kiedy Peter się o tym dowiedział, zdecydował, że potrzebny mu ktoś, kto będzie miał więcej czasu, żeby pracować mu skarpetki.

Przyszła kelnerka, żeby przyjąć zamówienia.

–Jeśli nie musisz dbać o linię – powiedział Brian – polecilibym żeberka.

Sięgnęła do torebki, pokazując mu paczkę czekoladowych ciasteczek.

–Na wszelki wypadek – powiedziała. – Kiedy siedzę zamknięta w mojej jamie. Wezmę żeberka, a na dodatek frytki.

Czekając na obiad, przyglądali się przygotowaniom zespołu muzycznego i rozmawiali o Bostonie, Waszyngtonie, muzyce, literaturze, filmie i swojej pracy zawodowej. Potem przez jakiś czas w milczeniu rozkoszowali się jedzeniem.

–Więc jak to w końcu było z tobą? – zapytała Teri.

–Jak było ze mną? Czyżby moja teczka okazała się niekompletna?

–Jak doszło do twojego wypadku?

–Podczas meczu. Wiesz o tym z teczki.

–Chcę wiedzieć, jak to się odbyło? Muszę cię uprzedzić, że mamy... ja i moja przyjaciółka... całoroczny abonament na wszystkie mecze Redskinów. Uwielbiam ten sport.

–Czuję się, jakbym umarł i wstąpił do nieba.

–Więc jak to się stało?

–Po pierwsze musisz wiedzieć, że przez cały czas moim trenerem był ojciec. Od szczeniaka, przez szkołę średnią, po uniwersytet. Zacząłem grać w zespole uniwersytetu Massachusetts, ponieważ tam go zatrudnili. Black Jack Holbrook. Nie wiem, skąd się wzięło to przezwisko... może stąd, że lubi wszelkie zakłady.

–Ojciec i trener. Przypuszczam, że granica musiała być trochę mglista.

–To eufemizm. Ja do tej pory nie wiem, jak się do niego odnosić. Obaj byliśmy... jesteśmy... diabelnie nieustępliwi. Czasem, zwłaszcza kiedy byłem młodszy, potrafiłem naumyślnie posłać niecelną piłkę, jeśli powiedział coś, co mnie rozzłościło. Przeważnie jednak zachowywałem się zgodnie z jego intencjami, i w ten sam sposób grałem. Zostałem ranny pod koniec pierwszego roku studiów. Byłem wtedy sensacją początku sezonu dla całej amerykańskiej prasy, mimo że nie należałem do wielkiego zawodowego młyna. To był mój dobry rok i bardzo dobry mecz, choć przegrywaliśmy pięcioma punktami, a do końca było tylko sześć sekund...

Kiedy to mówił, jego myśl bezwiednie poszybowała do owego uroczego późnego popołudnia. Rozgrywa jedno ze swoich najlepszych spotkań – trzy przyłożenia, ani jednego przechwyconego podania. Ale teraz, żeby wygrać, muszą zrobić jeszcze cztery jardy, a czasu wystarczy tylko na jedno rozegranie piłki. Sześć sekund...

pięć...

–Czas! – krzyczy Brian.

Idzie ku bocznej linii, krzywiąc się z bólu za każdym razem, kiedy prawe kolano przejmuje ciężar ciała. Zaciska zęby, ale mimo to nie jest w stanie ukryć utykania. W momencie gdy otrzymuje cios podczas drugiej ćwiartki, już wie, że coś w jego kolanie zostało naciągnięte albo zerwane, albo przesunięte, ale gra dalej, zaciskając zęby i pamiętając, że trener Holbrook grał kiedyś ze złamaną nogą przez całe ćwierć meczu. Trener odciąga go na bok.

–Nie podoba mi się twój stan. Wytrzymasz jeszcze jedno rozegranie?

–Jak możesz o to pytać?

–Bo jestem twoim ojcem. Jeśli chcesz zostać, masz jak najprędzej pozbyć się piłki.
Trzy

kroki i szybkie podanie do Tuckera. Gracie: dwa-sześć-skos-orzeł.

–Trenerze, Tucker już dwa razy stracił piłkę. Może zrobię manewr quarterbacka, udam, że mam zamiar podać, i sam pobiegnę z piłką do linii.

–Nie chcę narażać twojej nogi na takie ryzyko. Dwa-sześć-skos-orzeł. Jasne?

–Jasne.

Brian wraca do grupy zawodników.

–Krąg w lewo, zygzak do przodu, korytarz dla zwodu quarterbacka – mówi swojej drużynie. – Na raz... dwa.

Podchodzi do środka na drżącym kolanie. Czuje przeszywający ból w kości udowej, ale noga wytrzymuje. Spogląda w stronę ojca. Patrzą sobie w oczy. Trener klaszcze jeden raz i podnosi w górę kciuk. Czas zaczynać. Od tej chwili Brian pamięta wszystko jak na zwolnionym filmie. Szum stadionu narasta, potem przy cicha. Rozmieszczenie wszystkich przeciwników, ich oczy, pozycje, najdrobniejsze ruchy – jego mózg zapamiętał wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Widzi, że połknęli przynętę – mają ustawienie obronne, świadczące o tym, że spodziewają się podania. Ustawienie nieodpowiednie do zagrania, które zaraz nastąpi. To, co zadysponował trener, mogłoby się udać lub nie. Zwód quarterbacka ma większą szansę.

–Na miejsca... gotowi... raz... dwa.

Piłka wślizguje mu się do rąk. Brian trzyma ją tak, że przeciwnicy myślą, iż zaraz

nastąpi podanie. Cofa się o dwa kroki. Widzi przed sobą otwartą ścieżkę – wolne przejście do końcowej linii, tak szerokie, że aż budzi radość. Przez ułamek sekundy waha się, potem szarżuje. Kiedy prawa stopa po raz pierwszy przejmuje ciężar całego ciała, więzadła spinające udo z podudziem rozrywają się. Noga poniżej kolana wygina się na zewnątrz pod nienaturalnym, groteskowym kątem. Potworny ból w stawie kolanowym przekracza wszelkie wyobrażenie.

Brian zaczyna krzyczeć, nim jeszcze pada na ziemię. Łapie oddech, krzyczy, potem jeszcze raz i jeszcze... Bierze do ręki garść ziemi i zatyka sobie usta, zaciskając z całej siły szczękę. Mimo to wciąż słyszy własne jęki. Jak przez mgłę dochodzi do niego wołanie ojca.

–Brian... Brian...

W tym momencie ocknął się, uświadamiając sobie, że to głos Teri. Położyła dłoń na jego rękę i zacisnęła mocno. Poczłł się zawstydzony.

–Coś takiego – powiedział, potrząsając głową i ścierając kropelki potu z górnej wargi. – Przecież już nie jestem w Kansas. Nie powinienem się tak zapominać. Czy mówiłem z sensem?

–Opowiadałeś nadzwyczajnie, Brian. Czy nie wydaje ci się, że gdybyś podał piłkę, tak jak ojciec ci kazał, to skończyłbyś na zawodowym futbolu?

–Nie konałbym przynajmniej na proszkach przeciwbólowych. Mój ojciec tak myśli... i tylko to jest ważne. Nigdy się z tym nie pogodził.

Znów pogrążył się we wspomnieniach.

Zespół muzyczny, całkiem niezły, zaczął grać powolnego, rytmicznego bluesa.

–Lubisz tańczyć? – spytała Teri, wrywając go z odrętwienia.

–Już drugi raz w tym tygodniu ktoś mnie o to pyta. Czy ubezpieczyłaś stopy?

Poszli na parkiet obok orkiestry, gdzie tańczyły trzy inne pary. Teri naturalnym ruchem oplótła ramionami szyję Briana i przyłożyła policzek do jego piersi. Brian poddał się z miejsca urokowi chwili, czując dotyk włosów Teri na swoim policzku i bliskość jej przytulonego ciała. Jego ręce spoczywały na wygięciu jej smukłych pleców. Pomyślał, że żył w stanie bezustannego napięcia od chwili, kiedy Jack w Towne Deli doznał pierwszego ataku bólu w piersiach. Na zewnątrz czekało na niego mnóstwo spraw – praca, pacjenci, badania, lekarstwo, ojciec. Stopniowo o wszystkim zapomniał. W tej chwili ważna była tylko muzyka i kobieta, z którą tańczył.

Muzyka się skończyła, ale oni trwali jeszcze jakiś czas przytuleni do siebie. Zespół

zaczął znów grać, tym razem jakiś szalony utwór z solo na harmonijce ustnej. Brian odprowadził Teri do stolika.

–Chyba nie potrafię tańczyć w takim rytmie – powiedział. – Nie wiem, czy ktokolwiek na świecie to potrafi.

–Bzdura. Jesteś sportowcem. Sportowcy mają łatwość ruchów.

–Poprawka. Jestem kardiologiem mającym ponad sześć stóp wzrostu i numer butów trzynaście D. Czy można sobie wyobrazić bardziej niefortunna kombinację?

–Ba! Przemilczę tę fałszywą skromność. Uprzedzam cię, że idę tańczyć, jeśli nie z tobą, to sama.

–Przyjąłem do wiadomości.

–A ponieważ zacząłeś mówić o kardiologii – dodała – uprzedzam cię, że nie chcę dziś rozmawiać na tematy zawodowe. Z drugiej strony nie chciałabym stać w kolejce do kasy, żeby zrealizować czek dla bezrobotnych... albo, jeszcze gorzej, czytać nagłówki gazet, wrzeszczące, że lek, który pomogłam przedwcześnie zatwierdzić, wykończył tyle osób, ile ma stan Iowa. Czy przemyślałaś moją prośbę?

Brian westchnął.

–Wciąż się zastanawiam – odrzekł. – Wolałbym, żeby istniało takie rozwiązanie, w którym wzięliby udział doktor Pickard i doktor Jessup.

–To byłoby nierozsądne. Brian, nasz instytut nie po raz pierwszy ma do czynienia z lekarstwem czy produktem, które miało przynieść kilku osobom ogromne bogactwo. Również nie po raz pierwszy znani naukowcy nie dzielą się z nami informacją. W wypadku vasclearu nie mamy podstaw do posądzenia, że cokolwiek się przed nami ukrywa, ale chociaż Pickard i Jessup cieszą się nienaganną opinią, oboje wiemy, o jaką stawkę toczy się gra.

Brian przypomniał sobie ostrzeżenie doktor Jessup, po tym jak napisał raport do Straży Medycznej, i także to, że oboje z Weberem w pewnym sensie oszukiwali. Powiedzieli mu otwarcie, że w ciągu trzech lat protokół nieraz bywał łamany.

–Mówisz, że Jessup i Pickard zaakceptowali pomysł konfidencjonalnego informowania waszego instytutu?

–Bez zastrzeżeń.

–W takim razie zgoda. Będę miał oczy otwarte. – Zawahał się, ale dodał: – Trafiłem na pewien interesujący przypadek, dotyczący jednego z pierwszych pacjentów

otrzymujących

vasclear.

–To interesujące.

–Jeszcze niewiele wiem. Ale nie mogę podać jego nazwiska, nawet tobie, bez jego zgody.

–Rozumiem.

–To starszy facet, którego spotkałem w klinice; jeden z pierwszych, z którymi rozpoczęto eksperyment.

–Pacjent Pierwszej Fazy?

–Przypuszczam, że tak. Z początku reagował dobrze, ale potem nastąpił regres. Teraz, po dwóch latach kuracji, jest bardzo chory. Nie mam jeszcze wyników badań laboratoryjnych, lecz podejrzewam, że ma nadciśnienie płucne.

Oczy Teri zaślniły zainteresowaniem.

–Nadciśnienie płucne. Może brał tabletki na odchudzanie? Albo był ostatnio w Hiszpanii i jadał sałatkę z oliwą?

Brian uśmiechnął się.

–Masz swoją teorię na temat przyczyn chorób. Jeśli chodzi o tego pacjenta, to nie ma żadnych przesłanek sugerujących, co mogło spowodować jego stan. Jeszcze nie zacząłem nad nim pracować. Nadciśnienie płucne to na razie hipoteza.

–Kiedy będziesz coś wiedział?

–Za kilka dni.

–Napiszesz mi o tym?

–Wolałbym zdać ci relację osobiście.

–Przyjadę.

–Jest jeszcze jedna rzecz, o której chcę ci powiedzieć. Mój ojciec ma ciężką chorobę wieńcową. Dziesięć lat temu miał zawał. Bypass, który wszczepili mu przed sześciu laty, zawodzi. Zacząłem podawać mu vasclear. Nie ukrywam, że pokładałam w nim całą moją nadzieję.

–O ile Jack został zaliczony do grupy beta.

–Miał szczęście. Może masz ochotę poznać go osobiście? Mieszkamy o parę mil stąd. To go bardzo podniesie na duchu. Zobaczysz, jak aplikuję mu vasclear. Robię to w domu.

–Naprawdę sądzisz, że się ucieszy?

–Będzie zachwycony, wierz...

–Co się stało?

–Mój pager! Uświadomiłem sobie, że go nie mam. Nigdzie się bez niego nie ruszam. Tak, przypominam sobie. W szpitalu zmieniłem spodnie. Pager jest w worku na rzeczy, w samochodzie. Zadzwoń i uprzedzę go, że przyjeżdżamy.

–Pójdę do toalety i zaraz wracam.

Kabina telefoniczna była w pobliżu drzwi wejściowych. Po czterech dzwonek usłyszał własny głos z automatycznej sekretarki.

–Halo, tu mieszkanie Holbrooków...

Z sercem pulsującym z niepokoju odwiesił słuchawkę i czekał niekończące się

dwadzieścia sekund, aż sekretarka przewinie taśmę. Potem jeszcze raz wybrał numer, z takim samym wynikiem.

Pobiegł do samochodu i przez moment mocował się z zamkiem bagażnika. Na wyświetlaczu pagera przypiętego do paska spodni widniał numer jego domowego telefonu.

–Jezu – modlił się, biegnąc z powrotem do kabiny. – Odpowiedz... Do diabła, odpowiedz...

Trzy dzwoneki i znów jego własny głos z sekretarki.

–Tato, jadę do domu – krzyknął po sygnale. – Za chwilę będę!

Rozdział 18

Brian wpadł pędem do restauracji w chwili, kiedy Teri wracała do stolika.

–Dzieje się coś niedobrego – powiedział. – W domu nikt nie odpowiada. Jack nigdzie nie wychodzi, poza tym powinna być opiekunka. Zadzwoił na mój pager. Cholerny pech. Pierwszy wieczór, kiedy nie miałem go przy sobie.

Położył na stole dwie dwudziestki, wziął Teri za rękę i pospiesznie wyprowadził na zewnątrz.

–Chcesz, żebym pojechała z tobą? – spytała.

–Nie! Chociaż może byłoby lepiej... Tak.

Pędził w stronę domu, skupiając całą uwagę na prowadzeniu. Ostatni zakręt na swojej ulicy przejechał z piskiem opon, spodziewając się ujrzeć pod domem ambulans pogotowia. Ulica była opustoszała, świeciło się tylko światło w oknie saloniku. Pobiegnął do mieszkania, nie czekając na Teri. Do lampy przy fotelu Jacka przyklejona była notatka, napisana przez sąsiadkę.

Brian,

Godz. 21. 00. Próbowaliśmy cię zawiadomić, ale twój pager chyba jest wyłączony. Twój ojciec ma ostre bóle w klatce piersiowej. Nie pozwala wezwać ambulansu, ponieważ boi się, że wezmą go do Suburban, a woli pójść do Boston Heart.

Chciał dzwonić po taksówkę, ale oboje z Haroldem sami odwieźliśmy go na miejsce. Powiedział, że zażył więcej aspiryny, tak jak mu kazałeś.

Sally Johansen

Brian pokazał notatkę Teri, a sam zadzwonił do izby przyjęć w White Memorial. Upłynęło parę pełnych napięcia minut, zanim zgłosił się dyżurny lekarz.

–Doktorze Holbrook, mówi Stu Metzger, pierwszoroczny rezydent. Pański ojciec jest tutaj, ale już mu jest lepiej. Ma rozległy zawał przedniej ściany serca. Mamy kłopoty z utrzymaniem ciśnienia krwi.

Rozległy zawał przedniej ściany serca, obejmujący mięsień lewej komory, głównej pompy organizmu ludzkiego. Poza pęknięciem ściany serca drugi z najgorszych możliwych przypadków.

–Cholera – zaklął Brian. – Czy jest przytomny?

–Chwilami tak.

–Kto jest przy nim?

–W tej chwili zespół dyżurny, ale wiem, że doktor Jessup jest już w drodze, a przed chwilą przybył doktor Randa.

–Dziękuję, Stu. Powiedz tacie, że zaraz tam będę.

–Przekażę mu.

–Jeszcze jedno, Stu.

–Słucham?

–Zrób, co tylko możliwe.

–Oczywiście.

Brian spojrzał na Teri.

–Jest bardzo źle.

–Słyszałam. Jedź jak najprędzej. Trafię sama do Radisson. Zadzwoń, jak czegoś się dowiesz.

–Nie mogę w to uwierzyć! Po prostu nie mogę. Mój Boże, biedny tata.

Odwracając się, usłyszał, jak wymawia cicho jego imię. Objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie i delikatnie pocałowała w usta.

–Może będzie ci lżej, jeśli pojedę z tobą? – spytała.

–Nie. Dam sobie radę. Zatelefonuję do hotelu, kiedy tylko będę coś wiedział.

–Dzwoń o każdej porze... albo jutro rano.

–Dobrze. Chodźmy. Pojedziesz za mną do autostrady, a potem już sama. No i... dziękuję za wieczór.

–Ja też ci dziękuję – zawołała, kiedy biegł do swojego leBarona. – Jedź ostrożnie.

Brian poczekał, aż Teri zapuściła silnik wynajętego samochodu, potem ruszył i popędził w stronę I-93 i Bostonu. Znaczne uszkodzenie serca, spadek ciśnienia krwi. Laj Randa przy ojcu... Brian oceniał szanse ojca na trzy do jednego. W tej chwili było jasne, że przegrał. Liczyło się jednak to, czy pozostała mu jakaś szansa.

W izbie przyjęć w White Memorial panowała jak zwykle atmosfera superaktywności. Brian od razu pospieszył do gabinetu numer cztery, na tyłach szpitala. Nawet długoletnie doświadczenie i praktyka medyczna nie zdołały przygotować go do obrazu ojca będącego ofiarą najbardziej tragicznego przypadku chorobowego – zatrzymania akcji serca.

–Start! – zawołała Carolyn Jessup.

Brian usłyszał trzask iskry wysokiego napięcia, kiedy elektrody wyładowywały swoją energię w ciele Jacka. Przez tłum przynajmniej piętnastu zgromadzonych osób – techników, pielęgniarek i lekarzy – zobaczył, że ręce Jacka poderwały się w górę, a następnie opadły. Na wykresie pracy serca na ekranie kardiomonitora, stanowiącym prostą linię, zaczęły się pojawiać stosunkowo zorganizowane zespoły impulsów, z początku rzadkie, potem coraz częstsze.

–To przypomina rytm węzłowy.

–Jest puls. Jest puls.

–W tej chwili ma rytm zatokowy. Regularny rytm zatokowy.

–Ciśnienie siedemdziesiąt.

–Podnieście Levophed – zarządziła Jessup. – Przygotujcie krew do transfuzji. Nie wprowadzamy cewnika. Jak najprędzej na salę operacyjną w BHI.

Zanim Brian zdołał precyzyjnie się do ojca, na salę wpadli dwaj promieniujący ważnością asystenci doktora Randy.

–Doktor Randa życzy sobie natychmiastowego zainstalowania kontrapulsacji

wewnątrzortalnej – oświadczył jeden z nich. – Powiedział, że użyjemy sztucznego płucoserca i że będziemy gotowi za piętnaście minut.

Brian okrążył zgromadzony tłumek i stanął przy łóżku. Carolyn Jessup dostrzegła go i, nie przerywając pracy, potrząsnęła głową. Możliwe, że miała swój normalny wyraz twarzy, lecz Brian zobaczył w niej odbicie własnych, ponurych myśli.

Powinieneś być mnie posłuchać, Brian. Mówiłam, żebyś zdecydował się na Rande.

–Twój ojciec był przytomny, kiedy przyjaciele go tu przywieźli – powiedziała, podczas gdy zespół chirurgów wprowadzał już do prawej tętnicy udowej Jacka nienapompowany balon o kształcie parówki, wsuwając go coraz głębiej. – Miał bardzo niskie ciśnienie, zaledwie dziewięćdziesiąt, a elektrokardiogram wykazywał pogłębiający się zawał przedniej ściany serca. Wkrótce po przywiezieniu do szpitala

ciśnienie zaczęło spadać. Teraz ma nawracające zaburzenia rytmu. Jak na razie to była pierwsza defibrylacja.

–Będzie miał operację?

–Jeśli zdążą. Miałam zamiar przewieźć go do pracowni hemodynamicznej i spróbować zlikwidować zator antykoagulantem albo cewnikiem, ale osłuchując go, stwierdziłam, że funkcje zastawki dwudzielnej są poważnie zakłócone skutkiem niedrożności naczyń wieńcowych. Ultrasonografia potwierdziła złe funkcjonowanie mięśnia brodawkowego zastawki dwudzielnej. Jeśli dotrwa, trzeba będzie wymienić nie tylko bypassy, ale również zastawkę.

Jeśli dotrwa.

Brian patrzył w otępieniu na wąski wózek, na którym leżał ojciec. Miał zamknięte oczy, jego surowa, ostro zarysowana twarz zaczynała powoli puchnąć. Z nosa wystawała końcówka rury, sięgającej żołądka; druga rura, znacznie grubsza, służąca do tłoczenia powietrza, wiodła od ust, między strunami głosowymi, w dół tchawicy. Twarz Jacka miała kolor popiołu.

Trenerze.

Asystenci Randy byli nad wyraz sprawni. W ciągu paru minut, za pomocą cienkiej sondy, wprowadzili do tętnicy balonik i zaszyli wlot. Balonik był elektrycznie synchronizowany w ten sposób, że pęczniał między kolejnymi uderzeniami serca Jacka, włączając dodatkową porcję krwi do lewej komory – czyli właściwej pompy. Niewielki wzrost przestrzeni napełnienia krwią utrzymywał tętnice wieńcowe w stanie maksymalnego rozszerzenia i często decydował o szansach uratowania pacjenta.

Wytrzymaj, Jack. Jeszcze trochę. Trzymaj się.

–Jedziemy – powiedział jeden z asystentów. – Doktor Randa czeka.

Stojaki do kroplówek, kardiomonitor i pompa balonika zostały przygotowane. Nim Brian zdołał się otrząsnąć z ponurych myśli, Jacka już nie było. Teraz mógł tylko czekać.

Pielęgniarki uwijały się, sprzątając brud z podłogi. Gabinet numer cztery musiał być szybko gotów do przyjęcia następnego pacjenta w krytycznym stanie. Carolyn Jessup wyprowadziła Briana na korytarz. Widać było, że przyjechała z domu w ostatniej chwili, bo nie miała makijażu. Jej hebanowo-czarne, długie do ramion włosy, które zwykle upinała w luźny węzeł, zostały pospiesznie pospinane po obu stronach głowy. Pierwszy raz, odkąd Brian ją znał, wyglądała na swój wiek.

–Robimy, co w naszej mocy – zapewniła.

Brian opuścił głowę i popatrzył na własne stopy.

–Wiem. Dziękuję ci. Dziękuję, że nie powiedziałaś: „A mówiłam!”.

–Wiedziałaś, że twój ojciec ma za mało czasu, żeby vasclear zdążył podzielać.

–Nie posłuchałem cię i teraz czuję się okropnie. Ale prawdą jest także to, że on nie chciał za żadne skarby operacji, ja zaś na podstawie wszystkiego, co wiedziałem o lekarstwie, mogłem wyciągnąć wniosek, że poskutkuje, jeśli tylko zdołam je zdobyć.

–Rozumiem. Chcę, żebyś sobie zdał sprawę, że gdybyśmy nawet zaczęli dawać mu vasclear o tydzień wcześniej, tak jak prosiłeś, to i tak byłoby już za późno.

Brian pokiwał głową. Przyznanie się do tego, co zrobił, już nie miało sensu.

–Dziękuję ci za wszystko, co uczyniłaś dla niego.

–Szkoda, że nie mogłam więcej. Za chwilę pójdę na górę, by zobaczyć, co tam się dzieje. Kiedy Randa podłączy go do pompy, chcę wrócić do domu. Jutro z samego rana zajrzę do Jacka.

Brian jeszcze raz jej podziękował, a potem odbył nieznośnie samotny spacer do Boston Heart. Po drodze zatrzymał się i przeprowadził dwie rozmowy telefoniczne. Pierwszą z Phoebe, która wymusiła na nim obietnicę, że zawiadomi ją o wyniku operacji bez względu na porę dnia. Drugą rozmowę przeprowadził z Freemanem.

–Freeman? Tu Brian – powiedział. – Jack miał ciężką niewydolność wieńcową i zatrzymanie akcji serca. Zabrali go na kardiochirurgię w Boston Heart. W tej chwili operują go.

–Zaraz tam będę – odrzekł Freeman i odłożył słuchawkę.

Brian spojrzął na zegarek. Dochodziła północ. Za późno, żeby dzwonić do Teri. Zostawił wiadomość w recepcji, że skontaktuje się z nią rano. Potem pospieszył na trzecie piętro, do galerii obserwacyjnej nad salą operacyjną.

Galeria sali operacyjnej była – podobnie jak wszystko inne w BHI – nowoczesna, luksusowa i bogato wyposażona w aparaturę. Widzowie mogli oglądać operacje albo bezpośrednio, przez pleksyglasowe sklepienie nad dwiema salami operacyjnymi, albo za pośrednictwem ekranów telewizyjnych, zamontowanych na ścianie. Przygotowano także lornetki na łańcuszkach, przez które można było obserwować szczegóły operacji.

Brian przybył na galerię w chwili, gdy Randa, stojąc na czymś, co wyglądało na hydraulicznie podnoszoną platformę, skończył rozpiłowywanie mostka w celu

odsłonięcia serca Jacka. W tym czasie asystenci zainstalowali rurki łączące tętnice i żyły Jacka z pompą sztucznego serca i byli już w trakcie wycinania żył z nogi, z której nie pobrano żył do bypassów podczas pierwszej operacji. Technik obsługujący płucoserce czekał w pogotowiu. Za chwilę krążenie i utlenianie krwi przejmie maszyna. Do tętnic wieńcowych zostanie wstrzyknięty schłodzony roztwór potasu, paraliżujący pracę serca Jacka.

Od tego momentu wszystko będzie zależało od zręczności i szybkości pracy Randy. Im dłużej Jack pozostanie na sztucznym płucosercu, tym trudniej będzie przywrócić jego własne krążenie – zakładając, że z mięśnia sercowego jeszcze cokolwiek zostało. Wobec sporej liczby bypassów, które należało przyszyć do powierzchni serca, i konieczności wymiany

zastawki dwudzielnej między lewym przedsionkiem a komorą operacja mogła potrwać cztery godziny, a nawet dłużej.

Brian widział wiele podobnych operacji. Przy niektórych nawet asystował. Ze swojego miejsca nie mógł zobaczyć głowy Jacka, przykrytej kawałkiem płótna. Pozbawiony kontaktu wzrokowego z ojcem, czuł się całkowicie oderwany od sceny, którą obserwował. Zastanawiał się, czy nie przenieść się do poczekalni, chociaż wiedział, że nic nie zdoła ruszyć go z tego miejsca. Tylko skupienie uwagi na operacji mogło zmniejszyć wewnętrzne napięcie. W tym momencie Randa spojrział w górę, zauważając go, po czym natychmiast skupił wzrok na mikroskopie operacyjnym.

–Nie zgadzam się, żeby członkowie rodzin obserwowali operowanie swoich najbliższych – powiedział przez mikrofon, nie odrywając się od pracy.

–Wytrzymam ten widok, chyba że to będzie przeszkadzało panu, doktorze Randa – odparł Brian. – Wolę to, niż chodzić od ściany do ściany po poczekalni.

–Niech pan zostanie. Chcę pana jednak uprzedzić, że nie jestem dobrej myśli. Nie wiem, jak znaczna część mięśnia sercowego została uszkodzona, nim do nas trafił.

–Rozumiem.

–Mięsień brodawkowy zastawki dwudzielnej przestał funkcjonować. Musimy wymienić zastawkę.

–Wiem.

Randa bez owijania w bawełnę przygotowywał Briana na najgorsze. Brian wielokrotnie stosował tę samą metodę wobec własnych pacjentów. Obiecywanie dobrych wyników w obliczu trudnych przypadków stanowiło świadome napytywanie sobie kłopotów. Wiedział o tym nawet tak zadufany w siebie chirurg jak Randa.

Brian przewidywał, co go teraz czeka ze strony Randy, nastąpiło to jednak dopiero po kilku minutach. W tym czasie przybył Freeman Sharpe – strażnik wpuścił go na galerię. Stał w milczeniu za Brianem.

–Proszę mi teraz przypomnieć – rzekł Randa – kiedy zaleciłem operowanie pańskiego ojca? Trzy tygodnie temu?

–Mniej więcej.

–Czemu pan tak długo zwlekał?

Brian musiał przełknąć ślinę, zanim odpowiedział.

–Stosowałem rutynowe leczenie – odparł – plus vasclear.

–Wobec tego oświadczam autorytatywnie, że pański cudowny lek w jego wypadku nie podziałał. Tętnice pańskiego ojca przypominają paciorki różańca, a aorta jest zeszywniała od miażdżycy i zapchana złożami wapnia.

–Tego się obawiałem.

–Pańska decyzja była krańcowo niefortunna.

Freeman skrzywił się. Brian nie wiedział, jak zareagować.

Potrząsnął beznadziejnie głową i spojrział w bok.

–Kierowałem się życzeniem ojca... a także tym, co wiedziałem na temat nowego preparatu. Myślałem, że postępuję dobrze – odparł po chwili.

–Lekarz, który leczy sam siebie albo własną rodzinę, unieszczęśliwia i siebie, i swoich bliskich.

–Gdzie się wyłącza mikrofon? – szepnął Sharpe do ucha Briana.

Brian pokazał mu wyłącznik obok szyby. Sharpe zmienił jego położenie.

–Skąd wytrzasnąłeś takiego grubianina? – spytał.

–Żeby zostać sławnym chirurgiem, wcale nie trzeba taktu. Poza tym on ma rację. To ja jestem wszystkiemu winien.

–Słyszałem, co twój ojciec opowiadał o swojej poprzedniej operacji. To nie twoja wina. Jaki jest jego stan?

–W tej chwili podłączyli go do krążenia pozaustrojowego. Nie można nic powiedzieć,

dopóki nie skończą operacji i nie odłączą go. To potrwa jeszcze parę godzin.

–Zażyłeś coś?

Brian spojrzął z niedowierzaniem na swojego poręczyciela.

–Freeman, jak możesz w ogóle pytać?

–Chyba wiesz, że byłem narkomanom zdarza się sięgnąć po narkotyki, i to nie tylko w stresowych sytuacjach. Poza tym moja praca polega na zadawaniu takich pytań.

–Nie, Freeman, niczego nie zażyłem. Nie mogę uwierzyć, że to się stało.

–Rozumiem cię. Wierzysz w to, co ten nadęty kurdupel powiedział na temat twojej decyzji?

–Sam nie wiem, w co powinienem wierzyć. Sądzę, że w medycynie, kiedy stawką jest czyjeś życie, lepiej działać prawidłowo mimo złej diagnozy, niż robić błędy w wypadku dobrego rozpoznania.

–Sam mi mówiłeś, że pacjenci poddawani powtórnej operacji mają znacznie mniej szans niż przy pierwszej.

–To prawda. Oparłem się na statystyce... porównałem dane dotyczące vasclearu z wynikami operacji powtórnego wszczepiania bypassów, że nie wspomnę o przejściach Jacka i jego kategorycznym sprzeciwie wobec powtórnej ingerencji chirurgicznej. Ten wybór ciąży mi kamieniem... Freeman, dziękuję, że przyjechałeś. Czuję się cholernie samotny.

Sharpe otoczył go ramieniem.

–Nie jesteś, kolego – powiedział. – Dopóki będziesz miał swoje urocze dziewczynki, wiarę w siebie i we mnie, że zdołam cię ustrzec przed zejściem z właściwej drogi... nie będziesz samotny.

–Zrobiliśmy pięć bypassów – oznajmił Randa. – Zabieramy się do zastawki.

Brian spojrzął na zegar. Nie minęło jeszcze półtorej godziny. Przy powtórnej operacji nawet trzy godziny byłyby czymś niezwykłym. Zamknął oczy. Naprzód, Randa, bądź dupkiem, myślał, ale utrzymaj to tempo.

Randa z asystentami współdziałali jak świetnie wytrenowana jednostka sił specjalnych. Pochyleni nad Jackiem, zasłaniali szczelnie widok z góry. Brian musiał uciec się do lornetki i do zawieszzonego nad szybą monitora. Freeman nie patrzył w ogóle.

–Widziałem za dużo otwartych klatek w Wietnamie – stwierdził.

W ciągu następnej godziny Randa pracował nad wymianą zastawki dwudzielnej. Freeman próbował odciągnąć uwagę Briana rozmową o ubocznych sprawach, jednak po pewnym czasie dał za wygraną, usiadł i zdał się na niewymuszoną konwersację.

Wrażenie oderwania, które utrzymywało Briana w formie w początkowych stadiach operacji, ustąpiło dość szybko. Z pamięci wyłaniały się rozmaite obrazy. Przypomniawsobiesobietwarz Jacka podczas szkolnych meczów. Za każdym razem Jack był tak podniecony, jakby to był finałowy mecz o Super Bowl. Brian zorientował się, że płacze, dopiero gdy Sharpe otoczył go ramieniem i podał chusteczkę.

–Serce zaszyte, przygotować się do odłączenia pompy. Doktorze Holbrook, jest pan tam?

Brian włączył mikrofon, spoglądając równocześnie na zegar. Niecałe trzy godziny. Pięć nowych bypassów i wymiana zastawki dwudzielnej w ciągu stu siedemdziesięciu pięciu minut. Filigranowy sikh był czarodziejem.

–Jestem – odpowiedział Brian.

–Nie odzywał się pan.

–Martwię się.

–Ma pan wszelkie podstawy. Pod względem technicznym operacja się udała, ale nie mogę ręczyć za rezultat, kiedy będziemy próbowali przywrócić funkcjonowanie serca.

–Rozumiem.

–Chce pan tam zostać?

Brian obejrzał się na Freemana.

–Wolę być tu niż gdzieś indziej – odparł.

–Założyliśmy ultradźwiękową sondę przełykową, żeby mieć stałą kontrolę kurczliwości mięśnia sercowego.

Brian wziął do ręki lornetkę, sprawdzając, czy może obserwować przez nią ekran aparatury ultradźwiękowej.

–Dziękuję, że pozwolił mi pan obserwować – powiedział chrapliwie, zaciskając kurczowo ręce na krawędzi krzesła.

–Zwalniać bieg pompy. Włączyć rozrusznik – nakazał Randa.

–Pompa wyłączona.

–Rozrusznik na siedemdziesiąt pięć. Jeszcze nie ma przechwycenia.

–Migotanie komór... ma migotanie komór.

–Źle. Włączyć pompę. Elektrody... dwadzieścia dzuli... start!

–Wykres płaski... Chwileczkę, zaczynają pojawiać się zespoły. Rytm wymuszony... siedemdziesiąt pięć.

–Skurcze bardzo słabe. Brak efektywnego krążenia. Brian patrzył przez lornetkę na monitor aparatury ultradźwiękowej i poczuł, że jego nadzieje się rozwiewają.

–Pompa, start! – rozkazał Randa.

Chirurg spojrział w górę, w stronę Briana, i potrząsnął głową. Pierwsza runda dobiegła końca i została przegrana. Na razie nie można było odłączyć płucoserca. Jeszcze bardziej niepokojący wynik pokazywał ultrasonograf. To, co zostało z mięśnia sercowego, nie było w stanie wytworzyć ciśnienia krwi. Po piętnastu minutach pełnej napięcia ciszy Randa kazał

włączyć na nowo rozrusznik i zwolnić bieg pompy. Znow wystąpiło migotanie komór i ponownie serce zostało elektrycznie wprawione w wymuszony rytm. W dalszym ciągu skurcze były tak słabe, że nie wywoływały krążenia krwi. Randa ponownie kazał włączyć pompę. Drugą rundę też przegrano.

Minęło dwadzieścia minut. Brian czuł, że następna próba będzie ostatnią. Ultrasonograf wciąż pokazywał bardzo niską wydolność mięśnia sercowego. Pocieszał się, że pomiar jest tylko pomiarem. Pacjenci reagują rozmaicie, a Jack Holbrook grał kiedyś przez ćwierć meczu, mając pękniętą kość strzałkową.

No już, tato. Jazda, stać cię na to!

Głosy dobiegające z sali operacyjnej niosły się echem po galerii. Laj Randa wydawał następne rozkazy.

–Rozrusznik na dziewięćdziesiąt. Powoli wyłączać pompę.

–Rozrusznik dziewięćdziesiąt.

–Aktywność elektryczna bardzo mała – zameldował jeden z asystentów.

–Brak skurczów – zauważył inny.

–Aparatura w porządku? – spytał Randa.

–W najlepszym.

–Jesteście pewni?

–Tak, wszystko działa.

–Wszystko prócz jego serca.

–W dalszym ciągu nic – powiedział asystent.

Laj Randa, wyraźnie przygnębiony, odwrócił wzrok od monitora. Podniósł swoje czarne jak węgiel oczy w stronę galerii. Potem sięgnął zakrwawioną ręką do twarzy i ściągnął maskę.

–Przykro mi – rzucił. – Współczuję panu.

Część druga

Rozdział 19

WIECZORNE WIADOMOŚCI NBC

Kronika medyczna

Biały Dom potwierdza, że prezydent weźmie udział w spotkaniu, którego celem jest rejestracja rewelacyjnego leku na serce, o nazwie vasclear. Zatwierdzenia lekarstwa do powszechnego użytku dokona dyrektor Instytutu Żywności i Leków doktor Alexander Baird. Preparat ten, opracowany i produkowany przez firmę Newbury Pharmaceuticals z Bostonu; powoduje rozpuszczenie płytek miażdżycy, które zatykają tętnice wieńcowe i powodują ataki serca. Raporty firmy donoszą o pozytywnych wynikach w siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków.

Szef personelu Białego Domu Stan Pomeroy oświadcza, że oficjalne spotkanie odbędzie się w bostońskim szpitalu White Memorial, a więc w miejscu, gdzie odbywała się większość doświadczeń klinicznych nowego specyfiku.

Senator Walter Louderman, gorący zwolennik szybkiego udostępnienia leku, powiedział, że został przyjemnie zaskoczony nieoczekiwaną zmianą stanowiska Instytutu w stosunku do specyfiku tak bardzo potrzebnego, na który czeka cały naród amerykański.

Wiadomości z trudem docierały do Briana, który siedział przybity na kanapie w saloniku, żując bez apetytu kęsy starej pizzy. Salon, jadalnię i kuchnię wypełniały kwiaty i koszyki z owocami, w różnych stadiach rozkładu. Na ścianach wisiały pamiątki dobrych i złych czasów. Teri przysłała kwiaty oraz koszyk serów i krakersów. Telefonowała kilka razy, wyrażając żal i tłumacząc, dlaczego nie może uczestniczyć w pogrzebie. Brian odpowiedział, że telefony od niej i szczerą troską mają dla niego większe znaczenie niż jej obecność na ceremonii.

Był czwarty dzień po pogrzebie. Od śmierci Jacka minął tydzień. Z wyjątkiem dnia pogrzebu, czas wydawał się Brianowi wlec nieznośnie. Nikt prócz Freemana Sharpe'a nie znał przyczyny jego wewnętrznej rozterki i nawrotów rozpacz.

W stosunku do Phoebe miał mieszaninę dobrych i gorzkich uczuć. Przynosiła jedzenie, sprzątała, dopilnowywała, żeby Becky i Caitlin były pod ręką w każdej wolnej chwili Briana, i opiekowała się gośćmi spoza miasta.

–Zachowuje się z klasą – powiedział o niej Freeman.

–To jest raczej klasyczne zakończenie naszego małżeństwa – oznajmił Brian.

Od dwóch lat żyli w separacji, rok temu się rozwiedli. Miniony tydzień był najdłuższym okresem, który spędzili w swoim towarzystwie od tamtej pory. Miał chwilę, że świadomość utraty życia rodzinnego i Phoebe wydawała mu się równie bolesna jak myśl o śmierci Jacka.

Freeman wyłonił się z łazienki, niosąc w ręku przybory do golenia. Spakował je do swojego neseseru. Grupa AN, do której należeli, doszła do wniosku, że Brian po pogrzebie nie może pozostać sam w mieszkaniu, lecz po upływie półtora dnia jego kurator uznał, że może się wyprowadzić.

–O ile dobrze słyszałem, mówili coś o tym lekarstwie? – spytał Freeman.

–Tak. O cudownym leku, który na Wschodnim Wybrzeżu wyleczył wszystkich, z wyjątkiem jednego.

–Może byś przestał o tym mówić.

–Przepraszam.

–Współczuję ci.

–Wiem.

–Nie wolno ci się obwiniać, Brian. Dokonałeś wyboru na podstawie najbardziej racjonalnych przesłanek, których rezultat okazał się niepomysłny. To się nie odbyło na zasadzie rosyjskiej ruletki.

–Wiem, tylko czasem o tym zapominam.

–Dasz sobie radę, jeśli teraz pojedę do domu?

–Dam. Mam jutro sporo zajęć. Jestem jeszcze rozbity, ale nie pozwolili mi na dalszą nieobecność w szpitalu.

Sharpe usadowił się w odległym kącie kanapy.

–Lepiej, żebyś pracował, niż zamartwiał się w domu. Popatrz na to w ten sposób: każda minuta wszystkich spotkań, na które chodziłeś w ciągu ostatniego półtora roku... spotkań, które spędziłeś na medytacji, rozmowie ze mną lub czymkolwiek, co utwierdzało cię w przekonaniu, że jesteś wartościową jednostką ludzką... cały ten czas był niczym ciułanie, grosz po groszu, w banku. Teraz możesz przez jakiś okres żyć z procentów albo z uskładanego kapitału.

–A jeśli odłożyłem za mało?

–Masz wystarczająco dużo, Brian. Znam cię od dość dawna, więc możesz mi

wierzyć. Przestań się wreszcie obwiniać. Każda strata ma swoją cenę. I, na miłość boską, pamiętaj o jednym: jeśli o ciebie chodzi, to nie ma takiego nieszczęścia życiowego, którego by alkohol lub narkotyki nie mógł pogorszyć...

Brian zastanawiał się przez chwilę, potem podszedł do półki z książkami, wyjął opasłe tomisko i sięgnął ręką w głąb powstałej luki. Wyciągnął stamtąd plastikową fiolkę tabletek przeciwbólowych i wręczył ją Freemanowi.

–Te tabletki zapisał Jackowi jego dawny kardiolog. Po pogrzebie schowałem je... na wszelki wypadek.

Sharpe spojrział na etykietę, potem spokojnie poszedł do łazienki i wrzucił tabletki do muszli klozetowej.

–Dobrze zrobiłeś, oddając je, zanim zażyłeś choćby jedną. Możesz mi wierzyć, że tego się spodziewałem. Myślę, że wszystko potoczy się dobrze, ale przyrzeknij mi, że zatelefonujesz, gdybyś poczuł się niepewnie. O każdej porze.

–Przyrzekam. Dziękuję ci, Freeman. Dziękuję, że zawsze jesteś przy mnie.

Freeman uścisnął Brianowi rękę i poklepał po plecach.

–Dobrze, że nie miałeś do czynienia z menelem, który zawsze był przy mnie, kiedy ja byłem na odwyku – powiedział.

Brian spacerował przez pewien czas po mieszkaniu, czując nieznośny ciężar ciszy. Bez przerwy wracał pamięcią do całego okresu choroby Jacka i zastanawiał się nad tym, czy były inne możliwości, z których nie skorzystał wcześniej, i czy zmieniłyby one efekt ostateczny.

„Dokonałeś wyboru na podstawie najbardziej racjonalnych przesłanek... przestań się wreszcie obwiniać...”

Dzwonek telefonu zadzwieczał dwukrotnie, zanim doszło do jego świadomości, że ktoś dzwoni. Nie miał ochoty na rozmowę, wolał, żeby odezwała się automatyczna sekretarka.

–Brian, mówi Teri. Jeżeli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Brian rzucił się do aparatu, stojącego obok fotela Jacka, strącając po drodze mosiężną lampę stołową. Teri zadzwoniła dzień po pogrzebie, ale od tamtej pory nie rozmawiali z sobą.

–Hej, to ja. Jestem tutaj.

–Wobec tego cześć, Tutaj. Co robisz?

–Chcesz znać prawdę? Czuję się lepiej, nawet znacznie lepiej. Jeszcze niedawno nie mogłem się zdecydować, czy pobiec kilka mil, czy powiosłować na jakiejś krypie, czy uciec albo czy nie rozwalić samochodu o podporę mostu. W sumie noc miałem nie najlepszą.

–Masz jakieś towarzystwo?

–Pół godziny temu wyszedł mój przyjaciel Freeman.

–A potrzebujesz?

–O, pani, zjawiasz się w samą porę. Potrzebuję, nawet bardzo.

–Przed chwilą wprowadziłam się do pokoju sto dwadzieścia osiem w hotelu Newton Marriott. Powiedzieli mi tutaj, że mogę być u ciebie za dwadzieścia minut.

–Wiesz, jak dojechać?

–Kupiłam dobrą mapę. Znajdę cię. Czy twoje kolano pozwala ci biegać?

–Nawet klusem. Moje kolano samo decyduje, kiedy ma dość.

–Przywiozłam z sobą strój sportowy. Masz ochotę przebiec ze mną kilka mil?

–To zależy od tego, co się kryje pod słowem kilka? Czterdzieści minut później biegli ramię w ramię ciemnymi, opustoszałymi ulicami miasta.

–Jeśli chodzi o bieganie długodystansowe – powiedział, kiedy się gimnastykowali przed wyruszeniem – to potrafię się dostosować. Biegam bez odpoczynku albo dwie mile, albo dwie i pół, albo dwie i trzy czwarte, albo trzy. Jaki jest twój normalny dystans?

–Może być każdy. Pobiegnijmy dwie i pół mili.

–Myślę, że chciałabyś więcej. Trzy. Pobiegnijmy trzy bez odpoczywania. Powiedz szczerze, ile zwykle biegasz?

–Nie biegam regularnie. Mamy w Instytucie coś w rodzaju nieformalnego klubu długodystansowców i...

–Już wiem. Znam te kluby długodystansowców. Dwanaście mil przed lunchem, potem koktajl z surowych jajek i wątroby, prysznic dla tych, którzy się spocili, i z powrotem do roboty. Pobiegniemy trzy mile.

Teri biegła płynnym, lekkim krokiem rasowego długodystansowca, rozluźniona i cudownie skoordynowana. Brian starał się dotrzymać jej tempa, wiedząc, że ona się

powstrzymuje. Piękna jesienna noc była bez księżycy, za to chłodna i cicha. Już po kilku

pierwszych krokach Brian poczuł, że tego właśnie potrzebował.

**–Biegnij naprzód, jeśli chcesz – powiedział, nieco zdyszany po pierwszej mili. –
Może się trochę spocisz.**

**–Teraz jest dobrze. Każ mi się zamknąć, jeśli mówię za dużo. W klubie biegamy
zwykle dwójkami lub trójkami i bez przerwy gadamy.**

**–Byle nie o szpitalu. Jutro wcześniej rano muszę wrócić do pracy. Zostało niewiele
czasu.**

–Zgoda.

**–Wiesz, kiedy umarła moja matka, martwiłem się o Jacka tak bardzo, że nie miałem
czasu, żeby ją oplakiwać. Teraz mam wrażenie, że obie śmierci spadły na mnie
jednocześnie.**

**–Jack był dla ciebie czymś więcej niż ojcem. Opiekowałeś się nim. To tak, jakby
stracić równocześnie ojca i dziecko. Oboje rodziców i dziecko... tak się teraz
czujesz.**

**–Bardzo się cieszę, że przyjechałaś. I że biegamy razem, chociaż wstyd mi, że
twoich kroków nie słychać, a moje hałasują tak, jak para bobrów klaszcząca ogonami
na widok wilka.**

–Dziesięć – odparła.

–Słucham?

**–Dziesięć. Zwykle tyle biegamy przed lunchem. Nie dwanaście. Gdybyś pokonywał
taki dystans, twoje kroki też nie robiłyby hałasu.**

**W miarę upływu czasu Brian miał uczucie pogłębiającej się więzi z Teri. Podczas
pokonywania ostatniej mili przyszło mu na myśl, że – przypadkowo lub nie –
wspólny, nocny bieg był swojego rodzaju grą wstępną. Dwie przecznice przed
domem pobiegł naprzód sprintem.**

–Hej, czemu tak się spieszysz? – zawołała.

–Zgadnij! – krzyknął za siebie.

**Na mecie przy poręczy pobiła go o dziesięć jardów, a potem musiała objąć go w
pasie i zaprowadzić do salonu, gdyż z trudem odzyskiwał oddech.**

–Jesteś dobra – dyszał.

–O tym się jeszcze nie przekonałeś – odparła, pomagając mu ściągnąć przepoconą koszulkę.

–Zachowuję się bezwstydnie.

–Nie szkodzi – stwierdziła, podnosząc ramiona, żeby zdjąć z niej podkoszulek. – Jestem lekarzem.

Wyśliznęła się z biustonosza, uklękła przed nim i rozsznurowała jego adidas. Potem powoli, bardzo powoli ściągnęła z niego szorty i slipy. Był natychmiast gotów.

–Muszę cię uprzedzić – powiedział – że wyszedłem z wprawy, a prócz tego łatwo się podniecam.

Przesuwała wargi w górę jego ciała, aż dotarła do ust. Włożył kciuki za pasek jej szortów i zsunął je.

–Ja też mam niewielką praktykę – szepnęła, muskając jego twarz wilgotnymi włosami. – Nie wiem, czy mam być dumna, czy się wstydzić.

Stali w salonie, z szortami zsuniętymi poniżej kolan, całując się raz po raz i czubkami

palców rozpoznając wzajemne szczegóły anatomiczne. W końcu pozrzucał adidas i pozdejmowali ostatnie części garderoby.

–Od chwili kiedy cię ujrzałem, marzyłem, żeby tak się stało – zwierzył się.

–Gdybyś nie powiedział tego pierwszy, ja bym to zrobiła. Czułam się okropnie, ponieważ nie mogłam być z tobą w ciągu tego tygodnia.

–Już mi to wynagrodziłaś, ale jeśli lubisz mieć poczucie winy, nie krępuj się.

Zaprowadził ją do łazienki, którą Jack przemodelował zaledwie parę lat wcześniej. Podłoga była pokryta wykładziną dywanową. Mieli do wyboru ogromną wannę na lwich nóżkach albo obszerną kabinę prysznicową, wyłożoną jasnoniebieską glazurą. Wybrali kabinę.

–Zimna, letnia czy gorąca? – spytał, nie odrywając nawet na sekundę rąk od jej ciała.

Obejmowała obiema rękami jego erekcję, podsycając ją pocałunkami w usta.

–Taka, która utrzyma cię w tym stanie – wyszeptała. Namydliłi się wzajemnie z

przodu i z tyłu i jedno drugiemu umyło szamponem włosy. Kiedy opłukiwali się wśród kłębów pary, przyciągnął ją do siebie i pocałował. Wsunął jej ręce pod uda i uniósł w górę. Oplotła go nogami i objęła rękami szyję.

–Potrafisz tak? – szepnęła.

–Nie wiem. Spróbuję, pod warunkiem że nie ma tu gdzieś rumuńskiego sędziego, przyznającego noty za styl.

–Pasuje doskonale – westchnęła rozmarzona. – Możesz tego nie widzieć, ale tam za tobą stoi mały facet, podobny do Rumuna. Trzyma w ręce tabliczkę z dziesiątką.

Rozdział 20

Brian przyjechał do szpitala przed siódmą, mimo że przez większą część nocy rozmawiał i kochał się z Teri. Wiedział o niej znacznie mniej, niż ona o nim, dowiedział się natomiast, że jej długoletni związek z pewnym wojskowym pilotem skończył się mniej więcej przed rokiem i od tej pory Teri raczej unikała mężczyzn.

–Doceniam jakość – powiedziała. – Nie zależy mi na ilości.

Znowu marzył o niej.

Poszedł prosto na oddział, rozpoczynając swój pierwszy dzień po tygodniowej nieobecności od przejrzenia kart siedemnastu pacjentów przebywających na oddziale. Personel był wobec niego współczujący i pomocny. Wydawało się, że wszyscy znają okoliczności śmierci jego ojca. Brian skończył przeglądać dokumentację, ale przygotowania do obchodu jeszcze trwały, wobec tego poszedł na pocztę i odebrał stertę nagromadzonej korespondencji. Wrócił na oddział i położył ją na stoliku w małym barze dla personelu. Między śmiercią Jacka a nocą ze swoją nową kochanką przeżył ciężki okres, rozmyślając nad nicością życia. Miał nadzieję, że zawartość kilku tuzinów kopert i raportów przywróci mu poczucie rzeczywistości.

Proste czynności, nakazał sobie, powtarzając radę, którą, o ile dobrze pamiętał, dał mu kiedyś ojciec. Gdy wszystko inne zawodzi, podziel życie na proste czynności i wykonuj je, jedną po drugiej.

Korespondencja zawierała kilka przepisanych przez sekretarkę tekstów, które nagrał na dyktafonie, a teraz miał sprawdzić i podpisać, prócz tego biuletyny szpitalne, dwa dziękczynne listy od pacjentów, z tuzin bezpłatnych magazynów, gazet i czasopism, subsydiowanych w ten czy inny sposób przez firmy farmaceutyczne. Były także komputerowe raporty z badań laboratoryjnych i radiologicznych. Brian studiował je po kolei, bardzo starannie, pamiętając gorzką naukę z czasów swojego stażu, że przy analizowaniu testów nie można sobie pozwolić nawet na najdrobniejszą nieuwagę.

Nie znalazł nic szczególnego, dopóki nie wziął do ręki pliku z wynikami badań laboratoryjnych Billa Elovitza. W natłoku wydarzeń minionego tygodnia ani przez moment nie pomyślał o człowieku z Charlestown. Badania krwi nie świadczyły wprost o nadciśnieniu płucnym, ale ze względu na różnorodność możliwych przyczyn jego choroby każda anomalia mogła ją potwierdzać. Przejrzał badania analityczne. Jak było do przewidzenia, poziom cholesterolu i trójglicerydów – lipidów, które przyczyniały się do arteriosklerozy – był podniesiony. Istniały również umiarkowane zakłócenia czynności wątroby, które wprawdzie mogły pochodzić od czegokolwiek innego, ale najprawdopodobniej były spowodowane przekrwieniem, biorącym się ze

zwrotnego nadciśnienia krwi, niemogącej przepływać swobodnie przez płuca albo serce, albo przez jedno i drugie.

Jedna z pielęgniarek oddziałowych zapukała i zajrzała do wnętrza.

–Wszyscy już są na miejscu – zameldowała. – Phil prosił, żeby powiedzieć, iż za pięć minut zaczynamy obchód.

–Zaraz tam będę.

Mając jeszcze pięć minut, zaczął czytać drugą stronę testów analitycznych Billa Elovitza, dotyczącą morfologii krwi. Natychmiast zwróciła jego uwagę znacznie podwyższona liczba granulocytów kwasochłonnych. Te komórki krwi, zwane również eozynami, to ziarniste krwinki białe, które pod mikroskopem, przy użyciu najczęściej stosowanego barwnika, wyglądają na czerwone. Ich liczba znacznie wzrasta w większości chorób, także w razie infekcji wywołanej pasożytami, takimi jak tęgoryjec dwunastnicy lub włośnica, oraz w wypadku alergii w rodzaju astmy, wyprysku lub gorączki siennej. Ale do najczęstszych przyczyn eozynofilii należała również reakcja na lekarstwa.

Brian zastanawiał się nad swoim spostrzeżeniem, potem zaznaczył je kółkiem i zapisał na karcie Elovitza. Badania kliniczne wskazujące na możliwość nadciśnienia płucnego, plus zaawansowana eozynofilia – wszystko to u pacjenta przyjmującego eksperymentalny preparat! Może nic, a może coś. Nie chciał mieć uczucia, że próbuje na siłę przypasować prostokątny kołek fizycznych objawów choroby Elovitza, i jego eozynofilii, do okrągłego otworu diagnozy.

Włożył raporty i kilka magazynów do teczki i poszedł na oddział. Phil Gianatasio, odpowiedzialny w tym miesiącu za praktykę studentów na oddziale, szedł już w stronę łóżka pierwszego pacjenta na czele pochodzącego z studentów, stażystów, rezydentów i pielęgniarek. Phil był na pogrzebie, a potem wykazał mnóstwo troski o Briana, dzwoniąc często i dwukrotnie odwiedzając go w domu. Raz nawet udało mu się namówić Briana na lunch w restauracji.

Brian dołączył do grupy, ale słuchał tylko kątem ucha. Płytkości oddechu Billa Elovitza i puchnięcia kostek nie można było wytłumaczyć inaczej niż zastoinową niewydolnością serca skutkiem stwardnienia tętnic wieńcowych. Trzeba było jednak znaleźć przyczynę dodatkowego objawu – nienormalnego poziomu granulocytów kwasochłonnych.

W myśli analizował różne możliwości. O ile pamiętał, przypadki NP w Hiszpanii były spowodowane toksyczną oliwą, inne zaś tryptofanem L i tabletkami przeciw otyłości. W większości owych przypadków wystąpiła u chorych eozynofilia. Antybiotyki, jodki, nawet aspiryna – lista medykamentów wywołujących reakcję w postaci pewnego

wzrostu liczby granulocytów kwasochłonnych była prawie tak obszerna jak cały urzędowy spis leków.

Freeman miał rację. Szpital był dla niego lepszym miejscem niż przygnębiająca atmosfera domu.

–Co myślisz o takiej diagnozie, Brian?

Phil stał po drugiej stronie łóżka, czekając na odpowiedź. Brian uśmiechnął się głupkowato.

–Zamyśliłem się – powiedział. – Postaram się nie rozpraszać. Przepraszam.

–Nie szkodzi, pod warunkiem że będziesz przy mnie, kiedy trafię znów na przełom tarczycowy – odparł Phil.

Dalsza część obchodu nie była interesująca. Brianowi udawało się być bardziej skupionym przy następnych pacjentach, ale często wracał myślami do Jacka, Teri lub do Elovitza. Kiedy ostatni chory został zbadany i omówiony, Phil odesłał wszystkich do ich

rutynowych zajęć.

–Masz dziś dyżur na oddziale? – spytał Briana.

–Tak.

–Jesteś w stanie pracować?

–Nie jest tak źle. Przepraszam, że nie byłem uważny, ale mam sporo do przemyślenia. Dam sobie radę na oddziale.

–Mam do ciebie zaufanie. Chcesz o czymś porozmawiać?

–Jeśli masz chwilę czasu. W dzbanku zostało trochę kawy.

–W takim razie idę z tobą – zdecydował Phil.

Usiedli naprzeciw siebie w fotelikach w niewielkiej salce klubowej.

–Phil, chciałbym ci opowiedzieć o pewnym przypadku i zasięgnąć twojej opinii.

–Nie krępuj się.

–Chodzi o tego faceta, Billa Elovitza, do którego mnie wezwalesz, kiedy znalazł się w izbie przyjęć.

–Czy to nie ten cudownie ocalały?

–Tak. Badałem go w klinice tuż przed śmiercią Jacka. Z zawodu jest rzeźnikiem, teraz na emeryturze. Ma na ramieniu tatuaż z hitlerowskiego obozu śmierci. Jest jednym z pierwszych pacjentów, na których testowano vasclear.

–Pacjent Pierwszej Fazy?

–Myślę, że tak.

–I co dalej?

–Dostał się parę lat temu do szpitala z objawami typowej choroby serca. Jego karta choroby potwierdza początkową znaczną poprawę po rozpoczęciu kuracji vasclearem, potem jednak zaczął mieć symptomy ponownego zwężania się naczyń wieńcowych. Przed ośmioma lub dziewięcioma miesiącami miał lekki zawał serca i spędził dwa dni w szpitalu. Wyszedł na własną prośbę. Nie znosi szpitali od czasu, kiedy był w obozie koncentracyjnym.

–Można to zrozumieć. Co dalej?

–Raz na miesiąc przychodzi do szpitala po dawkę vasclearu, ale od czterech lub pięciu miesięcy zaczęły mu puchnąć kostki i ma kłopoty z oddychaniem. Dostaje rutynowe środki przeciw zastoinowej niewydolności serca, ale jego stan stale się pogarsza. Chodzi jeszcze o własnych siłach, ale już nie może wspinać się po schodach bez odpoczywania.

–Wystarczy – powiedział Phil. – Przejdź do rzeczy. Nie przyprowadziłeś mnie po to, żeby zrobić mi wykład na temat zastoinowej niewydolności serca. Jaka jest twoja konkluzja?

Brian wypił łyk kawy.

–Moje ucho może nie być takie wprawne po półtorarocznej przerwie w posługiwaniu się stetoskopem, ale za to jest wypoczęte. Usłyszałem głośny czwarty ton serca nad prawą komorą, wzmocnienie drugiego tonu nad tętnicą płucną i szmery z powodu niedomykalności zastawki dwudzielnej i trójdzielnej.

–Choroba płuc?

–Phil, on ma najbardziej klasyczne objawy nadciśnienia płucnego, z jakimi kiedykolwiek się spotkałem.

Twarz Gianatasia spoważniała. Odwrócił się, stawiając z rozmachem kubek na stole, przy czym odrobina kawy opryskała mu rękę. Wytarł ją drugą ręką, a kiedy na powrót

znalazł się twarzą w twarz z Brianem, był to ten sam stary Phil.

–Cholernie trudno postawić diagnozę NP bez przeprowadzenia wielu badań – oświadczył. – Czasem nawet po ich przeprowadzeniu. Ale czy mogę nie wierzyć w słuch faceta, który potrafił postawić diagnozę wśród hałasu bitwy?

–Jest jeszcze coś – powiedział Brian, uderzony dziwną reakcją Phila. – Obejrzałem wynik analizy krwi tego człowieka, wykonanej dziesięć dni temu. Liczba granulocytów kwasochłonnych wynosi czternaście procent. Całkowita liczba białych krwinek jest w normie, dziewięć tysięcy pięćset.

–Czternaście procent z dziewięciu tysięcy pięćset to niewielki wzrost, biorąc pod uwagę ogólną liczbę krwinek.

–Phil, norma wynosi zero do trzech procent.

–Wiem, ale nie widzę w tym nic szokującego. Sprawdzę to. Założę się o pizzę, że wynik będzie poniżej pięciu procent. Pełno u nas rozmaitych liczb. Przy nieoczekiwanym odchyleniu wyniku badania od normy należy przede wszystkim powtórzyć je.

–Zrobię to. Wydaje się, że nie bardzo mi wierzysz.

–Zbyt wcześnie, żeby orzekać, Bri. Przypuszczam, że zaordynowałeś testy na kilka gazylionów dolarów.

–Coś w tym rodzaju.

Brian zaczął odczuwać rozdrażnienie z powodu nonszalancji przyjaciela. Nieoczekiwanie Phil wstał od stolika.

–No, cóż – powiedział. – Trzeba iść zarabiać na życie. Brian, od chwili rozpoczęcia testów podwójnie ślepej próby na dawce beta jest ponad dwustu pacjentów, nie mówiąc o dwustu w grupie gamma, którzy dostają mniejszą dawkę. Żaden z nich nie miał z tego powodu nawet wysypki. Myślę, że podejrzewając NP, polujesz na zebkę. Informuj mnie.

–Dobrze.

Brian przebywał w pomieszczeniu jeszcze przez kilka minut, zawiedziony reakcją Phila. Potem wziął teczkę i poszedł do komputera w pokoju dla lekarzy dyżurnych. W komputerze znalazł numer telefonu Elovitza. Po czwartym sygnale w słuchawce odezwał się głos starszej kobiety.

–Halo, tu mieszkanie Elovitzów.

–Halo – powiedział Brian. – Mówi doktor Holbrook ze szpitala White Memorial. Czy mógłbym pomówić z Billem Elovitzem?

W słuchawce trwała cisza. Dopiero po chwili usłyszał przytłumiony głos kobiety:

–Devorah, dzwoni lekarz z White Memorial. Chce rozmawiać z Billem.

W oddali padła jakaś odpowiedź, ale Brian nie zdołał jej dosłyszeć.

–Doktorze, czy może pan powtórzyć swoje nazwisko?

–Holbrook. Doktor Brian Holbrook. Jeśli pani chciałaby zadzwonić do mnie, żeby upewnić się, skąd telefonuję, to mój numer jest...

–Nie będę potrzebowała, doktorze. Nazywam się Levine. Jestem sąsiadką, mieszkam

obok. Ja... chyba pamiętam pana... kiedy Bill złamał rękę... – Zaczęła szlochać. – Bill nie żyje, doktorze. Zginął pięć dni temu, zastrzelony przez bandytów w sklepie spożywczym przy naszej ulicy.

Rozdział 21

Ranek włókł się nieznośnie. Brian kilkakrotnie prosił pielęgniarki, żeby w miarę możliwości próbowały dawać sobie radę same, i szedł do dyżurki, żeby położyć się i trochę odpocząć. Normalnie nie miał problemów z wykrzesaniem z siebie wystarczającej ilości energii, ale świeża rana z powodu śmierci Jacka, noc z Teri i przykra wiadomość o Elovitzu sprawiły, że poczuł się wyczerpany.

Pomyślał, że Freeman chyba nie miał racji, doradzając mu powrót do pracy.

Elovitz, jako ofiara zbrodni, z całą pewnością zostanie poddany sekcji zwłok. Brian zanotował sobie, żeby dowiedzieć się o wyniku w biurze lekarza sądowego. Potem połączył się telefonicznie z rejestracją, gdzie powiedziano mu, że nie przeprowadzono żadnego z fundamentalnych badań, które zaordynował w stosunku do Elovitza.

Na koniec zapadł w niespokojny, chaotyczny sen, pełen niepowiązanych z sobą zdarzeń. Śnił mu się futbol, obozy śmierci, restauracja, w której po raz pierwszy spotkał się z Teri, i nauczyciel geometrii, który postawił mu dziesiątkę. Obudziło go delikatne pukanie do drzwi – jedno, potem drugie.

–Proszę wejść – zawołał, myśląc absurdalnie, że to Teri.

Drzwi uchyliły się nieco i ukazała się głowa Phila. Wyglądał jak człowiek, który ma niezły kłopot. Kiedy Brian dowiedział się o śmierci Elovitza, natychmiast do niego zadzwonił. Reakcja Phila była zdumiewająca: cichy gwizd, dłuższa chwila milczenia i parę słów świadczących o rzeczywistej konsternacji – ani odrobiny jego normalnej nonszalancji.

–Masz chwilę czasu, żeby porozmawiać? – zapytał.

–Mam jakieś kłopoty?

–Skąd takie pytanie?

–Nie wiem. Może mam bzika. Ostatni raz, kiedy zapukano do mnie i zapytano, czy mam chwilę czasu na rozmowę, dowiedziałem się, że to byli ludzie z Urzędu Antynarkotkowego.

–Nie masz żadnych kłopotów, a przynajmniej ja o nich nie wiem. Muszę z tobą porozmawiać. Chris Glidden obiecał przez godzinę zająć się oddziałem.

–To brzmi poważnie. Pozwól mi się przedtem ogarnąć.

–Spotkajmy się za dziesięć minut w moim gabinecie.

Zniknął, zanim Brian zdążył odpowiedzieć. Brian otrząsnął się z resztek snu i zadzwonił do hotelu Marriott, mając nadzieję porozmawiać z Teri, ale nie było jej, o czym go zresztą uprzedziła. Prawdopodobnie była gdzieś w szpitalu, studiując karty chorobowe, albo w Newbury Pharmaceuticals. Gazety i telewizja rozgłaszały sensację, że prezydent ma zamiar przybyć do White Memorial w związku z oficjalnym zatwierdzeniem vasclearu. Teri miała niewiele czasu, żeby znaleźć powód do wstrzymania uroczystej rejestracji.

Gabinet Phila na siódmym piętrze był skromny; ciasny, z metalowymi półkami na książki i z widokiem nie na rzekę Charles, lecz na kompleks dawnych budynków szpitala, szkielet konstrukcji nowego i na kratownicę rusztowań wokół kopuły Katedry Hipokratesa. Brian zatrzymał się w kantynie i kupił w automacie kilka paczek byle jakich, posypanych cukrem

ciasteczek w celofanowym opakowaniu. Podsunął jedno Philowi.

–Zjedz to – powiedział. – To łapówka, żebyś mnie nie okłamywał, iż nie mam kłopotów.

Phil odsunął od siebie ciastka. Gest nie wróżył niczego dobrego.

–W tym wypadku nie kłamię – odparł – natomiast okłamałem cię w innej sprawie. Usiądź, proszę.

Brian usiadł w fotelu w stylu skandynawskim, zdejmując z niego uprzednio stertę papierów. Phil, zwykle stateczny i wymuskany, wyglądał mizernie i był wyraźnie zdenerwowany. Miał rozluźniony krawat, a na kołnierzyku koszuli widniała plama po kawie.

–Uspokój się, Phil – rzekł Brian. – Nie ma takiej złej rzeczy, którą mogłeś zrobić, a której ja nie zrobiłem... z wyjątkiem zabicia kogoś... na jeszcze większą skalę. Niezależnie od tego, co chcesz mi wyjawić, wiedz, że przestałem osądzać ludzi.

Gianatasio westchnął głęboko, starając się uspokoić.

–Przykro mi, że zachowałem się tak obojętnie, kiedy powiedziałaś o tym biedaku, którego podejrzewałeś o nadciśnienie płucne. Prawda jest taka, że nie wiedziałem, jak zareagować na tę wiadomość. Otóż kiedy vasclear był jeszcze w Pierwszej Fazie prób, trafiłem na innego pacjenta, który – jak sądziłem – mógł mieć nadciśnienie płucne. Po węszyłem tu i tam i dowiedziałem się, że nazywa się Ford, Kenneth Ford. Spotkałem go tylko raz w klinice, ale prowadzę swój własny rejestr interesujących przypadków, więc zanotowałem także ten. Symptomy jego choroby były niemal identyczne z tymi, które zaobserwowałeś u twojego pacjenta – puchnięcie kostek,

**dusznosc oddechowa, niedomykalnosc zastawki dwudzielnej i trojdzielnej...
wszystko to samo.**

–Co dalej?

–Ja... zrobilem to, co nalezalo. Powiedzialem o tym Weberowi. Poinformowal mnie, ze lekarstwo spowodowalo do tej pory kilka przypadkow wysypki typu alergicznego, ktore on i chemicy okreslili jako pochodzace od skladnika stanowiacego chemiczny srodek stabilizujacy, uzywanego w procesie syntezy. W rezultacie proces zostal poprawiony, skladnik wymieniony na inny, i od tego czasu nie bylo zadnych problemow, az do objawow Forda. Sprawdzilismy z Weberem jego karte choroby, i rzeczywiscie bylo tak, jak powiedzial Weber: facet zaczal przyjmowac lekarstwo, zanim zmodyfikowano proces syntezy.

–Co sie stalo z tym czlowiekiem? Jaki jest jego stan?

–Sluchaj, Brian. Przyjeto mnie tu od razu z perspektywa stalego etatu. Teraz jestem w przededniu zatwierdzenia. Staly etat w Boston Heart i akademii medycznej. Pomyśl tylko, smietanka na mleku, marzenie kazdego badacza kardiologa, a ja jestem tego bliski. Wiemy obaj, ze nie stanowię najjaśniejszej gwiazdy w konstelacji naukowców, wobec tego muszę pracować znacznie ciężej od innych, nie narażając się, a przede wszystkim stosując się do reguł. Jedną z najważniejszych reguł w Boston Heart jest nie robić zamieszania wokół wyników badań prowadzonych przez BHI nad jakimkolwiek instrumentem bądź lekarstwem. Muszę bardzo uważać.

–Rozumiem cię, Phil. W pełni cię rozumiem. Powiedz mi tylko, czy w wypadku tego Forda postawiono kiedykolwiek diagnozę nadciśnienia płucnego?

Phil podniósł oczy na sufit.

–Ja... nie wiem – odparł. – Weber przyrzekł mi, że porozmawia z Carolyn, żeby wzięła Forda pod swoją opiekę i zdecydowała, co robić. Przestałem się nim interesować i właściwie o nim zapomniałem... aż do dzisiaj. Bri, mam uczucie, że postąpiłem podle, wierz mi.

–Mogę to zrozumieć. Na pewno ci ulżyło, że mi to powiedziałeś. A jednak w dalszym ciągu nie wiemy, czy któryś z tych facetów miał NP.

–Masz rację. Może lepiej nie budzić śpiącego lwa. Ostrzegam cię, Brian, i mówię to po raz wtóry: vasclear to ich dziecko. Nawet nie próbuję obliczać, o jaką stawkę toczy się gra. Pierwsze trzydzieści sekund, od chwili kiedy wejdzie na rynek, przyniesie więcej pieniędzy, niż my obaj zarabiamy w ciągu roku.

–Wiem.

Brian nie podtrzymał tematu, czując, że jego przyjaciel jest w tym momencie zbyt podminowany, żeby przełknąć jakąkolwiek uszczypliwą uwagę na temat różnicy ich uposażen.

–Pickard, Jessup, Weber, wszyscy cię lubią – ciągnął Phil. – Miałeś błyskotliwe wejście. Niemniej są twardzi jak paznokcie, kiedy podważa się ich osiągnięcia naukowe, kiedy ktoś sprawia im kłopoty lub gdy grozi im strata finansowa. Spotkałem się z tym wielokrotnie. Nie powiedziałem ci jeszcze, że Pickard i Jessup przyszli do mnie, kiedy ty się przyznałeś, że wysłałeś do FDA raport na temat wadliwej sondy Ward-Dunlopa. Mieli zamiar cię wylać, Brian. Raz na zawsze. Bez żadnej dodatkowej szansy. Nie obchodziła ich twoja przyszłość zawodowa, nie brali pod uwagę tego, że masz dzieci ani cokolwiek innego. Ocaliłeś w tym szpitalu od śmierci moją pacjentkę z tarczycą i pacjentkę Jessup, a mimo to byli gotowi wysłać cię do medycznego czyścica tylko dlatego, że nie podporządkowałeś się dyrektywom chroniącym ich własny interes.

–Co mnie uratowało?

–Chyba wszystko po trochu. Powiedziałem swoje dwa słowa na twój temat. Wywarłeś bardzo dobre wrażenie na Pickardzie. Myślę, że to on w końcu przekonał Jessup, żeby dać ci szansę. Ale... mogła być tylko sprzyjająca chwila.

–Wobec tego obaj mamy powody, żeby dokładnie zbadać te przypadki.

–To zależy.

–Od czego?

Odrobinę zrelaksowany, Phil nie mógł się dłużej oprzeć pokusie zjedzenia ciasteczka. Zanim odpowiedział, otworzył kartonik i ugryzł duży kęs.

–Od tego, czy lubisz pracować w wypożyczalni samochodów i czy ja chciałbym pracować tam razem z tobą.

Brian pomyślał o Teri i jej szefie, szukających jakiegokolwiek powodu, który pozwoliłby im wstrzymać zatwierdzenie vasclearu. Przypomniawszy sobie ostrzeżenie, że znacznie trudniej wycofać lekarstwo z rynku, niż nie dopuścić do powszechnego użytku. Na koniec pomyślał o setkach ludzi, którym wczesne zatwierdzenie vasclearu mogło uratować życie.

–Phil, nie możemy tak po prostu zaniechać tej sprawy.

–Dlaczego nie? Znamy dwieście przypadków bez żadnych ubocznych skutków lekarstwa, spośród których sto pięćdziesiąt zostało wyleczonych ze śmiertelnej choroby.

Badaleś tych ludzi. Znasz wyniki ich leczenia. Słyszałeś, co powiedziała doktor Jodie Foster w amfiteatrze Hipokratesa... FDA zależy na znalezieniu czegoś przeciw vasclearowi, zanim zostanie zatwierdzony.

–Sam już nie wiem, Phil.

–Brian, możesz być pewny, że jeśli doniesiemy o tych przypadkach komukolwiek innemu niż Jessup, Pickard albo Weber i zostaniemy przyłapani, albo nawet będziemy tylko węszyli, a oni się zorientują, jesteśmy skończeni. Tu i wszędzie. Raz na zawsze.

Brian nie mógł pozbyć się skrupułów, że rezygnują z możliwości wykrycia nieokreślonego, toksycznego działania leku. A jednak wszystko – absolutnie wszystko, co mówił Phil – miało sens. Każdy lek na rynku zawiera trujące substancje, niektóre z nich trujące śmiertelnie. Podstawą farmakologii klinicznej jest proporcja zysków i strat.

Lek A spowodował anemię aplastyczną u jednego procenta pacjentów... Przy terapii lekarstwem B nastąpiły powikłania powodujące zapalenie wątroby. Przez cały okres leczenia należy przeprowadzać częste badania czynnościowe wątroby... Donosi się o przypadkach trwałego osłabienia słuchu... Senność... Gorączka... Zaburzenia pracy nerek... Ślepotą... Drgawki... Zapalenie mózgu... Paraliż... Nagła śmierć. Lista ostrzeżeń i kontrargumentów w stosunku do zatwierdzonych przez FDA leków stanowiła przeważającą część objętości liczącego trzy tysiące stron Podręcznego poradnika lekarza.

Co z tego, że u nieznanego procenta pacjentów otrzymujących vasclear wystąpią poważne powikłania?

Stosunek zysków do strat? Bardzo wysoki.

Z jednej strony dobro cudownie uzdrawiającego leku, z drugiej zaś dwaj starzy mężczyźni z symptomami powszechnie znanej choroby, która mogła, ale nie musiała być skutkiem ubocznym owego leku. Brian przypomniał sobie, że Ford i Elovitz zaczęli otrzymywać vasclear, zanim zmodyfikowano proces jego syntezy. Poza nimi na przestrzeni ostatnich dwóch lat nie było żadnych kłopotów z vasclearem.

Mimo to Brian chciał się dowiedzieć czegoś więcej. Sam zdecydował, że vasclear będzie podstawą kuracji ojca, tymczasem ojciec umarł. Czuł potrzebę dowiedzenia się wszystkiego o tym leku. Pytanie brzmiało: za jaką cenę?

–Słuchaj, Phil – powiedział. – Może w tajemnicy pomyszkujemy tu i ówdzie i spróbujemy dowiedzieć się czegoś o Fordzie i Elovitzu. Jeśli niczego nie znajdziemy, zamkniemy gębę na kłódkę i niech sprawy toczą się same.

–Nie podoba mi się to.

–Dobra, dobra. Zajrzyj do karty chorobowej tego faceta i sprawdź, czy nie miał podniesionej liczby granulocytów kwasochłonnych. Nikomu przez to nie stanie się krzywda.

Komputery w pokoju rejestracji zawierały prawie wszystkie karty pacjentów White Memorial. Phil wzruszył ramionami, odwrócił się do swojego terminalu i wywołał na klawiaturze hasło. Brian obszedł biurko i stanął za jego plecami. W ciągu niespełna minuty na ekranie pojawiły się dane z karty.

Kenneth Ford, czarny robotnik, rozwiedziony, mieszkający w dzielnicy Dorchester, został po raz pierwszy przyjęty do szpitala dwa i pół roku temu. Miał wówczas sześćdziesiąt

dziewięć lat. Powierzono go opiece jednego ze szpitalnych kardiologów, który miał określić przyczynę bólów w klatce piersiowej. Stwierdzono, że pacjent ma średnio zaawansowaną chorobę tętnic wieńcowych i rozpoczęto leczenie vasclearem, włączając go do badań Pierwszej Fazy. W krótkim czasie wykazał znaczną poprawę, ale potem pojawiły się narastające bóle w piersiach, kłopoty z oddychaniem i puchnięcie kostek.

Przeglądali wyniki jego wizyt u rozmaitych lekarzy i w klinice badań nad vasclearem.

–Spójrz – powiedział Phil. – Tu jest zapis mojego badania.

Brian przeczytał dwie strony zawierające wyniki, które były niemal identyczne z wynikami badań Elovitza.

–To są twoje dyspozycje – stwierdził. – Rentgen klatki piersiowej, EKG, ultrasonografia serca, analizy chemiczne, morfologia krwi. Pięknie. Sprawdź wynik morfologii.

Phil przeglądał następne strony. Było wśród nich sporo testów laboratoryjnych, również morfologia krwi, ale ani jeden z nich nie miał daty późniejszej niż data badania Forda.

–Dziwne – zauważył.

Wrócił do wykazu wizyt. Ford był w klinice jeszcze raz; badał go rezydent, który albo nie zapoznał się z historią choroby, albo nie zatroszczył się o podsumowanie dotychczasowej terapii. Nie było komentarza do szczegółowego badania Phila ani wyników zadysponowanych przezeń testów. Zastoinowa niewydolność serca – takie było lakoniczne orzeczenie rezydenta. Przyczyna: choroba sercowo-naczyniowa.

Phil przeglądał pozostałe strony karty. Zatrzymał się na liście napisanym cztery miesiące po tym, jak badał Kennetha Forda w klinice badań nad vasclearem. List był od lekarza rejonowego w Dorchester do kardiologa, któremu Ford został powierzony w szpitalu. Zawierał smutny komunikat o śmierci pana Kennetha Forda w miejskim szpitalu w Bostonie. Przyczyną śmierci był obrzęk płuc skutkiem zastoinowej niewydolności serca – wtórny wobec choroby sercowo-naczyniowej na tle arteriosklerozy.

–Cholera, chciałbym wiedzieć, czy miał podwyższoną liczbę krwinek kwasochłonnych – powiedział Brian.

–Co za różnica? Taki test o niczym nie świadczy.

–Zlituj się, Phil. Wiesz dobrze, że wzrost liczby krwinek kwasochłonnych jest charakterystyczny w przypadkach alergii, ale nie jest normalny w większości chorób serca. Z pewnością nie można się go spodziewać w zwykłej niewydolności serca na tle arteriosklerozy.

–Mówię ci, Brian. Zostawmy to.

Brian porwał za telefon i zadzwonił do rejestracji miejskiego szpitala w Bostonie. Jak mógł się spodziewać, nie chciano z nim rozmawiać bez pisemnej zgody Kennetha Forda lub jego uprawnionego pełnomocnika.

–Cholera – zaklął, odkładając słuchawkę. – Nie domyślasz się, dlaczego w karcie Forda nie ma wyniku morfologii, którą zleciłeś?

–Nie mam pojęcia.

–Mógłbyś zadzwonić do laboratorium hematologicznego i sprawdzić, czy tam go nie ma?

–Brian, do licha, ryzykujesz naszą przyszłość. W imię czego?

–Nie wiem, Phil. Nie wiem, o co walczę. Dlaczego nie ma tego testu?

Phil zadzwonił do laboratorium. Nie mieli żadnego wyniku morfologii krwi Kennetha Forda od czasu zbadania go przez Phila.

–Gówno – wyszeptał. – Brian, nie wiem, o co tu chodzi, ale zdaje mi się, że przesadzasz. Ludziom chorym na serce zdarza się zastoinowa niewydolność. Laboratoria nie zawsze wpisują wyniki do kart chorobowych. Pacjenci miewają niewytłumaczalne wzrosty liczby krwinek kwasochłonnych z tak zwykłej przyczyny jak wirus. A my próbujemy przeskoczyć samych siebie.

–Przepraszam cię – powiedział Brian, sadowiąc się na krześle.

–Dziękuję, kolego. Słuchaj, nie wiem, dlaczego zachowujesz się jak terier na widok szczura. Może nie masz zaufania do vasclearu, bo nie podział na twojego ojca. Wydaje mi się, że za dużo o tym myślisz. Za bardzo analizujesz.

–Możliwe.

–Chryste, dzięki ci za to „możliwe”. Puls zaczyna mi wracać do normy.

–Więc co dalej robimy?

–Robimy? Nic nie robimy, Bri. O to właśnie chodzi. Nic nie wiemy, nic nie robimy.

–Możliwe.

–Amen dla jeszcze jednego „możliwe”. Skończmy na tym. Ja mam czyste sumienie. Ty masz czyste sumienie. Obaj mamy pracę.

–Chcesz się założyć, że Kenneth Ford miał liczbę krwinek kwasochłonnych powyżej dziesięciu procent?

Twarz Gianatasia przybrała wyraz złości, połączonej ze strachem.

–Dosyć tego, Brian. Proszę cię – powiedział. – Powtarzam ci, to nie są ludzie, którym opłaca się wejść w drogę...

–W jaki sposób zdołają się dowiedzieć, jeśli sam pojedę do szpitala miejskiego i spróbuję wydobyć z laboratorium wyniki badań Forda?

–Nie wiem, ale dowiedziałem się od kogoś, kto również dowiedział się od kogoś, że niemal pobiłeś się na pięści z tym pijanym kretynem, który pilnuje zwierzątarni.

Brian wpatrzył się w niego nieobecny spojrzeniem.

–Co z tobą? Co takiego powiedziałem? – spytał Phil.

–Zwierzątarnia! Phil, kłótnia z tym lumpem była z powodu małpy... szympansa, który, jak oceniałem, miał rozległe zatrzymanie płynów i obrzęk płuc. Chciałem się dowiedzieć, do jakich badań go używają, wtedy ten trep próbował urwać mi głowę.

–Opanuj się. Nie włączaj pieprzonej małpy do twojej teorii spisku.

Brian wyjął z portfela karteczkę.

–Cztery-trzy-osiem-sześć – przeczytał. – To numer szympansa. Chcesz wygrać

trochę pieniędzy? Obstawiam tryplet. Jeśli jeden z trypletu przegra, przegrywają wszyscy.

–Nie rozumiem.

–Po pierwsze okaże się, że Kenneth Ford miał podwyższoną liczbę krwinek kwasochłonnych. Po drugie okaże się, że liczba cztery-trzy-osiem-sześć znamionuje wczesne

stadium badań nad vasclearem. Po trzecie szympanś ma małą odmianę nadciśnienia płucnego.

–Jeśli masz zamiar pójść dalej tym śladem – rzekł Phil – wyświadczyć mi przysługę.

–Na przykład?

–Zarezerwuj dla mnie luksusowy samochód o małym przebiegu, i nie zrzeknij się ubezpieczenia.

Rozdział 22

Wewnętrzna notatka służbowa

Thomas Dubanowski, szef służby

bezpieczeństwa

szpitala White Memorial

Obowiązuje cały personel szpitala

14 października

Zgodnie z informacją dyrekcji szpitala, prezydent Stanów Zjednoczonych przybędzie w piątek, 18 października, lub w sobotę, 19 października, do szpitala White Memorial, żeby przewodniczyć uroczystości, która odbędzie się w Katedrze Hipokratesa. W ceremonii uczestniczyć będą również doktor Alexander Baird, dyrektor Instytutu Żywności i Leków, i senator Walter Louderman. Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc, wstęp do amfiteatru będą miały wyłącznie osoby imiennie zaproszone.

Środki bezpieczeństwa wokół Pinkham Building zostaną zaostrzone. Do budynku będzie miał wstęp wyłącznie personel potrzebny ze względu na dobro pacjentów. Osoby, które nie otrzymają formalnych zaproszeń na uroczystość, będą miały szansę spotkania się z prezydentem w kafeterii szpitala.

Szczegóły wizyty prezydenta w Bostonie, jak i dokładna data i godzina uroczystości w White Memorial, nie zostały jeszcze podane do publicznej wiadomości. Dziękuję z góry za wyrozumiałość z powodu niedogodności spowodowanych wzmożonymi środkami bezpieczeństwa i kontrolą osobistą. Wszelkie ewentualne pytania proszę kierować do mojego biura.

Brian wyszedł ze szpitala o czwartej, zasłaniając się wyczerpaniem i bólem głowy. Przedzierając się przez szczyt ruchu ulicznego, pojechał przez tunel Callahana na lotnisko w Logan. Teri czekała już na niego przy narożnym stoliku w małym barze terminalu B.

Nie minęło nawet dwanaście godzin od chwili kiedy się kochali, a teraz, w formalnym stroju i okularach, nad otwartą teczką, czytając dokumenty, wydawała mu się o lata świetlne daleka od kobiety, która obejmowała go w łóżku, wydając ciche okrzyki.

Zatrzymał się w drzwiach, obserwując ją, świadomy owego deprymującego, paradoksalnego uczucia więzi i jednocześnie obcości, intymności i dystansu. Znał na pamięć każdy cal jej ciała, łączyły ich niezrównane doznania. Mimo to nie wiedział nawet, gdzie i jak mieszka. Czy to był początek czegoś trwałego? Czy oboje przeżywali największą miłość życia?

Bogu dzięki, od czasu do czasu jest dzień, pomyślał.

Z jego punktu widzenia sprawa vasclearu wciąż była niejasna. Tymczasem Phil w sposób niedwuznaczny uchylał się od działania. Rozmawiali z sobą przez telefon parę godzin po spotkaniu w jego gabinecie. Rozmowę zainicjował Brian.

–Phil, chcę, żebyś zdawał sobie sprawę, że nie mam zamiaru robić na oślep gwałtu w sprawie vasclearu.

–Dobrze, że zadzwoniłeś. Byłem roztrzęsiony po naszej rozmowie. Rozmyślałem nad tym, że gdybym trzymał gębę na kłódkę w sprawie Forda, nie znalazłbyś się w niebezpieczeństwie z powodu możliwości zirytowania naszych zwierzchników, co może doprowadzić do tego, że stracisz pracę. Zależy mi na tobie, kolego.

–Dziękuję. Wierz mi, że ja też nie chciałbym wrócić do pracy w wypożyczalni samochodów. Lecz nie chcę także, żebyś się czuł za mnie odpowiedzialny, cokolwiek będzie się działo. Przyznaję, że jestem ciekaw tych pęknięć na skorupie vasclearu, ale nie martw się, nie mam zamiaru popełnić z tego powodu samobójstwa.

–W porządku. Hokuspokus i już się nie martwię o ciebie.

–Nie żartuj. Mówię poważnie. Cóż my w końcu wiemy? Jak myślisz, ilu pacjentów dostawało vasclear w czasie Pierwszej Fazy?

–Nie wiem na pewno, ale kiedyś słyszałem, że osiemnastu, plus regularny komplet czworonogów.

–Powiedzmy osiemnastu. Dwóch z osiemnastu prawdopodobnie zapadło na NP. Jeden z owych prawdopodobnych miał podwyższoną liczbę krwinek kwasochłonnych. Tyle wiemy.

–Tylko tyle wiemy – podkreślił Phil. – Trzeba dodać, że ludzie Webera zmienili składnik, który powodował wysypkę u pacjentów. Jeśli poprzedni składnik powodował również NP, to teraz wszystko jest w porządku.

–Na to wygląda.

–Więc przestajesz się tym zajmować?

Brian wahał się przez chwilę.

–Możliwe.

–W Boston Heart nie wystarczy słowo możliwe – powiedział Phil. – Chciałbym, żeby padło słowo tak. Powtarzam, Brian, niczego nie zyskamy, a ja nie chcę ryzykować. Po prostu nie mogę.

–Rozumiem cię. Dlatego właśnie dzwonię, żeby ci powiedzieć, iż nie chcę, byś cokolwiek przedsiębrał w sprawie obu przypadków NP. Masz rację. Gra nie warta świeczki.

–Dziękuję. Mam nadzieję, że ty również tak myślisz.

–Tak, Phil. Bądź ostrożny.

–Będę. Jeszcze ostatnia rzecz. Opowiadałeś mi o jakiejś małpie... szympansie w zwierzętarni.

–Cztery-trzy-osiem-sześć. Co z nią?

–W ogóle takiej nie ma.

–Jak to?

–Prawdę mówiąc, nie ma też Earla, dozorczy.

–Jak się dowiedziałeś?

–Zszedłem na dół, żeby zajrzeć do moich chomików i zastałem nowego faceta. Chyba ma na imię Andriej. Mówi z akcentem przypominającym rosyjski. Spytałem go o Earla, na co mi odpowiedział, że nie zna takiego i nie wie, dlaczego już nie pracuje. Poszedłem niby

przypadkowo do pomieszczenia, gdzie trzymają naczelne. Był tam jeden szympan, ale o innym numerze niż cztery-trzy-osiem-sześć, i, na ile mogłem się zorientować, był pełen sił. Huśtał się na oponie zawieszanej na linie i robił do mnie miny, takie jak czasem Joanna.

–Nie spytałeś, co się stało z tamtą małpą?

–Do diabła, nie! Brian, tutaj ściany mają uszy, a ja nie mam zamiaru wkładać głowy w pętlę.

–Nie chcę, żebyś włożył głowę w pętlę – odparł Brian.

Teri spojrziała przed siebie i zobaczyła nadchodzącego Briana. Ciemny kąt baru pojaśniał od jej uśmiechu. Umówili się, że w południe zadzwoni na jego pager do szpitala. Podzielił się z nią wszystkimi wiadomościami na temat Billa Elovitza i Kennetha Forda. Obiecała sprawdzić w swoim biurze wszystko, co mieli w raportach na temat tych dwóch pacjentów Pierwszej Fazy, i spotkać się z nim na lotnisku.

–Nareszcie – powiedziała. – Zastanawiałam się, czy zdążysz przed moim odlotem.

Podniosła się i pocałowała go w usta, dodając, że przyjrzała się dokładnie gościom baru i doszła do wniosku, że może zaryzykować.

–W takim razie zaryzykuj jeszcze raz. Do diabła, pachniesz apetycznie.

–Pachnę jak Newbury Pharmaceuticals, ponieważ spędziłam tam większość dnia. Pij, zamówiłam to, co lubisz. Ja piję chardonnay.

–Jak twoja praca?

–Posuwa się. Zebrałam tyle informacji, ile tylko zdołałam.

–I co?

–Myślę, że zdążymy do soboty. Niech vasclear podbije świat.

–Co wiesz o tych dwóch przypadkach?

–Dowadywałam się w Instytucie. Pacjenci Pierwszej i Drugiej Fazy znani są tylko z inicjałów. Pacjent K. F., czyli, jak przypuszczam, Kenneth Ford, zmarł, tak było w raporcie, z powodu zastoinowej niewydolności serca. Była jednakże notatka z Boston Heart, informująca, że przed śmiercią postawiono mu diagnozę nadciśnienia płucnego. W Instytucie nie przywiązują wagi do tego pojedynczego przypadku, zwłaszcza że nie było następnych.

–Aż do teraz.

–Powiedziałam doktorowi Bairdowi, nie wymieniając twojego nazwiska, o tym drugim biedaku, który został zabity podczas strzelaniny. Baird jest zdania, że cechy chorobowe, które ty odkryłeś, mogą świadczyć zarówno o zastoinowej niewydolności serca, jak i o nadciśnieniu płucnym. Jeśli nawet były to objawy NP, nie można od razu przypisywać ich vasclearowi. Prócz tego obaj chorzy byli pacjentami Pierwszej Fazy. Proces chemiczny, stosowany przy produkcji leku, został poprawiony, zanim rozpoczęła się Druga Faza. Od tamtego czasu cisza. Doktor Baird nie widzi powodu do dalszego interesowania się sprawą, a tym bardziej do podniesienia alarmu. Jestem tego samego zdania.

Brian wzruszył ramionami i ujął ją za rękę.

–Niech tak będzie – stwierdził. – Robię to, co obiecałem... mam oczy i uszy otwarte i donoszę ci.

–Jestem ci wdzięczna, Brian. Sama entuzjazmuję się vasclearem. Wysiłki przyniosły w końcu prawdziwy sukces. Ten środek uratuje bardzo wielu ludzi.

Wspomnienie ojca nie pozwoliło Brianowi podzielić jej entuzjazmu.

–W takim razie ja również się cieszę – oświadczył. – Cieszę się również, że twój udział w pracy nad tym osiągnięciem wkrótce się skończy.

–Do pewnego stopnia. Mamy bardzo rozbudowany program kontroli po wejściu lekarstwa na rynek. Gdyby zaistniały jakiegokolwiek problemy, natychmiast je wyłowimy. Jediną korzystną rzeczą, która wyniknie z zatwierdzenia vasclearu, jest to, że będę miała więcej czasu dla ciebie. Prócz tego będę miała parę tygodni urlopu. Może gdzieś wyjedziemy?

–Mam pecha. Jestem nowym pracownikiem BHI, więc nie mogę dostać urlopu wcześniej niż za sześć miesięcy. Prócz tego uzgodniłem z doktorem Pickardem, że będę przez rok prowadził wyrwykowe badania leku, co oznacza, że nie mogę w tym czasie ruszyć się z Bostonu.

–Wobec tego ja przyjadę do ciebie. Z przyjemnością poznam twoje córeczki.

–Obiecanki-cacanki.

–Od dziś za dwa tygodnie będę wolna. Może przedtem przylecisz na weekend?

–Może mi się uda.

Teri spojrzała na zegarek.

–W najbliższym czasie będę bardzo zajęta przy przygotowywaniu uroczystości związanej z zatwierdzeniem vasclearu. Wrócę za pięć dni. Umówmy się, że w tym czasie będziemy do siebie codziennie dzwonić. Jeżeli nie uda nam się połączyć, będę dzwoniła na twój pager. Zostawiaj wiadomości dla mnie w domu albo w biurze.

Brian wziął ją w ramiona.

–Przeżyłem rozkoszną noc. Czuję, że to początek czegoś naprawdę wyjątkowego.

–Ja też – szepnęła mu do ucha Teri. – Teraz już wiem, dlaczego nie odpowiadałam na telefony i przez tyle miesięcy żyłam samotnie. Czekałam na ciebie.

Brian wyprowadził samochód z parkingu lotniska i jechał w stronę domu. Myślami krążył bezustannie wokół Teri Sennstrom – przypominał sobie jej głos, sposób, w jaki trzymała głowę, zapach włosów, dotyk i wrażenie przytulonego ciała. Pocałowali się na pożegnanie w barze, uznając, że wspólny spacer przez dworzec do punktu kontroli byłby zbyt ryzykowny. Kiedy Vasclear stanie się własnością publiczną, nie będą już musieli się ukrywać. Na razie lepiej było zachować dyskrecję.

Jadąc na północ autostradą 1A, pomyślał, że Teri miała rację. Sprawa była zakończona. Mimo jego wątpliwości dotyczących Forda i Elovitza Vasclear okazał się nad wyraz efektywny i całkowicie bez zarzutu. To pech, że Jack nie reagował na niego. Kiedy skończy się uroczystość w Katedrze Hipokratesa, z każdego miliona pacjentów leczonych tym preparatem dwieście pięćdziesiąt tysięcy nie będzie nań reagowało. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy chorych dozna całkowitego zawodu. Nie można było niczego przewidzieć – pozostawało tylko zdać się na palec opatrności bożej, palec, który wskaże, kto ma zostać

wyleczony, a kto nie. Jack Holbrook umarł w rezultacie równoległego zaistnienia jakichś nieznanych czynników i odwiecznego, najzwyczajszego braku szczęścia. Brian nie mógł mieć na to żadnego wpływu.

Phil też miał rację, należało przestać zajmować się całą sprawą. Nie mieli nic do wygrania, a wszystko do stracenia – gdyby rozwścieczyli prominentów w Boston Heart, którzy nadzorowali badania.

„Czas przestać się tym zajmować”. Słowa Phila wracały uporczywie w myślach Briana, kiedy dojeżdżał do ronda Bell Circle, z którego jedno z odgałęzień prowadziło do domu. Zanim w pełni zdał sobie sprawę z tego, co robi, minął swój kierunek, okrążył rondo i pojechał na południe autostradą 1A, z powrotem w kierunku miasta.

Recepta na swobodne poruszanie się w każdym szpitalu jest prosta: należy wyglądać i zachowywać się tak, jakby się należało do jego personelu. W ogromnym szpitalu miejskim w Bostonie – z jego wielością budynków, międzynarodowymi oddziałami, liczbą miejscowych pacjentów i chronicznie przepracowanym personelem – zadanie było łatwe.

Brian, ubrany w nieskazitelny płaszcz szpitalny, z zawieszonym na szyi stetoskopem i przypiętą kartą identyfikacyjną dostał się bez przeszkód do pokoju rejestracyjnego, gdzie archiwista zabrał się do poszukiwania akt zmarłego Kennetha Forda. Chwilę musieli poczekać na agenta służby bezpieczeństwa, który zaprowadził Briana zakurzonymi korytarzami podziemia do zamkniętego pomieszczenia, gdzie trzymano zapisy archiwalne.

Jak można się było spodziewać, wśród ponumerowanych tekturowych teczek i w ich zawartości panował spory bałagan. Po dziesięciu minutach strażnik stracił

cierpliwość i poszedł sobie, nakazując Brianowi zamknąć pomieszczenie, kiedy skończy poszukiwania.

„Nie Ujawniamy Danych Osobowych Pacjentów”. Takie napisy były porozlepiane w windach wszystkich szpitali, z jakimi Brian miał kiedykolwiek kontakt. Mimo to znalazł się w archiwum – zbrojny tylko we wzbudzający zaufanie wygląd, plastikową kartę identyfikacyjną z innego szpitala i insygnia pracy lekarza – sam wśród tysięcy kart chorobowych.

Dopiero po czterdziestu pięciu minutach trafił na kartę Kennetha Forda. Znalazł ją po przejrzaniu sześciu kartonów. W czasie poszukiwania zastanawiał się, czy nie przepadła, podobnie jak wyniki badania Forda w White Memorial i jak zniknął szympanz oznaczony numerem cztery-trzy-osiem-sześć.

Kenneth Ford przybył do miejskiego szpitala w Bostonie przed dwoma laty, 3 sierpnia, umarł zaś szóstego. W rozpoznaniu stwierdzono ciężką niewydolność zastoinową serca. Przyczyna zgonu – ta sama. Elektrokardiogram wykazywał zmiany charakterystyczne zarówno dla choroby serca, jak i płuc, a zdjęcie rentgenowskie ujawniało zbyt wiele płynu w płucach, żeby można było postawić tak dalece idącą diagnozę jak nadciśnienie płucne.

Brian z napięciem zabrał się do studiowania wyników morfologii krwi.

Liczba białych ciałek 13 300 na mm sześć, (podwyższona) Wzór odsetkowy krwinek: Granulocyty: 45%

Pałeczkowate: 3%

Limfocyty: 33%

Monocyty: 5%

Granulocyty kwasochłonne: 14% (podwyższone)

Granulocyty zasadochłonne: 0%

Brian wydarł całą stronę, złożył ją i schował do kieszeni. Mógł teraz obejść się bez Phila – włączanie go byłoby nie fair. Wiedział, że musi być niesłychanie ostrożny i postępować rozważnie. Lecz Jack nie żył, a wybranie przez Briana vasclearu przyczyniło się – pośrednio czy bezpośrednio – do jego śmierci. Nie wolno mu było zostawić tej sprawy, dopóki nie wyjaśni pewnych dręczących kwestii – bez względu na konsekwencje.

Rozdział 23 Oprah Winfrey show

Oprah: Wierzycie w cuda? Dzisiejszy program poświęcamy ludziom, których życie udało się uratować dzięki tak zwanym cudownym lekom. Zanim jednak rozpoczniemy część programu ze specjalnie zaproszonymi gośćmi, chciałabym przedstawić państwu pana Ala Morgenfelda, człowieka, który w wyniku dwóch ataków serca i ciężkiej choroby wieńcowej był skazany na życie kaleki. Panu Morgenfeldowi towarzyszy jego żona Julia i lekarz kardiolog, doktor Susan Norman, która obiecała panu Morgenfeldowi, że zacznie go leczyć nowym, rewelacyjnym środkiem o nazwie vasclear jeszcze w tym samym dniu, w którym preparat zostanie zatwierdzony do powszechnego użytku... co może nastąpić już w przyszłym tygodniu.

Brian stał na tyłach małego zbiegowiska w poczekalni kliniki badań nad vasclearem. Wszyscy stali przed telewizorem i oglądali początek oczekiwanego przez nich programu. Zarówno pacjenci, jak i personel zaczęli wiwatować, słysząc nazwę leku, który ich z sobą wiązał. Lucy Kendall, ubrana w oślepiająco różowy kaszmirowy sweterek, stanęła nieco z tyłu, po lewej stronie Briana, i rozpoczęła atak piersią na jego ramię i plecy.

–Czy to nie cudowne? – zagadnęła.

–W istocie, tak.

–Martwię się tylko, że klinika będzie już niepotrzebna – powiedziała Lucy.

–Nigdy o tym nie pomyślałem.

Miała rację, gdyż z chwilą dopuszczenia środka do powszechnej sprzedaży leczenie większości pacjentów przeszłoby do obowiązków ich własnych lekarzy. Każdy lekarz miałby swobodny dostęp do vasclearu. „Time”, „Newsweek”, CNN, wieczorne wiadomości, teraz Oprah... Wszystko razem świadczyło, jak bardzo oczekiwano na pojawienie się leku na rynku. Ile setek milionów ludzi ogląda te programy i czyta te tygodniki? Produkcja leku będzie kopalnią złota.

Brian przypomniał sobie to, co powiedział mu Laj Randa na temat kosztów kuracji. Sto dolarów za jedną dawkę, pełna kuracja wymaga pięćdziesięciu dawek. Co więcej, ludzie odpowiedzialni za opiekę medyczną, a także towarzystwa ubezpieczeniowe – prawdziwi włodarze wydatków społeczeństwa – będą ochoczo płacili. Ileż to dawek vasclearu będzie można kupić za cenę jednej operacji z pięcioma bypassami! Jeszcze lepiej, pomyślał z goryczą Brian, jeśli pacjent – podobnie jak Jack – nie będzie reagował na vasclear i umrze, zanim trafi na stół operacyjny.

–Nie bój się, lek musi być podawany wlewem dożylnym – odpowiedział pielęgniарce.
– Można się spodziewać, że oddział aplikowania vasclearu przez następne kilka lat

będzie pękał w szwach, podobnie jak oddział chirurgiczny. Gdyby nawet tak się nie stało, to jesteś tak świetnym fachowcem, że bez trudu wylądujesz w nowym miejscu.

–Miło, że to mówisz. Dobrze się czujesz, Brian?

–Co masz na myśli?

–Wydajesz się roztargniony. Roztargniony i smutny.

–Myślę o wielu rzeczach.

–O ojcu?

–Tak, ale nie tylko.

–Mogę coś dla ciebie zrobić?

Pytanie zaakcentowała znaczącym muśnięciem piersią. Brian zastanawiał się, czy nie zapytać jej o nazwiska osiemnastu pacjentów Pierwszej Fazy doświadczeń, ale doszedł do wniosku, że lepiej nie. Jedno jej słowo wypowiedziane do Webera i lont pod Brianem Holbrookiem zostanie zapalony.

–Dziękuję, Lucy, ale to są rzeczy, z którymi muszę uporać się sam.

Na ekranie telewizora fryzjer o nazwisku Al Morgenfeld, z Moline w stanie Illinois, opowiadał setkom milionów ludzi, jak beznadziejnie żyje się z ciężkim bólem dławicowym, kiedy się wie, że każde ukłucie w piersi, barku lub szczęce może oznaczać początek czegoś, co nazwał Wielkim Krachem.

–Doktor Norman – zadała pytanie Oprah – proszę mi powiedzieć, dlaczego nie posłała pani Ala na operację wszczepienia bypassów, jaką przeprowadza się u tysięcy pacjentów?

–Z podstawowej przyczyny – odparła lekarka. – Przeszedł taką operację przed siedmiu laty. Powtórna byłaby ryzykowna. Rok temu dowiedziałam się o vasclearze i od tamtego czasu jestem w stałym kontakcie z Newbury Pharmaceuticals. Czekaliśmy na szansę nieinwazyjnej terapii choroby Ala.

–Z tego wynika, że czekaliście na cud.

–Racja. Myślę, że w końcu doczekaliśmy się.

Brian odwrócił się i skierował do wyjścia, chcąc pójść do pokoju lekarzy.

–Hej, omal nie zapomniałam – zawołała za nim Lucy. – Twoja przyjaciółka jest w gabinecie numer dwa.

–Przyjaciółka?

–Nellie, kobieta, która chciała oddać ci swoją córkę – podbiegła i resztę zdania szepnęła mu do ucha – jako obiekt seksualny.

–Och – odparł Brian z mniejszym zainteresowaniem w głosie i wyrazie twarzy, niż zamierzał jej okazać – dziękuję.

Poszedł do pokoju, celowo unikając gabinetu numer dwa. To nie Nellie była powodem jego smutku. Nellie była urocza. Smutek wiązał się z tym, z czym mu się kojarzyła... z udaną kuracją vasculairem.

Dlaczego nie Jack? – zapytywał sam siebie po raz tysięczny. Dlaczego nie ojciec?

A jednak po kilku minutach bezmyślnego przerzucania papierów poszedł do niej. Wydawała się jeszcze bardziej pełna energii, niż wówczas gdy widział ją ostatnio zajęta krojeniem tortu. Była zarazem wyraźnie przygnębiona.

–Doktorze Holbrook, pielęgniarka powiedziała mi, że pański ojciec umarł – odezwała się na jego widok. – Jest mi ogromnie przykro.

–Dziękuję.

–Umarł na serce?

–Tak.

–To musi pana tym bardziej boleć, że jest pan kardiologiem. Współczuję z całego serca.

Podobnie jak poprzednio, Brian był wzruszony jej wyczuciem. Przeprowadził krótkie badanie, które wykazało normalną pracę serca i doskonały stan tętnic.

–W jakim wieku umarli pani rodzice?

–Tylko ojciec – odparła. – Moja matka ma dziewięćdziesiąt trzy lata, mieszka sama i jest zdrowa jak ryba. Dziękuję za zainteresowanie. – Widać było, że uwielbia odpowiadać na to pytanie. – Ojciec umarł trzy lata temu, mając osiemdziesiąt dziewięć. Pewnie pan nie uwierzy, ale spadł z drabiny i złamał biodro. Umarł w czasie operacji. Powiedzieli, że miał zakrzep w płucach.

Zator płucny, przetłumaczył Brian na swój fachowy język – komplikacja z powodu jakichś zaniedbań i niedostatecznego rozcieńczenia krwi. Ojciec Nellie nie umarł z przyczyn naturalnych. Oboje mogli osiągnąć dziewięćdziesiąt lat z okładem. Podatność na chorobę sercowo-naczyniową tkwiła zwykle w obciążeniach

rodzinnych. Skąd się wzięła choroba Nellie?

–Nellie, zaraz pielęgniarka zajmie się panią – powiedział. – Potem sekretarka wyznaczy pani wizytę w przyszłym miesiącu.

–Chwileczkę, omal nie zapomniałam. – Pogrzebała w torebce i wręczyła mu niezaklejoną kopertę, opatrzoną napisem *Dr Holbrook*.

Był w niej napisany na maszynie list, zawiadamiający o dwudziestomilowym marszu na rzecz bezdomnych, z prośbą o sponsorowanie każdej mili. Dodatkowa kartka zawierała listę podobnych marszów, w których wzięła udział.

–To wspaniałe – stwierdził, czytając list i myśląc o tym, jaki byłby jego ojciec, gdyby miał drożne tętnice. – Z przyjemnością zostanę pani sponsorem.

Wypełnił kupon, oddał go od listu i wręczył jej, wrzucając pozostałą część listu do swojej walizeczki, która była stara i zniszczona. Od dziesięciu lat służyła mu za pojemnik na narzędzia lekarskie, bibliotekę, przenośne biurko, a nawet mini-szafę. Postanowił, że przejrzy dokumenty Nellie później, kiedy będzie porządkował walizkę, co z konieczności robił od czasu do czasu.

–Czy zobaczymy się, zanim stąd wyjadę? – spytała Nellie.

–Jeśli sekretarka będzie miała kłopoty z ustaleniem dla pani następnego spotkania. Ma kompletny harmonogram wizyt, więc tylko poda pani datę.

„Ma kompletny harmonogram wizyt”. Świadomość tego spowodowała, że Brian pobiegł do biurka w poczekalni, gdzie rejestratorka Mary Leander wypełniała jakiemuś pacjentowi druczek z terminem następnej wizyty.

–Mogę w czymś pomóc, doktorze Holbrook? – spytała.

–Ach... tak. Tak, może pani. – Brian pomyślał, że powinien był przygotować się do tej rozmowy. – Pytałem panią Hennessey, kiedy przeszła z dawki podawanej raz co dwa tygodnie na dawkę przyjmowaną co cztery tygodnie, ale nie pamiętała. Pomyślałem, że

znajdę odpowiedź w książce wizyt kliniki, ale nie wiem, czy sięgają odpowiednio daleko wstecz.

Miał nadzieję, że jego wytłumaczenie będzie miało jakiś sens w pojęciu pani Leander, chociaż w jego własnym nie miało żadnego.

–Hm, nie wiem – odparła. – Co roku mamy nową książkę. Nie wiem, gdzie trzyma się poprzednie, o ile w ogóle są przechowywane. Może znajdują się gdzieś tu, w biurze.

Wskazała za siebie na rzędy półek, zavalone od podłogi do sufitu formularzami, rejestrami, podręcznikami praktyki pielęgniarskiej i innymi papierami – w ilościach znacznie przekraczających możliwości czasowe Briana. Jeśli jednak był wśród nich rejestr z pierwszego roku działania kliniki, to może udałoby się znaleźć nazwiska pozostałych szesnastu pacjentów Pierwszej Fazy badań.

–Dziękuję, pani Leander. Wpadnę kiedy indziej, jak będę miał wolną chwilę.

Wieczór pierwszego nocnego dyżuru Briana od czasu śmierci Jacka był bardzo spokojny. Postanowił poczekać do jedenastej i dopiero potem poszukać rejestru wizyt z pierwszego roku pracy kliniki badań nad vasclearem. Pięć przed jedenastą odwiedził dwóch najciężej chorych na oddziale, upewniając się, że ich stan jest wyrównany. Potem powiedział dyżurnej pielęgniarce, żeby w razie czego dzwoniła na jego pager, opuścił oddział i wśliznął się do kliniki tym samym wejściem, którym Jessup i Weber wprowadzili Loudermana.

Klinika była pogrążona, podobnie jak tamtego dnia, w tajemniczym mroku. Brian postanowił nie rozpraszać tego klimatu. Poszedł długim korytarzem w stronę pokoju rejestracyjnego, przyświecając sobie ręczną latarką, zastanawiając się, czy to przeszklone pomieszczenie nie będzie zamknięte.

Poruszał się ostrożnie, mimo że był sam. Gdyby drzwi zastał zamknięte, to musiałby wrócić na oddział. Gra byłaby skończona. Okazało się, że drzwi nie tylko nie były zamknięte na klucz, lecz nawet lekko uchylone. Wśliznął się do wewnątrz i po sekundzie wahania zapalił górne oświetlenie. Po niemal całkowitej ciemności nagły rozbłysk jarzeniówek wydał mu się oślepiający. Poczekał, aż oczy przyzwyczają się do jasnego światła, i przeszukał szuflady w metalowym biurku rejestratorki. Nic. Podszedł do rzędów półek.

W ciągu paru minut znalazł to, czego szukał – dwa cienkie, oprawne w skórę woluminy, identyczne z tym, który leżał na biurku rejestratorki. Każdy z nich miał wytłoczony złotymi literami na okładce rok, którego dotyczył. Brian wziął do ręki pierwszy i usiadł za biurkiem. Początkowo wizyty były zapisane w dużych odstępach, następnie zaś raptownie się zagęszczały. Brian tłumaczył to sobie przejściem od badań pacjentów Pierwszej Fazy, którzy początkowo mogli być pod opieką własnych kardiologów, do znacznie obszerniejszych badań podwójnie ślepej próby, czyli Fazy Drugiej, która szybko rozrosła się do sześciuset osób. Z ksiąg wynikało, że klinikę założono dwa i pół roku temu, w połowie Pierwszej Fazy.

Odnalazł daty pierwszych wizyt zarówno Billa Elovitza, jak i Kennetha Forda. Traktując obu tych pacjentów jako wyznaczniki, wyłowił inne nazwiska i posuwał się ich tropem przez rejestr, zwracając uwagę na tych, którzy nie podlegali dwutygodniowym okresom, stosownie do wymagań Drugiej Fazy, z niemal codziennym aplikowaniem preparatu. W ciągu

dwudziestu minut poszukiwań znalazł dziesięć nazwisk, wliczając w to Elovitza i Forda. Raptem usłyszał dźwięki towarzyszące wybieraniu kodu zamka, a sekundę później usłyszał, jak drzwi się otwierają. Nikły promień światła rozświetlił ciemny korytarz.

Czując nagły przyływ adrenaliny, Brian wyłączył światło, schował do kieszeni listę nazwisk i pospiesznie popęłzył na czworakach do poczekalni. W korytarzu rozbłysło światło. Brian, przewidując, że intruz zmierza do pomieszczenia rejestracyjnego, schował się za sofą stojącą obok wejścia dla pacjentów.

Przeklinał własne asekuranctwo. Schował się, jakby był złodziejem, który nie chce zostać złapany na gorącym uczynku. Piastował w instytucie odpowiedzialne stanowisko, poza tym był na nocnym dyżurze. Znał kod zamka do kliniki i miał uzasadniony powód, żeby do niej wejść – powód, o którym wcześniej rozmawiał z rejestratorką, panią Leander. Teraz było już za późno.

Mebel, za którym się rozpląszczył, stanowił tylko częściową osłonę. Brian leżał na podłodze, patrząc przez szczelinę pod kanapą i zastanawiając się, czy z powodu swego wzrostu jest rzeczywiście niewidoczny. Sięgnął ręką do paska, żeby wyłączyć sygnał dźwiękowy pagera. Postanowił jednak nie wyłączać wyświetlacza. Gdyby gdzieś w szpitalu zdarzył się przypadek zatrzymania akcji serca, będzie o tym wiedział.

Od najbliższych drzwi dzieliły go niespełna dwa jardy, ale nie było szans na to, żeby przez nie wyjść. Otwarcie ich mogło spowodować hałas, poza tym nie wiedział, czy nie są zamknięte na klucz. Przyłożył twarz do dywanu i westchnął.

Niespodziewanie w poczekalni zapaliły się jarzeniówki. Przez szczelinę pod kanapą widać było dolną część spodni i tenisówki jakiegoś mężczyzny, stojącego po przeciwległej stronie pomieszczenia. Tenisówki? Brian zastanawiał się, czy służba bezpieczeństwa szpitala dopuszczała ten rodzaj obuwia. Tenisówki poruszały się w jedną i drugą stronę – mężczyzna szukał czegoś w pokoju. Minęły dwie lub trzy pełne napięcia minuty, w końcu światło zgasło.

Brian czuł podświadomie, że mężczyzna przyszedł w tych samych zamiarach co on. Po chwili światło w korytarzu wyłączono i klinika znów pogrążyła się w ciemnościach. Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i zatrzasnęły.

Brian nie wychodził z ukrycia. Upłynęło pięć minut... dziesięć.

W końcu powoli ruszył ku drzwiom i delikatnie ujął za gałkę. Nic się nie działo. Już miał je otworzyć, kiedy przypomniał sobie o rejestrze wizyt. Zostawił go na biurku rejestratorki. Nie chciał już tej nocy kontynuować poszukiwań, ale nie można było zostawić rejestru na biurku, żeby nie wzbudzić podejrzeń.

Posuwając się na czworakach, z napiętą uwagą, niepewny czy intruz rzeczywiście wyszedł, dotarł do drzwi pomieszczenia rejestracyjnego i zatrzymał się. Wszędzie panowała ciemność i cisza.

Jeszcze przez kilka minut leżał na podłodze i nasłuchiwał. W końcu wstał, otworzył drzwi i zapalił światło.

Rejestr wizyt zniknął!

Pobiegł do półek, ale znalazł tam tylko rejestr obejmujący zapisy z drugiego roku działalności kliniki. Szukał na podłodze i w szufladach biurka. Nic. Z łomoczącym sercem

przerzucał papiery. Po co strażnik, czy ktokolwiek to był, zabrał z sobą rejestr? Wszystko razem wydawało się idiotyczne, lecz ów pozorny brak sensu był przerażający.

Nie miał tu już nic do roboty. Mógł tylko wrócić na oddział i tam się martwić. Tuż przed zgaszeniem światła popatrzył w bok i aż jęknął. Z rogu pomieszczenia, z miejsca, gdzie dwie ściany stykały się z sufitem, wystawała czarna końcówka – kamera bezpieczeństwa, wycelowana na oszklone pomieszczenie i biurko rejestratorki – niezamaskowana, ale nierzucająca się w oczy.

Brian stał przez chwilę naprzeciw obiektywu, zastanawiając się, kto go obserwuje i skąd. Czując, że nic się już nie da zrobić, włączył pager, zgasił światło i wyszedł z kliniki.

Pocieszał się, że jeśli ktoś go zapyta, czemu po nocy plądruje po klinice, ma pewne wytłumaczenie, wprawdzie dość kiepskie, ale takie, które potwierdzi pani Leander. Mimo to nie mógł otrząsnąć się ze złowieszczego uczucia, że bomba została już podłożona i że sam przytknął zapałkę do lontu.

Rozdział 24

O pół do czwartej rano Brian był już fizycznie i psychicznie wykończony. Koło północy zdarzyła się na oddziale sytuacja alarmowa. U jednej z pacjentek zaczęło się obniżać ciśnienie krwi, inna zaś wpadła w ciąg niedających się opanować arytmii serca. Żadna z nich nie była objęta testami vasclearu. Ratowanie obu kobiet zajęło kilka godzin, wobec jednej z nich Brian musiał zastosować tymczasowy rozrusznik serca. W końcu sytuację udało się opanować, lecz Brian miał wrażenie, że mięśnie jego szyi są niczym poskręcane liny. W nogach czuł dotkliwy ból.

Alarmowy stan miał swoje dobre strony, gdyż nie pozwalał Brianowi rozmyślać nad swoją sromotną ucieczką z kliniki. Trudno było wyobrazić sobie gorszy rozwój sytuacji. Najgorsze ze wszystkiego było zniknięcie rejestru wizyt. Fakt, że został sfilmowany przez system bezpieczeństwa, był niewiele lepszy.

Skończywszy obchód, zaczął się zastanawiać, co powinien dalej robić.

Opryskał sobie twarz wodą, powiedział na oddziale, żeby w razie konieczności dzwonił na jego pager, i zszedł na dół do sutereny Pinkham Building, gdzie mieściło się biuro służby bezpieczeństwa. Strażnikiem na dyżurze okazał się ostrzyżony na jeża mięśniak, który – jak głosił napis na jego identyfikatorze – nazywał się JIM UNDERHILL. Miał na sobie standardowy, niebieski mundur służbowy.

Siedział za sięgającym mu do piersi kontuarem i czytał powieść Stephena Kinga w miękkiej okładce.

Na ścianie po jego prawej stronie widniał rząd ośmiu monitorów. Sceny na każdym z nich zmieniały się co dziesięć sekund. Brian próbował rozpoznać pomieszczenie rejestracji, ale przypomniał sobie, że wyszedł stamtąd, gasząc za sobą światło.

Brian pokazał swój identyfikator ze zdjęciem, manewrując tak, żeby móc spojrzeć na buty strażnika.

–Witam, doktorze Holbrook – powiedział Underhill. – Słyszałem o panu. Ma pan jakąś sprawę?

„Słyszałem o panu”. Czy to nie były słowa Earla, dozorczy zwierząt?

Brian nie zrobił tego samego błędu, jak przed rozmową z Mary Leander. Tym razem był przygotowany.

–Przepraszam, że nie mogłem przyjść wcześniej – zaczął. – Mieliśmy kilka trudnych sytuacji na moim oddziale w Boston Heart. Wyszedłem z kliniki mniej więcej piętnaście po ósmej, jako jeden z ostatnich. Przedtem wpadłem na moment do

rejestracji, żeby sprawdzić terminy kilku wizyt. W tym czasie otrzymałem sygnał alarmowy z oddziału kardiologicznego, żeby natychmiast przyjść. Godzinę później zorientowałem się, że zostawiłem na biurku rejestratorce moją małą, czarną torbę lekarską. Kiedy wróciłem po nią, już jej nie było.

–Może ktoś ją znalazł i położył gdzieś na boku, żeby panu zwrócić?

–To nie jest wykluczone, niemniej Lucy Kendall, pielęgniarka, i ja wyszliśmy ostatni. Telefonowałem do niej do domu, kiedy spostrzegłem, że nie ma mojej torby, ale nic nie

wiedziała.

Strażnik sięgnął apatycznie pod kontuar i wyjął kołonotatnik. Kiedy to robił, Brian, udając, że przygląda się ekranom, przesunął się do końca kontuaru, skąd mógł wyraźnie widzieć jego buty. Były skórzane, czarne, wypucowane na wysoki połysk. Intruz w klinice niemal z całą pewnością nie należał do służby ochrony szpitala.

–W porządku, doktorze – powiedział ze znużeniem Underhill – proszę wypełnić ten formularz.

–Szczerze mówiąc, Jim, nie wierzę w skuteczność wypełniania świstków. Kiedy byłem w rejestracji, zauważyłem obok półek ukrytą kamerę systemu bezpieczeństwa. Może masz taśmę wideo ze sfilmowaną osobą, która zabrała moją torbę.

Underhill mrugał oczami, usiłując sobie coś przypomnieć. Po chwili poddał się i sięgnął do kołonotatnika, wiszącego pod monitorami, wydając z niego laminowaną kartę.

–Jest tak, jak mi się zdawało – powiedział po chwili przeglądania karty. – W klinice nie ma kamery.

Brian poczuł nagły dreszcz zgrozy.

–Więc czemu ona służy? – spytał.

Strażnik wzruszył ramionami.

–Nie mam pojęcia. Może nie jest podłączona.

–Możliwe – rzekł Brian, chociaż nie miał wątpliwości, że tak nie jest. – Czy w szpitalu jest więcej takich kamer, których nie ma na tej liście?

–Nie wiem, chociaż nie widzę powodu, dla którego miałyby ich nie być na liście. Może szef służby bezpieczeństwa Tom Dubanowski będzie wiedział. Proszę go o to

zapytać. Przyjdzie koło siódmej.

–Dziękuję – odparł Brian.

Opuścił biuro ochrony, czując brzemię wiszącego niebezpieczeństwa. Ktoś widział go przez kamerę obserwacyjną. Ten sam ktoś wysłał faceta w tenisówkach, żeby go śledził. Teraz miał w ręku rejestr wizyt z danymi pozwalającymi się domyślić, czego Brian poszukuje. Łamał sobie głowę, używając masę tak bardzo mu potrzebnej energii, żeby się domyślić, kto to jest. Pewne przesłanki wskazywały na Newbury Pharmaceuticals, ale zakład był odległy od szpitala o kilka mil. Nikt nie mógł przybyć stamtąd tak szybko. A może Jim Underhill kłamał? Może miał pod biurkiem parę tenisówek. Z całą pewnością strażnik nie był jedyną osobą w szpitalu, która miała powody, żeby nie mówić mu prawdy.

Było już po czwartej nad ranem. Późna pora nie sprzyjała jasności rozumowania. Za trzy godziny miał się rozpocząć obchód. Brian zdał sobie sprawę, że musi zaraz podjąć nieodwracalną decyzję: albo zaryzykuje parę godzin snu, po których trudno mu się będzie pozbierać, żeby wrócić do sprawności umysłowej i fizycznej, albo wleje w siebie pewną ilość szpitalnej kawy i zużyje resztki adrenaliny, żeby funkcjonować przez następne godziny pracy. Pomyślał, że z największą przyjemnością wróciłby do domu.

Orzeł – pójdę się przespać, reszka – napiję się kawy w kantynie – postanowił, sięgając do kieszeni po monetę. Poczul pod ręką kawałek papieru – listę dziesięciu nazwisk, zapisanych pospiesznie na pogniecionym świstku.

Nim uświadomił sobie, że podjął decyzję, był już przy wejściu do głównej kartoteki, w suterenie budynku przyległego do Pinkham. Każdy zapis przesłany do komputera kartoteki musiał tu się znajdować. Można było przewidzieć, że mężczyzna w tenisówkach albo jego szef będą odtąd mieli na oku karty pacjentów, o których dowiedział się Brian. Wcześniej czy później i tak musiał skorzystać z elektronicznej bazy danych. Na razie jednak może będzie mógł rzucić okiem na parę kart w ich niesfingowanej formie.

Drzwi do pomieszczenia były zamknięte, ale obok wisiał telefon z instrukcją. Brian przedstawił się Hiszpance, która podniosła słuchawkę, mówiąc jej, że chciałby zapoznać się z oryginałem pewnej karty, której nie mógł wywołać ze swojego terminalu. Chwilę później uchyliły się drzwi, zamknięte na łańcuch, i wyjrzała z nich młoda kobieta. Brian pokazał jej swój identyfikator i zaoferował dla bezpieczeństwa własne towarzystwo, żeby poczuła się pewniej.

–Nie trzeba – powiedziała kobieta. – Jest u mnie strażnik.

Zamknęła drzwi, żeby zwolnić łańcuch, potem otworzyła je na oścież. Mogła mieć

nico ponad dwadzieścia lat, była szczupła, o kruczoczarnych włosach i bardzo piękna. Miała włosy w lekkim nieładzie, nieco pogniecioną sukienkę i rozmazaną szminkę na ustach. Mężczyzna i kobieta, zamknięci w pomieszczeniu szpitalnym, późno w nocy. Brian niemal jęknął. Na domiar złego mężczyzna był również strażnikiem. Jim Underhill mógł się z nim porozumieć. Brian stał przed drzwiami, zastanawiając się, czy nie wymyślić jakiejś wymówki i odejść, ale kobieta i tak już widziała jego identyfikator. W tej sytuacji odmowa zaproszenia do wejścia mogła wzbudzić u strażnika niepożądane podejrzenia.

Bibliotekarka wróciła po minucie z danymi pierwszego pacjenta na liście Briana, siedemdziesięciokilkuletniej Sylvii Vitorelli. Brian ulokował się w małej kabinie i rozłożył przed sobą akta. Przeglądał strony najszybciej, jak tylko mógł, świadomy tego, że młoda kobieta i strażnik obserwowali go i czekali. Vitorelli była od bardzo dawna pacjentką WMH. W szpitalu usunięto jej macicę, pęcherzyk żółciowy i dokonano operacji złamanej kostki. Prócz tego miała poważne problemy z sercem. To wszystko sprawiło, że teczka z historią jej choroby była gruba niczym książka. W końcu jednak Brian zdołał złapać jakąś nić przewodnią.

Vitorelli mieszkała w North End, niedaleko szpitala. Miała czworo dzieci, była już babką, i swego czasu paliła ponad paczkę papierosów dziennie. Kiedy zaczęła odczuwać bóle w klatce piersiowej, przekazano ją do doktor Jessup, która przez rok leczyła ją tradycyjnie, a potem włączyła, przed trzema laty, do Pierwszej Fazy eksperymentów z vasclearem. Brian przestudiował testy wydolności, wyniki ultrasonografii serca i elektrokardiogram. Jej choroba sercowo-naczyniowa była zaawansowana, chociaż nie tak bardzo rozwinięta jak Jacka.

Z uwag Jessup wynikało, że Vitorelli niezwykle prędko zareagowała na terapię vasclearem. Na tym karta się kończyła. Nie było żadnych dalszych notatek ani wyników badań laboratoryjnych. Brian przerzucał kartki, próbując sprawdzić, czy ich kolejność nie uległa zmianie.

–Jak długo ma pan zamiar tu być, doktorze? – zawołał do niego ochroniarz. – Elana ma zaraz przerwę, a nie możemy zostawić pana samego.

–Jeszcze tylko minutę – odparł Brian.

Sprawdził rozdział badań laboratoryjnych. Urywały się po pierwszych trzech miesiącach terapii vasclearem; nie było żadnych późniejszych.

Zrobił kserokopię pierwszej strony teczki, podziękował uczynnej Elanie i wrócił na oddział. O ile się nie mylił, pozostałe strony historii choroby Sylvii Vitorelli spotkał ten sam los, co dane Kennetha Forda. Czyżby ta kobieta stanowiła trzeci przypadek fiaska kuracji vasclearem, skutkującej pojawieniem się symptomów, które mogły wskazywać na nadciśnienie płucne? Czy powinien iść dalej śladem swojego

podejrzenia?

Jeśli nawet miał rację co do Sylvii Vitorelli oraz co do tego, że testy Pierwszej Fazy wyłoniły sporo problemów, to jednak Faza Druga była niemal doskonała. Czy modyfikacja procesu syntezy chemicznej mogła przynieść tak znaczną poprawę?

Pytania ciągnęły się w nieskończoność.

Jedno z nich było najistotniejsze. Jak długo Brian Holbrook utrzyma się w Boston Heart?

Rozdział 25

THE BOSTON GLOBE

Zamówienia na vasclear już napływają

Bostońska firma Newbury Pharmaceuticals potwierdza, że zamówienia na nowy jeszcze niezarejestrowany lek o nazwie vasclear napływają nie tylko z całego kraju, lecz również z zagranicy. Środek, rozprowadzany w ampułkach o pojemności dziesięciu centymetrów sześciennych, musi być rozcieńczany i podawany dożylnie. Stwierdzono, że zwalcza przyczyny ataków serca u siedemdziesięciu pięciu procent leczonych nim pacjentów.

Doktor Art Weber, kierownik programu z ramienia firmy farmaceutycznej, powiedział, że ogromne zapotrzebowanie na lek może początkowo wywołać trudności zaopatrzeniowe i spowodować wzrost ceny.

Piętnaście po siódmej, kiedy Phil zwoływał swój orszak na obchód, Brian kończył brać prysznic w pomieszczeniu dla dyżurnych lekarzy. Starał się nie zasnąć, dopóki nie przybędzie poranna zmiana, ale wobec braku nagłych wezwań, które trzymałyby go na nogach, nie wytrzymał. Kiedy o pół do siódmej zadzwoniła pielęgniarka, był od dwóch godzin pogrążony w głębokim śnie. Kilka sekund po telefonie zasnął znowu. Zadzwoniła ponownie po piętnastu minutach, tak jak się umówili, ale tym razem nie pozwoliła mu odłożyć słuchawki, dopóki nie wyrecytował tekstu ślubowania lojalności i nazw wszystkich jam, zastawek i tętnic serca.

Wytał się ręcznikiem i ubrał, zły na siebie z powodu ryzyka, na które naraził swoją pracę, przyszłość i pośrednio los swoich córek. Z drugiej strony, cóż takiego naprawdę zrobił? Zgłosił się do niego stary mężczyzna, który przeżył holocaust, mający poważne kłopoty ze zdrowiem. Przy analizowaniu wyników badań i objawów Brian natknął się na inny, podobny przypadek. Dotarcie do źródła choroby wydawało mu się naturalne. W taki sposób powinien postąpić każdy uczciwy lekarz.

Popędził na oddział i dołączył do grona otaczającego łóżko pacjenta w sali pięćset czternaście.

–Przepraszam za spóźnienie, Phil.

–Nie ma sprawy. Wyglądasz, jakbyś miał ciężką noc. Nawet sobie nie wyobrażasz jak ciężką.

–Dość pracowitą dla moich starych kości. Nie zaordynowałem stałego rozrusznika pani Cameron, ale będzie go potrzebowała.

–Zajmę się tym.

Obchód, stanowiący comiesięczną lekcję dla pielęgniarek, studentów, stażystów i rezydentów, miał się skończyć o dziewiątej trzydzieści, najpóźniej o dziesiątej. Do obowiązków Phila należało nie tylko prowadzenie wykładu, lecz również podejmowanie decyzji o wypisywaniu pacjentów. Brian patrzył, jak przyjaciel kształci personel w umiejętny sposób, stanowiący połączenie pytań, pochlebstw, taktownych dowcipów i wiedzy

medycznej. Pomyślał, że opinia Phila o samym sobie dalece odbiega od rzeczywistości. Był wspaniałym lekarzem. Z drugiej strony Brian wiedział, że kwalifikacje, które zostałyby docenione, a nawet potraktowane bałwochwalczo przez personel wielu szpitali, w Boston Heart były zaledwie normą.

W połowie obchodu, gdy zbliżali się do rzędu nieskomplikowanych przypadków, na temat których nie miał nic do zrelacjonowania, Brian oddalił się od orszaku, poszedł do odosobnionego telefonu w pobliżu dyżurki pielęgniarek i wybrał numer Sylvii Vitorelli. Usłyszał głos kobiety.

–Halo?

–Halo, czy pani Vitorelli?

–Kto?

–Czy to numer pani Vitorelli?

–Pomyłka. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

–Chwileczkę, proszę się nie rozłączać.

Brian wyrecytował numer, pod który dzwonił.

–Przykro mi – powiedziała kobieta. – To numer mojego telefonu, ale nikt o takim nazwisku tu nie mieszka.

–Przepraszam panią. Jestem lekarzem i telefonuję ze szpitala White Memorial. Próbuję odnaleźć kobietę o tym nazwisku. Numer, pod który dzwonię, znalazłem w jej karcie szpitalnej. Od jak dawna należy do pani?

–Ponad pół roku.

–Dziękuję – bąknął Brian, odkładając słuchawkę.

Wrócił na dwadzieścia minut do orszaku, potem wymknął się znów do telefonu. Tym razem rozmowa miała być międzymiastowa, z najbliższym krewnym Sylvii, Richardem

Vitorellim, zamieszkałym w Fullbrook, w stanie Nowy Jork. Brian był teraz bardziej ostrożny, pamiętając o cudem unikniętej wpadce w klinice, i skorzystał z centrali miejskiej, używając karty kredytowej, zamiast połączenia przez centralę szpitala. Ponownie odezwała się kobieta.

–Proszę powtórzyć, kto dzwoni? – spytała.

–Doktor Holbrook ze szpitala White Memorial w Bostonie.

–Czy pan leczył moją teściową?

–Ja... nie... ktoś inny.

–Powinien pan porozmawiać z moim mężem. Wróci późno wieczorem. Proszę zatelefonować jutro.

–Może mi pani powiedzieć, jak się czuje pani Vitorelli?

Kobieta przez dłuższy czas milczała.

–Ona nie żyje – powiedziała w końcu. – Dostała zapaści, tu w domu, i umarła w szpitalu, dwa lata temu.

Brian poczuł wzmożone bicie serca. Zapisy w karcie Sylvii kończyły się tuż przed jej śmiercią.

–Przykro mi. Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej o przyczynach jej zgonu...
choćby cokolwiek?

–Myślę... niech pan lepiej porozmawia z moim mężem.

–Zrobię to. Proszę mi tylko powiedzieć, na co umarła?

–Na serce. Już dość, proszę zadzwonić jutro. Synowa Sylvii odwiesiła słuchawkę, zanim Brian zdołał zadać jej następne pytanie. Miał ich jeszcze sporo. Czy Sylvia była przed śmiercią gdziekolwiek hospitalizowana? Czy na jakimkolwiek etapie zrobiono jej badania serca i morfologię? Czy zrobiono sekcję zwłok? Na dwa najważniejsze musiał sam odpowiedzieć: po pierwsze – czy sprawy zaszły tak daleko, że musi wyjaśnić swoje spostrzeżenia do końca? I po drugie – czy jest w stanie tego dokonać?

–Co z naszym dalszym obchodem?

Brian nawet nie zauważył nadejścia Phila.

–Przepraszam, że ciągle was opuszczam. Muszę przeprowadzić kilka rozmów.

–Nie martw się. Ty instaluj rozruszniki i ratuj życie naszych pacjentów. Ja zajmę się teorią.

–Doskonale prowadzisz wykład, Phil.

–Przesadzasz.

–Mówię serio. Poza tym wydaje mi się, że to ci sprawia przyjemność. Nie wszyscy lubią tę robotę.

–Masz rację, lubię to. Lubię wszystko, za co mi tutaj płacą. Dlatego mogę pogodzić się z odrobiną brudów i niepisanymi zasadami. Takie są miejscowe warunki. Także dlatego nie mogę ci więcej pomóc w sprawie vasclearu i błagam cię, żebyś był ostrożny.

–Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

–O czym?

–Już nic. Mam obsesję, poza tym jestem zmęczony.

–Rozumiem jedno i drugie. Brian, przepraszam cię, jeśli prawię ci kazania. Rzecz polega na tym, że we wszystkich miejscach, gdzie pracuje więcej niż jedna osoba, istnieją zwierzchnicy, najczęściej o dużych ambicjach, z którymi podwładni muszą się liczyć. W wypadku lekarzy osobowości są po prostu ostrzej zarysowane. Kiedy zorientujesz się, którzy z nich mają wybujałe ambicje, i co powinieneś robić, żeby żyć z nimi w zgodzie, będzie ci tu bardzo wygodnie.

–Niepotrzebnie mi to mówisz. To ja zostałem wyrzucony poza nawias środowiska, pamiętasz?

–Pamiętam. Dzięki, że nie drażysz tamtego tematu.

–Nie ma sprawy.

Brian zauważył uczucie dyskomfortu na twarzy przyjaciela. Decyzja nieangażowania się nie przyszła mu łatwo.

–A więc – powiedział z zakłopotaniem Phil – do zobaczenia później.

Cofnął się o kilka kroków, potem odwrócił się i pospieszył do wyjścia.

Brian otworzył walizeczkę i wyjął z niej kopertę zaadresowaną do Phila. Wewnątrz znajdowała się kopia listy dziesięciu pacjentów Pierwszej Fazy. Brian miał zamiar

spytać Phila, czy nie zechciałby poszukać w kartotekach danych kilku z nich. Teraz podarł listę i

wyrzucił strzępy do popielniczki. Zdejmował z głowy Phila stryczek. Zastanawiał się, czy równie zdecydowanie będzie umiał postąpić w stosunku do siebie.

–Doktorze Holbrook – zawołała do niego sekretarka oddziału – pozwoli pan na chwilkę?

–Jasne.

Brian zamknął teczkę i podszedł do jej biurka.

–Doktorze, w tej chwili zobaczyłam wśród papierów kopertę z pańskim nazwiskiem. Nie wiem, kto ją przyniósł i kiedy. Gdy spojrzałam, już tam leżała. Przepraszam, proszę się nie gniewać.

–Naturalnie. Dziękuję. Nie wygląda na coś ważnego. Prawdopodobnie wypadła ze sterty listów, które wyjąłem z mojej skrzynki.

Ani przez sekundę nie wierzył w to, co mówi, ale w tym momencie nie stać go było na nic więcej. Odebrał od sekretarki kopertę i, starając się zachowywać bardzo zwyczajnie, powędrował do kantyny.

Koperta była biała i zapieczętowana. Na wierzchu starannie wydrukowano wersalikami jego nazwisko: DR BRIAN HOLBROOK. Rozdarł kopertę, ale nim jeszcze wyjął z niej pojedynczą kartkę, poczuł, że zwiastuje kłopoty.

LABORATORIUM DIAGNOSTYCZNE

SZPITALA WHITE MEMORIAL

Pacjent: 1744, NUMER PRÓBKI: 10/15

Nazwa testu Wynik

Alkohol etylowy (mocz) Negatywny

Uwagi

–Próbkę pobrano obligatoryjnie

–Pozytywny wynik dla pochodnych opium potwierdzony przez chromatografię gazową

–Wyniki ilościowe są następujące...

Pacjent 1744 oznaczał Briana. Ale data była dzisiejsza. Tymczasem nikt nie pobierał dziś

od niego próbki moczu, co więcej, wynik badania był pozytywny pod względem obecności narkotyku z grupy makowcowej. Ta sama klasa leków spowodowała jego poprzednie kłopoty. Siedział w małej kantynie, patrząc w otępieniu na obrazek w ramkach, przedstawiający Hipokratesa wlewającego z glinianej czarki jakiś płyn do gardła pacjenta. Czuł się tak, jakby pierś miał obciążoną żelazną sztangą. Zgodnie z umową, którą zawarł z Ernestem Pickardem, jeden pozytywny wynik testu, potwierdzony przez chromatograf gazowy, miał przesądzić sprawę. Nie pomogą wyjaśnienia, nie pomoże alibi, oświadczenia o niewinności, próby tłumaczenia się pomyłką laboratorium. Drugiej szansy już nie będzie. Stało się. Koniec z BHI. Zostanie natychmiast wysłany raport do Komisji do spraw Rejestracji. Czekaj go upokorzenie i zawieszenie. Może się pożegnać z zawodem. Koniec z nienadzorowanymi spotkaniami z dziećmi. Stało się.

Klinika, w której przeprowadzano badania moczu, prowadziła dziennik raportów, stanowiący asekurację, w razie gdyby ktoś oskarżył laboratorium o zagubienie próbki. Czyżby ten, kto wysłał sfałszowany raport, wpisał do dziennika również jego nazwisko? Brian zastanawiał się, dlaczego raport był z dnia, w którym nie musiał zgłosić się do analizy moczu, zamiast poczekać na taki dzień, i po prostu zmienić wynik testu. Jeśli byli na tyle mocni, że mogli sfałszować oficjalny raport, mogli właściwie wszystko.

Usłyszał sygnał pagera. Wyświetlacz wskazywał: ROZMOWA ZEWNĘTRZNA. Brian

wsunął fałszywy raport do kieszeni i zatelefonował pod ten numer. Odezwał się mężczyzna mówiący powolnym, niskim, płynącym jakby z brzucha głosem, w którym były ślady obcego akcentu.

–Dostał pan kopertę, doktorze Holbrook?

–Kto mówi?

–Na razie to tylko ostrzeżenie. Pokaz naszych możliwości. Jeśli będzie pan w dalszym ciągu próbował narobić nam kłopotów, dowiemy się o tym. Może pan być tego całkowicie pewny. W takim wypadku następny raport będzie dotyczył próbki, którą pobiorą panu w laboratorium. Pańskie nazwisko znajdzie się w dzienniku raportów. Wynik testu okaże się pozytywny, a pan będzie skończony. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

–Kto mówi? – powtórzył ostro Brian.

Rozmówca się rozłączył.

Brian jeszcze przez chwilę patrzył na telefon, zastanawiając się, dlaczego dano mu jeszcze jedną szansę. Przy pozytywnym wyniku testu moczu wszystko, co mógłby ujawnić, byłoby znacznie mniej wiarygodne. Prawdopodobnie trafił na coś istotnego, na coś, co mogło zepsuć nieskazitelnie czysty wizerunek vasclearu. Teri wspominała o tym wielokrotnie. Alexander Baird szukał jakiegokolwiek argumentu, który mógłby przeciwstawić niesłychanemu szumowi wokół leku, umożliwiając w ten sposób Instytutowi zwłokę w oddaniu go zbyt łatwowiernemu społeczeństwu. Rozmówca i jego grupa chcieli uciszyć Briana, próbując przehandlować jego posadę w zamian za milczenie. Brian podał raport na kawałki i wrzucił do kosza na śmieci. Kim byli ci, którzy dawali mu ostatnią szansę?

Poczuł się otępiały i rozkojarzony. W tym stanie ducha wyszedł z kantyny, niemal zderzając się z Ernestem Pickardem. Nigdy do tej pory nie widział dyrektora szpitala na

oddziale. Czyżby to był przypadek?

Pickard miał na sobie elegancki, dwurzędowy niebieski garnitur, z którego jednej kieszeni wystawał stetoskop. Brian wątpił, czy szef musi go jeszcze używać.

–Witam, witam – powiedział Pickard ze swoją zwykłą jowialnością, prowadząc Briana do miejsca oddalonego od pokoju pielęgniarek, żeby z nim porozmawiać. – Jak się czuje nasz quarterback?

Brian studiował wyraz jego twarzy, na ile takt mu pozwalał, starając się uchwycić najłżejszą oznakę, że wizyta Pickarda była spowodowana chęcią sprawdzenia, czy

sygnał ostrzegawczy poskutkował.

–Daję sobie radę – odparł.

–Dochodzą mnie słuchy, że bardzo dobrze. Wpadłem, ponieważ chciałem spytać, jak się czujesz po tej tragedii.

–Tragedii?

–Twój ojciec nie żyje.

–Ach, tak. To bardzo miło z pańskiej strony, doktorze. Prawdę mówiąc, czuję się tak, jakbym to przeżywał ciągle na nowo.

Pickard położył mu rękę na ramieniu.

–To normalna reakcja. Wiem, jakie to musi być dekoncentrujące. Nie pozwól, żeby cię zbyt mocno pochłonęło.

–Staram się.

–I, na miłość boską, nie popadnij znów w nałóg. Chodzisz na te wasze spotkania?

–Regularnie.

–To doskonale. Cieszę się, ponieważ jesteś tu bardzo potrzebny. Nie chciałbym cię stracić.

Nie czekając na odpowiedź, powtórnie poklepał Briana po ramieniu, uśmiechnął się do pielęgniarek i sekretarki, które stanęły razem, śledząc każdy ruch szefa, i wyszedł.

Brian powędrował z powrotem do kantyny. Nie udało mu się zorientować, czy Pickard wiedział, co się dzieje. Jedno było pewne. Został namierzony na cztery dni przed oficjalną rejestracją vasclearu. Wyrzwał za drzwi, żeby sprawdzić, czy nikt się nie kręci, i zadzwonił do jedyne go człowieka, któremu całkowicie ufał. Dzięki Bogu, Freeman był w domu.

–Freeman, telefonuję, żeby się dowiedzieć, czy nie ma jakichś spotkań... powiedzmy koło trzeciej po południu.

–Chwileczkę, sprawdzę w moim terminarzu. W sekcji Anonimowych Narkomanów nie widzę nic, dopiero wieczorem, ale jest spotkanie Anonimowych Alkoholików... Brookline, na Stiles Street pod osiemnastką. Od czwartej do piątej. Dyskusja.

–Mogę się tam z tobą spotkać?

–Jeśli ci jestem potrzebny, chętnie służę. Zwłaszcza na zebraniu. Tak brzmi przykazanie w podręczniku kuratora.

–Czuję się zobowiązany. Potrzebuję was... ciebie i zebrania. Jeszcze jedno. Czy orientujesz się, w jaki sposób można się dowiedzieć, kto jest właścicielem jakiejś firmy i kto zasiada w radzie dyrektorów?

–Nie, ale wśród uczestników zebrań zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział. Może to być cokolwiek: biznes, muzyka rapowa, naprawy domowe, nawet neurochirurgia. Rzecz sprowadza się do poszukania odpowiedniego faceta.

–Mógłbyś takiego znaleźć?

–Naturalnie, pod warunkiem że powiesz mi, o co chodzi.

–Powiem ci. Obiecuję.

–Umowa stoi. Co to za firma?

–Newbury Pharmaceuticals. Chcę wiedzieć, kto nią zarządza.

Rozdział 26

Freeman Sharpe przybył do kościoła w Brookline piętnaście minut po rozpoczęciu się zebrania AA. Brian już tam był, rezerwując dla niego krzesło obok siebie. Przez jakiś czas siedzieli, przysłuchując się zwierzeniom prawnika na temat błędów, które popełnił w swojej praktyce skutkiem pijaństwa, i zmian, które w nim nastąpiły od czasu, gdy przed ośmiu laty przestał pić. Powiedział, że nie poprzestał na pracy społecznej, polegającej na dyżurowaniu raz w tygodniu przy telefonie pogotowia w centrali AA, lecz porzucił swoją renomowaną firmę, zamienił BMW na tercela, przestał zażywać maaloX i zajął się udzielaniem porad w środowisku miejskiej biedoty.

Blask uniesienia, bijący z twarzy mężczyzny, rozświetlał wnętrze.

–Wygląda na prawdziwie nawróconego – szepnął Sharpe.

Brian podniósł wzrok na witraż w oknie.

–Taaak... – powiedział bez zainteresowania.

Sharpe westchnął.

–Doktorze Brian, wyjdźmy stąd i porozmawiajmy.

–Wyjdźmy? Sharpe, odkąd cię znam, nigdy nie wyszedłeś w połowie zebrania.

–Mój specyficzny zmysł pająka czuje jakieś wibracje. Zdaje mi się, że wpadłeś w sidła.

Zatrzymali się przy dzbanku z kawą, napełnili kubki i zabrali je z sobą na ulicę. Późne popołudnie było pochmurne, ale ciepłe. Brian był zadowolony, że przed wyjściem ze szpitala włożył dżinsy i T-shirt. Poszli w milczeniu ulicą do następnej przecznicy, a potem przez puste boisko do betonowej ławki. Freeman nabił swoją fajkę z kaczana kukurydzy.

–Mam kłopoty – powiedział Brian.

–Zdaje się, że masz je od początku pracy w tym szpitalu.

–Racja. Wypożyczanie samochodów było znacznie prostsze. Freeman, Jack umarł po części dlatego, że nie chciałem namawiać go na operację. Głównym powodem... cholera, jedynym powodem, że go nie namawiałem, było to, że leczyłem go vasclearem. Teraz zacząłem trafiać na pewne rzeczy związane z wczesnym testowaniem leku na pacjentach. Są to sprawy, o których firma farmaceutyczna nigdy nie wiedziała... albo nie chciała, żeby dowiedział się Instytut Żywności i Leków.

–Coś nie w porządku z tym lekiem?

–Nie mogę tego powiedzieć z całkowitą pewnością. Przynajmniej na razie. Ale dwa i pół roku temu dokonali wstępnych prób na osiemnastu pacjentach. Udało mi się ustalić personalia tylko trojga z nich. Wszyscy nie żyją. Dwóch z nich miało kuriozalny wynik badania krwi i zespół symptomów, które mogły być wywołane braniem tego leku. O trzeciej dowiedziałem się niedawno. Umarła, będąc u syna, gdzieś pod Nowym Jorkiem. Nie znam szczegółów. Natomiast jej dokumentacja szpitalna i dokumentacja jednego z tamtych dwóch pacjentów wskazuje na manipulację. Brak niektórych stron.

–Lecz teraz z tym lekarstwem jest wszystko w porządku?

–Tak. Nie jest skuteczne dla wszystkich, ale wydaje się, że nie ma skutków ubocznych.

Freeman zapalił fajkę. Aromat dymu mieszał się przyjemnie z zapachem jesieni.

–Co dalej? – spytał.

–Zeszłej nocy zostałem sfilmowany w klinice przez wideokamerę. Akurat wyszukiwałem nazwiska pierwszych pacjentów. Chciałem później sprawdzić ich dokumentację.

–Czemu to zrobiłeś?

–Nie wiem. Ja... nie mogę się pozbyć poczucia winy, że nie namówiłem Jacka na operację. Wierzyłem głęboko, że vasclear mu pomoże.

–Zaczynasz krucjatę. Muszę ci wyznać, że krucjaty zawsze mi się podobały. Konie, białe peleryny z czerwonymi krzyżami...

Brian uśmiechnął się blado.

–Może to jest krucjata – powiedział. – Trudność polega na tym, że nie wiem, z kim walczę. Im głębiej się w to zanurzam, tym częściej myślę o tym, że walczę z samym sobą, z własnym uporem. Ten upór już dwa razy omal nie zniszczył mi życia: pierwszy raz, kiedy rozwaliłem sobie kolano, a drugi... gdy odrzuciłem pomoc mającą na celu wydobyć mnie z uzależnienia, które zżerało moją duszę. Potem zdawało mi się, że po okresie terapii w organizacji AN potrafiłem już panować nad sobą, ale kiedy przyszła chwila próby, uznałem, że sam wiem, co jest najlepsze dla mojego ojca, ignorując zalecenia jego lekarza i jednego z najlepszych chirurgów na świecie.

–Więc dlatego nie chcesz, żeby sprawa przyschła?

–Możliwe. Tak. Myślę, że dlatego. Nie mogę dać sobie rady z tym, do czego doprowadziło mnie moje ego, więc chcę zemścić się na lekarstwie i ludziach, którzy je wyprodukowali. Ale przy tym wszystkim mam przeświadczenie, że coś z nim jest nie w porządku. Nie wiem jeszcze co, ale zdaje mi się, że kłopoty pacjentów Pierwszej Fazy trafiły pod dywan. Lekarze zajmujący się vasclearem są wybitnymi naukowcami, ale już raz mnie okłamali co do sprawy krytycznej w tych doświadczeniach.

–A teraz ci wybitni naukowcy zaczynają się z twojego powodu denerwować?

–Może oni, a może ktoś inny. Dziś rano ktoś podrzucił mi wynik analizy moczu z moim numerem. Wygląda na prawdziwy, mimo że nie jest. Pozytywny pod kątem narkotyku. Ja nawet nie oddałem dziś próbki. Chwilę później zadzwonił jakiś mężczyzna, oświadczając, że jeśli będę rozrabiał, to raport powędruje do mojego szefa.

–Wobec tego jakiej rady oczekujesz od swojego kuratora?

–Chcę, żebyś mi uprzytomnił, że dopiero przed paroma dniami wróciłem do praktyki, po osiemnastu miesiącach przerwy, że cała ta sprawa z vasclearem to twój mój chorej wyobraźni, że nie mam żadnego konkretnego dowodu, iż coś z nim jest nie w porządku, że FDA nie jest w najmniejszym stopniu zainteresowane tym, co do tej pory znalazłem, i że lepiej, żebym pilnował własnych interesów.

Sharpe wydmuchał kółko dymu, które poszybowało w stronę nieba.

–Jak myślisz, z jakiego powodu pogrozili ci tym sfalszowanym testem? – spytał.

–Nie wiem na pewno. Albo boją się, bo mają trupa w szafie, którego ja mógłbym znaleźć, albo chcą się zabezpieczyć przed wpadką na parę dni przed zatwierdzeniem leku. Gdyby się okazało, że mieli kłopoty z vasclearem podczas Pierwszej Fazy i nie powiadomili o

tym FDA, jeśli nawet później opanowali problem, to Instytut miałby podstawy, żeby odsunąć na czas nieograniczony jego rejestrację.

–Mimo że lek miał później wyłącznie dobre wyniki?

–Myślę, że tak. Stawką są olbrzymie pieniądze.

–Podsumowując, w najlepszym wypadku możesz liczyć na wstrzymanie zatwierdzenia lekarstwa, które, jak się wydaje, działa bez zarzutu i może pomóc tysiącom ludzi. Natomiast ceną dokonania tego wątpliwego wyczynu może być twoja lekarska kariera.

Freeman ponownie wydmuchał kółko dymu.

–W twoich ustach moje intencje wyglądają na głupie.

–Wyglądają na intencje małego chłopca, który kochał swojego ojca, a teraz czuje się winny, wstrząśnięty i zły z powodu jego śmierci. Nie można nazwać tego głupotą.

–Więc radzisz mi, żebym zapomniał o całej sprawie.

–Nie.

Briana niemal zatkało.

–Więc co mam zrobić?

–Prosiłeś mnie, żebym przeprowadził wywiad na temat Newbury Pharmaceuticals?

–Dopiero dziś rano. Już zdążyłeś się czegoś dowiedzieć?

–Trochę. Po pierwsze, firma jest prywatna i wydaje się czysta. – Wyjął z kieszeni wiatrówki kartkę papieru. – Sekretariat urzędu gubernatora nie żąda zbyt wielu danych od prywatnych kompanii. Na temat Newbury mają tylko to. – Podał Brianowi kartkę zawierającą cztery nazwiska. – Dyrektor, skarbnik, księgowy, jedno nazwisko z rady dyrektorów. Poza tym oświadczenie o charakterze działalności, to wszystko, czego wymaga urząd. Nazwiska nic mi nie mówią, i tobie chyba również.

–Nie znam ich.

–Pamiętasz, powiedziałem ci, że jeśli chcesz coś wiedzieć lub zrobić, to wśród AA zawsze znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, ktoś, kto zrobi to, na czym ci zależy. Myślę, że jeśli ta firma ma coś do ukrycia, to Cedric L. powinien o tym wiedzieć. Znasz go? To chyba jedyny Chińczyk na świecie o tym imieniu. Jest w śródmiejskiej grupie, która spotyka się w piątki wieczorem. Jest również członkiem klubu towarzyskiego w Chinatown, klubu, który w praktyce jest meliną jednego z najbrutalniejszych gangów w mieście.

–A ty martwiłeś się o mnie z powodu kilku fiolek lekarstwa.

–Cedric ma już za sobą dwadzieścia lat rehabilitacji – odparł Freeman. – Może nawet więcej. Po takim czasie ty też już będziesz miał niezłe rozeznanie. Wracając do rzeczy, zadzwoniłem do starego Cedrica i okazało się, że o Newbury Pharmaceuticals wie całkiem sporo.

–Na przykład?

–Na przykład to, że przez ostatnie dziesięć lat zajmowali się praniem brudnych

pieniędzy.

–Z handlu narkotykami?

–Czy są jakieś inne?

–Mafia?

–Nie ta, o której myślisz. Cedric mówi, że to Rosjanie. Firma była ich własnością na długo przed rozebraniem muru berlińskiego.

Brian spojrział na kartkę z czterema nazwiskami.

–W takim razie kim oni są?

–Nie wiem. Może ludźmi z pozmienianymi nazwiskami. Może ludźmi opłacanymi za to, że ich nazwiska figurują na oficjalnych dokumentach. Na pewno coś z tych rzeczy. Firma zajmuje się produkcją witamin.

–Wiem.

–Cedric powiedział, że fama głosi, iż oni importują surowce z Rosji i wysyłają z powrotem w postaci gotowych produktów. Pieniądze płyną w jedną stronę w postaci piątek, dziesiątek i dwudziestek, a wracają w postaci kont bankowych i depozytów dysponowanych elektronicznie.

–Teraz produkują vasclear?

–Na to wygląda. Jeśli ten środek jest tyle wart, ile piszą w gazetach, nie będą więcej musieli kramarzyć witaminami ani prochami.

Brian zagwizdał przez zęby.

–Freeman, ten facet, który dzwonił do mnie dziś rano z pogrózkami, miał rosyjski akcent. Jestem całkowicie pewien.

–W takim razie, kolego, można powiedzieć, że wdepnąłeś w głębokie gówno. Jeśli wchodzisz im w drogę, biją cię po palcach linijką. Dziwię się, że nie zagrozili ci niczym więcej.

Brian siedział wstrząśnięty, patrząc na dwóch chłopców, którzy w zapadającym zmroku przyszli porzucać piłką.

–Czy temu Cedricowi można wierzyć?

–Skąd, do diabła, mogę wiedzieć? To gangster. Ale owszem, wierzę mu. Dlaczego

–miałby mnie okłamywać?

–Więc zawierzyłem życie mojego ojca cudownemu leкови, za którym stoi rosyjska mafia?

–Na to wygląda. Ale to nie zmienia faktu, że lek może być skuteczny.

–To prawda. Siedemdziesiąt pięć procent z dwustu przypadków. Freeman, co ja mam zrobić?

–Nie pij, nie używaj narkotyków, chodź na spotkania i w razie potrzeby proś o pomoc.

–To zbyt ogólna rada.

–Tak, ale odpowiednia do tej i do każdej innej sytuacji. Brian, pracuję nad tobą ponad rok. Może masz rację, podejrzewając, że ci z Newbury coś ukrywają, ale równie dobrze możesz się mylić. W tej chwili nic mnie to nie obchodzi. Nie chcę, żeby ci się coś stało.

–Więc radzisz mi, żebym poddał się szantażowi i niczego nie robił?

–Może tak będzie najlepiej.

–Chodzi o to, Freeman, że ja niczego jeszcze nie zrobiłem, a już z pewnością nie uczyniłem nic, co usprawiedliwiłoby taką reakcję. Wykorzystują fakt, że jestem na rehabilitacji, grożąc mi przekreśleniem mojej kariery zawodowej, a tymczasem nie zrobiłem

nic poza zapoznaniem się z dokumentacją paru pacjentów.

–To wygląda trochę tak, jakby chcieli zabić mrówkę za pomocą strzelby na słonie.

–O co tu chodzi? – Brian wstał i kręcąc głową, zaczął iść przez boisko. Sharpe podążył za nim, wytrząsając po drodze popiół z fajki. – O co tu chodzi? – powtórzył Brian.

Zbliżyli się do miejsca, gdzie chłopcy ćwiczyli podania. Brian wyciągnął ręce po piłkę i jeden z nich posłusznie mu ją podał.

–Idź daleko – powiedział Brian, ruchem ręki posyłając chłopca w głąb boiska. – Dalej – zawołał. – Jeszcze dalej.

–Wystarczy, proszę pana! – krzyknął z oddali wyrostek.

–Skoro tak chcesz!

Brian włożył w rzut wszystkie swoje wątpliwości, wahania i obawy. Mimo że chłopiec był oddalony o dobre czterdzieści jardów, piłka, przelatując nad jego głową, była jeszcze we wznoszącej się części trajektorii lotu. Wylądowała o sześćdziesiąt jardów od Briana, raz się odbiła i znikła w gąszczu niskich krzaków.

–Nie mogę tego tak zostawić, Freeman – powiedział. – Po prostu nie mogę.

Rozdział 27

Fulbrook w stanie Nowy Jork okazało się senną wioską, o urodzie jak z kolorowych widokówek, położoną u podnóża Catskill Mountains. Jazda z Bostonu, wśród przepysznych kolorów jesieni, zajęła Brianowi trzy i pół godziny. Jechał z opuszczonym dachem leBarona, co zwykle stanowiło ukojenie dla jego wewnętrznych rozterek. Dziś jednak nic nie było w stanie go rozproszyć. Miał jasno wytknięty cel: uzyskać odpowiedź na kilka pytań.

Richard Vitorelli był równie podejrzliwy i niechętny do rozmowy jak jego żona. W końcu zgodził się na bezpośrednie spotkanie, pod warunkiem że Brian udowodni swoją tożsamość i że spotkają się w gabinecie ich rodzinnego lekarza – człowieka, który spełniał ponadto w okręgu funkcję lekarza sądowego. Brian był z tego w dwójnasób zadowolony.

Skończywszy blisko trzydziestosześciodzinny dyżur, miał cały dzień dla siebie. Po telefonie do Richarda Vitorellego i wydaniu dyspozycji dla biura doktora Samuela Purefoya zadzwonił z domu do Teri. Jej głos spowodował, że wszystkie inne sprawy wydały mu się mniej ważne.

–Właśnie miałam do ciebie zatelefonować – powiedziała.

–Jest coś nowego?

–Nie o to chodzi. Może mam ochotę na seks przez telefon. Tęsknię do ciebie, doktorze.

–Ja też tęsknię do ciebie, doktorze. Możesz wpaść do mnie przed sobotą?

–Nie ma najmniejszej szansy. Jest jeszcze mnóstwo roboty do wykonania. Doktor Baird i ja przylecimy wczesnym rankiem w sobotę, rządowym odrzutowcem.

Brian postanowił wcześniej, że nie powtórzy jej żadnej z informacji, które Freeman uzyskał od Cedrica L., jeśli nie będzie miał przekonujących dowodów. Było wielce prawdopodobne, że FDA znało badaczy-naukowców z Newbury Pharmaceuticals i że sprawdziło wszelkie podejrzenia. Nieuzasadnione oskarżenia podważyłyby jego własną wiarygodność.

–Trafiłaś na jakąś informację kompromitującą vasclear? – spytał.

–Nie, z wyjątkiem spraw, o których rozmawialiśmy.

–Więc doktor Baird nie wykorzystał tego?

–Nie miał podstaw. Pamiętaj, że testy Pierwszej Fazy przeprowadzane były na ciężko chorych pacjentach. To, że część z nich umarła z powodu zaawansowanych chorób serca, było całkiem naturalne.

–Ale skąd się u nich wzięło nadciśnienie płucne?

–Brian, nie ma dowodu, że którykolwiek z tych pacjentów miał je. Tylko jeden z nich umarł na skutek choroby. Powiedziałeś, że ten drugi zginął podczas strzelaniny.

–Rzeczywiście. Miałem zamiar zwrócić się do biura biegłego sądowego, żeby się dowiedzieć, czy sekcja zwłok nie wykazała nadciśnienia w naczyniach krwionośnych płuc, ale nie miałem czasu. Trafiłem na jeszcze jednego pacjenta Pierwszej Fazy... kobietę o nazwisku Vitorelli. Również nie żyje, podobnie jak tamci dwaj. Myślę, że umarła na chorobę serca, ale chcę się dowiedzieć, czy nie miała przy tym NP. Jutro mam wolny dzień, na który

nic nie zaplanowałem. Postanowiłem złożyć dach samochodu, pojechać do jej syna, który mieszka w stanie Nowy Jork, i porozmawiać z nim i z lekarzem sądowym.

–Nie chcę odwozić cię od tego zamiaru, ale muszę ci powiedzieć, że cieszymy się, iż lek jest bezpieczny i skuteczny.

–Powiedziałaś, że będziecie sprawdzać wszystkie okoliczności związane z vasclearem, aż do ostatniej minuty.

–Podtrzymuję to. Jeśli znajdziesz coś konkretnego, cokolwiek to będzie, doktor Baird weźmie to pod uwagę. Ma słowo prezydenta, że oficjalna rejestracja może zostać odwołana nawet w ostatniej chwili.

–W takim razie jadę do Fulbrook. Na pewno nie chciałabyś przylecieć wieczorem i jutro rano wybrać się tam razem ze mną? Podróż potrwa ze cztery godziny, a mój samochód jest super...

–Och nie, tylko nie to. Każdy z was, mężczyzn, musi koniecznie mieć coś takiego.

–A może? Mój stanowi połączenie dżemu pomarańczowego, magicznego stolika i mojej torby lekarskiej. Zastanów się, co tracisz.

–To zaczyna wyglądać ciekawie. Brian, zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, i jesteśmy w pełni usatysfakcjonowani. Nie musisz się szarpać.

–Powinnaś była o tym pomyśleć, zanim zaprosiłaś mnie do hotelu.

–Wobec tego sprawdzę pogodę... czy deszcz nie spłucze magicznego stolika i dżemu.

–Zrób to. Zadzwoń, kiedy tylko wrócę. – Brian usłyszał ciche kliknięcie na linii. – Czy masz sygnał zgłoszenia oczekującej rozmowy? – spytał.

–Nie. Czemu pytasz?

–Usłyszałem jakieś kliknięcie.

–Na mojej linii słyszę często różne trzaski, ale tym razem nic nie zauważyłam. Dobrze się czujesz?

–Co? Ach, naturalnie. Jestem tylko trochę zmęczony i zdenerwowany. Poza tym brak mi ojca.

–Sądzę, że z czasem pogodzisz się z tym, choć pewnie nigdy do końca.

–Zapewne... Muszę teraz pójść do sklepu po dżem.

–Tęsknię do ciebie, Brian.

Doktor Samuel Purefoy, biegły sądowy okręgu Greene, był jowialnym okrągłutkim mężczyzną. Miał swój gabinet w małym bungalowu koloru błękitnego nieba, u stóp niskiego wzgórza, mieniającego się rozświetlonymi słońcem barwami jesieni. Na frontowym trawniku stał stary automobil, świeżo pomalowany, pamiątka czasów prostszej, subtelniejszej medycyny.

Brian przybył piętnaście minut przed umówionym terminem spotkania. Purefoy zaparzył dzbanek herbaty i dobrodusznie wypytywał go o sprawy medycyny, szpitala Wbite Memorial i BHI.

–Nigdy jeszcze nie widziałem podobnej sceny, jaka rozegrała się w sypialni tej kobiety, w domu Ricky’ego – zwierzył mu się po pewnym czasie stary lekarz, akceptując tym samym

osobę Briana. – Wszędzie było pełno płynu obrzękowego z płuc, zabarwionego krwią. Boże, co ta kobieta musiała wycierpieć, nim umarła. Ona po prostu zwyczajnie utonęła. Zrobiliśmy wszystko, co możliwe, ale nie miała żadnych szans.

–Czy żyła jeszcze, kiedy pan przybył?

–Tak, ale to były jej ostatnie chwile. To się działo w niedzielę. Mój dom jest zaledwie o milę od domu Vitorellich. Tego dnia plecy bolały mnie tak mocno, że postanowiłem nie pójść do kościoła. Przybyłem na miejsce równocześnie z karetką reanimacyjną. Intubowaliśmy ją na miejscu i przewieźliśmy do naszego malutkiego szpitala. Jest skromny, ale diabelnie sympatyczny.

–Założyłbym się w ciemno, że jest taki, jak pan mówi.

–Umarła w izbie przyjęć. Miała tyle płynu w płucach, że nie mogliśmy w wystarczającym stopniu natlenić krwi.

–Myślał pan o sekcji zwłok?

–Prawdę mówiąc, nie. Była pacjentką White Memorial. Przyjmowała przepisane przez szpital lekarstwa. Nie widziałem potrzeby narażania jej rodziny na związane z sekcją przykrości. Co pana sprowadza tu z Bostonu, dwa lata po fakcie?

–Pani Vitorelli była jednym z pierwszych pacjentów, którym zaaplikowano vasclear.

–Ach, ten rewelacyjny środek. Mam już pół tuzina kandydatów czekających na niego. Czy to prawda, że ma zostać zarejestrowany pod koniec tygodnia?

–Prawdopodobnie tak. Doktorze Purefoy...

–Proszę mi mówić Sam.

–Sam, trafiłem na paru pacjentów, którzy byli objęci wczesnymi eksperymentami z vasclearem i którzy zachorowali na coś, co wyglądało i miało skutki podobne do nadciśnienia płucnego. Czy według twojego rozeznania pani Vitorelli mogła mieć NP?

–Nadciśnienie płucne, ho, ho. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek z nim się spotkał. Jeśli nawet, nie potrafiłbym go zdiagnozować. Miała straszliwie opuchnięte kostki. Nigdy przedtem takich nie widziałem. To jest symptom nadciśnienia płucnego, prawda?

–Tak, chociaż nie jest charakterystyczny dla NP.

W tym momencie do biura wkroczył Richard Vitorelli, wnosząc z sobą osobowość i zapach człowieka, który całe życie spędził na roli. Był barczysty, miał gęste, kręjące się włosy i niezwykle miłą twarz. Podał w przelocie stwardniałą dłoń Brianowi, potem zwrócił się do Purefoya.

–Gość w porządku? – spytał.

Wyraz jego twarzy świadczył, że niełatwo było zdobyć jego zaufanie.

–Och, tak. W całkowitym porządku – odparł Purefoy. – Ze szpitala White Memorial, tak jak mówił. Robi wywiad na temat lekarstwa vasclear, które zażywała twoja matka.

–Po co?

–Tak się składa – wtrącił Brian – że za kilka dni będą je zażywali ludzie na całym

świecie.

–W tym niezła czeredka tutaj, w Fulbrook – dodał Purefoy.

–Idę śladem ludzi, którzy przyjmowali vasclear i nie żyją. Pańska matka jest na mojej liście.

Vitorelli ponownie spojrzął na Purefoya, który skinął głową na znak, że może swobodnie mówić.

–Moja matka nigdy nie chorowała, dopiero kiedy mój ojciec umarł cztery lata temu na udar. Parę miesięcy po jego śmierci zaczęła mieć bóle w piersiach.

–Wtedy zaczęto jej podawać vasclear – powiedział Brian.

–Tak. Była na nim prawie przez rok – ciągnął Vitorelli. – Z początku wyglądało na to, że działa skutecznie. Bóle w klatce piersiowej ustąpiły, matka wyraźnie ożyła. Potem zaczęła znów narzekać. Kiedy przybyła tutaj, zobaczyłem jej nogi i przestraszyłem się. Chciałem zadzwonić po doktora Purefoya, ale to była niedziela. Pomyślałem sobie... pomyślałem, że nic się nie stanie, jeśli zrobię to następnego dnia.

Wytarł wierzchem dłoni łzy, które pojawiły się w kącikach jego oczu.

–To nie twoja wina, Ricky – stwierdził Brian ze współczuciem, którego obaj mężczyźni zupełnie się nie spodziewali. – Jeśli twoja matka chorowała na to, co podejrzewam, nikt nie mógł jej uratować... ani ja, ani Sam, ani nikt na świecie.

–Była bardzo dobra – rozczulił się Ricky. – Czy chce pan jeszcze czegoś ode mnie? Jeśli nie, wrócę do mojego traktora.

Nie spytał o związek między vasclearem a śmiercią jego matki, nie zainteresował się możliwością wytoczenia uzasadnionego procesu. Richard Vitorelli nie był człowiekiem postępującym według zasady: najpierw zaskarż, potem zadawaj pytania. Brian przyrzekł sobie, że jeśli vasclear przyczynił się do śmierci Sylvii Vitorelli, a Newbury Pharmaceuticals wiedziało o tym lub próbowało to ukryć, wróci tu, żeby jeszcze raz spotkać się z jej synem.

Ricky uściskał na pożegnanie dłonie Briana, tym razem bardzo mocno. Brian również chciał już zakończyć wizytę, kiedy nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

–Sam, przypomniałem coś sobie – zwrócił się do lekarza. – Czy kiedykolwiek robiono pani Vitorelli morfologię krwi?

–Nie jestem pewny. Możliwe, że posłaliśmy próbkę do zbadania, ale potem... nie

była już potrzebna.

–Czy mógłbyś to sprawdzić? Interesuje mnie liczba białych ciałek i procent krwinek kwasochłonnych.

–Nie widzę przeszkód, o ile wynik jeszcze się zachował. Ricky, wiem, że to było już dwa lata temu, ale może pamiętasz dokładną datę śmierci matki?

–W tym miesiącu minęły dwa lata. Piątego października. Sam Purefoy zadzwonił do szpitala, porozmawiał z kimś z laboratorium, potem odłożył słuchawkę. Po niespełna dwóch minutach na drukarce, stojącej w kącie biura, pojawił się wynik.

–No tak – powiedział, czytając dane – krwinki kwasochłonne są w nadmiarze, lecz tylko odrobinę. Siedem procent ogólnej liczby dwudziestu tysięcy białych ciałek.

Podał kartkę Brianowi. Ten ze skupieniem studiował liczby. Pomiął milczeniem fakt, że stres lub nawet odwodnienie spowodowało nienormalny wzrost liczby białych ciałek u Sylvii. Gdyby były w normie, od pięciu do dziesięciu tysięcy, procent krwinek kwasochłonnych wynosiłby od piętnastu do dwudziestu, czyli był znacznie podniesiony.

–Czy mogę to zachować? – spytał. – Naturalnie – odparł lekarz.

Spośród trojga pacjentów Pierwszej Fazy dwoje umarło z powodu niewydolności serca, trzeci – cierpiąc na niewydolność; u wszystkich zaś występował wzrost liczby krwinek kwasochłonnych. Wszystko razem sprawiało wrażenie pojawiania się jakiejś reakcji na lekarstwo.

Brian od piętnastu minut był w drodze powrotnej z Fulbrook, jadąc opustoszałą, krętą dwupasmówką pod mieniącym się czerwienią, złotem i pomarańczą sklepieniem pysznych kolorów późnego popołudnia. Zastanawiając się nad zagadką vasclearu i wspominając spotkanie z Samem Purefoyem i Rickym Vitorellim, nie zauważył we wstecznym lusterku brązowego, nieoznakowanego sedana, dopóki tamten nie włączył migającego, czerwonego światła na dachu.

Popatrzył na szybkościomierz. Czterdzieści pięć. Pomyślał, że mógł nie zauważyć pułapki w postaci lokalnego ograniczenia szybkości w jakimś małym miasteczku.

Zirytowany zjechał na wąskie, miękkie pobocze. Sedan zatrzymał się z tyłu, jego migające światło zgasło. Z przodu siedzieli dwaj mężczyźni, obaj w okularach przeciwsłonecznych. Siedzący na miejscu pasażera otworzył drzwiczki i wysiadł. Był szczupły, niezbyt wysoki – około sześciu stóp – ale poruszał się z lekkością sportowca. Miał na sobie spodnie i koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Spod lewego ramienia wystawała mu kabura na szelkach.

Okrążył wóz, zatrzymując się przy drzwiczkach Briana, i pokazał odznakę w portfelu.

–Proszę o prawo jazdy i dowód rejestracyjny – powiedział leniwym tonem.

–O co chodzi? – spytał Brian, grzebiąc w skrytce w poszukiwaniu dowodu. Podał go wraz z prawem jazdy.

–Przekroczenie szybkości – mruknął policjant. Odwrócił się i poszedł wolno do sedana. Po minucie wrócił.

–Proszę wysiąść z samochodu, doktorze. Doktorze? Skąd on wie... Potem przypomniał sobie, że po ukończeniu studiów, przy pierwszym przedłużaniu prawa jazdy uparł się, żeby do nazwiska dodano stopień: „Dr med.”. Jeszcze jeden dowód jego nieustępliwości. Kara, którą teraz mu wlepią, będzie prawdopodobnie dwa razy wyższa. Przy następnym przedłużaniu...

–Nie wydaje mi się, żebym jechał za szybko – powiedział, otwierając drzwiczki.

Policjant spojrzał do tyłu na swojego towarzysza, który trzymał dokumenty Briana, i skinął głową. Tamten otworzył drzwiczki i wysiadł. W przeciwieństwie do pierwszego, był imponująco zbudowany – ponad sześć stóp wzrostu, wąski w biodrach, o szerokich ramionach, Brian natychmiast go poznał. Twarzy o wystających kościach policzkowych i śladach po ospie nie zapomina się łatwo.

Rozdział 28

Cały rozdział życia Briana jako futbolisty, a potem znaczna jego część w pracowni hemodynamicznej podporządkowane były jednej zasadzie: najpierw oceń, potem jak najszybciej reaguj. Teraz, będąc o sto siedemdziesiąt pięć mil od Bostonu, ocena sytuacji na widok mężczyzny, którego widział w suterenie White Memorial, zajęła mu mniej niż sekundę. Zostanie albo ciężko ranny... albo zabity.

W ciągu trzech czy czterech minut, od kiedy się zatrzymali, nie minął ich ani jeden samochód. Gdyby nawet, to szansa na to, że kierowca się zatrzyma lub domyśli, iż dzieje się coś niedobrego, była minimalna. Za parę chwil Brian będzie już unieszkodliwiony, w bagażniku lub na podłodze sedana, wieziony gdzieś, gdzie bez przeszkód wyduszą z niego wszystko, co będą chcieli. Perspektywa była niezbyt pociągająca. Zakładając, że Cedric L. nie mylił się co do tego, że Newbury jest pod kontrolą rosyjskiej mafii, ci dwaj byli niemal na pewno zawodowymi mordercami.

Zachowanie wysokiego mężczyzny nie wskazywało na to, że domyślał się, iż został rozpoznany, lub przypominał sobie owe piętnaście sekund w kantine. Otworzył tylne drzwiczki sedana i zaczął iść w stronę samochodu Briana. Brian wiedział, że jeśli będzie próbował ucieczki, mogą go zabić. Z drugiej strony zdanie się na łaskę tych dwóch mogło się okazać jeszcze gorsze. Był o pół stopy wyższy od mężczyzny stojącego o krok od niego. Jeśli miał jakąkolwiek szansę, to tylko teraz.

Lewą nogą kopnął mężczyznę z całej siły prosto w pachwinę. Rewolwerowiec osunął się na kolana. Briana kusilo, żeby go jeszcze raz uderzyć, lecz zamiast tego obrócił się i zaczął uciekać szosą. Usłyszał w tyle huk wystrzału, potem następny. Pociski uderzyły w asfalt o parę kroków przed nim.

Starął się biec zygzakiem, wyrzucając sobie, że po wizycie u Purefoya nie włożył przed jazdą powrotną tenisówek. Usłyszał jeszcze jeden strzał, przy którym poczuł ostre ukłucie w mięśniu ramienia. Więc to tak wygląda? Takie ma się uczucie, kiedy jest się trafionym?

Biegł zaledwie przez piętnaście do dwudziestu sekund, kiedy poczuł, że zaczynać zwalniać. Ponad sześć stóp wzrostu, dwieście piętnaście funtów i stosunkowo mała szybkość sprawiały, że stawał się łatwym celem. Trzymanie się szosy byłoby samobójstwem. Nieco dalej, po prawej stronie, otwierała się niewielka przestrzeń wśród drzew. Zrobił zwód w lewo, a potem wbiegł do lasu, oglądając się na swoich prześladowców. Mężczyzna o posturze obrońcy futbolowego był bliżej, jakieś dwadzieścia jardów za nim. Niższy biegł z tyłu, śladem pierwszego, starając się dotrzymać mu kroku. Napastnicy również nie mieli na nogach tenisówek.

Brian przedzierał się przez krzaki i młode drzewa, wywijając ramionami jak cepami,

próbując gorączkowo zwiększyć dystans, jaki dzielił go od dwóch mężczyzn. Jeden z nich zawołał do drugiego w jakimś obcym języku. Czy mógł to być rosyjski? Rozległ się następny wystrzał, ale tym razem nie słychać było uderzenia kuli. Brian poczuł nagły, kłujący ból w boku. Potknął się i stoczył w dół po stromej skarpie, porośniętej krzakami. Podrapany,

pokaleczony, brocząc krwią z obu dłoni, podniósł się i spojrzał za siebie. Słyszał obu prześladowców, ale nie mógł ich dostrzec. Potem nagle zapadła cisza. Tamci również stracili go z oczu. Prawdopodobnie przyczaili się, nasłuchując jego ruchów.

Brian przykucnął, walcząc z własnym, głośnym oddechem. Minęła piąta. Zapadający zmierzch był jego sprzymierzeńcem, a ich wrogiem. Gdyby tylko udało mu się znaleźć jakąś kryjówkę...

Powolutku na czworakach zaczął posuwać się naprzód wąwozem u stóp skarpy. Nagle jeden z rewolwerowców, znajdujący się gdzieś powyżej niego i z tyłu, coś krzyknął. Był to niższy z nich, uczepiony drzewa u szczytu skarpy, około trzydziestu jardów od Briana, wyraźnie widoczny po drugiej stronie prześwitu wśród roślinności. Brian zrozumiał jedynie słowo „Leon” – imię wyższego z mężczyzn.

Kiedy morderca sięgnął po broń, Brian zerwał się i pobiegł dalej, przeskakując powalone pnie i rozchlapując wodę w wąskim strumieniu, jak w biegu z przeszkodami. Ślizgając się na mokrych kamieniach, próbował zachować równowagę. Huknął strzał, potem następny. Brian wiedział, że cienie i drzewa utrudniają celowanie, zaczął się jednak bać o swoje kolano. Kiedy poruszał się ulicami, nie wykonując ostrych zwrotów i nie obciążając go nadmiernie, czuł się pewnie i bezpiecznie. Teraz – biegnąc po rozmokłym, zasłanym liśćmi, nierównym terenie, pełnym wybojów, kamieni i gałęzi, zdawał sobie sprawę, że jeden fałszywy krok może doprowadzić do katastrofy.

Biegnąc, zastanawiał się, skąd obaj mężczyźni wiedzieli, że tego dnia pojedzie do Fulbrook. Możliwe, że czekali na niego pod domem w Reading. Jechał, zachwycając się barwami jesieni, pogrążony w myślach, nie zwracając uwagi na inne okoliczności. Nie zauważył jednak tamtego samochodu, nawet na górskich drogach. Potem przypomniał sobie dziwne kliknięcie na linii telefonicznej, kiedy rozmawiał z Teri. Wspomniał o tym w rozmowie, jak również o tym, że wybiera się do Fulbrook. Teraz już wiedział. Jego telefon był na podsłuchu. Nie musieli jechać za nim aż do biura Purefoya. Zaczaili się na niego przy drodze.

Zorientował się, że odległość między nim a zbirami powiększyła się. Głębiej w lesie zaczęło być coraz więcej wystających z podłoża skał i ogromnych granitowych głazów, które zapewniały lepszą osłonę. Zatrzymał się przy bloku skalnym, który mógł mieć dziesięć stóp wysokości, i wspierając się na nim dla nabrania tchu, nasłuchiwał. Usłyszał jednego z prześladowców za sobą, drugiego z prawej strony.

Obaj byli bliżej, niż sądził. Wiedział, że go usłyszą, kiedy się ruszy. Z drugiej strony jeśli zostanie na miejscu, starając się ukryć u stóp skały, mogą go znaleźć. Bierność nigdy nie mieściła się w jego charakterze. Zdecydował się uciekać jak najdalej.

Próbował przez moment ocenić pozycje obu mężczyzn i postanowił wspinać się w lewo, pod górę, żeby być dalej przynajmniej od jednego z nich. Obrócił się na pięcie, ale stawiając prawą nogę, poczuł, że kolano wyskoczyło mu ze stawu, chociaż w tej samej sekundzie wróciło na miejsce. Doznał uderzenia tępego bólu w całej nodze, aż po biodro. Ból był krótkotrwały, zniknął niemal całkowicie, równie szybko jak się pojawił. Zrobił ostrożny krok. Noga wytrzymała obciążenie, pozostał natomiast dyskomfort. Drobne zwichnięcie, które

zwolni tempo ucieczki. Co począć?

Szelest wywoływany przez bliższego ze ścigających go mężczyzn przybliżał się. Brian zastanawiał się, co go popchnęło, żeby nie pójść za radą Phila i nie pozwolić całej sprawie umrzeć śmiercią naturalną. Teraz czekają go tortury i prawdopodobnie śmierć... i tak naprawdę nie wiadomo za co. W dalszym ciągu nie miał żadnych ważkich dowodów, mogących zainteresować Teri i jej szefa. Rosjanie, jak widać, nie chcieli ryzykować.

Niedaleko trzasnęła gałązka. Brian pomyślał, że to już koniec. Dwaj zawodowi mordercy, dwa pistolety przeciw jednemu bezbronnemu lekarzowi ze zwichniętym kolaniem. Przypomniawszy sobie Caitlin i Becky. Myśl, że nigdy ich nie zobaczy, świadomość ich cierpienia, gdyby coś mu się stało, pobudziła go do czynu. Ucieczka nie wchodziła w grę. Tuż przy jego nogach leżał spory kamień. Może uda mu się wyrwać go z ziemi i dźwignąć na szczyt skały...

Nie było czasu na przemyślenie całej akcji. Wsunął palce pod kamień, wyrwał go z błotnistej podłoża i zamaskował dziurę ziemią i liśćmi. Odłamek mógł ważyć może dwadzieścia, może dwadzieścia pięć funtów. Brian ujął go pod jedno ramię i czepiając się drugą ręką skały, obszedł ją do miejsca, które dawało możliwość wspięcia się na nią. Zrobił pierwszy krok w górę, trzymając kamień w wygięciu ramienia, jakby to była olbrzymia, prehistoryczna piłka futbolowa. Położył go na zboczu, żeby utrzymać równowagę. Pięto się dość łagodnie w górę, tak że mógł wspinać się po nim, popychając przed sobą kamień.

W pewnym momencie, kiedy chciał odpocząć, mężczyzna znajdujący się bliżej krzyknął powtórnie do Leona. Mógł być o kilkanaście jardów dalej.

Ospowaty osiłek odpowiedział krótkim, gniewnym rozkazem z jakiegoś miejsca po lewej stronie Briana – prawdopodobnie każąc pierwszemu nie hałasować. Obaj zbliżali się coraz bardziej. Brian czuł, że za chwilę go dopadną. Pomysł użycia kamienia jako narzędzia walki był idiotyczny. Teraz był naprawdę w pułapce. Nie miał

jednak wyboru – musiał kontynuować plan.

Wspinał się niezdarnym kaczym chodem, czując kłujący ból w kolanie przy każdym kroku. Kiedy dotarł na miejsce, rozplaszczyl się na chłodnej, gładkiej szarej skale i nasłuchiwał. Jeśli mężczyzna obejdzie głaz od tyłu, Brian może nic nie wskórać. Jeśli przejdzie pod urwiskiem, tą samą drogą, którą szedł Brian, istniała mała szansa. Zatrzeszczała gałąź. Po swojej prawej stronie zauważył ruch liści. Posunął kamień bliżej na skraj skały. Uderzenie z tej wysokości w głowę może roztrzaskać czaszkę. Myśląc o tym, co ma zamiar zrobić, poczuł mdłości. Ale w tej sytuacji nie miał przecież wyboru...

Znów dostrzegł ruch wśród drzewek. Z policzkiem przyciśniętym do skały obserwował przesuwający się czubek głowy mężczyzny. Był w odległości trzech jardów, skradając się w mrocznej ciszy. Jeśli nie skręci, będzie musiał przejść bezpośrednio pod stanowiskiem Briana. W następnej sekundzie morderca wyłonił się spoza drzew, trzymając w pogotowiu broń o krótkiej lufie. Jeszcze niecałe dwa jardy... jard. Brian postanowił uklęknąć, żeby mógł wziąć większy rozmach. Wszystko powinno się odbyć bardzo szybko, powtórka nie wchodziła w grę – następnej szansy już nie będzie. Pół jarda... Krok... Jeden krok i...

Teraz! Brian spiął się w sobie, poderwał kamień na wysokość twarzy i cisnął nim prosto

w dół, wkładając w rzut wszystkie swoje siły. Mężczyzna właśnie rozglądał się, gdy kamień uderzył go z głuchym łoskotem w głowę, na linii włosów między okiem i uchem. Upadł z cichym jękiem, a kamień potoczył się w gąszcz. Drugi napastnik z pewnością coś usłyszał.

Do uszu Briana dotarł wyraźny trzask gałęzi. Zsunął się po skalnym zboczu i pokuśtykał w przeciwną stronę, głębiej w las. Kulejąc i potykając się, biegł przez blisko pięć minut, nie wiedząc, czy jest ścigany. W końcu kłujący ból w boku połączony z bólem w kolanie stał się nie do wytrzymania. Ukrył się pod sklepieniem chropowatych korzeni, rozpościerających się nad łożyskiem wyschłego strumienia, zamaskował wlot patykami i gałązkami i czekał na zapadnięcie nocy.

Freeman Sharpe mieszkał w schludnym, czteropokojowym mieszkaniu, w suterenie budynku w Roxbury. Kiedy zadzwonił telefon, siedział z żoną, poślubioną trzy lata temu, przed telewizorem, oglądając godzinę przed północą wiadomości telewizyjne. Jako złota rączka dla mieszkańców pięćdziesięciu apartamentów i kurator pół tuzina mężczyzn na rehabilitacji, był przyzwyczajony do telefonów o każdej porze.

–Freeman, jesteś w domu, dzięki Bogu.

–Co się stało, doktorze?

–Właściwie wszystko. Freeman, możesz po mnie przyjechać?

–„Naturalnie.

–Dzwonię z budki telefonicznej na stacji benzynowej.

–Gdzie jest ta stacja?

–W Nowym Jorku.

Rozdział 29

Było nieco po siódmej rano, gdy Freeman wprowadził swoją furgonetkę marki Chevrolet do małego garażu bez okien, służącego mu również jako warsztat. Brian zbudził się z głębokiego snu i położył pokaleczoną dłoń na kłykciach palców przyjaciela, opatrzonych tatuażem LUCK.

–Dzięki ci – powiedział chrapliwym głosem. – Nie wiem, czy ktokolwiek spoza mojej rodziny zrobiłby dla mnie to, co ty.

–Cieszę się, że w końcu się przespałeś. Jak się czujesz?

–Znacznie bardziej obolały niż na piłkarskim obozie treningowym. Zdaję sobie sprawę, że jutro będę się czuł jeszcze gorzej.

–Gorący prysznic, jajka i domowe frytki Marguerite postawią cię na nogi. Poza tym potrzebne ci są jakieś ciuchy. Mam tu dres, pozostawiony przez któregoś z moich gołąbków z AN. Powinien być na ciebie dobry.

Brian wygramolił się z furgonetki i wypróbował kolano, dochodząc do wniosku, że nie boli go zbyt silnie. Uciszył Freemana, dając mu znać, że coś mu przyszło do głowy.

–Zastanawiam się ciągle, od kiedy zaczęli podsłuchiwać rozmowy z mojego telefonu domowego, i w konsekwencji, czy mogą wiedzieć o tobie. Przypuszczam, że wszystko się zaczęło, gdy trafiłem na ów nienormalny wynik badania krwi Billa Elovitza. Wcześniej nie mieli żadnego powodu, żeby się mną zajmować, wobec tego nie ma możliwości, żeby śledzili twój dom. Zęby Freemana błysnęły w mroku garażu.

–Mam nadzieję, że nie... dla ich dobra.

Brian przypomniał sobie opowiadanie Marguerite o wietnamskich odznaczeniach Freemana. Kurator Briana nigdy nie wspominał ani o nich, ani o swojej przeszłości.

–Nie chcę, żebyś był w to zamieszany. I tak już wystarczająco cię wplątałem – powiedział.

–Och – odparł Sharpe. – Nagle zapominamy, że nasz kurator ma dwudziestoletnie doświadczenia i że w związku z tym nie przejmuje się takimi rzeczami. Nie martw się, doktorze. Nie mam zamiaru oberwać bardziej niż tamten facet, ale również nie pozwolę, żeby wykończyli mojego przyjaciela. Na razie chodź do domu, umyj się i zjedz coś. Potem zastanowimy się, co robić dalej.

Brian przez godzinę siedział ukryty pod sklepieniem z korzeni, w lesie pod Fulbrook,

dopóki nie zrobiło się tak ciemno, że trudno byłoby przypuszczać, iż ktokolwiek mógł go w dalszym ciągu szukać. Miał niezbyt dobry zmysł orientacji, lecz po czterdziestu pięciu minutach błędzenia po ciemnym jak smoła lesie usłyszał odgłos silnika przejeżdżającego samochodu. Chwilę później dowlókł się do czegoś, co wydało mu się tą samą szosą, na której został zatrzymany przez Rosjan. Jadący furgonetką farmer zawiózł go na komisariat policji w miasteczku sąsiadującym z Fulbrook.

Policjanci nie słyszeli o brązowym sedanie ani o czerwonym kabrioletcie LeBaron, zaparkowanych przy trasie 213. Oświadczyli, że patrol przejeżdżający tamtędy niespełna

godzinę wcześniej nie zauważył żadnych samochodów na poboczu. To, że zniknęły oba samochody, uzmysłowiło Brianowi, że ofiara jego kamiennej bomby nie tylko przeżyła, ale jest w nie najgorszym stanie. Oznaczało to również, że leBaron prawdopodobnie leży już na dnie jakiegoś głębokiego, wypełnionego wodą wąwozu. Łzy napłynęły mu do oczu, kiedy wyobraził sobie, jak jego ukochany samochód pograża się w przepastnej głębinie.

W opinii policji mężczyźni byli po prostu zawodowymi złodziejami samochodów, przybyłymi prawdopodobnie z Nowego Jorku, żeby wypróbować swoje sztuczki na miejscowych wieśniakach. Kiedy zauważyli Briana, zaczęli go gonić dla czystej zabawy, nie mając zamiaru zrobić mu krzywdy. Brian nie chciał podważać tej hipotezy, żeby przedstawić własną teorię, która – mimo iż bardziej prawdopodobna – wymagała rozwiniętej wyobraźni. Wypełnił jak najprędzej formularz zeznania i poszedł do budki telefonicznej zadzwonić do Freemana.

Marguerite Sharpe była drobną Hawajką, o wszystkimwiedzącym, inteligentnym uśmiechu. Freeman nazywał ją niezasłużoną nagrodą za jego rehabilitację. Brian, który w ciągu pierwszych miesięcy po powrocie z Fairweather spędził wiele godzin w ich domu, myślał o niej jako o niezasłużonej nagrodzie także za własne wyzdrowienie. Pracowała w ośrodku rehabilitacji dla kobiet i była najwspanialszą kucharką.

W kłębach pary pod prysznicem poczuł zapach pieczonych na ruszcie kiełbasek z cebulą. Zmywał ostrożnie brud i zaschniętą krew z niezliczonych rozcięć i obtarć na twarzy, dłoniach i ramionach. Na obu kolanach zamiast skóry miał strupy, w dodatku spodnie w tych miejscach były podarte, chociaż nie pamiętał, w którym momencie to się stało. Wzdłuż prawego ramienia biegła prosta, głęboka szrama – prawdopodobnie od pocisku.

Pocisk. Przypomnił sobie, jaki czuł się wniebowzięty, kiedy doktor Pickard powiadomił go, że dostał posadę w BHI. Teraz zmywał z siebie krew po kuli, ubolewając nad stratą jedynej materialnej rzeczy, która była mu droga, i zastanawiając się, jak potoczy się jego życie, kiedy Komisja do spraw Rejestracji

zostanie poinformowana, że stwierdzono uniego pozytywny wynik badania moczu, oznaczający, że wrócił do narkotyków.

Czy istnieje jakieś wyjście z sytuacji? Czy można wszystko zatrzymać – najpierw przekonać siebie, a potem powiadomić prześladowców, że dostał już za swoje i ma zamiar przestać zajmować się sprawą vasclearu? Z kim zawrzeć taką ugodę? Z Weberem? Z Pickardem? Z Jessup?

Wytarł się ręcznikiem i włożył szary dres, który przyniósł mu Freeman. Dres był rozmiaru XXL. Anonimowy narkoman, podopieczny Sharpe'a, musiał być albo obrońcą w drużynie Patriotów, albo przynajmniej materiałem na dobrego zawodnika. Brian usiadł za stołem naprzeciw Freemana, pijąc z wdzięcznością mocną, aromatyczną kawę. Marguerite postawiła na środku stołu dzbanek z sokiem pomarańczowym i duży półmisek z jajkami, przysmażonymi ziemniakami i kiełbaskami, i również usiadła. Przez kilka minut nikt nic nie mówił.

W końcu Marguerite przerwała milczenie, zwracając się do Briana swoim melodyjnym dialektem z wysp.

–Cieszę się, że jesteś tylko trochę poraniony, Brian. Freeman opowiedział mi, co cię spotkało. To po prostu przerażające.

–I zagmatwane – dodał Brian. – Ja do tej pory nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

–Freeman twierdzi, że w tym macza palce rosyjska mafia, a to oznacza, że nie jest niedobrze, ale jest bardzo źle.

–Jeśli nawet tak jest, to ich lek ma ogromną skuteczność. Może uratować życie tysiącom ludzi. To zostało udowodnione. Próbowałem wywąchać, jakie popełnili błędy i jakie mają plany. Domyślałem się, że mają zamiar handlować vasclearem, jak ci zdrajcy w filmie z Jamesem Bondem.

–Ach, ten SMERSH! – powiedział Freeman z teatralnym akcentem. – Numerze Drugi, przedstaw nam swój raport na temat projektu głowic jądrowych... Przeczytałem gdzieś, że dochód z vasclearu ocenia się na miliard dolarów, i to tylko w ciągu pierwszego roku. Nie wydaje mi się, żeby nasi przyjaciele z Newbury robili cokolwiek nieczystego. Wystarczy im wysłać ciężarówki i skasować czeki.

–Nie wiem – powtórzył Brian, obmacując palcami rany na grzbietach dłoni.

–Musisz być dziś w szpitalu? – spytała Marguerite.

Brian spojrzął na zegar w kuchni.

–Jezu, już pól do dziewiątej. Zupełnie zapomniałem o pracy.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił na oddział.

–Tu klinika, Jen przy aparacie.

–Jen, mówi doktor Holbrook.

–Och, doktorze, wszyscy pana szukają. Doktora Gianatasia także.

–Co ty mówisz?

–Nie ma go. Obchód prowadzi doktor Cohen.

–Phil nie telefonował do ciebie?

–Ani do mnie, ani do nikogo innego.

Brian poczuł nagły dreszcz.

–No, cóż – zmusił się do odpowiedzi. – Zaspałem, bo jestem trochę chory. To tylko grypa. Myślę, że po południu poczuję się lepiej. Jestem rezerwowym dyżurnym, więc jeśli ktoś będzie w potrzebie, możesz zawiadomić mnie przez pager. Według harmonogramu mam być później. Przypuszczam, że będę w stanie.

–Przyjęłam.

–Jen, mam do ciebie prośbę. Powiedz Philowi, żeby do mnie zadzwonił, jak tylko się pokaże albo skontaktuje z tobą. To bardzo ważne.

–Dobrze, doktorze. Sądzi pan, że stało się coś złego?

–Nie. Mam wrażenie, że po prostu zapomniał powiadomić, iż go nie będzie.

–Dzięki Bogu – odparła kobieta. – Martwiliśmy się o was, ale już jest lepiej, bo pan zatelefonował. Może doktor Gianatasio też się wkrótce odezwie.

Brian odłożył słuchawkę.

–Jesteś zmartwiony – zauważyła Marguerite.

–Jedyny człowiek w szpitalu, który oprócz mnie wiedział, że coś jest nie w porządku z vasclearem, nie przyszedł do pracy. To mój stary przyjaciel, dzięki któremu dostałem posadę.

–Czy razem z tobą śledził tamte przypadki?

–Nie, skądże. Przynajmniej nic o tym nie wiem. Spodziewa się dostać stały etat naukowy w szpitalu, więc postanowiliśmy, że nie będzie się w to mieszał. Coś mi się tu nie podoba.

–Zjedz jeszcze trochę – poprosiła Marguerite. – Mam przeczucie, że będziesz potrzebował dużo energii.

Brian zmusił się do przełknięcia kilku następnych kęsów, potem znów podniósł słuchawkę.

–Do kogo teraz? – spytał Freeman.

–Chcę sprawdzić moją domową sekretarkę. Słuchajcie, drodzy, jeśli musicie iść do waszych zajęć, to nie krępujcie się. Ja tu jeszcze trochę zostanę.

–Marguerite zaczyna o pół do dziesiątej – powiedział Freeman – a ja kiedy zechcę.

–W porządku. Nie chciałbym sprawić wam kłopotu.

Brian zatelefonował pod swój domowy numer, czując rozdrażnienie na myśl, że prawdopodobnie ktoś go podsłuchuje.

„... Halo, Brian, to ja, Phoebe. Umówiliśmy się, że przyjdiesz w niedzielę. Zapomniałam, że Becky ma o drugiej występ w szkole tańca. Mógłbyś ją tam zaprowadzić? Daj mi znać. Mam nadzieję, że nie psuję twoich planów i że czujesz się dobrze. Do zobaczenia”. „Cześć, doktorze. Jeszcze tylko dwa dni. Tęsknię do ciebie. Myślę o naszym urlopie”. Teri. „Hej, Bri – Phil – myślałem, że zastanę cię w domu, mając cię za zbyt cnotliwego, żebyś chodził na randki. Słuchaj, mam nowe wiadomości. Trafiłem na jeszcze jeden przypadek. Jedna z rezydentek przyjęła kilka tygodni temu w klinice pewnego pacjenta. Dziś po południu poprosiła mnie o opinię na jego temat. Pacjent Pierwszej Fazy, duszność oddechowa, znaczny obrzęk kostek. Postanowiłem zajrzeć do jego dokumentacji, mimo że przedtem powiedziałem sobie, że się wycofuje. Byłem po prostu ciekaw. W dokumentacji brakowało wyniku morfologii krwi, ale zadałem sobie pytanie, co by w takiej sytuacji zrobił Brian? Zadzwoiłem do laboratorium i znalazłem wynik sprzed trzech miesięcy. Piętnaście procent krwinek kwasochłonnych, kolego. Jeden, pięć. Facet nazywa się MacLanahan. Angus MacLanahan. Resztę opowiem ci jutro rano, kiedy się zobaczymy. Trzymaj się”.

Ostatnia wiadomość była od sekretarki oddziału. Pytała, co się z nim dzieje.

–Wyglądasz nieszczególnie, synu – powiedział Freeman, kiedy Brian odłożył słuchawkę. – Jakież złe wieści?

–Prawdopodobnie. Mój stary przyjaciel, o którym ci wspominałem, zostawił mi

wiadomość, że znalazł jeszcze jeden wątpliwy przypadek. Zmienił zdanie, postanawiając mi pomagać, i przejrzał dokumentację tego faceta.

–A dziś nie pojawił się w pracy – domyślił się Freeman.

–Właśnie. Freeman, mam wrażenie, że mój telefon jest na podsłuchu. Ci dwaj wiedzieli, że będę pod Nowym Jorkiem. Jeśli tak jest, to wiedzą również o tym, co mi przekazał Phil. Możliwe też, że nieostrożnie zabrał się do przestudiowania dokumentacji tamtego pacjenta. Newbury ma w całym szpitalu swoje oczy i uszy.

–Nie dziwię się, że się o niego troszczysz. Ja też się martwię, mimo że go nie znam. Co dalej?

–Zadzwonię do przyjaciółki Phila w szpitalu.

Po krótkiej rozmowie odłożył słuchawkę.

–Jest na tygodniowym urlopie – oznajmił.

Po wyjściu Marguerite obaj mężczyźni siedzieli jakiś czas w milczeniu. Sharpe westchnął.

–Trudno pogodzić się z tym, że czasem rzeczy toczą się nie tak, jak powinny – stwierdził. – Na ogół jednak tak nie jest.

–Masz rację. Tylko że ja w tej chwili czuję się, jakbym był w imadle, które ktoś stopniowo przykręca, a ja nie wiem, jak to zatrzymać.

–Idź naprzód krok po kroku. Masz różne możliwości.

–Zastanawiałem się nad policją, ale zrezygnowałem z tego pomysłu. Dlaczego mieliby mi wierzyć? Moja znajoma z FDA twierdzi, że nie mogą podjąć żadnego działania w kwestii vasclearu, jeśli nie będą mieli absolutnie pewnych dowodów. Nie wiem, komu w szpitalu mogę zaufać... albo, co gorsza, kto przeze mnie może oberwać. Wciąż nie mam żadnych konkretów, więc prasa również nie wchodzi w grę. Jakie ty widzisz możliwości?

–Zobaczymy. Na razie potrzebujesz ubrania. Musisz pożyczyć samochód. Musisz zawiadomić towarzystwo ubezpieczeniowe, że twój został skradziony. Musisz pokazać się w szpitalu, jeśli w ogóle masz zamiar tam pracować. Możesz również ukryć się na resztę życia, udając, że umarłeś.

–Trafiony – powiedział Brian. – Po prostu rozżaliłem się nad sobą. Jack kopnąłby mnie za to w tyłek.

–Czuj się tak, jakby to zrobił.

–Mogą śledzić mój dom.

–Dziwiłbym się, gdyby było inaczej.

–Znalazłbyś czas, żeby przywieźć mi trochę rzeczy z mojego mieszkania?

–Bez kłopotu. Dopóki sprawy się nie ułożą, będziesz mieszkał u nas. Możliwe, że po przyjeździe prezydenta, kiedy lek zostanie oficjalnie zarejestrowany, zostawią cię w spokoju.

–Mam nadzieję. Dziękuję, Freeman. Jeszcze jedno... chciałbym spróbować skontaktować się z tym facetem, o którym wspomniał Phil.

–Jak się nazywa?

–Angus MacLanahan.

Sharpe wyjął z szuflady książkę telefoniczną Bostonu.

–Znalazłem – powiedział. – Mieszka przy Joy Street. To jest na Beacon Hill.

–Niedaleko szpitala.

Sharpe wybrał numer i podał Brianowi słuchawkę.

–Działajmy krok po kroku – oświadczył.

–Linia uszkodzona, brak dodatkowej informacji – rzekł Brian. – Co byś o tym powiedział?

–Powiedziałbym, że to typowy klient firmy telefonicznej. Wpadniemy tam po drodze do ciebie?

–Jeśli masz czas. Musimy być ostrożni. Nazwisko jest na mojej automatycznej sekretarce. Mogą śledzić jego mieszkanie.

–Możliwe, że próbują dorwać ciebie – zauważył Freeman. – Mnie nie znają.

Mieszkanie Angusa MacLanahana mieściło się w połowie wąskiej uliczki na zboczu Beacon Hill, w pobliżu budynku parlamentu stanowego. Freeman zaparkował furgonetkę w drugim rzędzie i właśnie wchodził do budynku, kiedy Brian spostrzegł, że okna jednego z mieszkań na drugim piętrze są zasłonięte dyktą. Sharpe wrócił po paru minutach. Podszedł spokojnie do samochodu, wskoczył na siedzenie i zapuścił

silnik.

–MacLanahan nie żyje – powiedział ponuro. – Dowiedziałem się od kobiety z mieszkania piętro niżej. To na drugim piętrze należało do niego. Trzy tygodnie temu był wybuch gazu.

–Spodziewałem się tego – mruknął Brian. – W chwili kiedy zobaczyłem okna zabite dyktą, byłem pewien, że to jego mieszkanie.

–A ten drugi, o którym wspominałeś, ten, który przeżył obóz koncentracyjny?

–Został zastrzelony podczas napadu na dom towarowy.

Freeman ruszył i pojechał w stronę autostrady I-93, prowadzącej na północ ku Reading.

–Jeśli fakt, że obaj umarli gwałtowną śmiercią, to tylko koincydencja – rzekł – muszę się zgodzić, że wyjątkowo śmierdząca. Co masz zamiar zrobić?

Brian przesunął dłońmi po zmęczonych oczach.

–Najpierw jedźmy po moje rzeczy, a potem porozmawiam z żoną Billa Elovitza.

Rozdział 30

Rozmowa o mieście – program Pat Carson

WBZTV, Boston

Pat: Boston jest od dawna uznawany za centrum medycyny całego kraju i faktycznie świata, ale nigdy jeszcze nie skupiał na sobie tyle uwagi, co w bieżącym tygodniu, gdyż za dwa dni zawita do miasta prezydent, żeby przewodniczyć oficjalnemu zarejestrowaniu leku o nazwie vasclear, który „narodził się” i został przetestowany w Bostonie. Dla uczczenia tej uroczystości w dzisiejszej Rozmowie o mieście będziemy gościli doktora Artę Webera, kierownika programu badań nad vasclearem z ramienia Newbury Pharmaceuticals, firmy, która zapuściła korzenie w naszym mieście. Przedtem jednak porozmawiamy z naszym specjalnym gościem, panią Hermionę Goodman, będącą jedną z tych szczęśliwych osób, które dostały się do grupy doświadczalnej, leczonej od półtora roku vasclearem. Pani Goodman, witamy w programie Rozmowa o mieście. Przede wszystkim proszę nam powiedzieć, jak to się stało, że zaczęto panią leczyć tym preparatem.

Hermione: Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Przedtem nigdy nie chorowałam, aż pewnego dnia zaczęło mnie boleć o tu, pod mostkiem.

Pat: Jakie to były bóle?

Hermione: Ostre i połączone z wydzielaniem gazów z żołądka. Z początku myślałam, że to niestrawność. Na wszelki wypadek udałam się do lekarza. Ponieważ wśród członków mojej rodziny zdarzały się kłopoty z sercem, a ja sama miałam niewielkie zmiany w elektrokardiogramie, posłał mnie do White Memorial, gdzie doktor Jessup zrobiła mi test wydolnościowy, a potem arteriogram. Byłam ogromnie zaskoczona, kiedy się dowiedziałam, że jestem poważnie chora na serce.

Pat: I wtedy zaczęto leczyć panią vasclearem?

Hermione: Tak.

Pat: Po jakim czasie nastąpiła reakcja?

Hermione: Bardzo prędko, już po paru tygodniach. Może po miesiącu. Bóle ustąpiły całkowicie i od tamtej pory jestem zdrowa.

Brian siedział w furgonetce na siedzeniu obok kierowcy, z nogami na panelu przyrządów, trzymając na kolanach kołnotatnik. Wzdłuż marginesu jednej ze stron, między dziesiątkami figur geometrycznych nagryzmołone były symbole jego osobistych totemów – pióropusz indiański, łódź motorowa, łeb świni, wulkan i piłka

futbolowa – wszystkie podobne do siebie. W środku strony napisał:

Kenneth Ford - prawdopodobnie NP; krwinki kwasochłonne 14%... umarł Sylvia V. – możliwe NP; krwinki kwasochłonne 15-20%... umarła

MacLanahan - możliwe NP; krwinki kwasochłonne 15%... zabity Bill Elovitz – NP; krwinki kwasochłonne 13%... zabity

Pod tą listą wykaligrafował słowa: *Rosjanie... Firma farmaceutyczna... Witaminy... Pranie narkodolarów...* i na samym końcu, poniżej, pojedyncze słowo: *vasclear*.

–Freeman, coś mi się tu nie zgadza – powiedział. – Jest tak, jak to określiłeś. Jestem mrówką, a oni mimo to polują na mnie ze strzelbą na słonie. Teraz jeszcze Phil. Boże, mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Nagle zaklął i uderzył pięścią w kolano.

–Co znowu?

–Teri – kobieta z FDA, o której ci wspominałem. Rozmawiałem z nią przedwczoraj wieczorem. Jeśli ludzie z Newbury podsłuchiwali nas, może teraz być w opałach. Muszę do niej zatelefonować i przynajmniej ostrzec.

–Nie dzwoń do niej ze swojego telefonu.

Zjechali w Reading z autostrady międzystanowej i wolno podążali w stronę domu, w którym znajdowało się mieszkanie ojca Briana, mające stać się własnością Briana, kiedy tylko sąd uzna testament. Obcy ludzie, kręcący się w tej spokojnej dzielnicy mieszkaniowej, byli łatwo zauważalni.

–Schowaj się! – rozkazał Freeman, kiedy przejeżdżali koło domu.

Brian błyskawicznie zsunął się na podłogę.

–Zauważyłeś coś? – spytał.

–O pół przecznicy dalej, po drugiej stronie, stoi szary sedan, zaparkowany między dwoma innymi. W środku siedzi facet.

Freeman minął dom i kilkaset jardów dalej podjechał do krawężnika.

–Musisz koniecznie wejść do mieszkania? – spytał.

–Muszę wziąć coś do ubrania, a przede wszystkim moją teczkę. Jest w niej mój identyfikator, kupa dokumentów z pracy, nie mówiąc o stetoskopie.

–No, to do roboty.

Plan, który wymyślili, był prosty. Brian wysiadzie przy najbliższej przecznicy, a potem przejdzie przez ogród sąsiada i niski płot na tył swojego domu. W tym czasie Freeman podjedzie do sedana, zatrzyma się z boku przy okienku kierowcy i zapyta o drogę. Będzie tam stał jak najdłużej, zasłaniając widok na dom i próbując wybadać sytuację. Jak im się wydawało, kierowca miał bezpośredni widok na pokój jadalny i salon, znajdujące się od strony ulicy, więc Brian będzie musiał trzymać się z dala od okien.

–Jak się dostaniesz do mieszkania? – spytał Sharpe.

–Pod kamieniem, obok tylnego ganku, leży zapasowy klucz.

–Atakuj i wiej. To zasada z Wietnamu.

–Atakuję i więcej – powtórzył Brian.

Freeman wysadził Briana, poczekał, aż przejdzie przez ogród sąsiada, a potem ruszył dalej. Brian bez problemu przeskoczył niski płotek z palików i przycupnął, zadowolony, że kolano wytrzymało skok. Między domami zobaczył Freemana podjeżdżającego do szarego

sedana. Przeszedł swój ogródek, odszukał klucz, wspiął się po schodach na ganek i cicho otworzył tylne drzwi. Teczka z jego szpitalnym identyfikatorem leżała na kuchennym stole, tam gdzie ją zostawił. Wyciągnął spod łóżka nylonowy worek i zapakował do niego bieliznę, skarpetki, koszulki typu T-shirt, dżinsy i tenisówki. Potem wyjął z szafy parę ubrań na wieszakach.

Właśnie rozglądał się dookoła, zastanawiając się, co jeszcze może mu się przydać, gdy usłyszał szum spuszczonej wody w łazience obok kuchni. Rzucił ubrania na łóżko i rozpląszczył się przy ścianie, oddychając głęboko, żeby pokonać nagły przyływ adrenaliny, który co najmniej podwoił mu tętno. Sekundę później otworzyły się drzwi do łazienki. Brian rozejrzał się, czy nie ma gdzieś w pobliżu jakiegoś narzędzia do obrony. Jedyłą rzeczą, która się do tego nadawała, było trofeum sportowe o marmurowym cokole, stojące po prawej stronie biurka, niemieszczące się już w zbiorach salonu Jacka – doroczna nagroda dla najlepszego akademickiego gracza Nowej Anglii.

Trzymając trofeum za stylizowane przewężenie, patrzył, jak intruz wchodzi do salonu. Był to ten sam chudy mężczyzna z Fulbrook. Widocznie kamień nie zranił go tak bardzo, jak Brian się spodziewał. Z tyłu za mężczyzną widać było przez okno salonu furgonetkę Freemana. Przyjaciel w żaden sposób nie mógł dłużej zwlekać.

Intruz miał rewolwer w kaburze na szelkach, nałożonej na kraciatą koszulę. Chodził

przez pewien czas po salonie, potem wyrzwał przez okno i wyjął walkie-talkie, prawdopodobnie po to, żeby skomunikować się z kolegą siedzącym w samochodzie na ulicy. Rozmawiali po rosyjsku, z szybkością karabinu maszynowego. Bandyta stał teraz nie dalej niż o trzy jardy od Briana. Był odwrócony tyłem do sypialni, skupiony na rozmowie, ale Brian ocenił, że nie zdoła przekraść się do kuchni. Ścisnął mocno trofeum, nabrał w płuca powietrza, wstrzymał oddech i zaatakował. Mężczyzna odwrócił się, wydając okrzyk. Na jego policzku i z boku głowy Brian zobaczył wyraźny ślad po uderzeniu kamieniem. Zamachnął się i z całej siły zadał cios marmurowym postumentem w środek rozległej, świeżej rany. Jego ofiara zacharczała i osunęła się bezwładnie na podłogę.

Przez okno widać było, że furgonetka Freemana w dalszym ciągu stoi obok sedana. Brian mógł sobie wyobrazić, że w tej chwili zbierając się do wyjścia z samochodu, więc krzyczy na Freemana, żeby ruszył. Mężczyzna u stóp Briana oddychał, ale rana mocno krwawiła.

Brian wyjął rewolwer z kabury mężczyzny, wrzucił go do nylonowego worka, a potem wybiegł z workiem i walizką przez tylne drzwi. Przeskakując przez płot sąsiada, usłyszał pisk opon furgonetki, wchodzącej w zakręt na rogu ulicy. Sharpe nie zatrzymał wozu, tylko zwolnił. Pędzący chodnikiem Brian wybiegł na jezdnię, otworzył drzwiczki, wrzucił swój bagaż do środka i wskoczył na siedzenie pasażera. Sharpe odjechał pełnym gazem. Brian był zupełnie bez tchu. Zdołał się odezwać dopiero po przejechaniu mili, kiedy zbliżali się do międzystanowej.

–To szaleństwo – powiedział. – Czy ten facet w samochodzie był wielki i miał blizny na twarzy?

Freeman potwierdził.

–Mocno zbudowany, szerokie ramiona, wąsy – dodał. – Jego angielski był całkiem niezły.

–Jezu! Freeman, facet leżący na podłodze w moim mieszkaniu to ten sam, któremu przyłożyłem kamieniem pod Nowym Jorkiem. Tym razem użyłem jednego z moich trofeów sportowych. Boję się, że go zabiłem.

–Przez trening do doskonałości – rzucił Freeman. – Myślę, że nie masz wyrzutów sumienia z powodu tego faceta. Oni wypowiedzieli ci wojnę, więc jeżeli chcesz przeżyć, musisz być zdecydowany na wszystko. Najpierw znajdziemy budkę telefoniczną, skąd zatelefonuję anonimowo na posterunek policji w Reading, informując ich o podejrzanych działaniach w okolicach twojego domu. Jeśli nam się uda, powinni tam dotrzeć w chwili, kiedy Trocki będzie ciągnął Lenina do samochodu. Czy to nie warto zachodu?

–Wspaniały pomysł, Freeman. Po prostu szaleję z radości. Nie jestem już dzieckiem, mam swój rozum, mimo to ciągle nie wiem, dlaczego ci dranie chcą mnie zabić. Co gorsza, jedyny facet w szpitalu, któremu ufam, nie pojawił się w pracy. Sądziś, że powinienem pójść na policję i opowiedzieć im o wszystkim?

–Jeśli jesteś przekonany, że to dobre rozwiązanie, zrób tak.

Brian ukrył twarz w rękach.

–Ale w takim wypadku nie da się pominąć sprawy vasclearu, a ja nie mam nawet cienia dowodu. Nikt mi nie uwierzy. Będą myśleli, że jestem stuknięty albo wróciłem do prochów, albo jedno i drugie. Wyleją mnie z pracy, o ile już tego nie zrobili. A Rosjanie i tak mnie zabijają.

Freeman zatrzymał wóz przy budce telefonicznej i położył uspokajająco dłoń na ramieniu Briana.

–Działaj ostrożnie, przyjacielu – powiedział. – Plakaty, które przez półtora roku oglądałeś podczas naszych zebrań, nie głoszą pustych haseł. Działaj ostrożnie!

–Może powinienem się ukryć aż do zarejestrowania vasclearu i dopuszczenia preparatu na rynek.

–Świetny pomysł. Niepojawienie się w pracy ogromnie ci pomoże w twojej sytuacji życiowej.

–Przynajmniej będę żył. – Brian uśmiechnął się blado i uściśnął rękę Freemana. – Już w porządku. Jestem trochę wystraszony. Poza tym czuję się dobrze. Zadzwoń tam, gdzie chciałeś, a potem ja zatelefonuję w dwa miejsca.

Został w samochodzie, podczas gdy Sharpe dzwonił na policję. Myślami krążył wokół Phila. Próbował zrozumieć, dlaczego jego przyjaciel, prawdziwy pracoholik, mógłby nie pojawić się na obchodzie ani nie zadzwonić w dniu, w którym miał wygłosić wykład prezentujący oddział. Nic tu nie pasowało – przynajmniej nic, w co nie byliby zamieszani ludzie, którzy przed chwilą chcieli go zabić.

–No, cóż – powiedział Freeman, wsiadając na powrót do samochodu – miejscowa policja od ćpunów nie okazała się zbyt skora do zainteresowania się anonimowym telefonem. Ale może się tam rozejrzą.

Brian pospieszył do budki i zatelefonował do biura Teri, a potem pod jej numer domowy.

W obu miejscach trafił na automatyczną sekretarkę i zostawił identyczne ostrzeżenie:

–Teri, zdaję sobie sprawę, że to, co mówię, wydaje się absurdalne, ale przypadkowe zainteresowanie się niektórymi pacjentami, objętymi początkową fazą testowania vasclearu, okazało się dla mnie niefortunne. Ni stąd, ni zowąd znaleźli się ludzie, którzy chcą mnie zabić. Mój telefon jest prawdopodobnie na podsłuchu, więc mogą wiedzieć, że komunikowałem się z tobą. Bądź bardzo ostrożna do czasu uroczystości. Jeśli możesz, zamieszkaż u przyjaciół. Staraj się nie być sama. Tęsknię do ciebie. Tęsknię do ciebie jak wariat.

Nagrawszy drugą wiadomość dla Teri, zadzwonił do biura numerów i poprosił o numer Wilhelma Elovitza w Charlestown. Tym razem telefon odebrała osobiście wdowa po Elovitzu, Devorah.

–Ach, to pan. Bill mówił, że pan okazał się najlepszym lekarzem, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia.

–To był bardzo zacny człowiek, pani Elovitz. Żałuję, że nie poznałem go bliżej.

–Szkoda.

Brian zorientował się, że kobieta zaczęła płakać.

–Pani Elovitz, przykro mi, że mój telefon panią przygnębił. Może zadzwonię kiedy indziej.

–Nie, nie, wszystko w porządku. Łzy nie są największym nieszczęściem na świecie. Czym mogę panu służyć?

–Wiem, że Bill został zastrzelony podczas napadu, ale nie znam szczegółów.

–Pisano o tym we wszystkich gazetach i w telewizji.

–Przykro mi, ale nic na ten temat nie wiem. Miałem wtedy swoje własne zmartwienia. Mój ojciec zmarł nagle.

–Och, mój drogi. Szczerze panu współczuję.

–Dziękuję. Może po drodze wpadnę do pani i porozmawiamy bezpośrednio.

–Będzie mi miło zobaczyć pana, ale sądzę, że przede wszystkim powinien pan porozmawiać z Sidem.

–Kim jest Sid?

–Sid Mastrangelo. Właściciel sklepu spożywczego, gdzie Bill został... został zastrzelony.

-Czy on tam wtedy był?

-Tak. Do niego też strzelali.

Rozdział 31

Sklep spożywczy Sida zajmował pierwsze piętro bloku mieszkalnego z czerwonej cegły w lumpowskiej części Charlestown, niedaleko miejsca zacumowania USS *Constitution*. Wskazówki Devorah Elovitz były dobre, ale okazały się niepotrzebne.

–Kiedy wróciłem z Wietnamu – wyjaśnił Freeman – spędziłem sporo czasu, zajmując się handlem na tych ulicach. Pamiętam sklep Sida jeszcze z tamtego okresu.

–Pamiętasz Sida?

–Minęło już dwadzieścia lat, ale jeśli jest równie szeroki, jak wysoki, to pamiętam. Nieraz wyrzucił mnie ze swojego sklepu.

Podczas jazdy z Reading do Charlestown słuchali wiadomości radiowych. Poza dwiema wiadomościami na temat vasclearu i czekającej Boston wizyty prezydenta nie było wzmianki o anonimowym telefonie do policji w Reading ani o odkryciu przez policję zakrwawionych zwłok w domu lekarza, który do niedawna miał zakaz wykonywania zawodu z powodu zażywania narkotyków.

–Za wcześnie – stwierdził Freeman. – Poza tym wątpię, czy brygada antynarkotykowa uwierzyła mi. Jak się teraz czujesz?

–Wstrząśnięty, ale już nietrzęsący się, to chyba najlepsze określenie. Wciąż nie mogę uwierzyć, że ten drań czyhał na mnie w moim domu.

–Mieli twój klucz. Zostawienie kogoś w mieszkaniu pozwalało koleśowi na zewnątrz na pewien czas się oddalić. Miałeś szczęście, że ten, na którego się natknąłeś, oddawał akurat hold naturze.

–Mam wrażenie, że już wyczerpałem rezerwy mojego szczęścia.

–To powszechne wrażenie wszystkich, którym przyszło przeżywać czas rehabilitacji.

Sid Mastrangelo był dokładnie taki, jakim pamiętał go Freeman. Z wyjątkiem siwiejącego obwarzanka włosów dokoła czaszki, co nadawało mu wygląd mnicha, był łysy jak kolano. Każdy reżyser poszukujący aktora do roli brata Tucka wzięłby go pod uwagę. Nosił płócienny fartuch, niezawiązany w talii. Prawe ramię miał na temblaku. Brian przedstawił siebie i Freemana.

–Przed chwilą telefonowała żona Billa Elovitza, powiadamiając, że jedzicie do mnie – przywitał ich Mastrangelo.

–Wspomniała, o co nam chodzi?

–Mówiła coś o strzelaninie. Poza tym powiedziała, że był pan jego lekarzem.

–Tak. Jednym z kardiologów, którzy badali go w Boston Heart.

–A kim jest tamten pan? – popatrzył na Freemana.

–To przyjaciel.

–Na pewno? Przypomina mi opryszka z sąsiedniego narożnika, który kręcił się tutaj przed laty.

–Opiekuję się mieszkańcami kilku domów mieszkalnych w Bostonie – odparł ze spokojem Freeman. – Jestem żonaty, mam zaszczytne stanowisko w bractwie Łosi i przyjaciół wśród takich lekarzy jak ten obok mnie. Chyba mnie pan z kimś pomylił.

–Niech będzie – odparł sklepikarz, z iskierkami kpiny w oczach. – Myślałem tak, bo tamten obwieś miał na palcach taki sam tatuaż HARD LUCK.

–Panie Mastrangelo – wtrącił się Brian – zechciałby pan opowiedzieć nam, co tu zaszło?

–Żona Billa prosiła mnie o to.

Weszła starsza kobieta, która kupiła mleko i papierosy.

Mastrangelo wystukał należność na staroświeckim rejestrze kasowym z dzwonkiem, wydał jej resztę, a potem ostrzegł przed niebezpieczeństwem palenia.

–Nim zaczniemy – poprosił Brian – czy mógłbym skorzystać z telefonu? Muszę zadzwonić do szpitala.

Mastrangelo sięgnął pod kontuar i wręczył mu przenośny aparat.

Modląc się w duchu, Brian połączył się z oddziałem. W dalszym ciągu nie było żadnych wiadomości od Phila.

–Czy doktor Pickard wie, że Phil się nie pojawił? – spytał Jen, sekretarkę oddziału.

–Tak. Był tu przed chwilą i pytał o niego. Momencik, on tu jeszcze powinien być. Przed sekundą wyszedł na korytarz.

–Mógłbym z nim porozmawiać?

–Proszę nie odkładać słuchawki, doktorze. Spróbuję go dogonić.

Brian zerknął na prawo, w stronę Freemana, który płacił za miętówki, coca-colę i paczkę tytoniu do fajki.

„Nie zaciągam się” – usłyszał głos swojego kuratora. Równocześnie w słuchawce odezwał się Pickard.

–Brian – powiedział – niepokoimy się o ciebie i o Phila. Wszystko w porządku?

–Tak. Nie spałem pół nocy, bo odkryłem, że wojsko mnie podsłuchuje, i zapomniałem nastawić budzik. Już wszystko dobrze. Za godzinę przyjadę do pracy.

–Wyśmienicie. Nie wiesz co się dzieje z Philem? Miał prowadzić poranny obchód, ale nie przyszedł i nie zadzwonił.

–To całkowicie do niego niepodobne. Czy wysłaliście kogoś do jego domu?

–Myślę, że policja już tam jedzie. Brian, dwaj nasi koledzy są na urlopie. Phil miał być dziś w nocy na dyżurze. Czy mógłbyś go zastąpić?

–Będę przed drugą – odparł Brian, myśląc o tym, że w czasie nocnego dyżuru pójdzie do pomieszczenia z dokumentacją i będzie kontynuował poszukiwanie pacjentów Pierwszej Fazy. – Jeśli pan sobie życzy, chętnie go zastąpię.

–Są jakieś wiadomości? – spytał Freeman.

–Nie ma żadnych. Zastępuję Phila dziś w nocy.

–Myślisz, że to rozsądne?

–To ty mówiłeś, że ukrywając się, zrobiłbym błąd.

–Tak myślę. Pojedź do pracy, ale trzymaj się głównych korytarzy, z dala od kątów i zakamarków. Jeszcze jedno. Pomyśl, jak wytłumaczysz się z tego, że wyglądasz, jakbyś został rzucony na krzak dzikiej róży.

–Panie Mastrangelo – Brian zwrócił się do sklepikarza. – Przepraszam, że poruszamy ten

temat przy panu. W szpitalu jest zamieszanie, a ja jestem jednym z jego powodów.

–Czy to ma coś wspólnego ze strzelaniną? – spytał.

Freeman i Brian popatrzyli na siebie. Trzeba powiedzieć mu prawdę, pomyśleli równocześnie.

–Może mieć – oświadczył Brian. – Dlatego chcieliśmy spotkać się z panem. Spodziewam się, że pan może nam dokładnie opowiedzieć przebieg zdarzeń owego dnia, kiedy zastrzelono Billa Elovitza.

–Mogę zrobić coś więcej – odparł Mastrangelo. – Mogę wam pokazać.

–Co pokazać?

–Mam kopię nagrania z kamery wideo systemu bezpieczeństwa. Jeśli was to interesuje, chodźcie do mnie. Mieszkam piętro wyżej.

Sid Mastrangelo wywiesił na drzwiach napis ZAMKNIĘTE i poprowadził Briana i Freemana przez tylne drzwi do rozległego mieszkania, które dzielił ze swoją żoną.

–Mam przyjaciela zajmującego się systemami bezpieczeństwa – wyjaśnił. – Miejskowa firma z Charlestown o nazwie „Potrójne Bezpieczeństwo”. Okradano mnie bezustannie i kilka razy włamano się do sklepu, aż Manny zainstalował odpowiedni system. Po napadzie oddał policji taśmę, ale przedtem zrobił dla mnie kopię. Ci dwaj, którzy strzelali, byli w maskach. Obejrzałem taśmę kilka razy, próbując znaleźć podobieństwo z kimś, kogo bym znał.

–I co? – spytał Brian.

Mastrangelo potrząsnął przecząco głową.

–Kompletnie nic.

Zasiedli przed wielkim telewizorem w wygodnym, odrobinę pachnącym stęchlizną salonie. Żona Mastrangela – kobieca wersja sklepikarza – pomachała do nich przyjaźnie z kuchni.

Sid włączył telewizor i magnetowid, podając Brianowi pilota.

–Może pan zatrzymać w dowolnym miejscu – powiedział. – Proszę pytać o wszystko, co panu przyjdzie do głowy.

Po kilku sekundach szumu elektronicznego ukazał się ziarnisty, czarnobiały obraz wnętrza sklepu Sida.

Kamera znajdowała się z tyłu, wysoko, po lewej stronie Mastrangela i wyposażona była w obiektyw „rybie oko”, nieco zniekształcający proporcje, ale poszerzający pole widzenia. W ujęciu z góry osoby dramatu wydawały się stłoczone. Cała scena, której nie towarzyszył dźwięk, wydawała się upiorna.

Sklep jest pusty, widać tył głowy Sida, poruszającego się tam i z powrotem za

niskim kontuarem... znacznik czasu w prawym dolnym rogu wskazuje 20.48. 8.48 po południu...

–W piątki zamykam o dziewiątej – wyjaśnił Mastrangelo.

Otwierają się drzwi, wchodzi Bill Elovitz, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy bez paska... Lewy przegub ma w gipsie... Bujne, srebrne włosy odcinają się od szarości obrazu... Widać wyraźnie opuchliznę kostek, wylewającą się z nad butów firmy Top-Sider, o antypoślizgowych podszewkach... Macha przyjaźnie do Mastrangela, uśmiechając się na swój charakterystyczny sposób, który zjednał mu od razu sympatię Briana... Idzie na tył sklepu,

znikając z pola widzenia kamery... Sekundę później otwierają się drzwi i wchodzi dwóch mężczyzn... Są ubrani w ciemne wiatrówki, na twarzy mają maski... Jeden z nich trzyma w ręku pistolet, drugi dubeltówkę z odpiętą lufą...

Brian nacisnął guzik pauzy. Mimo że figury bandytów były zniekształcone, można było wyraźnie zauważyć, że jeden z nich – ten z dubeltówką – jest znacznie wyższy i szerszy w ramionach. Freeman popatrzył pytająco. Brian skinął głową. Mógł się założyć o każdą sumę, że po zdjęciu maski twarz tego mężczyzny okazałaby się pokryta bliznami. To był Leon. Nie miał jednak pewności, czy drugi bandyta był tym, którego prawdopodobnie zabił w swoim mieszkaniu. Ponownie uruchomił magnetowid.

Niższy wymachuje pistoletem przed Sidem i to on wydaje się prowadzić konwersację... Leon schodzi z pola widzenia, ale po sekundzie wraca, popychając przed sobą dubeltówką Billa Elovitza... Elovitz coś mówi. Nie wydaje się w najmniejszym stopniu przestraszony. Miał już w życiu do czynienia z uzbrojonymi kanalami, znęcającymi się nad słabszymi... Niższy rozkazuje otworzyć kasę, odbiera od Sida jej zawartość i chowa do kieszeni... Obaj napastnicy idą w stronę wyjścia... Dochodzą do drzwi... Odwracają się... Leon nagle zawraca... Jest nie dalej niż o dwa jardy od Billa... Strzela do niego bez widocznej przyczyny... Trafia Elovitza w środek klatki piersiowej... Siła wybuchu rzuca go w tył, niczym podmuch tornada... Wpada na ścianę półek i osuwa się na podłogę... Niższy z rewolwerem strzela z odległości około trzech jardów w stronę Sida, ale Sid jest częściowo schowany za kasą... Bandyci nie podchodzą bliżej, żeby go wykończyć, tylko uciekają... Chwilę później na kontuarze pojawia się ręka Sida, próbującego dźwignąć się na nogi... Znacznik czasu pokazuje 20.52... Cztery minuty.

Brian zatrzymał magnetowid i patrząc na Freemana, ponuro skinął głową. Ci sami. Położył pilota na stole.

–Panie Mastrangelo – powiedział, starając się, żeby pytanie nie zawierało żadnych sugestii – czy zauważył pan cokolwiek niezwykłego u mężczyzny, który do pana

strzelał? W jakimkolwiek szczególe?

–Mówił z jakimś akcentem – odparł Sid po chwili namysłu. – Nie umiem powiedzieć z jakim. Może to był niemiecki.

–A ten drugi?

–Godzilla? Nie powiedział ani słowa. Czy film w czymś panu pomógł?

–W pewnym stopniu. Nie rozumiem jeszcze wielu rzeczy.

–Zdaje mi się, że pan wątpi w to, iż Bill został zastrzelony w celach rabunkowych.

Brian wzruszył ramionami, potem wstał i uścisnął rękę właścicielowi sklepu.

–Trudno powiedzieć, panie Mastrangelo – odparł – ale nie zauważyłem, żeby któryś z nich zabrał z sobą portfel Billa.

Rozdział 32

Brian wysiadł przed White Memorial, zostawiając worek ze swoimi rzeczami w furgonetce. Wszedł do recepcji, rozglądając się na wszystkie strony i obserwując, czy nie zauważy w tłumie ludzi kogoś, kto również się rozgląda. Pod pachą ścisnął walizkę, w której poza różnymi dokumentami, narzędziami lekarskimi, wafelkami Kit-Kat i zmianą bielizny spoczywał rewolwer o krótkiej lufie, ukryty w skarpetce, zabrany nieprzytomnemu mężczyźnie, którego zostawił, broczącego krwią, we własnym mieszkaniu.

Nigdy jeszcze nie strzelał z rewolweru, choć miał już do czynienia z wiatrówką i karabinkiem kaliber 22. Nie przypuszczał, że kiedykolwiek znajdzie się w sytuacji, w której broń może okazać się konieczna. Niespodziewanie wyszło na jaw, że zbiry z Newbury Pharmaceuticals zamordowały starego mężczyznę, pacjenta objętego badaniami Pierwszej Fazy, i prawdopodobnie jeszcze jednego. Teraz mordercy ścigali jego samego, a Phil zniknął.

Czy mógł mieć zaufanie do kogokolwiek prócz Teri? Czy ona zgodzi się podjąć samotnie akcję, nie mając poza jego odkryciami żadnego namacalnego dowodu? Ile czasu mu zostało do chwili, kiedy zostanie wezwany przez urzędników Pickarda na test moczu, który z absolutną pewnością okaże się pozytywny? Może powinien zwrócić się do Pickarda?

„Doktorze Pickard, wprowadźcie na to, co powiem, nie mam żadnego dowodu, ale chciałbym pana uprzedzić, że firma, którą hołubicie od pięciu lat, jest kontrolowana przez rosyjską mafię. Skąd wiem? Od chińskiego gangstera imieniem Cedric, który uczęszcza na spotkania anonimowych narkomanów. Otóż z jakiegoś powodu – mimo że lekarstwo, które opracowaliście wspólnie z Newbury, uratuje życie dziesiątkom tysięcy ludzi i przyniesie instytutowi miliony dolarów – ta firma farmaceutyczna wynajęła morderców, którzy zabili pańskich pacjentów...”

Może lepiej powiedzieć to samo policji? Albo Carolyn Jessup?

Ruszył obszernym korytarzem do recepcji BHI, pokazał strażnikowi identyfikator i poszedł schodami na oddział. Cóż mógł zrobić poza kontynuowaniem poszukiwań okruczeń, łączeniem ich w jakąś całość i żywieniem nadziei, że w którymś momencie złożą się na sensowne wytłumaczenie? Przy tym wszystkim musi ukrywać się przed zawodowymi mordercami, którzy chcą go zabić.

Tato, dlaczego nie ma cię, kiedy jesteś potrzebny?

Brian wspiął się na piątą kondygnację, zatrzymując się na każdym podeście, żeby posłuchać, czy ktoś za nim nie idzie. W dyżurce zmienił ubranie na strój szpitalny. Jen, fertyczna sekretarka oddziałowa, na jego widok pojaśniała z zadowolenia.

–Och, doktorze Holbrook, jak to miło widzieć pana – powiedziała. – Mamy straszny dzień. Co się panu stało?

–Lekka grypa żołądkowo-jelitowa.

–Nie o tym mówię. Co się stało pańskiej twarzy i rękom?

–To... przy pracy w ogródku. Od czasu do czasu tym się zajmuję. Czy Phil się odezwał?

Potrząsnęła ponuro głową.

–Nie. Doktor Pickard przed chwilą poszedł do jego gabinetu. Zajął się pacjentami. Nie wiedziałam, że jest lekarzem z takim powołaniem.

–Do tego jednym z najlepszych.

–Powiedział, że pan obejmie nocny dyżur na wezwanie, i zostawił dla pana pager.

Podala mu aparat, który Brian przypiął sobie do paska. Potem wręczył jej karteczkę z napisem: ALLISON BROUGHAM – nazwiskiem kolejnej pacjentki objętej badaniami Pierwszej Fazy.

–Czy mogłabyś zadzwonić do działu dokumentacji i kazać im przysłać dane tej kobiety? Jeszcze lepiej, gdybyś poszła tam osobiście.

–Nie mogę teraz zejść ze stanowiska, ale o trzeciej zmieni mnie Beverly. Pójdę tam, kiedy ona przyjdzie.

–Doskonale.

Na oddziale badań naukowych kliniki panował spokój. Było tam piętnastu pacjentów, wszyscy dość poważnie chorzy, lecz żaden z nich nie znajdował się w stanie krytycznym. Do piętnaście po trzeciej, kiedy wezwano go do sekretariatu, zdążył zbadać dziewięcioro. Do historii choroby każdego z nich był dołączony dokładny raport, skrupulatnie wypełniony przez Pickarda, na temat postępów w leczeniu. Brian stwierdził, że nie pomylił się w swojej opinii o szefie. Poza spełnianiem ściśle urzędowych funkcji, związanych ze stanowiskiem dyrektora Boston Heart, Pickard był świetnym kardiologiem. Sądząc po raportach, szef był doskonale zorientowany w stanie zdrowia każdego i osobiście interesował się każdym przypadkiem.

–Telefon do pana od Jen – powiedziała nowa sekretarka, wręczając mu telefon. – Dzwoni z działu dokumentacji.

–Halo, Jen. Mówi Brian.

–Doktorze Holbrook. Jestem w dokumentacji. W komputerze nie ma nazwiska Allison Brougham. Nigdy nie było takiej pacjentki.

Na pewno była, chciał odpowiedzieć Brian, ale to nie miało sensu. Błędy zostały naprawione. Nie ma już brakujących stron w wynikach badań laboratoryjnych. Wszelkie dane o pacjentach Pierwszej Fazy zostały skrupulatnie usunięte z rejestrów szpitala.

Nim rozstali się z Freemanem, Brian spisał wszystko to, co zdołał ustalić, opatrując raport własnym komentarzem. Freemana zirytował passus: „Gdyby coś mi się stało”, ale w końcu wziął kartki, obiecując, że otrzymają je władze FDA, gazety oraz wszyscy zainteresowani.

Miał jeszcze do zbadania sześćcioro pacjentów. Zanim wrócił na oddział, zadzwonił na pager Phila. Nie było odpowiedzi. Carrie Sherwood też nie było. Czy wzięli ślub? Czyżby Phil stał się nagle tak romantyczny i zwariowany na punkcie seksu, że zdecydował się zaprzepaścić swój wizerunek odpowiedzialnego pracownika za cenę jednego dnia? Takie wytłumaczenie mogłoby na pewien czas uspokoić Briana, gdyby Phil nie zostawił na jego sekretarce nazwiska Angusa MacLanahana.

Brian skończył badać ostatniego z pacjentów po czwartej. Nie mając większych nadziei, wybrał jeszcze jedno nazwisko z listy pacjentów Pierwszej Fazy i poprosił Beverly o sprowadzenie dokumentacji. Ponieważ nic nie jadł od rana, wyszedł z oddziału, żeby udać się

do kafeterii. Był już przy drzwiach prowadzących na klatkę schodową, kiedy nagle zatrzymał się, wrócił do dyżurki i wyciągnął spod łóżka swoją walizeczkę. Miał na sobie kitel lekarski, sięgający do kolan. Ciężar spoczywającego w kieszeni rewolweru, owiniętego w skarpetkę, był krępujący i budził w nim grozę. Schował broń na powrót do walizeczki, którą postanowił zabrać ze sobą.

Kafeteria, będąca dumą White Memorial, miała sporą liczbę małych jadalni, ogólnodostępnych i rezerwowanych, otaczających rozległą, w kształcie podkowy, centralnie usytuowaną salę jadalną. Otwarta część podkowy służyła jako bufet z barem sałatkowym, piecem do pieczenia pizzy, grillem, stanowiskiem oferującym pełne dania obiadowe i desery. Przy blisko tysiącu osób zatrudnionych w szpitalu, pracujących na zmianach, kafeteria było niemal bez przerwy zapełniona.

Brian włączył się w strumień ludzi wpływających do ogromnej sali, ściskając pod pachą swoją walizeczkę i rozglądając się czujnie. W kolejce do bufetu nie zauważył ani jednej znajomej twarzy, również w sali nie było nikogo znajomego, do kogo mógłby się przysiąść. Przypomniawszy sobie czas praktyki w Suburban Hospital, gdzie w

jadalni dla lekarzy panował zawsze ożywiony nastrój i gdzie nie było osoby – począwszy od pomocnic kuchennych, a skończywszy na dyrektorze szpitala – z którą nie łączyłyby go jakieś więzy. Tutaj był całkowicie obcy, a jedyny człowiek, z którym był blisko, zniknął bez śladu.

Poszedł w stronę baru sałatkowego, ale zmienił zamiar i stanął w kolejce do grilla. Był już blisko, chcąc zamówić półfuntowy cheeseburger z frytkami, kiedy zobaczył w oddali mężczyznę, wychodzącego z pełną tacą. Brian widział go z tyłu, pod ostrym kątem, ale wzrost tamtego, wąska talia i szerokie ramiona nie pozostawiały wątpliwości – zwłaszcza że Brian niedawno oglądał go na wideo w trakcie mordowania z zimną krwią starego człowieka.

Brian wymknął się z kolejki, starając się poruszać szybko, lecz bez zwracania na siebie uwagi. Leon był ubrany tak samo jak owego wieczoru w kantynie – miał na sobie dżinsy i niebieską koszulkę sportową. Kilka razy przystawał, patrząc czujnie dookoła. Nie wiadomo, czy obawiał się, że jest śledzony, czy rozglądał się za Brianem. Szedł najpierw głównym korytarzem, potem skręcił w kierunku Boston Heart – idąc w stronę miejsca, gdzie Brian spotkał go po raz pierwszy. Brian szedł za nim w sporym oddaleniu. Był niemal pewny, że Leon zmierza w kierunku schodów prowadzących do piwnicy.

Korytarz wiodący do sutereny Boston Heart był opustoszały. Brian musiał iść tak daleko z tyłu, że w pewnym momencie morderca zniknął mu z oczu. Doszedł do klatki schodowej, wiodącej do piwnicy. Po prawej były schody prowadzące na parter BHI. U ich wylotu, kilkanaście jardów dalej, mieściła się pracownia hemodynamiczna, taśmoteka pracowni i drzwi do wind. Po lewej była kantyna z automatami, a na dalekim końcu korytarza zwierzętarnia. Leon prawdopodobnie zszedł do piwnicy, bo nigdzie nie było go widać.

Brian schodził ostrożnie, spodziewając się, że lada moment bandzior, ze złośliwym uśmiechem na dziobatej twarzy i rewolwerem w ręce, wyłoni się u stóp schodów. W piwnicach szpitalnych znajdowały się zwykle pralnie, magazyny sprzętu i rozdzielnie energetyczne. Leon mógł być zatrudniony w którejś z tych sekcji, chociaż Brian nie widział powodu, dla którego miałyby się znajdować w piwnicach BHI, a nie głównego budynku

szpitala.

Piwnica Boston Heart była słabo oświetlona rzędem umieszczonych wzdłuż betonowego sufitu lamp wewnętrznych, zamkniętych mlecznymi plastikowymi kloszami, rozpraszającymi światło żarówek. Korytarz był betonowy, niczym nie przyozdobiony i miał dwoje drzwi. Jedne prowadziły do klatki schodowej, drugie były stalowe, w pewnej odległości po prawej stronie, dokładnie pod pracownią hemodynamiczną. Szyb windy zaczynał się o poziom wyżej.

Brian przesunął się ostrożnie o kilka kroków. Stalowe drzwi miały wgłębioną klamkę, świadcząca, że są przesuwane. Następne dwa kroki. Zawahał się, otworzył teczkę, wyjął rewolwer ze skarpetki i wsunął go do kieszeni, w której miał stetoskop. Był teraz nie więcej niż sześć jardów od drzwi. Korytarz za nimi wydawał się kończyć ślepo w miejscu, które odpowiadało położonej o kondygnację wyżej zwierzętarni. Gdyby ktoś teraz zszedł klatką schodową w dół, Brian znalazłby się w pułapce. Włożył rękę do kieszeni, ujmując rękojeść rewolweru. Czy ma bezpiecznik – coś, co trzeba zwolnić, żeby strzelić? Przypomniawszy sobie o tym w najmniej odpowiednim momencie. Przysunięty do ściany, zrobił następny krok.

Nagły sygnał pagera spowodował, że serce w nim zamarło. Któryś z pacjentów potrzebował jego pomocy. Błyskawicznie sięgnął ręką do pasa, wyłączając sygnalizator. Potem zaryzykował rzut oka na wyświetlacz.

W okienku widniało: BHI7. Kardiochirurgia w Boston Heart. W królestwie Randy powstała kryzysowa sytuacja. Brian zdał sobie sprawę, że spośród wszystkich oddziałów szpitala BHI7 jest tym, na który raczej nie wzywano by go kodem 99. Randa dysponował całą armią lekarzy, doktorantów i stażystów. Prócz tego Randa miał dla niego tak mało poważania, że wydawało się nieprawdopodobne, iż chciałby skorzystać z jego usług.

Zastanawiał się, co robić. Mógł obserwować korytarz z klatki schodowej, mógł spróbować otworzyć drzwi, lecz wiedział, że nie wolno mu zignorować wezwania. Postanowił zastosować się do obowiązku.

Odwrócił się w stronę schodów i zamarł. W rogu między sufitem a betonową podporą dostrzegł obiektyw zamaskowanej kamery podglądowej, takiej samej jak w klinice badań nad vasclearem.

W tej samej chwili metalowe drzwi za nim zaczęły się rozsuwać.

Rozdział 33

Brian błyskawicznie cofnął się w stronę klatki schodowej, usuwając się z pola widzenia kamery. Mimo pewności, że osoba, która za moment wychyli się zza odsuwanych drzwi, jest dwustutrzydziestofuntowym, zawodowym mordercą, czuł irracjonalną potrzebę zmierzenia się z nim – wyciągnięcia z kieszeni rewolweru i wymuszenia odpowiedzi na pewne pytania. Pager zadzwieczał ponownie, przywracając mu poczucie rzeczywistości. Nie czekając, aż Leon ukaże się w drzwiach, pomknął w górę schodami, spodziewając się, że lada moment usłyszy strzał i poczuje paroksyzm bólu w plecach.

Dyszząc ciężko, wbiegł do głównej sali recepcyjnej BHI. Żeby dostać się na oddział kardiochirurgiczny, musiał pokonać jeszcze siedem pięter. Zaczęło go boleć kolano. Najprościej było pojechać windą, ale w obecnej sytuacji wydawało mu się to niezbyt przyjemne.

Poddając się własnej wyobraźni, popędził dalej schodami. Pokonał siedem pięter, zatrzymując się tylko raz, na trzecim, dla nabrania oddechu i posłuchania, czy ktoś za nim nie idzie. Nie zauważył nikogo. A jednak dzięki kamerze w piwnicy wiedzieli, że jest na ich tropie. Pomyślał, że to mógł być jego atut. Był uzbrojony i nie miał zamiaru przebywać w szpitalu w miejscu odizolowanym. W żaden sposób Leon, czy inny morderca zza stalowych drzwi, nie mógł go zaskoczyć. Gdyby zaś zaryzykowali, chcąc go pospiesznie dopaść, istniała większa szansa na to, że popełnią jakiś błąd.

Jak się nazywał ten facet z serialu telewizyjnego, który próbował wmówić ludziom, że Ziemia jest penetrowana przez kosmitów przybierających ludzką postać?... Vinson? Tak, to był Roy Vinson.

Brianowi potrzebny był jeden ujęty „kosmita” – jeden z rosyjskich morderców z Newbury, próbujący wytłumaczyć policji, co robił za stalowymi drzwiami w piwnicy Boston Heart Institute i dlaczego on lub któryś z jego kumpli zamordował Angusa MacLanahana i Billa Elovitza, i dlaczego próbował zabić Briana Holbrooka.

Oddział kardiochirurgii różnił się od innych tylko większym ambulatorium oraz szklanymi ścianami i drzwiami od strony korytarza.

Kryzysowa sytuacja zdarzyła się w pokoju siedemset trzy. Brian zorientował się, gdyż przy drzwiach stał wózek i dwaj studenci medycyny. Wewnątrz były trzy pielęgniarki, technik laboratoryjny i tylko jeden stażysta. Brian odetchnął z ulgą na myśl, jak niewiele brakowało, żeby nie stawiał się na wezwanie. W łóżku leżał na wznak nagi mężczyzna w średnim wieku. Widać było biegnące od góry do dołu niedawne rozcięcie mostka. Brzegi rany były ściągnięte rzędem papierowych pasków, poplamionych zaschniętą krwią. Podobne rozcięcie, w ten sam sposób

zabezpieczone, biegło po wewnętrznej stronie prawego uda, skąd pobrano żyłę do bypassu.

Dwa, najwyżej trzy dni po operacji, pomyślał Brian, widząc, że dreny, zakładane rutynowo na czas operacji, zostały już wyjęte. Monitor pokazywał przyspieszony rytm – sto trzydzieści do sto trzydzieści pięć – ale kształt impulsów na elektrokardiografie wydawał się

zdmiewająco regularny. Wygląd mężczyzny był przerażający – na twarzy wystąpiły plamy, wargi miał purpurowo-sine. Oddychał z trudem. Głęboki wstrząs.

Brian przedstawił się stażyście, który sprawiał wrażenie całkowicie zagubionego.

–Mark Lewellen – powiedział. Wyglądał na nastolatka. – Jestem na pierwszym roku stażu. Bardzo się cieszę, że pan przybył. Na ogół jest tu zawsze znacznie więcej chirurgów. Jeden znajduje się w tej chwili w sali operacyjnej w głównym budynku szpitalnym. Doktor Randa i reszta personelu są na konferencji w Boston City. Podobno skończyła się przed piętnastoma minutami, więc zapewne wkrótce tu będą.

–Brak ciśnienia – zameldowała klęcząca przy łóżku pielęgniarka.

Brian zdążył do tego czasu sprawdzić puls w szyi, łokciach, przegubach i pachwinie. Wyjął z kieszeni stetoskop i przez krótką chwilę słuchał.

–Wprowadźcie mu igłę do żyły – rozkazał rzeczowo pielęgniarkom. – Kroplówka z dopaminy i proszę dowiedzieć się, czy mają krew zgodną z jego grupą. Jeśli mają tylko jedną lub dwie jednostki, zamówcie natychmiast cztery o tej samej próbie krzyżowej. Może nawet sześć. – Zwrócił się do Marka Lewellena. – Teraz mów. Szybko.

Stażysta przełknął nerwowo ślinę, żeby zwilżyć zaschnięte gardło.

–Pan Paul Wilansky – zaczął – ma pięćdziesiąt pięć lat, jest żonaty, z zawodu jest księgowym, który...

–Wolałbym krótszą wersję – przerwał mu Brian, kontynuując badanie.

W tym momencie do pokoju wbiegła zdyszana Carolyn Jessup. Była ubrana podobnie jak Brian – bielizna szpitalna, tenisówki, płaszcz do kolan.

–Właśnie kończyłam zabieg, kiedy zatelefonowano do mnie, prosząc o pomoc – wyjaśniła. – Winda jest ciągle zajęta.

–Cieszę się, że przyszłaś – powiedział Brian. – Co dalej, Mark? Pospiesz się.

–Trzy dni temu doktor Randa przeprowadził u niego półplanową operację wszczepienia poczwórnego bypassu. Nie było żadnych powikłań. Przeniesiono go do sali dla rekonwalescentów. Pojutrze miał zostać wypisany. Czuł się dobrze. Potem raptownie puls mu podskoczył, zaczął się skarżyć na zawroty głowy i mdłości. Kilka minut później stracił przytomność.

–Kiedy to się stało?

–Przed pięcioma minutami – rzuciła pielęgniarka, wskazując na automatycznie uruchamiany zegar nad łóżkiem.

Brian włożył gumową rękawiczkę i wsunął palec do odbytnicy chorego. Rozsmarował odrobinę kału na impregnowanej kartce, dodając kroplę wywoływacza w celu zbadania, czy w kale nie ma krwi.

–Nie ma – powiedział do doktor Jessup. Wyeliminowane zostało w ten sposób podejrzenie nagłego krwotoku jelitowego, pozostawała natomiast możliwość krwotoku z powodu pęknięcia wrzodu żołądka, który mógł spowodować ten sam rodzaj wstrząsu, zanim krew zdążyłaby dotrzeć do odbytnicy.

–Na wszelki wypadek, gdyby to się okazało górnym krwotokiem żołądkowo-jelitowym – zwróciła się doktor Jessup do jednej z pielęgniarek – wprowadźcie mu rurę do żołądka.

–W dalszym ciągu nie ma ciśnienia – oznajmiła pielęgniarka przy łóżku.

–Kroplówka z dopaminy zainstalowana – zameldowała trzecia pielęgniarka.

Brian obejrzał elektrokardiogram i podał zapis doktor Jessup.

–Wyłącznie stare zmiany, nic nowego – stwierdziła.

–Też tak myślałem.

Ponieważ elektrokardiogram nie wykazywał żadnych zaburzeń, atak serca, w świetle niedawnej operacji wszczepienia bypassów, wydawał się niemożliwy.

–Mark, chcesz, żebyśmy dalej próbowali znaleźć przyczynę, dopóki nie zjawią się chirurdzy?

–Jasne. To znaczy... proszę!

–Myślę, że powinniśmy rozpocząć masaż serca, dopóki nie postawimy diagnozy. Wiadomo, że jest krwotok, tylko jeszcze nie wiemy gdzie.

Jessup skontrolowała puls w tętnicy szyjnej i osłuchiwała klatkę piersiową

mężczyzny.

–Masz rację, Brian – powiedziała, spokojna i opanowana. – Nie ma innego wytłumaczenia. Kiedy wyjęto mu przewody rozrusznika?

Przewody! – pomyślał Brian. Oczywiście.

Przewody rozrusznika, instalowane rutynowo podczas operacji bypassów, wyjmowano dawniej po pięciu lub sześciu dniach po operacji. W czasach oszczędności w opiece medycznej i krótszej hospitalizacji przyjęto jako normę dwa do trzech dni. Wczesne wyjmowanie przewodów stało się rutyną. „O ile pacjent w ogóle potrzebował jeszcze serca” – mawiał sarkastycznie Brian.

–Przewody? – zdziwił się Lewellen. – Doktor Randa polecił je wyjąć. Zrobiłem to przed godziną.

–Bingo – rzucił Brian, kiwając z uznaniem głową wobec domyślności Carolyn.

–Zaraz będziemy wiedzieli – stwierdziła rzeczowo.

Stali obok siebie, ramię przy ramieniu, stanowiąc doskonale działający tandem, uzupełniający się wzajemnie w najdrobniejszych szczegółach.

–Mark – powiedział Brian – zacznij masaż. Czy wezwano anestezjologa? Jeśli nie, będziemy musieli pacjenta intubować.

–Potrafisz to? – spytała Carolyn Briana.

–Tak.

Stażysta podszedł do łóżka i zaczął rytmicznie uciskać klatkę piersiową mężczyzny. Cętki na skórze Paula Wilansky'ego przybierały barwę ciemnego fioletu. Wobec braku ciśnienia jego życie wisiało na włosku. A wszystko to odbywało się przy normalnej pracy serca, widocznej na monitorze.

–Anestezjolog jest zajęty w sali operacyjnej – oznajmiła pielęgniarka.

–Panno... – Brian odczytał nazwisko z identyfikatora pielęgniarki -... Dixon, podejrzewamy, że przy wyjmowaniu przewodów rozrusznika jeden z nich zaplątał się wokół przeszczepu. Jeśli nasza diagnoza jest słuszna, co oznacza, że wewnątrz klatki piersiowej odbywa się krwotok z rozerwanego przeszczepu, trzeba natychmiast przygotować salę operacyjną i sztuczne płucoserce. W tej chwili potrzebuję rurki dotchawicznej, rozmiaru

siedem i pół, i laryngoskopu. Proszę sprawdzić, czy mankiet rurki jest szczelny.

Brian przyłożył palce do pachwiny pacjenta, próbując wyczuć w tętnicy udowej, czy masaż serca, wykonywany przez Lewellena, powoduje wystarczający przepływ krwi.

–Nic nie czuję – powiedział.

–Serce jest puste – stwierdziła Carolyn. – Musimy mieć więcej płynu w krwiobiegu. Weź dużą strzykawkę i zrób mu zastrzyk z mleczanu Ringera. Doktorze Lewellen, czy może pan uciskać mu serce trochę energiczniej?

–Obawiam się, że i tak już porozrywałem druty spinające mostek.

W jego głosie brzmiało przerażenie.

–Nie szkodzi – próbował go uspokoić Brian. – Chirurdzy dadzą sobie z tym radę.

Jeśli jeszcze będzie żył – chciał dodać, jednak wstrzymał się od komentarza.

Oboje z Jessup wiedzieli, że pacjent ma minimalne szanse. Brian czuł napięcie porównywalne ze stopniem przerażenia stażysty. Sztuka polegała na tym, żeby go zbyt nie okazać, albo, co było jeszcze ważniejsze, nie pozwolić, żeby zakłóciło zdolność trzeźwego rozumowania. Zrobią wszystko, co będzie trzeba. Pracując z Carolyn, czuł się tak, jakby prowadził statek po niebezpiecznych wodach, mając u boku doświadczonego pilota.

Brian ukląkł u wezglowia łóżka. Przez większość swojej kariery medycznej miewał nocne dyżury w rozmaitych izbach przyjęć, więc mimo osiemnastomiesięcznej przerwy intubowanie pacjenta, będącego w stanie krytycznym, było dla niego jak chleb powszedni. Odsunął na bok język chorego świetlną łopatką laryngoskopu, a potem bez trudu wsunął poprzez struny głosowe przezroczystą, polistyrenową rurkę do oddychania.

–Celny strzał – pochwaliła go Jessup.

Połączył koniec rurki z workiem aparatu „Ambu” i zaczął przewietrzać płuca pacjenta szybkimi ruchami, w tempie raz na sekundę, żeby wymienić dwutlenek węgla na świeży tlen.

Jessup dotknęła szyi i pachwiny w poszukiwaniu pulsu, potem potrząsnęła głową. W dalszym ciągu nic.

Brian wiedział, co Carolyn myśli. Był tego samego zdania. Wilansky znajdował się w stanie rozkojarzenia czynności elektrycznej i mechanicznej serca – najcięższym spośród możliwych zagrożeń. Elektrokardiogram pokazywał, że naturalny rozrusznik wysyłał za pośrednictwem nerwów właściwe impulsy elektryczne do mięśnia sercowego, natomiast mięsień reagował zbyt słabo, żeby utrzymać krążenie. Jedyną

przyczyną mogło być to, że znaczna część krwi mężczyzny znajdowała się w brzuchu lub w klatce piersiowej. Musieli utrzymać go przy życiu, dopóki nie zostanie wyeliminowany główny powód, którym zdaniem Briana było rozdarcie przeszczepu. Uciskanie od zewnątrz klatki piersiowej, wykonywane przez Lewellena, mimo iż technicznie prawidłowe, nie wystarczało.

Zrobili wszystko, co mogli, żeby uratować tego człowieka. Albo prawie wszystko.

–Czy robiłaś kiedyś masaż otwartego serca? – spytał.

Westchnęła głęboko i potrząsnęła przecząco głową.

–Kiedyś, dawno temu, zanim przeszliśmy do metody uciskania zamkniętej klatki. A ty?

–Tylko raz – odparł Brian. – Kilka lat temu. Pacjent miał przestrzelone serce w wyniku porachunków gangsterskich. Otwarcie klatki udało się, zaszycie dwóch otworów po

pociskach również.

–Co dalej?

–Nie dotrwał do operacji.

–Może teraz się uda? Cholera.

Brian nie był pewien, czy to powiedział, czy tylko pomyślał. Oboje wiedzieli, że nie ma innego wyjścia, jak tylko otworzyć klatkę piersiową, zacisnąć rozdarty przeszczep, przez który wyciekała krew, w dalszym ciągu doprowadzać płyn do układu krwionośnego i uciskać ręką serce dopóty, dopóki chory nie trafi na stół operacyjny i nie zostanie podłączony do sztucznego płucoserca. Szansa na to, że Paul Wilansky przeżyje otwarcie klatki piersiowej, była znikoma – zwłaszcza że miał ją przeprowadzić kardiolog, a nie chirurg. A jednak bez opanowania krwawienia w piersi i ręcznego uciskania serca rozkojarzenie czynności elektrycznej i mechanicznej wkrótce może doprowadzić do przedśmiertnego migotania komór.

Brian był bliski powiedzenia, że nie jest w stanie podjąć się zadania i że wieloletnie doświadczenie kardiologiczne Carolyn znaczy więcej niż jego pojedynczy, zakończony niepowodzeniem przypadek. A jednak zbadał źrenice mężczyzny; nie były nadmiernie rozszerzone, i połknął haczyk. Może istniała jeszcze jakaś szansa.

Czuł suchość w ustach i napięcie mięśni. Myśl o Leonie i incydencie w piwnicy BHI zeszła na dalszy plan.

–Panno Dixon, proszę przygotować narzędzia do otwarcia klatki – zdecydował.

–W tej sekundzie.

–Narzędzia przygotowane – zameldowała po krótkiej chwili.

Brian nałożył maskę i rękawiczki i wziął lancet. W tym momencie powstało małe zamieszanie. Usłyszał w korytarzu gwar ożywionych głosów. Sekundę później do sali wpadł Laj Randa. Jego czarne oczy przypominały wzrok atakującego jastrzębia.

Randa błyskawicznie ogarnął scenę wokół swojego pacjenta. Mark Lewellen masował serce choremu, ale Randa zignorował go. Zamiast tego zwrócił się do Briana.

–Co pan robi na moim oddziale? – spytał.

Brian poczuł się głupio, stojąc w rękawicach, fartuchu i masce, ze skalpelem w ręku, przed jednym z najznakomitszych chirurgów na świecie. Mimo że górował nad Randa wzrostem, poczuł się mały na skutek jego wyraźnej dezaprobaty. Co by się działo, gdyby otworzył klatkę Wilansky’ego, a ten by umarł? Albo jeszcze gorzej – gdyby otworzył klatkę i wtedy okazałoby się, że postawili złą diagnozę, co spowodowałoby śmierć pacjenta?

–Zostałem wezwany – odparł bez unżoności.

Randa przestał się nim interesować.

–Carolyn, co się tutaj dzieje?

–Nagły wstrząs w niecałą godzinę po wyjęciu przewodów – wyjaśniła. – Chory znajduje się w stanie rozkojarzenia czynności elektrycznej i mechanicznej serca. Już się zapewne zorientowałeś, co mieliśmy zamiar zrobić. Doktor Holbrook ma pewne doświadczenie w tym zakresie, więc...

Randa uciszył ją, podnosząc w górę rękę. Wiedział już wszystko, co mu było potrzebne.

–Taca z narzędziami – rzucił. – Szybko. Ruszajcie się. Jeśli będzie trzeba, wstrzykniecie panu Wilansky’emu demerol.

Ruchem głowy odprawił od łóżka Lewellena. Tym samym gestem rozkazał zająć jego miejsce jednemu ze swoich asystentów.

Pielęgniarka bez słowa włożyła mu fartuch chirurgiczny na wyjściowe ubranie, potem przytrzymała parę rękawic, w które błyskawicznie wbił ręce. Poruszał się

szybko i precyzyjnie.

–Skalpel – zdecydował. – Przygotować rozwieracz. Nie powiedział nic więcej. Jednym ruchem przeciął paski papieru i świeżą ranę. Mostek, rozpiłowany na pół w celu przeprowadzenia operacji, został natychmiast ściągnięty drutami. Masaż serca, wykonywany przez Lewellena, rozerwał tylko środkowy spośród trzech drutów. Randa przeciął pozostałe dwa. Natychmiast po tym asystent zainstalował rozwieracz.

–Tamponada – rzucił Randa, spodziewając się serca uciśniętego przez krwiak.

Gejzer krwi z jamy klatki piersiowej potwierdził jego przypuszczenia, a także diagnozę Carolyn. Przewód rozrusznika owinął się wokół przeszczepu, wyrwijąc go z tętnicy.

Randa pracował w całkowitej ciszy, przerywanej tylko jego własnymi dyspozycjami. W ciągu niespełna minuty krwawienie zostało zahamowane. Wsunął lewą rękę, ukształtowaną na wzór kołyski, pod serce Wilansky'ego, prawą zaś uciskał je rytmicznie od góry. Brian podziwiał jego nadzwyczajną technikę. Uciskanie dwiema rękami miało przewagę nad masowaniem jedną, gdyż zapobiegało mimowolnemu przedziurawieniu kciukiem cienkiej ścianki przedsionka.

–Puls jest prawidłowy – zaryzykował odezwanie się Brian, trzymając palce na tętnicy udowej.

–Musimy zabrać go na salę operacyjną – powiedział Randa do pielęgniarki, konsekwentnie ignorując Briana.

–Przygotowują ją. Zespół płucoserca powinien być już na miejscu – odparła pielęgniarka.

–Kto tak zarządził?

–Doktor Holbrook. Dwie jednostki krwi już są w drodze, prócz tego zadysponował sześć dalszych o tej samej próbie krzyżowej.

Randa kontynuował rytmiczny masaż serca. Potem zwrócił się do Lewellena, który wyglądał tak, jak gdyby chciał się wtopić w ścianę.

–Lewellen, omal nie zabiłeś tego mężczyzny. Nie rozpoznałeś stanu rozkojarzenia czynności elektrycznej i mechanicznej serca – powiedział lodowato. – Powinieneś podziękować obojgu lekarzom za to, że żyje. Wyjdź stąd natychmiast i nigdy więcej nie pokazuj się na moim oddziale.

–Ale...

–Precz! – Słowo zabrzmiało jak trzaśnięcie bicia.

Zdruzgotany młody stażysta wyszedł z sali wśród całkowitej ciszy. Brian spojrzął na Jessup, która wyglądała na wściekłą, ale wzruszyła tylko ramionami i zacisnęła usta.

Randa wydał polecenie:

–Odłączcie go od aparatury i przenieście na salę operacyjną. Zaczynają mnie boleć ręce.

Nie powiedział nic więcej. Wyszedł natychmiast wraz ze swoim sztabem.

Nikt nie odezwał się słowem. Wszyscy byli wyczerpani i czuli niesmak z powodu sposobu, w jaki został wypędzony Mark Lewellen. Ostatnie dwadzieścia minut było gorączkowe, niespokojne, ale owocne. Przez dwadzieścia minut członkowie przypadkowo utworzonego zespołu przeżywali poczucie wspólnoty w obliczu kryzysowej sytuacji.

W końcu pielęgniarki podziękowały za pomoc lekarzom. Brian wyszedł na korytarz w ślad za doktor Jessup.

–To było kapitalne – stwierdził. – Od razu zorientowałaś się, że to kwestia oderwanego przeszczepu.

–Dziękuję, Brian. Właśnie chciałam ci powiedzieć, jak bardzo cię cenię, po tym co zrobiłeś w pracowni hemodynamicznej i dzisiaj.

–Tworzymy niezłą parę.

Brian wyciągnął rękę. Jessup zawahała się, ale podała mu swoją.

–Parę... – powiedziała cicho. – Muszę iść. Mam spotkanie i jestem już spóźniona.

Odwróciła się szybko i poszła w głąb korytarza.

–Doktor Jessup! – zawołał za nią Brian.

Stanęła i wolno odwróciła się w jego stronę.

–Słucham?

–Jesteś wspaniałym lekarzem.

Mimo oddalenia zauważył smutek w jej oczach.

–To miło z twojej strony – odrzekła.

Rozdział 34

Brian zajął miejsce na stanowisku obserwacyjnym nad salą operacyjną kardiochirurgii, przyglądając się pracy doktora Randy i jego zespołu. Scena, którą miał przed oczami, była mu aż za dobrze znana. Zaledwie dziesięć dni temu na tym samym stole leżał jego ojciec, podłączony do sztucznie podtrzymujących życie aparatów, przeżywając ostatnie chwile swojej ziemskiej egzystencji.

Zanim Brian poszedł przyglądać się operacji Paula Wilansky'ego, zajrzał do pacjentów na oddziale, a potem spróbował po raz kolejny skontaktować się z Philem Gianatasiem. Po każdym sygnale stawał się coraz bardziej pewny, że przyjacielowi stało się coś złego. Nie dodzwonił się również do Teri i w efekcie zaczął się martwić także o nią. Zostawił jej wiadomość na automatycznej sekretarce w domu i w biurze, prosząc o jak najszybszy kontakt. Na koniec zatelefonował na policję w Reading. Powiedziano mu, że wóz patrolowy był pod jego domem, lecz nie zauważono niczego podejrzanego i dlatego policjanci zdecydowali, że nie będą się włamywać.

Dlaczego, do diabła, musiał wdepnąć w taki kocioł? – zastanawiał się.

Czuł się tak, jakby tonął w lotnym piasku, który sięgał mu już do podbródka, a w pobliżu nie było ani liny, ani nikogo, kto by mu pomógł. Przeciwstawił się firmie, która grała o pulę rzędu miliardów dolarów i która była wystarczająco niemoralna, żeby uciec się do zbrodni w celu ochrony własnych interesów. Elovitz, MacLanahan... możliwe, że Phil i Bóg wie, kto jeszcze. Nawet pijak Earl, dozorca zwierzętarni, i tamten biedny szympan. Dla farmaceutycznego molocha życie żadnego z nich nie miało znaczenia.

Brian bał się tego, co go mogło spotkać, lecz z drugiej strony był zły i sfrustrowany: zły – bo nie było nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc, i sfrustrowany, gdyż było jeszcze zbyt wiele pytań, na które nie znał odpowiedzi. Wiedział tylko, że podczas prób Pierwszej Fazy vasclear był przez pewien czas skuteczny przynajmniej w stosunku do części pacjentów, a jednak miażdżyca wkrótce powracała. Jeszcze gorsze było to, że pewna liczba pacjentów zapadła na coś, co wyglądało na wywołane stosowaniem leku nadciśnienie płucne, ale nie miał na to ani jednego przekonującego dowodu.

Lek o umiarkowanym, krótkotrwałym działaniu, wywołujący uboczne skutki, kończące się śmiercią pacjenta. Czy może być coś gorszego? Mimo to naukowcy z Newsbury byli uparci: zmodyfikowali lek i w końcu triumfowali. Brian znał wyniki badań klinicznych. Siedemdziesięciopięcioprocentowa skuteczność. Brak istotnych skutków ubocznych. Po prostu cudowny lek. Dlaczego więc potężna firma uparła się, żeby zniszczyć „mrówki”?

Brian poczuł się niepewnie, siedząc sam w skąpo oświetlonym pomieszczeniu obserwacyjnym, chociaż przed wejściem znajdował się och kiedy odbywały się pokazowe operacje. Poza tym miał w kieszeni płaszcz rewolwer o krótkiej lufie, owinięty ściereczką do naczyń, którą zabrał z dyżurki. Domyślał się, że broń była prosta – bez bezpiecznika i jakichś komplikujących używanie cech – wystarczyło wycelować i pociągnąć za spust, lecz nie był tego w stu procentach pewny. Był już bliski owinięcia rewolweru w materac i wypróbowania,

ale obawiał się, że hałas kogoś zaalarmuje albo że popełni jakiś błąd i uszkodzi własną rękę.

Trzymał się w pewnym oddaleniu od pleksiglasowego sklepienia nad salą operacyjną numer jeden. Miał już dość pyszałkowatości Randy. Rola Briana skończyła się w chwili, kiedy okazało się, że Paul Wilansky może przeżyć kryzys. Operacja naprawienia uszkodzonego przeszczepu wydawała się przebiegać bez problemów, chociaż przed obudzeniem pacjenta z narkozy trudno było przewidzieć, na ile ucierpiał jego mózg. Ciśnienie krwi w organizmie było przez pewien czas bardzo niskie, prócz tego, zanim Randa otworzył mu klatkę piersiową, był przez dobre piętnaście minut reanimowany. Czy w tym czasie zdołano zapewnić mózgowi wystarczającą perfuzję? Operacja mogła się udać, ale...

–To ładnie z pańskiej strony, że pan przyszedł, doktorze Holbrook – odezwał się nagle Randa.

O ile Brian pamiętał, chirurg ani razu nie spojrzał w jego stronę. Teraz też nie patrzył.

–Jak przebiega operacja?

–Doskonale.

–Sądzi pan, że przeżyje?

–Nie ma podstaw, żeby przypuszczać, iż będzie inaczej. Odwrotnie niż ten, którego zabiłem – pomyślał Brian.

–To wspaniale – powiedział.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy, w czasie której uwaga Randy wydawała się niepodzielnie skupiona na nieruchomym, sztucznie ochłodzonym sercu.

–Moja pielęgniarka powiedziała mi, że był pan znakomity, starając się ratować tego pacjenta. Wyrażam panu moją wdzięczność i zwracam przynajmniej część uznania, które pan stracił, uzależniając życie swojego ojca od vasclearu.

–To, co pan mówi, jest okrutne – stwierdził Brian.

–Ale prawdziwe – Randa rozmawiał, nie przerywając pracy. – Dał się pan złapać na efekt, doktorze Holbrook. Zamiast poczekać na obiektywną opinię naukowców, wołał pan uwierzyć w to, co pan przeczytał w „Time” i obejrzał w telewizji.

–To nieprawda. Zasięgałem informacji, czytałem raporty, rozmawiałem z kolegami, badałem pacjentów. Mój ojciec omal nie umarł po operacji wszczepienia bypassów. W jego sytuacji vasclear był wyraźnie lepszą opcją.

–A ja pana zapewniam, doktorze Holbrook, że wszystko, co wygląda na zbyt dobre, żeby być prawdziwe, zawsze okazuje się zbyt dobre, żeby być prawdziwe. Niech pan to sobie zapamięta. Nie ma świętego Mikołaja. A pan uległ złudzeniu.

–Doktor Holbrook niczego takiego nie zrobił! Zaskoczony Brian wsunął błyskawicznie rękę do kieszeni, chwytając za rękojeść rewolweru i obrócił się, cofając się przy tym o parę kroków. O trzy jardy od niego stał Art Weber, patrząc nie na Briana, lecz na scenerię sali operacyjnej.

–Czyżby to guru we własnej osobie? – zadrwił Randa. – Pański człowiek pomógł nam uratować życie tego pacjenta. Właśnie wyrażałem mu swoją wdzięczność.

–Słyszałem, o czym pan mówił – odciął się Weber. – Randa, jest pan przerażony, bo z pańskiego drogocennego królestwa bypassów pozostaną panu tylko ochłapy. Od dnia, w

którym pan się zorientował, że vasclearem można leczyć ludzi, prowadzi pan kampanię, żeby go zdyskredytować. No cóż, Randa, przegrał pan. Począwszy od soboty, wszyscy ci królowie i sułtani, którzy przylatywali tutaj, żeby wzmocnić pańskie już i tak nadmiernie rozdęte ego, będą mogli zostać na swoich tronach i leczyć się czymś równie mało inwazyjnym jak zastrzyk dożylny.

–Wynoś się! – wrzasnął Randa. – Nie chcę cię tutaj widzieć!

Brian był wstrząśnięty, widząc, że sikh stracił zimną krew, a w dodatku nie potrafił się odciąć. Nawet z tej odległości, mimo iż był szczelnie „opakowany” kompletnym strojem operacyjnym, widać było, że uszło z niego powietrze. Jedynym możliwym wytłumaczeniem, pomyślał Brian, było to, iż chirurg czuł, że Weber może mieć rację. Mimo kruczaty przeciwko chwytom, dzięki którym vasclear wymknął się ocenie środowiska naukowców, Randa nie miał podstaw do twierdzenia, iż lek powoduje jakiegokolwiek komplikacje.

Brian miał w tej chwili znacznie większe zmartwienia niż troszczenie się o zranioną miłość własną Randy. Pościg za nim trwał w dalszym ciągu. Mógł nawet przypuszczać, iż człowiek, który ten pościg zarządził, stał o dwa kroki od niego.

Brian ścisnął rękojeść rewolweru, równocześnie wsuwając palec w kabłąk osłony spustu. Jeśli będzie trzeba, strzeli przez kieszeń. Mięśnie szyi i ramion miał napięte aż do bólu. Spodziewał się, że lada moment wpadnie mocarny Leon z bronią gotową do strzału.

Tymczasem Art Weber spokojnym ruchem sięgnął ręką do mikrofonu i wyłączył go. Potem przeszedł poza pole widzenia osób z sali operacyjnej i skinął na Briana, żeby postąpił tak samo.

–Widziałem się z Carolyn – oznajmił. – Opowiedziała mi, jak ratowałeś życie pacjentowi Randy. Przypuszczała, że prawdopodobnie poszedłeś na stanowisko obserwacyjne, żeby zobaczyć przebieg operacji.

Brian pomału odsuwał się do tyłu, powiększając dzielący ich dystans. Weber był wyraźnie zrelaksowany, niemal w euforii – jego wygląd odpowiadał samopoczuciu człowieka, który lada moment przejdzie do historii medycyny, zarabiając przy tym kilkaset milionów dolarów.

–Gdzie jest Phil? – spytał Brian.

–Gianatasio?

–Tak. Co się z nim stało?

–Nic nie wiem o tym, że coś się z nim stało.

Brian starał się podważyć te słowa, nic mu jednak nie przychodziło do głowy. Ale Weber i Vasclear stanowili jedność. Jeśli Newbury Pharmaceuticals miało coś wspólnego ze zniknięciem Phila, Weber musiał o tym wiedzieć.

–Nie ma go od rana – powiedział. – Martwimy się o niego.

–Teraz ja też zaczynam się martwić. Może zawiadomić policję?

–Doktor Pickard już to zrobił.

Brian puścił rękojeść rewolweru, ale nie wyjął ręki z kieszeni fartucha. Jeśli Weber wiedział, co się dzieje z Philem, to i tak nie dałby po sobie poznać.

–Brian, chciałbym z tobą porozmawiać na temat Vasclearu. Wiem, że interesujesz się

losem pewnych pacjentów Pierwszej Fazy. Nazywają się, o ile pamiętam, Elovitz i Ford.

–Nazywali się – poprawił go Brian.

–Nie rozumiem.

–Nazywali się Elovitz i Ford. Obaj nie żyją. Wstrzymał się od dodania MacLanahana i Sylvii Vitorelli.

–Nie wiedziałem o tym – oznajmił Weber. – Mimo to chciałbym cię prosić, żebyś zaniechał dalszego dochodzenia na temat naszego leku aż do sobotniej uroczystości. Potem będziesz miał całkowicie wolną rękę, co więcej, zachęcamy cię do przeprowadzenia wszelkich badań, jakie tylko przyjdą ci do głowy.

–Nie rozumiem. Czy to znaczy, że chcesz, żebym sprawdzał działanie vasclearu?

Weber skinął twierdząco głową.

–Jesteśmy pod wrażeniem twoich umiejętności, Brian. Zatwierdzenie vasclearu do powszechnego użytku nie oznacza, że nasza odpowiedzialność na tym się kończy. Chcę ci powiedzieć, że mam w planie dalsze działania. Będę potrzebował bliskiego współpracownika, który będzie nadzorował analizę skuteczności leku w powszechnej praktyce i raportował wszelkie możliwe kłopoty z nim związane. Proponuję ci, żebyś się tym zajął, bo wiem, że zrobisz to dobrze.

Brian popatrzył na stojącego przed nim w półmroku mężczyznę. Kątem oka spostrzegł, że Laj Randa odchodzi od stołu, a jego asystenci zaczynają zamykać klatkę piersiową Wilansky’ego. Operacja dobiegała końca.

–Ja... chyba się przesłyszałem – powiedział. – Proponujesz mi pracę w Newbury?

–Początkowe wynagrodzenie będzie wynosiło sto pięćdziesiąt tysięcy, ale po sześciu miesiącach możemy je renegocjować.

–Sto pięćdziesiąt tysięcy... to ogromna suma.

–Nie musisz się natychmiast decydować. Wpiszę cię na listę płac z chwilą, kiedy się zgodzisz. Możesz oczywiście zostać w Boston Heart, dopóki Ernest będzie cię potrzebował. Przez ten cały okres będziesz pobierał podwójną pensję.

–Ja... nie wiem, co zrobić.

–Na razie nie musisz niczego robić, Brian. Mam nadzieję, że skontaktujesz się ze mną w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. No i przestrzegam cię przed komunikowaniem się z FDA. Oni w dalszym ciągu są niezadowoleni z powodu pośpiechu we wprowadzeniu preparatu na światowy rynek. Tymczasem każda zwłoka przyniosłaby ogromne straty Newbury i tysiącom pacjentów potrzebujących leku.

–Zastanowię się.

Art zrobił krok przed siebie i wyciągnął rękę. Brian zawahał się, zanim wyjął swoją z kieszeni fartucha, ale w końcu uściśnął dłoń Webera.

–Mam nadzieję, że wejdiesz do mojego zespołu – powiedział Weber. – Nasza współpraca przyniesie w przyszłości obopólne korzyści.

A zatem – pomyślał Brian, obserwując odchodzącego mężczyznę – w ciągu zaledwie tygodnia poznałem, co to znaczy być ściganym, być celem, do którego się strzela, by wreszcie zostać przekupionym. Art Weber i jego ludzie z Newbury zaproponowali mu honorowe

zaprzestanie krucjaty w zamian za znaczną korzyść materialną i zachowanie życia. Na początek sto pięćdziesiąt tysięcy. Może to jest tyle warte. Nie miał przeciw vasclearowi żadnych ważkich dowodów, właściwie miał ich nawet mniej, niż domyślał się Weber. Sto pięćdziesiąt tysięcy plus czterdzieści pięć z BHI. Zamknął na chwilę oczy, wyobrażając sobie, co dwieście tysięcy dolarów mogło zapewnić jemu i dzieciom, i doznając przy tym zawrotu głowy. Wizja ta jednak niemal natychmiast została wyparta przez obraz Billa Elovitza, padającego na półki w sklepie spożywczym w Charlestown, martwego, nim jeszcze jego ciało osunęło się na podłogę, Brian podszedł do ściany z pleksiglasu. Patrzył, jak Paula Wilansky’ego, już z uratowanym sercem, przenoszono na wózek, żeby przewieźć na oddział intensywnej opieki. Randa stał z odsłoniętą twarzą pod ścianą sali operacyjnej. Brian włączył mikrofon.

–Jakie ma szanse? – zapytał.

Randa spojrzał w górę. Przez moment wydawało się Brianowi, że go zignoruje.

–Źrenice są na swoim miejscu i reagują. Dopiero za pewien czas będziemy mogli powiedzieć, czy nie ma uszkodzeń mózgu. Mam wrażenie, że wszystko będzie w porządku – odparł chirurg.

–Znakomicie.

–Pański przyjaciel Weber jest bezczelnym dupkiem.

–Możliwe, ale pan zaatakował dzieło jego życia.

–Nie każdy wyścig polega na szybkości – zaproponował Randa. – W nauce ostateczne zwycięstwo zawsze przypada długodystansowcom, którzy potrafią przebiec pełny dystans, a nie sprinterom.

Brian uśmiechnął się wewnętrznie, słysząc analogię Randy. Nellie Hennessey,

pokazowe dziecię vasclearu, była długodystansowcem.

–Będę o tym pamiętał – oświadczył.

Nagle doznał mrożącego uczucia, jak gdyby go owiał podmuch arktycznego powietrza. Wiedział, że to wrażenie zostało wywołane ostatecznym rozwiązaniem zagadki. Przebiegł go dreszcz. Odpowiedź Randy stanowiła olśnienie. Zacisnął ręce na mosiężnej poręczy, biegnącej wzdłuż pleksiglasowego sklepienia, aż pobieły mu palce. Wyjaśnienie – jedyne wytłumaczenie wszystkich pytań – krążyło nad nim od dawna, ale nigdy w formie ułatwiającej zdefiniowanie. Za każdym razem, kiedy się oddalało, gubił je całkowicie.

Teraz je znalazł. Poznał tajemnicę vasclearu.

–Tak! – szepnął. – O Boże, tak!

Obrócił się na pięcie i popędził z powrotem do dyżurki.

Rozdział 35

Pora odwiedzin w szpitalu miała się ku końcowi, kiedy Brian wpadł jak bomba na oddział badań klinicznych, napędzając strachu starszemu małżeństwu zmierzającemu w stronę windy.

–Kryzys! – krzyknął, przebiegając obok nich.

Jeśli się nie mylił, kluczem do całej zagadki była pojedyncza kartka papieru w jego walizeczce. Wyjął sfatygowaną walizeczkę spod łóżka i wysypał jej zawartość na białe bawełniane prześcieradło. Przez moment wydawało mu się, że pamięć go zawiodła, ale niebawem znalazł to, czego szukał, schowane między stronami artykułu w czasopiśmie. Był to list, który dała mu Nellie Hennessey z prośbą o wsparcie jej najbliższej kwesty na cele dobroczynne, zawierający wykaz jej poprzednich marszów.

„Nellie, powiedz mi, ile dokładnie czasu upłynęło od chwili, kiedy zaczęłaś przyjmować vasclear, do momentu ustąpienia symptomów twojej choroby?”.

„Ile czasu? Nie pamiętam, kochanie, wiem tylko, że niewiele”.

Brian przypomniał sobie, słowo po słowie, rozmowę z Nellie i jej córką Megan.

„Ja pamiętam, mamo. Pierwszą dawkę dostałaś dziesiątego sierpnia, a ból ustąpił w dniu moich urodzin... Moje urodziny są dwudziestego czwartego. Przestało ją boleć dokładnie po dwóch tygodniach. Bardzo szybko”.

10 sierpnia, dwa lata temu, dzień, w którym Nellie rozpoczęła kurację. Brian przebiegł palcem w dół listy. Marsz, który wpadł mu do głowy, odbył się gdzieś w tym czasie.

27 LIPCA – 25-MILOWY MARSZ

NA RZECZ AIDS.

MARSZ UKOŃCZONY. ZEBRANA

KWOTA:

2600 DOLARÓW.

Brian spojrzął na datę. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi? Dwa tygodnie po przemaszerowaniu dwudziestu pięciu mil w lipcowym upale Nellie znalazła się na stole w pracowni hemodynamicznej Boston Heart, z diagnozą krańcowego stadium

miażdżycy tętnic.

Poszczególne fragmenty łąmigłówki zaczynały układać się w logiczną całość. Symptomy choroby Nellie, jak informowała jej karta, wskazywały na klasyczną dusznicę bolesną, natomiast ból według jej własnego opisu różnił się dalece od typowego. Dlaczego nie zapisano tego w dokumentacji? Jej rodzice dożyli pięćdziesiątki. Czy kiedykolwiek spotkał osobę chorą na serce, która mogłaby się poszczycić takim wiekiem? O ile pamiętał, to nigdy.

Numer telefonu Nellie znalazł w jej liście.

–Halo, tu Nellie Hennessey – usłyszał jej głos.

–Nellie, mówi doktor Holbrook. Dzwonię ze szpitala.

–Jak to miło, kochanie. Czy wszystko w porządku?

–W najlepszym. Właśnie przeglądałem listę twoich marszów, którą mi dałaś, i zauważyłem, że jeden z nich odbyłaś tuż przed stwierdzeniem u ciebie choroby serca.

–Tak było – odparła bez zastanowienia. – Dwadzieścia pięć mil na rzecz AIDS.

–Czy w czasie tego marszu odczuwałaś bóle serca?

–Chyba nie. Nie przypominam sobie. Chciałabym podkreślić, doktorze, że ja nigdy nie miałam bólów w klatce piersiowej. Mój zaczynał się w barku i trochę promieniował w stronę szyi. Tak naprawdę to zaczęło mi się poprawiać, zanim jeszcze doktor Jessup zrobiła mi tę koronarografię, która wykazała zmiany.

Ponieważ ból nie brał się z serca! Brian omal nie wykrzyczał swojego odkrycia.

–Nellie, bardzo mi pomogłaś. Mam nadzieję, że twój następny marsz przyniesie świetne wyniki.

–To jeszcze nie będzie ten, który pana ucieszy – powiedziała. – Tamten będzie następny.

–Nie rozumiem.

–Dwudziestego pierwszego grudnia odbywam doroczny marsz gwiazdkowy po Bostonie. Za każdym razem w innym celu dobroczynnym.

–Na czyją rzecz w tym roku?

–Myślałam, że pan wie – odparła. – Na rzecz Boston Heart Institute.

Brian zapakował na powrót rzeczy do walizeczki i usiadł zamyślony, bezwiednie polerując ściereczką rewolwer. Jeśli jego teza była słuszna – a tylko do niej pasowały wszystkie fakty – siedemdziesiąt pięć procent pacjentów Drugiej Fazy eksperymentów z vasclearem, będących w grupie beta, w ogóle nie miało choroby serca. To było owe siedemdziesiąt pięć procent, które wykazywało ów popisowy „postęp”. Bóle, które przyprowadziły ich do Carolyn Jessup, pochodziły z zapalenia kaletki albo z zapalenia przelyku, albo z nieżyty żołądka, albo z zapalenia opłucnej, albo z którejkolwiek dolegliwości o objawach podobnych do tych, które występują w chorobach serca.

Z elektronicznym „spreparowaniem” elektrokardiografu, tak żeby produkował wykresy testu wysiłkowego, świadczące o chorobie tętnic wieńcowych, nie było wielkiego problemu. Ale co z arteriogramami oglądanymi w pracowni hemodynamicznej? Jessup nie była jedyną osobą śledzącą ekran monitora. Zawsze asystowały przynajmniej dwie inteligentne, wykwalifikowane pielęgniarki, był obecny doświadczony technik od aparatury, nie mówiąc o studentach, stażystach, rezydentach i prywatnych kardiologach obserwujących badanie. Przecież ludzie ci oglądali tysiące takich zabiegów. Wszyscy oni mogli zorientować się, czy wynik badania był pozytywny, czy negatywny i w jakim stopniu.

Czy arteriogram mógł być fałszowany w trakcie badania? Czy istniała możliwość wpływania na jego kształt?

Nie! – odpowiedział sam sobie. Nie ma takiej możliwości... chyba że oglądany na monitorze wykres był arteriogramem innego pacjenta.

Brian wyjął z szuflady małego biurka blok papieru i zaczął układać list do Teri, zawierający kwintesencję jego domysłów na temat vasclearu. Napisawszy kilka zdań, odłożył pióro i sięgnął po telefon, próbując po raz ostatni połączyć się z Teri. Odezwała się po pierwszym dzwonku.

–Halo, to ja – powiedział.

Ulga na dźwięk jej głosu uświadomiła mu, jak bardzo się o nią niepokoił.

–Brian, właśnie weszłam i wysłuchałam wiadomości od ciebie. Już miałam zadzwonić na twój pager. Co u ciebie? Czy Phil się znalazł?

–Nie daję znaku życia. Teri, tu jest w tej chwili kocioł i, o ile wiem, rzecz się toczy wokół vasclearu i Newbury Pharmaceuticals. Kiedy przyjeżdżasz?

–Nie wcześniej niż w sobotę rano.

–Nie mogłabyś jutro?

–Brian, chciałabym bardzo, ale to niemożliwe.

–Trudno. Czy w takim razie możesz teraz ze mną porozmawiać?

–Naturalnie. O co chodzi?

–Zdaje mi się, że Art Weber i Carolyn Jessup sfalszowali wyniki Drugiej Fazy doświadczeń z vasclearem. Myślę, że większość pacjentów grupy beta nigdy nie chorowała na serce. Myślę również, że w ogóle nie podawano im tego leku.

–To niemożliwe. Sprawdzaliśmy arteriogramy i zapisy akcji serca. Robiliśmy wywiady z pacjentami. Czy masz jakiś przekonujący dowód?

–Za moment zejdę do taśmoteki i spróbuję zdobyć. Zadzwoń do ciebie, jak tylko coś znajdę.

–Dobrze. Czekam w domu. Bądź ostrożny, Brian. Nie rób niczego ryzykownego.

Brian wsunął rewolwer z powrotem do kieszeni fartucha laboratoryjnego i powiadomił sekretarkę oddziałową, że przez następną godzinę będzie pod pagerem. Zszedł o sześć kondygnacji w dół, już mniej ostrożnie, do taśmoteki pracowni hemodynamicznej – jedyne miejsce, gdzie spodziewał się znaleźć potwierdzenie swojej tezy.

Art Weber wydawał się pewny, że kupił Briana – przynajmniej do momentu rejestracji preparatu. W konsekwencji rozkaz „wytropić i zlikwidować”, wydany Leonowi i jego szajce, mógł zostać cofnięty. Przy odrobinie szczęścia, zanim Weber zorientuje się, że się przeliczył, Brian może być już bezpiecznie daleko, mając w ręku dowody, których potrzebował, żeby wysadzić w powietrze podstawy oszustwa na skalę miliardów dolarów.

W suterenie nie było nikogo. Wszędzie panowała kompletna cisza. W końcu długiego korytarza, za kantiną z automatami, gdzie znajdowała się zwierzętarnia, wszystkie światła były wyłączone. Brian zatrzymał się na klatce schodowej. Nie chcąc popełnić poprzedniego błędu, rozejrzał się najpierw po ścianach i suficie korytarza, czy nie zobaczy gdzieś kamer. Upewniwszy się, że nie ma żadnej, poszedł w stronę drzwi taśmoteki. Nękała go myśl, że Leon oraz inni z Newbury mogą w tym momencie znajdować się o kilkanaście stóp pod nim.

Do taśmoteki można było wejść albo z pracowni, albo bezpośrednio z korytarza. Brian postanowił wejść od strony korytarza. Podobnie jak większość zabezpieczonych pomieszczeń w BHI, taśmoteka zaopatrzona była w szyfrowy zamek. Brian wybrał swój kod i szybko wśliznął się do ciemnego pomieszczenia bez okien. Zanim zapalił światło, oświetlił latarką kieszonkową ściany i sufit. Nie zauważył żadnej kamery, natomiast pośrodku sufitu dostrzegł kratkę. Prawdopodobnie

stanowiła część urządzenia klimatyzacyjnego. Wszedł po cichu na krzesło i próbował przyjrzeć się jej. Jeśli tam znajdowała się kamera, to tak głęboko osadzona, że nie było jej widać. Przez moment się wahał, ale w końcu wzruszył ramionami i włączył górne oświetlenie. Skoro posunął się tak daleko, nie miał czasu do stracenia.

Pomieszczenie było długie – miało ponad dwadzieścia cztery stopy – i wąskie. Dwie trzecie przestrzeni zajmowały półki z taśmami wideo w tekturowych pudełkach, z przodu zaś stały dwie przegładarki Vangarda. Brian włączył obie i w skorowidzu dziennika badań wyszukał numery taśm Nellie. Robiono jej koronarografię w sumie cztery razy: pierwszy raz przed rozpoczęciem kuracji vasclearem, potem po sześciu miesiącach, po roku i po dwóch latach przyjmowania lekarstwa.

Nie miał kłopotów z odszukaniem wszystkich czterech taśm. Umieścił w jednej z przegładek taśmę ze wstępnego badania Nellie, w drugiej zaś z badania po dwóch latach, w czasie którego sam asystował. Potem powoli puścił obie taśmy, zatrzymując je przy pierwszym ujęciu – lewym, przednim, ukośnym – zrobionym bezpośrednio po wstrzyknięciu barwnika do prawej tętnicy wieńcowej. Przy osobnym oglądaniu obu ujęć nie dawało się zauważyć niczego nienormalnego. Na taśmie ze wstępnego badania widać było zaawansowaną miażdżycę w odgałęzieniach prawej tętnicy wieńcowej. Taśma po dwóch latach pokazywała naczynia krwionośne w dobrym stanie, wprawdzie nie całkowicie czyste, lecz odpowiadające wiekowi pacjentki.

Dopiero dokładne porównanie obu taśm demaskowało oszustwo. Arteriogramy pochodziły od różnych pacjentów. Brian przejrzał pierwszą i ostatnią taśmę, potem obie pozostałe, które były niemal identyczne z ostatnią. Taśma ze wstępnego badania – tego, które decydowało o objęciu Nellie doświadczeniami z vasclearem – okazała się sfingowana. Podobieństwo było daleko posunięte, wybrane przez osobę, która miała dostęp do znacznej liczby przypadków chorobowych i znała doskonale anatomię układu sercowo-naczyniowego. Jednakże układ naczyń krwionośnych każdego człowieka jest niepowtarzalny, co oznacza, że przy bardzo wnikliwym porównaniu widać różnice. Z zestawienia układu naczyń Nellie na wszystkich późniejszych arteriogramach wynikało wyraźnie, że pierwszy jest inny. W jakiś sprytny sposób na monitorze koronarograficznym badanego pacjenta pokazywany był arteriogram innego chorego.

–Niesłychane – wyszeptał Brian. – Absolutnie niesłychane.

Siedział przez jakiś czas, trawiony mieszanym uczuciem gniewu i żalu. Jeśli to była prawda, pozbawił swojego ojca szans na pozytywny rezultat operacji chirurgicznej i zaryzykował swój własny powrót do zawodu po to tylko, żeby wstrzykiwać Jackowi lekarstwo o skuteczności nieróżniącej się od soli fizjologicznej. Nic dziwnego, że Carolyn Jessup upierała się, żeby skierować Jacka na operację. Wiedziała, że vasclear podawany testowanej grupie pacjentów był jałowy. Przykłady

fantastycznych wyleczeń dotyczyły pacjentów, którzy nigdy nie chorowali na serce.

Brian przewinął taśmy, schował je do pudełek i dwie – z badania po sześciu miesiącach i po roku – umieścił z powrotem na ich miejscach na półce. Trzymając dwie pozostałe w lewej ręce, wyłączył przeglądarki, zgasił światło i ostrożnie uchylił drzwi prowadzące na korytarz.

Mimo że filmy z badań Nellie Hennessey nie stanowiły jeszcze niezbitego dowodu, to jednak były dostateczną podstawą do odwołania uroczystości zatwierdzenia vasclearu i przyprowadzenia Teri, jej szefa i innych ekspertów w dziedzinie kardiologii do taśmoteki w poszukiwaniu innych przykładów oszustwa. Przypuszczał, że powinni byli znaleźć około stu

siedemdziesięciu innych przypadków, w których arteriogramy pacjentów wykonane przed kuracją vasclearem wykazywały odmienność anatomiczną badanych w stosunku do późniejszych. Art Weber i jego mocodawcy z Newbury nie wiedzieli jeszcze, że ich los wisi na włosku.

Na korytarzu panowała cisza. Brian wsunął bark między drzwi i futrynę i uchylił je szerzej. Nic. Pozostawało mu tylko przedostać się na oddział kliniczny i ukryć obie taśmy w dyżurce. W porannym tłumie nie będzie miał kłopotów z wywiezieniem ich ze szpitala.

Otworzył szerzej drzwi i wyszedł na korytarz. W tym momencie otrzymał miażdżące uderzenie ciężką kolbą pistoletu w lewy przegub. Poczł elektryzujący ból, który sparaliżował mu palce. Pudełka z taśmami wideo zagrzechotały na terakotowej posadzce.

Chwycił zdrową ręką przegub i rzucił się w tył, trafiając na ścianę, która uchroniła go od upadku. O parę kroków od niego stało widmo – chudy rewolwerowiec, którego, jak mu się wydawało, już dwa razy śmiertelnie ranił; najpierw w lesie pod Nowym Jorkiem, a potem w saloniku swojego własnego mieszkania. Przez jego twarz, od linii włosów po kącik ust, przebiegała karykaturalna, fioletowa rana, rozdymająca oko i zmieniająca kolor policzka. Wygolona kępka włosów na głowie odsłaniała brzydką szramę, zszytą rzędem starannie wykonanych szwów.

Mężczyzna krzyknął po rosyjsku do kogoś, kto znajdował się wewnątrz pracowni hemodynamicznej, pozbawiając tym samym Briana drugiej drogi ucieczki. Brian, próbując potrząsaniem ręki przywrócić w niej czucie, zorientował się, że ma tylko sekundy na jakiegokolwiek działanie. Jednym ruchem sięgnął zdrową ręką do kieszeni, wycelował broń w stronę bandyty i strzelił. Pocisk trafił Rosjanina w sam środek klatki piersiowej. Zachwiał się, oczy mu się poszerzyły pod wpływem strachu, bólu i niedowierzania. Z ust wypłynęła strużka krwi. Zaczł się osuwać na kolana. W tym momencie drzwi do pracowni hemodynamicznej stanęły otworem.

Brian wyciągnął rewolwer z kieszeni płaszcza i strzelił dwa razy w stronę wejścia. Potem cofnął się o dwa kroki i zawracając, żeby pobiec korytarzem, strzelił jeszcze raz.

Biegając, usłyszał za sobą huk strzału, potem drugi. Ze ściany, tuż przy jego twarzy, posypały się kawałki betonu. Płaszcz falował za nim jak grzywacze na wzburzonym morzu. Skręcił i popędził długim holem w kierunku głównego budynku szpitala. Słyszał odgłos kroków ścigającego. Ktokolwiek to był, za sekundę będzie miał łatwy cel. Brian instynktownie skręcił w prawo na schody prowadzące do piwnicy. Niewykończony, betonowy korytarz był pusty. Przebiegł obok pralni zamykanej na noc stalową, harmonijkową kratą. Kroki dudniły teraz na schodach, ale Brian, biegnąc w tenisówkach, zyskał pewną przewagę.

W prawo od głównego korytarza rozciągało się przejście oznaczone napisem WĘZEL ENERGETYCZNY. Brian, szukając gorączkowo kryjówki, pobiegł nim, nie mając pojęcia, dokąd prowadzi. Zobaczył wąską, stromą klatkę schodową biegnącą na wyższy poziom. U jej szczytu panowała ciemność, która wydawała się zapewniać jakieś takie schronienie, a przy tym stwarzała możliwość strzelania z góry do ewentualnego prześladowcy. Wspinał się po betonowych schodach, biorąc po dwa stopnie naraz i próbując sobie przypomnieć, ile

pocisków wystrzelił i ile mogło się mieścić w magazynku rewolweru.

Dotarł do szczytu schodów i zanurzył się w mroku. Schody kończyły się małym podestem, przylegającym do ciężkich, stalowych drzwi. Starając się przewyciężyć brak tchu i lodowaty uścisk strachu, którego nie mógł opanować, przywarł ciałem do drzwi. Czy był widoczny z dołu? Zdawało mu się, że nie, ale nie miał pewności. Pewny był tylko tego, że przed chwilą zastrzelił człowieka. Zastanowił się nad własną reakcją, nad tym, czy ma wyrzuty sumienia, ale nie potrafił wykrzesać z siebie takiego uczucia. Jego ojciec nie żył na skutek bezwzględnej żądzy zysku tych ludzi – podobnie jak Bill Elovitz i Angus MacLanahan. Jeśli będzie musiał jeszcze raz zabić, nie zawaha się.

Usiadł na podłodze, oparty plecami o stalowe drzwi. Z dołu nie dobiegały żadne dźwięki. Czy ktoś się tam przyczaił? Skąd, u diabła, wiedzieli, że jest w pomieszczeniu z taśmoteką? Za kratką w suficie musiała znajdować się kamera. Nie było innego wytłumaczenia. Minęła minuta. Nic się nie działo. Brian zdjął płaszcz laboratoryjny i zwinął pod sobą. Ciemnozielony strój szpitalny był trudniejszy do zauważenia w mroku niż biały płaszcz. Po chwili usłyszał w korytarzu chrobot walkietalki i krótką wymianę informacji po rosyjsku. Sekundę później dostrzegł w dole Leona, z pistoletem gotowym do strzału. Bandyta rzucił pobieżne spojrzenie w górę schodów.

Brian wstrzymał oddech i uniesioną w górę ręką wymacał metalową sztabę, która

mogła stanowić zamknięcie drzwi. Powoli popchnął ją. Drzwi odemknęły się odrobinę. Poczł powiew świeżego, wilgotnego powietrza. Czy to możliwe, żeby drzwi otwierały się na zewnątrz? Pchnął odrobinę mocniej. Drzwi otwarły się szerzej, powodując głośny, metalowy szczęk. Sekundę później u stóp schodów pojawił się Leon z wycelowanym w górę pistoletem. Brian strzelił pierwszy. Morderca rzucił się w tył, ale zaraz znalazł się za rogiem, strzelając dziko w górę schodów. Jeden z pocisków odbił się rykoszetem od ściany, uderzając w drzwi. Brian, wciąż przykucnięty, pchnął drzwi, otwierając je szerzej, i dwukrotnie nacisnął spust rewolweru, z lufą wycelowaną w dół schodów. Pierwsze przyciśnięcie zakończyło się strzałem, drugie – zaledwie suchym trzaskiem iglicy.

Leon wychylił się z ukrycia i strzelił, ale Brian był już za drzwiami. Na zewnątrz padał zimny deszcz. Znalazł się na podeście niskich schodków, w przejściu między budynkami, na obrzeżu szpitala. Lewa strona pasażu kończyła się ślepo, z prawej słyhać było hałas ruchu ulicznego. Rzucił rewolwer i pobiegł w tamtą stronę. Czując płomień w piersi, przeciął pustą, splukaną deszczem ulicę i teren jakiejś budowy. Nie było mowy, żeby mógł w dalszym ciągu uciekać w tym tempie.

Przed nim rozciągał się gęsty, sięgający mu do ramion żywopłot, otaczający blok mieszkalny. Zebrał wszystkie siły, jakie mu pozostały, i spróbował szczupakiem przeskoczyć krzaki, ale mu się nie udało i zaplątał się w gałęzie. Przemoknięty i podrapany upadł ciężko na ziemię po drugiej stronie, chwytając łapczywie powietrze.

Rozdział 36

Przez następne piętnaście minut Brian leżał w deszczu na rozmięklej ziemi, spoglądając przez żywopłot w stronę odległego o dwieście jardów szpitala. Był przemoczony do nitki. Nie widział nigdzie Leona, ale wiedział, że to było złudne. Zbiry z Newbury Pharmaceuticals z pewnością zostały już zmobilizowane i przeszukiwały teren, chcąc dostać go w swoje ręce. Powrót do White Memorial nie wchodził w grę. Weber i jego poplecznicy w BHI musieli już do tej pory zaalarmować szpitalną służbę bezpieczeństwa, a może nawet policję.

Było pewne, że zdołają sfabrykować odpowiednią wersję morderstwa w suterenie BHI, wskazującą na niego jako sprawcę.

Podniósł się i usiłował pogimnastykować żeby rozgrzać mięśnie ramion i pleców. Czuł ból w kolanie, będący rezultatem biegu. Krople deszczu rozpryskiwały się na płytkich zadrapaniach na jego rękach, nie pozwalając, żeby krew zakrzepła. W tym momencie odezwał się sygnał pagera. Wzywano go na oddział kliniczny. Uprzytomnił sobie, że to jest pager alarmowy. Na szczęście miał przy sobie również portfel, schowany w tylnej kieszeni stroju szpitalnego.

Poszedł do pobliskiego sklepu samoobsługowego, nie zwracając uwagi na podejrzliwy wzrok kasjera, który rozmieniał mu dolara na drobne. Potem zadzwonił do sekretarki oddziału.

–Jestem poza szpitalem i dziś już nie przyjdę – powiedział. – Powiadom dyżurną rezydentkę w White Memorial. Powiedz jej, że musi radzić sobie bez pagera alarmowego.

Skończył rozmowę, nie dając sekretarce czasu na odpowiedź, potem zatrzymał taksówkę i pojechał do Freemana Sharpe'a. Komplet jego kluczy, wśród których były również klucze do mieszkania Sharpe'ów, spoczywał w walizeczce ukrytej pod łóżkiem w dyżurce. Gdyby Freeman i Marguerite nie było w domu, Brian byłby skazany na wałęsanie się nocą w przemokniętym stroju szpitalnym po niebezpiecznych ulicach Roxbury. W tym momencie niedawno zakończony rok nudnej pracy w Speedy Rent-A-Car przestał mu się wydawać taki nieznośny.

Ulica, przy której mieszkał Freeman, była wyludniona.

–Halo? – usłyszał w interkomie głos przyjaciela.

–Freeman, to ja, Brian.

–Hej.

Freeman nacisnął guzik elektrycznego zamka. Marguerite westchnęła, widząc stan Briana.

–Jeżeli któregoś dnia przyjdiesz do nas w eleganckim garniturze – powiedziała – to od razu przynieś z sobą sole trzeźwiące.

Brian umył się pod prysznicem, ubrał się w dżinsy i koszulkę sportową, które wyjął z worka zabranego ze swojego mieszkania, a potem zasiadł w saloniku, owinięty kocem, z kubkiem gorącej kawy w ręce.

–Zabiłem w szpitalu człowieka – oznajmił bez żadnego wstępu.

–Któregoś z tamtych? – spytał Freeman.

–Tego, który był w moim mieszkaniu. Trafiłem go w pierś z rewolweru, który zabrałem mu dziś rano.

–Przynajmniej nie będzie już cierpieć z powodu rozbitej głowy. Powiedziałem ci, Brian. Tacy ludzie działają bezwzględnie, w dodatku wypowiedzieli ci wojnę. Masz prawo walczyć z nimi tak samo, jak oni z tobą, czyli bez zasad. Czy już wiesz, o co im chodzi, dlaczego uważają, że jesteś dla nich niebezpieczny?

–Wiem, ale nie udało mi się zdobyć dowodu. Jeśli chodzi o niebezpieczeństwo grożące im z mojej strony, to mają wszelkie podstawy do obaw.

–Powiedz, czego się dowiedziałeś.

–Brak mi jeszcze kilku szczegółów, ale generalnie kluczem do zagadki jest fakt, że po dopuszczeniu leku do powszechnego użytku niezwykle trudno wstrzymać jego sprzedaż. Po prostu nie da się tak od razu wycofać z rynku lekarstwa tylko dlatego, że nie jest skuteczne. Większość współczesnych lekarstw jest kiepska. Niektóre z nich są całkowicie nieskuteczne. Co gorsza, nikogo to nie obchodzi. Sęk w tym, że nikt w środowiskach naukowych, nawet w FDA, nie ma czasu albo nie widzi interesu, żeby przeprowadzać żmudne badania, a potem śledzić efektywność większości medykamentów, jeżeli nie są szkodliwe. Łacińskie przysłowie, cytowane na studiach medycznych brzmi: *Primum non nocere* - przede wszystkim nie szkodzić. Większość ludzi mających wszelkie możliwe dolegliwości odczuwa poprawę niezależnie od rodzaju przyjmowanych lekarstw albo nawet pomimo ich przyjmowania. Pozostali, których stan jest poważniejszy, są zwykle na równoległych terapiach, leczeni różnymi środkami. W tych warunkach powiedzieć z całą pewnością, które lekarstwo jest skuteczne, a które nie, jest prawie niemożliwe.

–Przecież vasclear jest skuteczny – zdziwiła się Marguerite.

Brian potrząsnął przecząco głową.

–Sęk w tym, że nie – odparł. – Naukowcy z BHI sfalszowali wyniki testów. Vasclear jest całkowicie nieskuteczny. Co gorsza, okazał się szkodliwy. Niektórzy spośród pierwszych pacjentów, którym go podawano, z początku wykazali poprawę, ale wkrótce zapadli na śmiertelną chorobę płuc.

–Dlaczego więc go lansują? – spytał Freeman.

–Myślę, że obaj dobrze wiemy dlaczego. Opracowanie nowego leku, przetestowanie i w końcu wypromowanie kosztuje przynajmniej sto milionów dolarów. Jeśli informacja twojego kumpla Cedrica, wyjaśniająca, kto się kryje pod szyldem Newbury Pharmaceuticals, jest prawdziwa... a chyba się nie myli... to nie sądzę, żeby ci ludzie łatwo pogodzili się ze stratą stu milionów. Muszą tylko doprowadzić do tego, żeby lek trafił na rynek, wtedy pieniądze zaczną płynąć szeroką rzeką. Minie rok, jeśli nie więcej, zanim ludzie zaczną podejrzewać, że lek nie jest skuteczny. Zanim zostanie wycofany, może upłynąć kilka lat.

–O ile nie okaże się szkodliwy – zauważyła Marguerite.

–Nie pomogą przykłady ludzi, którzy nie poddadzą się operacji, licząc na cudowną terapię vasclearem, tak jak to było z moim ojcem, więc w sumie masz rację... dopóki nie okaże się szkodliwy.

–A co z pacjentami Pierwszej Fazy? Z tymi, którzy zachorowali? – spytał Freeman.

–Stanowią niebezpieczeństwo. Im dłużej pozostają na scenie, tym bardziej rośnie możliwość, że ktoś zacznie zadawać pytania na temat ich dziwnych dolegliwości płucnych i wpływu vasclearu na te choroby. Domyślam się, że ktoś, prawdopodobnie Weber, kontroluje badania krwi pacjentów Pierwszej Fazy. Jeśli morfologia u kogoś zaczyna budzić podejrzenia, pacjent zostaje zlikwidowany.

–Masz jakiś dowód?

–Miałem go w ręce. Dwa filmy z pracowni hemodynamicznej szpitala. – Opowiedział im o sfalszowanej taśmie z koronarografii Nellie. – Wtedy omal nie zostałem zabity. Przypomniało mi się... włączmy telewizor i spróbujmy posłuchać najświeższych wiadomości.

–Zaraz włączę – powiedziała Marguerite – chociaż najbliższe będą nie wcześniej niż za piętnaście minut.

Nie trzeba było skakać po kanałach ani czekać piętnastu minut. Lokalna stacja telewizyjna zapowiedziała wydanie specjalne pod tytułem: „Sądny dzień w Boston Heart”, jak głosił napis nad głową prezenterki. Brian wraz z przyjaciółmi siedzieli w milczeniu, czekając, aż nastąpi połączenie z reporterką telewizyjną w szpitalu.

„Mówi Lina Fallin z ekipy miejscowych wiadomości. Nadajemy reportaż na żywo ze szpitala White Memorial w Bostonie, gdzie zastrzelono dwóch mężczyzn, a część Boston Heart Institute została zniszczona przez pożar. White Memorial jest tym szpitalem, do którego za dwa dni ma przybyć prezydent, żeby wziąć udział w rejestracji nowego, rewelacyjnego środka, opracowanego i przetestowanego w Boston Heart. Na razie nie wiadomo, czy morderstwa mają związek z prezydencką wizytą, czy nie.

Tożsamość jednej z ofiar, strażnika ochrony szpitala, nie została jeszcze potwierdzona. Drugą ofiarą, spaloną w stopniu niemal uniemożliwiającym identyfikację, jest doktor Philip Gianatasio z Bostonu, kardiolog w instytucie Boston Heart, który zaginął wcześniej tego samego dnia. Wprawdzie nie ma jeszcze oficjalnego stwierdzenia przyczyny jego zgonu, ale obecny na miejscu zbrodni policjant powiedział, że śmierć nastąpiła od kuli, a nie od ognia, który doszczętnie zniszczył pomieszczenie dokumentacji filmowej w suterenie instytutu. Pożar ograniczył się do tej jedynej strefy”.

–O Boże, nie! – krzyknął Brian, chowając twarz w rękach. – Och, Phil. Kurwa! Nie!

Marguerite wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie. Żadne z nich nie miało wątpliwości, co teraz nastąpi.

„Lina, czy policja podejrzewa kogoś i czy wiadomo, jaki był motyw zbrodni?” – spytała prezenterka.

„Szczegóły nie są jeszcze znane, Paula, ale policja poszukuje lekarza, również kardiologa, o nazwisku Brian Holbrook, który miał dziś w nocy dyżur w szpitalu, a przed paroma godzinami przekazał telefonicznie informację, że wyszedł ze szpitala i już nie wróci”.

Brian zmienił kanał.

„... na miejscu przebywa obecnie inspektor policji z Dracut, który za piętnaście minut wygłosi oświadczenie dla mediów. Powtarzam wiadomość, że policja znalazła przedmiot, mogący stanowić narzędzie zbrodni – rewolwer, zgubiony prawdopodobnie przez mordercę

podczas ucieczki z miejsca zbrodni. Trwają poszukiwania doktora Holbrooka, który w przeszłości był narkomanem i któremu dopiero niedawno Komisja do spraw Rejestracji i Specjalności w Medycynie przywróciła prawo wykonywania zawodu”.

„Bill, czy Biały Dom został powiadomiony o tej tragedii i jaki to będzie miało wpływ na sobotnią uroczystość?”. „Na razie nic nie...”

Brian, zszokowany i wściekły, wyłączył telewizor.

–Ogromne pieniądze i nieliczenie się z ludzkim życiem – powiedział Freeman. – To najgorsze połączenie.

–Naćpany doktor wpadł w szal – skomentował Brian. – Jak sprytnie pomyślane. Trudno w to nie uwierzyć. Jeśli nawet dostanę się w ręce policji, Weber i jego kompania znajdą sposób, żeby się do mnie dorwać.

–Na to wygląda – stwierdził Freeman. – Masz jakiś atut? Choćby najdrobniejszy?

–Karty chorobowe zniknęły, filmy spalone, Phil nie żyje. Zanim uda mi się kogokolwiek przekonać, żeby uwierzył w moją wersję, będę już martwy.

Podniósł słuchawkę i zadzwonił do Phoebe, budząc ją ze snu.

–Zrób wszystko, co możesz, żeby ochronić dzieci – powiedział, ubłagawszy ją przedtem, żeby uwierzyła, iż nie jest w transie narkotycznym i że nie zrobił nic więcej poza zastrzeleniem rewolwerowca w samoobronie. – Skontaktuję się z tobą, kiedy będę mógł. Przepraszam cię za to, co się dzieje.

Zapadła dramatyczna cisza, ale przynajmniej powstrzymała się od swoich normalnych wymówek.

Brian oglądał wiadomości przez następne półtorej godziny, ale dowiedział się niewiele więcej. Pożar był precyzyjnie zaplanowany. Czujniki dymu zostały pozaklejane, setki arteriogramów wyrzucono ze swoich pudełek na ciało Phila Gianatasia i podpalono.

Koło północy Ernest Pickard odczytał krótkie oświadczenie, zawierające ubolewanie z powodu zajścia i wzywające Briana do ujawnienia się. Później wystąpił Stan Pomeroy, szef personelu Białego Domu, z oświadczeniem, w którym komunikował, że jeśli nie wystąpią jakieś nowe okoliczności dotyczące podwójnego morderstwa, prezydent, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, weźmie udział w sobotniej ceremonii. Dodał, że zostaną podjęte specjalne środki bezpieczeństwa.

O pół do pierwszej Freeman i Marguerite poszli do łóżka. Brian wyłączył telewizor i zadzwonił do Teri. Nie spała i była zdenerwowana.

–Brian, niepokoiłam się o ciebie. Przed chwilą miałam telefon w tej sprawie.

–To nie ja podłożyłem ogień, Teri, a jedyny facet, którego zabiłem, próbował zabić mnie.

–W takim razie kto podłożył ogień i zamordował twój przyjaciela Phila?

–Ludzie z Newbury Pharmaceuticals.

–Brian, o czym ty mówisz?

Zrelacjonował jej wydarzenia wieczoru. Słuchała cierpliwie, ale kiedy skończył, powiedziała nagłaco:

–Brian, musisz wyjść z ukrycia. Jeśli mówisz prawdę, ludzie ci uwierzą.

–Nie mam dowodu. Absolutnie żadnego.

–Mogę zarządzić analizę wrywkowych próbek vasclearu. Czy to pomoże?

–Możliwe, ale podejrzewam, że będą zawierały chemikalia zbliżone do tych, które znajdują się w oryginalnych fiolkach. Ci ludzie są bardzo przewidujący.

–Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Brian. Znamy się bardzo krótko... sama nie wiem, co mam myśleć. Mimo wszystko sądzę, że powinieneś się ujawnić.

–Nie mogę tego zrobić. Jestem całkowicie pewny, że jeśli się ujawnię, zostanę wykończony. Teri, musisz przekonać ludzi, żeby mi uwierzyli.

–Masz jakiś dowód? Choćby najdrobniejszy?

–Nie, ale...

–Brian, proszę, nie żądaj tego ode mnie. Ujawnij się.

–Jeśli zdobędę dowód, to jak ci go dostarczyć?

–Przyjedź do Marylandu.

–Kiedy przylatujesz tutaj?

–W sobotę. Uroczystość ma się zacząć o ósmej, w Katedrze Hipokratesa.

–Spróbuję się z tobą skontaktować. Teri, nie zrobiłem niczego złego. Musisz mi uwierzyć.

–Staram się – powiedziała.

Brian odłożył słuchawkę i opadł na kanapę. Kiedy obudził się po pięciu godzinach, był przykryty kocem. W mieszkaniu unosił się aromat świeżo zaparzonej kawy i smażonych kiełbasek.

–Hej, cieszę się, że trochę odpocząłeś – usłyszał głos Marguerite. – Freeman bierze prysznic.

–Dziękuję. Masz dzisiejszą gazetę?

–Mam, ale lepiej jej nie czytaj.

–Jeśli to jest „Globe”, to przeczytam. Jeżeli „Herald”, to nie wiem.

–To „Globe”, ale różnica między nimi jest niewielka, przynajmniej jeśli chodzi o tego rodzaju wiadomości.

Brian nalał sobie kawy do filiżanki, oglądając własne zdjęcie na pierwszej stronie. Na ironię było to zdjęcie, które złożył wraz z podaniem o przyjęcie do pracy w White Memorial.

–Pomyśleć, że kiedyś byłem zmartwiony, jeśli prasa nie informowała dostatecznie szeroko o moich wyczynach piłkarskich – powiedział. – To będzie wstrząs dla dziewczynek.

Freeman w szlafroku wyłonił się z sypialni, wycierając ręcznikiem mokre włosy.

–Przeżyliśmy jeszcze jeden dzień – rzucił.

–Znam dewizę AA... Każdy dzień bez kieliszka albo narkotyku jest dobry, ale mam poważne wątpliwości co do wczorajszego.

–Masz rację. Czy już coś postanowiłeś?

Freeman usiadł obok i nalał sobie soku.

–Czy znasz w szpitalu kogoś, komu mógłbyś zaufać?

–Tylko Philowi – Brian wskazał palcem na zdjęcie Phila w gazecie. – Może jeszcze temu megalomańskiemu chirurgowi, który starał się uratować Jacka. Wszyscy inni są zawodowo albo finansowo związani z vasclearem. Czemu pytasz?

–Wiem, że rosyjska mafia potrafi bez zmrżenia oka zastrzelić faceta w sklepie spożywczym albo wysadzić w powietrze starego, chorego człowieka w jego własnym mieszkaniu, ale trudno uwierzyć, że wszyscy ci uznani lekarze są zdolni do tego samego lub to akceptują.

–Lub nawet o tym wiedzą! – powiedział ni stąd, ni zowąd Brian.

–Co masz na myśli?

Brian nie od razu odpowiedział. Freeman mógł mieć rację. W panczerzu vasclearu musiał być jakiś słaby punkt... ktoś, kto znał prawdę, ale nie do końca, nie wiedział o morderstwach pacjentów Pierwszej Fazy.

–Freeman, mówiłeś, że jeśli czegoś potrzebujesz, zawsze znajdziesz wśród AA albo w AN kogoś, kto ci to załatwi.

–Tak jest rzeczywiście.

–Czy gdybym ci podał nazwisko osoby, która ma zastrzeżony telefon, znalazłbyś kogoś, kto by mógł zdobyć numer tego telefonu, a przy tym adres tej osoby?

–Masz na myśli kogoś, kto ma dostęp do biura numerów?

–Tak.

Freeman i jego żona wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

–Jakie to nazwisko i w jakich okolicach mieszka?

–Mieszka gdzieś na Północnym Wybrzeżu... Salem, Marblehead, Beverly, Gloucester... w jednej z tych miejscowości. Nie wiem dokładnie.

–A nazwisko?

–Doktor Carolyn Jessup.

–Zobaczę, co się da zrobić. To może trochę potrwać.

–Nie szkodzi. I tak nie mam dokąd pójść. Poza tym, Freeman, chcę cię prosić, żebyś zdobył dla mnie trzy rzeczy.

–Pod warunkiem że jedną z nich nie jest pistolet.

–W rzeczy samej...

–Mówię poważnie, przyjacielu. Jeśli masz zamiar wypowiedzieć wojnę ludziom z Newbury, chcę, żebyś przedtem zainteresował tym policję. Jestem absolutnie pewny, że w obecnym stanie rzeczy twój pistolet spowoduje, że ty zostaniesz zabity.

–W porządku. Rezygnuję z pistoletu.

–Powiedz, czego jeszcze potrzebujesz, a ja zobaczę, co się da zrobić.

–Nic nadzwyczajnego. Potrzebuję samochodu z wypożyczalni, trzech lub czterech kopert poczty ekspresowej i telefonu komórkowego... prócz tego dużo szczęścia.

Rozdział 37

BOSTON HERALD

Lekarz-narkoman poszukiwany za podwójne morderstwo Prezydent nie odwołuje przyjazdu do Bostonu

Rzesłano listy gończe za byłą gwiazdą futbolową uniwersytetu Massachussets, Brianem Holbrookiem, obecnie należącego do personelu Boston Heart Institute. Holbrook, który przed osiemnastoma miesiącami pozbawiony został prawa praktyki za oszukańcze wypisywanie recept w celu zaspokojenia własnego uzależnienia narkotykowego, jest głównym podejrzanym w szokującej strzelaninie w szpitalu White Memorial, w rezultacie której zginęli: pracujący na niepełnym etacie strażnik szpitala oraz wybitny kardiolog doktor Philip Gianatasio, etatowy lekarz Boston Heart Institute.

W związku z zejściem w szpitalu źródła zbliżone do Białego Domu informują, że prezydent nie zmienił swojego zamiaru uczestniczenia w ceremonii przewidzianej na jutrzejszy wieczór w White Memorial.

Brian spędził cały ranek przy komputerze Freemana, pisząc szczegółowy raport o wszystkim, co się wydarzyło od dnia, w którym Jack został przywieziony na oddział pogotowia w White Memorial.

Zginęły karty chorobowe - pisał – a większość, o ile nie wszyscy, pacjentów Pierwszej Fazy nie żyje. Wierzę, że dokładne zbadanie wyników sekcji zwłok Wilhelma Elovitza ujawni zmiany w jego tętnicach płucnych, spowodowane nadciśnieniem płucnym, a dokładna analiza taśmy wideo, nakręconej przez kamerę w sklepie, wykaże, iż morderstwo zostało dokonane z premedytacją...

Dochodziła pierwsza, zanim skończył pisać i sporządził wydruk jedenastostronicowego dokumentu. Jedną z kopii przeznaczył dla „Globe”, drugą dla „Heralda”, trzecią dla rodziców Phila, a czwartą, ostatnią, dla Teri. Nie wydrukował kopii dla Freemana i Marguerite. Oni od początku byli po jego stronie. Jak powiedział Freeman – to była wojna. Brian nie mógł dopuścić, żeby kolejni jego przyjaciele stali się jej ofiarami.

Jedenastostronicowy raport dla „Globe” i „Heralda” przysłany przez narkomana poszukiwanego za morderstwo, niepotwierdzony żadnymi dowodami, oskarżający

producentów uznanego leku o oszustwo i wielokrotne zabójstwa – kto w to uwierzy? Dyrzymały świra, i to w dodatku niebezpiecznego. Nie mam szans, pomyślał Brian. Nie było najmniejszej szansy na to, żeby ktokolwiek potraktował jego słowa na serio. Gdyby nawet – wówczas właściwie ulokowana łapówka, szantaż albo kula rozwiążą wszelkie problemy.

Za oknem padało równo już drugi dzień z rzędu. Według prognoz taka pogoda może się utrzymać przez pięć, a nawet siedem najbliższych dni. Deszcz, słońce, jesień, dzieci, noc z Teri, Freeman i Marguerite... Wszystko to wydawało mu się w tej chwili dalekie. Podawanie piłki... słuchanie rytmu serca... przeżywanie kolejnych pór roku. Myślał o tym, czy nie miałyby

innego stosunku do wielu rzeczy w swoim życiu, wiedząc, że styka się z nimi po raz ostatni.

Ile w ciągu minionych, zwariowanych tygodni było tych ostatnich spotkań z Jackiem, których nie docenił?

Zadzwoił telefon. Brian zawahał się, potem podniósł słuchawkę. Dzwonił Freeman. W jednym z budynków pękła rura. Wróci za godzinę ze wszystkim, o co Brian prosił.

–Kiedy mi to przywieziesz – powiedział Brian – zmywam się natychmiast i będziesz miał mnie z głowy.

–Jeśli sądzisz, że będę protestował, to się mylisz – odparł Freeman. – Nie jestem typem bohatera.

Brian ubrał się i włożył mokre jeszcze tenisówki. Trzeba było rozpocząć przygotowania. Jeśli nadzieja pokładana w Carolyn Jessup się nie spełni i nie uda mu się przemówić jej do sumienia, to będzie musiał się ujawnić... albo uciekać. Pragnął porozmawiać z Teri. Nie mógł zostawić jej w niepewności. Z drugiej strony nie chciał, żeby ryzykowała dla niego swój autorytet i karierę. Sam zadba o własny interes. Jeżeli przegra, to przegra tylko on jeden.

Zastał ją w biurze.

–Teri, wysyłam ci kompletny meldunek na temat wszystkiego, co wiem w sprawie vasclearu. Tutejsze gazety otrzymają kopie. Może ktoś się zorientuje, że nie jestem szalony.

–Ciągle brak ci dowodu?

–Na razie tak, ale dziś się tym zajmę. Wczoraj pracowałem z Carolyn Jessup przy bardzo trudnym przypadku. Ona się opiekowała moim ojcem, zanim umarł. Jest fantastycznym lekarzem. Namawiała mnie, żeby operować Jacka, mimo że ja uparcie

protestowałem. Myślę, że wiedziała o tym, iż vasclear to lipa. Nie wiem, jak to się stało, że jest związana z ludźmi z Newbury, ale mam nadzieję, że zareaguje, kiedy się dowie, co oni wyczyniają.

–Mam też taką nadzieję... ze względu na ciebie. Czy mogłabym ci w czymś pomóc?

–Gdzie będziesz jutro nocowała?

–Nie będę. Wracamy natychmiast po ceremonii.

–To dobrze. Trzymaj się z daleka od tego wszystkiego. Phil postąpił inaczej i zobacz, jak skończył.

–Brian, czy na pewno czujesz się dobrze? Gazety piszą o tobie same obrzydliwości.

–Nie mogę teraz nic zrobić, Teri. Nie chciałem, żeby to się tak potoczyło, ale dopóki w jakiś sposób nie odkryję tej afery do końca, nie mam żadnych szans. Koperta powinna dotrzeć do twojego biura przed dziesiątą. Przeczytaj mój raport, a zobaczysz, jak się potem poczujesz.

–Dobrze. Uważaj na siebie. Nie działaj pochopnie.

Brian odłożył słuchawkę i zamknął oczy. Zaczął zapadać w drzemkę, kiedy przestraszył go szczęk klucza w zaniku. Uspokoił go dopiero zapach fajki Freemana. Za chwilę Sharpe wszedł do pokoju.

–Telefon komórkowy. Kluczyki do forda taurusa – oznajmił, celebrując wyciąganie kolejnych przedmiotów i układanie ich na stole. – Koperty poczty ekspresowej z twojego urzędu pocztowego. Adres i numer telefonu doktor Carolyn Jessup. Plan miasta, obejmujący również miasteczko Nahant.

–Nahant – powtórzył Brian w zamyśleniu. – Słyszałem, jak mówiła do kogoś, że mieszka

na Północnym Wybrzeżu, ale nie sądziłem, że w Nahant.

Nahant to wyspa, obecnie połączona z lądem milowej długości groblą. Pokryta była głównie skupiskami drewnianych domków, rozrzuconych po stokach rozlicznych wzgórz, ale prócz tego mieściła pewną liczbę wspaniałych rezydencji, położonych nad brzegiem morza, z widokiem na Boston i port. Pomyślał, że właśnie Nahant – dalekie, nieskazitelne, interesujące – pasowało w sam raz do Carolyn Jessup.

Wczesnym popołudniem Brian zakleił ostatnią z kopert i zostawił wszystkie na stole w kuchni.

–Dziękuję za to, co dla mnie uczyniłeś, Freeman – powiedział, ściskając rękę swojego kuratora. – Zważ na to, że odniosłeś pełen sukces. Mimo moich kłopotów nie tknąłem narkotyku ani alkoholu.

–Oby tak dalej – stwierdził Sharpe. – Możesz zawsze na mnie liczyć, mój przyjacielu. Kiedy zobaczysz się z tą kobietą w Nahant, zaraz zadzwoń. Używaj tego telefonu tak długo, jak będziesz potrzebował. Jeśli chodzi o samochód, to wiedz, że został ubezpieczony, prócz tego dorobiłem drugie kluczyki. W ten sposób będę miał oryginalny komplet, w razie gdyby ktoś ukradł wóz. A to na wszelki wypadek, gdyby ci się nie udało włamać do bankomatu.

Podał Brianowi kopertę.

–Jestem twoim dłużnikiem – oświadczył Brian bez zaglądania do wnętrza. – Kiedyś ci zwrócę.

–Nie daj się zabić. To mi wystarczy.

Brian zapakował do worka trochę rzeczy, telefon komórkowy i plan miasta.

–Gdyby ci się nie udało – spytał Freeman – czy wtedy zgłosisz się na policję?

–Nie wiem. Może najpierw obejrzę *Ściganego*, a potem zdecyduję.

–Przy twoim wzroście będziesz rzucał się w oczy bardziej niż Harrison Ford.

–Mów tak dalej.

Brian objął kuratora i przytrzymał chwilę w uścisku.

–Wóz stoi przed domem – powiedział na pożegnanie Freeman. – Pomyślałem, że chciałbyś mieć czarny.

–Doskonale.

–Pamiętaj, kolego, że Bóg nie zsyła na nas więcej, niż możemy wytrzymać.

–Przepraszam, że to mówię, Freeman – odparł Brian – ale mój ojciec i przyjaciel nie żyją, ja jestem poszukiwany za morderstwa, których nie popełniłem, więc to nie jest najlepsza pora, żebyś mi mówił o Bogu.

Rozdział 38

W ciągu czterdziestu pięciu minut jazdy do Nahant we wczesnopopołudniowym szczycie ruchu ulicznego Brian był napięty i uważny. Najdrobniejsza kolizja lub nieprzepisowa zmiana pasa mogła spowodować koniec jego wolności.

Czy rzeczywiście musi uciekać? Kiedy raz zacznie, nie będzie mógł liczyć na nagłe wybawienie, na triumf sprawiedliwości jak w filmach z happy endem. Vasclear – a w rzeczy samej jakieś nieszkodliwe, chemicznie spreparowane placebo z etykietą vasclearu – zostanie dopuszczony na rynek. Po kilku latach, a właściwie po przyniesieniu kilku miliardów dolarów zysku, vasclear po prostu zniknie, a na jego miejsce pojawi się na rynku inny obiecujący lek... Wszystko potoczy się gładko i nikt nie będzie wiedział, jaki los spotkał Jacka Holbrooka, Billa Eiovitza, Phila i wielu innych.

Brian jechał wzdłuż Lynnway, dwumilowego ciągu handlarzy samochodów, restauracji, myjni, linii wysokiego napięcia i stacji benzynowych. Było już po czwartej. Na moment przestało padać i ukazało się blade, zamglone, popołudniowe słońce. Nawet Lynnway wyglądał świeżo. Minął kompleks budynków mieszkalnych, ostatnią restaurację i znalazł się na grobli prowadzącej do Nahant. Z tyłu wyskoczył wóz policyjny, jadący na sygnale, z migającymi światłami. Brian poczuł, że serce w nim zamarło. Przyhamował potulnie, gotów się poddać. Tak miało już być do końca życia – gdyby postanowił uciekać.

Dzięki mapie od Freemana nie miał kłopotów z rozszyfrowaniem plątaniny wąskich uliczek przecinających miasteczko. Dom Carolyn Jessup stał nad wodą, przy końcu krótkiej, bocznej ulicy na południowowschodnim krańcu półwyspu. Był w miarę skromny, natomiast całkowicie odizolowany od sąsiedztwa i ruchu ulicznego starannie przystrzyżonym żywopłotem, wysokim na prawie osiem stóp. Jednopoziomowy dom przypominający budynki stawiane na ranczach, z pojedynczym, przylegającym garażem, stał na małym cyplu nad samą wodą, z dala od drogi. Frontowe okna były dość skromne, ale Brian spodziewał się, że z tylnych, które wychodziły na port i panoramę miasta, widok musiał być urzekający.

Nie chcąc zatrzymywać się dłużej w jednym miejscu, zrobił kilka rund ulicami miasta. Zanim zapadła ciemność i zapaliły się latarnie, znalazł odpowiednie miejsce, gdzie mógł zostawić samochód. Jediną szansą wydobywania prawdy od Carolyn Jessup była rozmowa z nią w cztery oczy.

Grobla stanowiła pewnego rodzaju pułapkę. Jeśli Jessup będzie zdecydowana chronić siebie i Newbury, to wiedząc, że Brian jest w pobliżu, może zadzwonić na policję, która zablokuje wylot grobli, zanim zdąży uciec z półwyspu. Nie chciał czekać w zaparkowanym samochodzie. Rutynowy patrol policyjny zwróciłby uwagę na

taurusa, gdyby zauważył, że ktoś w nim siedzi. Przez następną godzinę kilkakrotnie przejechał groblą na ląd i z powrotem, raz tylko ryzykując zatrzymanie się, żeby kupić hamburgera na wynos. Dwa razy minął się z wozem patrolowym policji z Nahant.

O dziewiątej zauważył, że w domu doktor Jessup zapaliły się światła. Włożył ciemną wiatrówkę i wysiadł z samochodu, zabierając z sobą telefon komórkowy. Przeszedł szybko

pustymi ulicami, okrążając dom, aby wyjść na jego tyłach, od strony wody. Był tam wąski, dobrze utrzymany trawnik, a dalej skaliste urwisko, opadające z wysokości około siedmiu jardów ku morzu. Pochmurne niebo powodowało, że ogródek tonął w ciemności, nieco rozjaśnionej odbijającymi się w wodzie światłami dalekiego miasta.

Zgodnie z przewidywaniami Briana południowa ściana budynku była niemal w całości oszklona, z tarasem przylegającym do kuchni. Poszedł na koniec ogródka, a potem zszedł po skałach nieco w dół, w stronę morza. Znalazł tam idealny punkt obserwacyjny, z którego widział dobrze kuchnię i salon. Wyjął z kieszeni karteczkę z numerem, chcąc zatelefonować, ale wstrzymał się, gdyż w tym momencie zobaczył doktor Jessup wchodzącą do kuchni.

Był od niej oddalony o piętnaście lub dwadzieścia jardów, ale nawet z tej odległości widział wyraźnie, że była niespokojna. Krążyła nerwowo po kuchni, mając na sobie wyjściową spódnicę i bluzkę. W pewnej chwili zatrzymała się, wyjęła z kredensu butelkę, nalała trochę płynu do kubka i wypła jednym łykiem. Nalała sobie powtórnie, ale zostawiła kubek na kredensie i podeszła do rozsuwanych drzwi, patrząc w stronę rozciągającego się za wodą miasta.

Brian zsunął się niżej po mokrym, skalistym urwisku. Było mu nieprzyjemnie, że ją podgląda, ale wiedział, że musi to robić, aby poczuć z nią pewną więź. Jessup wyglądała na wymizerowaną i zmęczoną. Zdjęła klamrę spinającą jej ciemne włosy i pozwoliła im opaść swobodnie. Brian doszedł do wniosku, że to stosowna chwila. Wybrał numer i widząc jej reakcję, doznał uczucia ulgi. Narkomani Freemana znowu się sprawdzili. Miała aparat przenośny, który stał we wnęce w rogu kuchni.

–Halo?

–Doktor Jessup, mówi Brian Holbrook.

Zesztywniała, słysząc jego nazwisko.

–Skąd masz numer mojego telefonu?

–Mam pętlę na szyi. Desperaci są bardzo zaradni. Przepraszam, że musiałem uciec się do takiego sposobu, ale, jak wiesz, znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Prawdę

mówiąc, nie mam do kogo się zwrócić.

–Powinieneś się zwrócić do policji, a nie do mnie.

–Doktor Jessup, proszę mnie wysłuchać. Wczoraj ratowaliśmy wspólnie życie pacjenta. Jesteś wspaniałym lekarzem. Myślę, że jesteś na tyle sprawiedliwa, żeby przynajmniej wysłuchać, co mam do powiedzenia. I jeszcze jedno...

–Co takiego?

–Myślę, że nalegając na mojego ojca, żeby poddał się operacji, chciałaś uratować mu życie.

W ciągu kilku sekund ciszy, która nastąpiła, Brian zobaczył, że wzięta do ręki kubek z drinkiem i opróżniła go.

–Nie wiem, co masz na myśli – powiedziała.

–To nie ja zabiłem Phila Gianatasia. Był moim bliskim przyjacielem. Musiałem natomiast zastrzelić człowieka, którego gazety przedstawiają jako strażnika ochrony szpitala, zatrudnionego na niecałym etacie. Możliwe, że to prawda, za to z całą pewnością pracował na

pełnym etacie w Newbury Pharmaceuticals, jako morderca na zlecenie. Zastrzeliłem go, ponieważ chciał mnie zabić. Chciał mnie zabić, kiedy wychodziłem z pomieszczenia z dokumentacją pracowni hemodynamicznej. Oglądałem arteriogramy Nellie Hennessey, zrobione przed rozpoczęciem kuracji i po niej. Wiem, że ten pierwszy nie był arteriogramem Nellie, doktor Jessup. Nie sprawdzałem dokumentacji innych pacjentów, ale gotów jestem założyć się, o co zechcesz, że dokładna analiza zapisów filmowych wykazałaby to samo. Phil również zaczął się domyślać, na czym to wszystko polega, dlatego musiał zginąć. Z tego samego powodu spalili taśmotekę.

–Kim są ci oni?

–Ludzie z Newbury. Myślę, że Weber jest w samym środku tego wszystkiego, co się dzieje, chociaż nie wydaje mi się, żeby to on kierował firmą.

Następna znamienna chwila milczenia. Jessup oparła się o lodówkę.

–Nie wierzę ci – powiedziała. – Jeśli kogoś posądzasz, to powinieneś pójść na policję. Mam już dość tej rozmowy. Odkładam słuchawkę...

–Proszę, nie! Doktor Jessup, proszę mnie tylko wysłuchać. Moje życie zależy od ciebie. Nie tylko moje... także życie wielu innych. Nie wierzę, że nie chcesz mnie nawet wysłuchać.

–Mów dalej – stwierdziła w końcu.

–Dziękuję – odparł. – Nie wiem, w jaki sposób ugrzęzłaś w tym tak głęboko, ale wydaje mi się, że nie do końca pojęłaś, co ci ludzie zrobili. Wszystkim pacjentom Pierwszej Fazy, tym, którzy zachorowali na nadciśnienie płucne w wyniku eksperymentów z vasclearem, Newbury aranżuje nagłe wypadki śmiertelne. Dotyczy to tych, którzy nie umarli z powodu NP. Podczas gdy ty tworzyłaś miraż cudu medycznego, lecząc vasclearem pacjentów, którzy w ogóle nie byli chorzy na serce, Newbury eliminowało wszystkich, którzy mogli wstrzymać proces zatwierdzenia preparatu. Zabijano ich!

–Masz na to dowody?

–Ty jesteś moim dowodem, doktor Jessup. Próbowалаś uratować mego ojca, namawiając go na operację. Myślę, że gdybyś wiedziała, co Newbury robi z pacjentami Pierwszej Fazy, ujawniłabyś oszustwo. Potrzebna mi twoja pomoc. Chcę, żebyś pomogła sprawiedliwości.

Wśród ciszy, która nastąpiła, widział, jak znowu wypija łyk trunku.

–Ja... nie wiem, czy potrafię – powiedziała w końcu. Osunęła się na krzesło kuchenne, patrząc niewidzącymi oczami, z twarzą skierowaną w stronę rozsuniętych drzwi.

–Czy mogłabyś chociaż porozmawiać ze mną osobiście? – spytał. – Chciałbym, żebyś mi wyjaśniła pewne szczegóły. Potem, jeśli nie będziesz chciała zrobić nic więcej, nie będę cię namawiał. Sam podejmę wszelkie ryzyko.

Poddała się. Brian zauważył na jej twarzy wyraz znużenia.

–Kiedy? – spytała.

–Natychmiast. Zostawiłem ci instrukcję pod schodami tarasu. Dowiesz się z niej, gdzie możemy się spotkać.

Kłamstwo Briana miało na celu uniknięcie niebezpieczeństwa, że Jessup zatelefonuje na policję, która zablokuje groblę. Nie przychodziło jej do głowy, że może znajdować się na terenie jej posiadłości. Jeśli teraz odłoży słuchawkę lub gdzieś zadzwoni, będzie mógł po

prostu odejść. Jeśli wyjdzie na taras, a potem nie zgodzi się mu pomóc, będzie musiał ją związać, żeby mieć czas na ucieczkę.

Nie spuszczał Jessup z oka, chyłkiem przekradł się do miejsca, z którego mógł niepostrzeżenie odciąć jej powrót do rozsuwanych drzwi. Chodziła po kuchni,

trzymając w ręku telefon i zastanawiając się nad jego prośbą. Po trwającej wieki minucie wyszła na taras. Brian ukrył się głębiej w mroku. Rozglądnęła się ostrożnie na wszystkie strony, potem zbliżyła się do schodków i zeszła, żeby pod nie zajrzeć. Brian wyłonił się z kryjówki.

–Doktor Jessup, proszę się nie bać – powiedział szybko. – Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko porozmawiać.

Cofnęła się o stopień i patrzyła na niego z dołu, z wargami zaciśniętymi w grymasie strachu. Przez moment wydawało się Brianowi, że go zaatakuje.

–Jak śmiałeś wkraść się do mojego domu i szpiegować mnie – rzuciła szorstkim tonem.

Musiał ją udobruchać. Mimo że miał nad nią przewagę, nie wyglądała na przestraszoną.

–Doktor Jessup, mój ojciec umarł, ponieważ uwierzyłem w to, co czytałem i co mi opowiadano o vasclearze. Doprowadziłem do tego, że mój przyjaciel nie żyje, musiałem zabić człowieka, a moje własne życie robi się diabła warte. To się musi skończyć. Fabrykowanie wyników badań to osobna sprawa, ale przy okazji morduje się ludzi. Nie możesz pozwolić, żeby to trwało w dalszym ciągu.

Patrzyła na niego obcym wzrokiem, ale Brian dostrzegł w jej oczach zmęczenie i zakłopotanie. W końcu westchnęła głęboko, jakby poczuła się zwyciężona.

–Chcesz wejść? – spytała.

–Wolałbym zostać tutaj.

Zaprowadził ją na skraj tarasu i rozesłał wiatrówkę, żeby usiadła.

–Naprawdę bardzo mi przykro z powodu twojego ojca – zaczęła.

–Wiem, co czujesz. Masz teraz szansę zrobienia czegoś pozytywnego.

–Boję się.

–Ja też.

Potarła ze znużeniem powieki.

–W porządku – powiedziała w końcu. – Od czego mam zacząć?

–Wszystko jedno. Muszę się dowiedzieć jak najwięcej na temat vasclearu.

–Kilka lat temu Art Weber pracował w międzynarodowym zespole w klinice, gdzieś w dorzeczu Amazonki. To było w Kolumbii. Tam właśnie dokonał odkrycia, a przynajmniej tak mu się zdawało. Natknął się tam na szczep, którego członkowie codziennie żuli gotowaną korę pewnego drzewa, dożywając stu lat bez śladu stwardnienia tętnic. Art wierzył, że odkrył źródło wiecznej młodości, ale potrzebował dużych pieniędzy, żeby przeprowadzić analizę składników kory, wyizolować substancje bioaktywne, dokonać syntezy i wypróbować lek. Chciał przy tym zachować dla siebie maksimum kontroli i zysków. Nie wiem, w jaki sposób dotarł do właścicieli Newbury, jaki zawarł z nimi układ, za to wiem, że potrafi być niezwykle przekonywający.

–Zawarł pakt z diabłem – oświadczył Brian. – Ci ludzie to rosyjska mafia.

Jessup spojrzała na niego z podziwem.

–W tej chwili to już jest czeczeńska mafia – oznajmiła – chociaż ja nie miałam o tym pojęcia, dopóki sprawy nie zaczęły się źle układać. Art mówi, że nawet rosyjska mafia boi się Czeczenów.

–Wierzę.

–Ludzie stojący za Newbury z trudem zgromadzili tę znaczną sumę pieniędzy, ale Art wyjaśnił im, ile można na tym zarobić. Po trzech latach żmudnej pracy udało się wyizolować bioaktywną substancję, którą nazwano vasclear. Ja zostałam szefem badań klinicznych, a Newbury w zamian za moją pracę zaczęło finansować wiele programów BHI. Wszystko układało się dobrze do chwili, kiedy rozpoczęliśmy doświadczenia Pierwszej Fazy. Lek przynosił dobre wstępne rezultaty, ale z czasem pojawiły się problemy, najpierw u małp, potem u niektórych pacjentów.

–Wzrost liczby granulocytów kwasochłonnych, powodujący nadciśnienie płucne.

–Tak. Art powiedział swoim wspólnikom z Newbury, że trzeba się cofnąć do fazy teoretycznej. Odpowiedzieli mu, że zgadzają się na to pod warunkiem, że im zwróci dziesiątki milionów dolarów, które wyłożyli, plus odsetki.

–W jaki sposób zdołał cię namówić, żebyś wzięła udział w tej mistyfikacji?

Uciekła spojrzeniem w bok. Nawet w panującym mroku zdołał zauważyć, że się zaczerwieniła. Z całą pewnością ona i Weber byli parą kochanków!

–To... było dla mnie bardzo korzystne – powiedziała, dobierając starannie słowa – finansowo i w ogóle.

–Rozumiem – odrzekł Brian, oszczędzając jej poniżenia przez nazwanie rzeczy po imieniu.

–Art był w najwyższym stopniu przerażony. Powiedział, że ci ludzie nie zawahają się zabić nas oboje, jeżeli nie znajdziemy sposobu na zwrócenie im pieniędzy. Wtedy przyszła mi do głowy koncepcja wynajdywania u pacjentów pozornych chorób serca i uzdrawiania ich. Tak, to był prawie w całości mój pomysł. Art dokonał drobnych udoskonaleń, ale ja nakreśliłam główne ramy. Obliczyliśmy nawet po jakim czasie, od chwili kiedy vasclear znajdzie się na rynku, Newbury przestanie mieć do nas pretensje.

–Założę się, że po niedługim – stwierdził Brian.

–Kluczem do sukcesu było postaranie się, żeby FDA nie rozpoczęło własnych testów.

–A dopóki nikt nie doznał uszczerbku na zdrowiu, nie było powodów, żeby je podejmować.

–Żeby nie budzić podejrzeń, wszystkie przypadki i wyniki testów musiały wyglądać idealnie – dodała Jessup głosem, w którym zabrzmiał pewien odcień dumy.

–I takie rzeczywiście były.

–Zaprogramowanie elektrokardiografu, żeby pokazywał nienormalne wykresy testów wysiłkowych, było względnie proste. Trudniej było z koronarografią. Znalazłam pomieszczenie magazynowe, istniejące pod pracownią hemodynamiczną. Zamieniliśmy je na pokój dla techników, w którym umieściliśmy skomplikowaną aparaturę elektroniczną, połączoną z kardiomonitorem w pracowni.

–Wiem, gdzie jest ten pokój – powiedział Brian. – Morderca, którego zastrzeliłem, ukrywał się w nim, a może nawet mieszkał.

–Nie wiedziałam. Możesz mi wierzyć.

–Wierzę ci – odparł. – Mów dalej, proszę.

–Wybrałam zestaw dwudziestu arteriogramów chorych pacjentów, wystarczający, żeby któryś z nich był zbliżony do anatomii prawie każdego człowieka.

–Ten, którego użyłaś dla Nellie Hennessey, był bardzo dobrze dobrany.

–Mieliśmy coś jeszcze lepszego.

–Ukryty przełącznik elektroniczny?

–Pod nożnym pedałem, służącym do sterowania kamerą. Po przełączeniu, co robiłam zwykle wieczorem poprzedniego dnia, obraz wstrzykiwania kontrastu na

kardiomonitorze przychodził z dołu. Musiało to być dokładnie zsynchronizowane z czynnościami przeprowadzanymi w pracowni.

–Ale ten obraz nie należał do badanego pacjenta.

Jessup spojrzała na wodę. Wyparowały z niej resztki pewności siebie. Brian poczuł, że doznała pewnej ulgi.

–Masz rację. Nie należał.

–Przepraszam za niedyskretne pytanie... czy ty i Art wciąż jesteście sobie bliscy?

–Mam wrażenie, że on się stopniowo wycofuje – jeśli o to ci chodzi. Poza tym tak, jesteśmy kochankami. Był okres, kiedy myślałam, że zrobiłabym dla niego prawie wszystko. Nie zrozum mnie źle. Miałam z tego wyciągnąć również materialne korzyści. Dwa miliony lub więcej w ciągu pierwszego roku, gdyby wszystko potoczyło się pomyślnie. Nie narzekam na brak pieniędzy, ale to są zupełnie inne kwoty.

Brian przesunął ręką po piekących ze zmęczenia oczach.

–Musimy ułożyć plan – powiedział. – Jak myślisz, co powinniśmy zrobić najpierw?

–Zrobić? – rozległ się za nimi męski głos. – Nie oczekuję od was żadnego działania.

Brian i Jessup odwrócili się. W rogu tarasu stał Art Weber, patrząc na nich lodowato z głębi mroku. Za nim półkolem stali Leon i dwaj inni mężczyźni. Wszyscy trzymali w rękach pistolety.

Brian rzucił okiem na Jessup, chcąc sprawdzić, czy jest również zaskoczona. Nie musiał długo czekać na odpowiedź.

–Art, on wie o wszystkim – powiedziała chrapliwie. – Absolutnie o wszystkim.

Weber zrobił krok naprzód i trzasnął ją karcąco wierzchem dłoni w twarz.

–Dopiero teraz wie, ty głupia suko! – warknął.

Rozdział 39

Minuty?... Godziny?... Dni?... Brian stracił całkowicie poczucie czasu, pogrążony w wirującej mgłę spowodowanej narkotykami i bólem. Posadzono go na drewnianym krześle, w surowym pomieszczeniu bez okien, ze związanymi rękami i nogami. Każdy oddech stanowił dla niego udrękę z powodu bólu żeber, może nawet połamanych w rezultacie brutalnego bicia.

Po raz pierwszy zdołał pomyśleć jaśniej. Pamiętał, że Leon skatował go w ogródku Carolyn Jessup – zadając mu potworne ciosy pięściami i butami w twarz i brzuch. Pamiętał pierwszy zastrzyk – głębokie ukłucie w mięsień karkowy, kiedy jeszcze leżał na mokrej trawie. Pamiętał, że zapakowano go do plastikowego worka. Pamiętał, jak go upychano, żeby się zmieścił w bagażniku samochodu. Potem nie pamiętał już nic.

Zamrugnął oczami, próbując odzyskać ostrość widzenia. Miał podpuchnięte oczy, a mięśnie twarzy sztywne i obrzmiałe. Język trafił na świeże wklęśnięcie, gdzie kiedyś tkwił przedni ząb. W nozdrzach miał pełno zakrzepłej krwi.

–Wody – wycharczał. – Dajcie mi wody.

Ktoś z tyłu się poruszył. Chwilę później przytknięto mu do ust plastikowy kubek. Pił z wdzięcznością, przepłukując sobie każdym łykiem usta przed połknięciem. Powoli zaczął widzieć coraz wyraźniej. Mężczyzna trzymający kubek cuchnął kiepskimi perfumami. Był niski i krępy, miał rzadkie wąsy i brązowe oczy – kierowca, z którym rozmawiał Freeman przed domem Briana w Reading. Pomieszczenie stanowiło połączenie kuchni i pokoju dziennego. Nie wisiały żadne obrazy, ściany były pomalowane na biało, a meble surowe i praktyczne. W kącie stał telewizor i magnetowid.

Mimo braku jakichkolwiek przesłanek, był pewien, że znajduje się gdzieś głęboko w podziemiach szpitala, w pomieszczeniu pod suteroną, wygospodarowanym z inicjatywy doktor Jessup. Za pomalowanymi na szaro, ognioodpornymi drzwiami, które miał przed sobą, mieścił się zapewne pokój z aparaturą używaną do transmisji taśm wideo na ekran kardiomonitora w pracowni hemodynamicznej, znajdującej się o piętro wyżej. Nie zdziwiłby się, gdyby ów pokój był wyposażony w monitory kamer obserwujących korytarze, pomieszczenia i sale kliniki realizującej eksperymentalny program testowania vasclearu.

Brian zastanawiał się, w jaki sposób dostał się w ręce Webera. Carolyn musiała być śledzona przez któregoś z Czeczenów, jadąc ze szpitala do domu. Precyzyjne pojawienie się Webera nie miało innego wytłumaczenia. Teraz Weber chciał poznać nazwiska wszystkich osób, z którymi Brian podzielił się swoimi informacjami na temat vasclearu. Brian domyślał się, że użył w tym celu narkotyków – ketaminy lub

czegoś w rodzaju seconalu, nie mówiąc o torturach fizycznych. Prócz bólu w całym ciele Brian czuł, że mały palec jego lewej ręki jest złamany.

Czy będzie w dalszym ciągu katowany?... Czy Weber uznał, że wyciągnął z Briana wszystko, co ten mógł wiedzieć?... Ile czasu upłynęło?... Czy było już po ceremonii zatwierdzenia vasclearu?... Co się dzieje z Jessup?... Czy wymienił nazwisko Teri?... Freemana i Marguerite?

Pytania zawisały w próżni. Na jedno mógł odpowiedzieć z całkowitą pewnością. Nie wyjdzie żywy z tego spartańskiego pomieszczenia. Otworzyły się drzwi po lewej stronie, odsłaniając drugi pokój – niewielką sypialnię, o połowę mniejszą od pokoju, w którym go trzymano. Widział jedno łóżko i róg drugiego. Na krawędzi jednego z nich siedziała Carolyn Jessup. Chociaż twarz nosiła ślady bicia, włosy miała starannie uczesane i związane, prócz tego była zdumiewająco opanowana. Była w stroju szpitalnym – Brian nie mógł się domyślić w jakim celu.

–Nie będę cię już wiązał, Carolyn – usłyszał głos Webera – ale zdajesz sobie sprawę, co się stanie z tobą albo z naszym przyjacielem na tamym krześle, gdybyście mi sprawili jakikolwiek kłopot. Ci panowie mają dokładne instrukcje i wypełnią je z najwyższą przyjemnością. Rozumiemy się?... No?

–Tak.

–A czy ty rozumiesz, doktorze Holbrook – spytał, przechodząc do pokoju Briana – że jeśli coś się stanie doktor Jessup, to ty zostaniesz oskarżony?

–Rozumiem – zdołał wydusić z siebie Brian. – Którego dziś mamy?

–Nie wiesz? Boże Narodzenie! No, no, musiałeś mieć ciężkie przejścia. Mam wrażenie, że Leon wziął sobie do serca to, co zrobiłeś z jego przyjacielem. Prawda, Leon?

Ogromny morderca wyszedł zza Briana i z furią wymierzył mu cios w twarz. Z zaschniętych ran na wargach Briana trysnęła świeża krew. Połykał ją, mając wzrok utkwiony w odrażająco pokancerowanej twarzy Leona. Dzikie oczy patrzyły na niego z nienawiścią.

–Przestańcie! – krzyknęła Carolyn.

Weber wysunął w jej kierunku wypielęgnowany palec.

–Zamknij się! – warknął. – To było ostrzeżenie. Ostatnie!

Zwrócił się znów do Briana.

–Obawiam się, że jeszcze z tobą nie skończyłem – oświadczył.

Spojrzał teatralnym gestem na swój zegarek marki Rolex i wtedy Brian po raz pierwszy zauważył, że Weber miał na sobie nienagannie skrojony garnitur i kosztowny, jedwabny krawat. – Zapewne zdążyłeś się zorientować, że dziś jest dziewiętnasty października. Mam pilne spotkanie z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Wśród szczegółów, którymi się z nami podzieliłeś, są tytuły dwóch gazet i nazwisko ojca naszego biednego, pechowego kolegi, Phila Gianatasia. Z tym wszystkim damy sobie radę. Nie potrafię jednak zmienić uczuć, które do nas żywisz.

–Założyliście podsłuch mojego telefonu – powiedział chrapliwie Brian. – Powinniście wiedzieć o wszystkim.

–Doktorze Holbrook, nie było cię w domu od wielu dni, z wyjątkiem kilku minut, o których obaj wiemy. Ale bądź spokojny. Nikt się nie dowie o twoich grzeszkach. Nie podsłuchiwaliśmy twojej linii.

–Ale...

–W tej chwili nie mam czasu na dyskusję. Natomiast kiedy wrócę, obiecuję ci długą, bolesną rozmowę. Leon, nie zrób im w tym czasie krzywdy, chyba że któreś z nich będzie sprawiało kłopoty. Daj jej później trochę swobody. Jeżeli będzie chciała, niech tu przyjdzie,

żeby obejrzeć uroczystość w telewizji. Mogą nawet z sobą rozmawiać. Nie wolno ci zostawić ich samych, nawet na sekundę. Zrozumiałeś?

Bandzior odchrząknął i skinął głową.

–Tak jest.

–Leon nie mówi zbyt dobrze po angielsku – oświadczył Weber – za to możecie być pewni, że doskonale rozumie. Mam rację, Leon?

–Absolutnie.

Odłonił w uśmiechu poźółkłe od tytoniu zęby. Weber podszedł do telewizora i włączył lokalną stację.

–Jeśli się nie mylę – powiedział – Kanał siódmy będzie na żywo transmitował ceremonię odbywającą się na górze. Nasz sprawny dział handlowy w Newbury ma urwanie głowy z przyjmowaniem zamówień na vasclear, napływających z całego świata. Ciężarówki są już załadowane i czekają. Wyruszą natychmiast po rejestracji.

–Jesteś zwykłym dupkiem i przegranym sługusem. Weber cofnął się o krok i dał

znak Leonowi. Tamten zbliżył się do Briana i otwartą dłonią wymierzył mu cios w twarz. Głowa Briana trzepnęła o oparcie krzesła. Ze złamanego nosa poląła się krew. Oczy zaszkliły się łzami.

–Wkrótce się okaże, kto tu jest przegrany – warknął Weber. – Za parę godzin wrócę. Muszę być obecny przy podpisywaniu certyfikatu, a potem wypada mi zdementować plotki, które zaczynają krążyć o was obojgu. Mam do ciebie parę pytań, Holbrook. Będę oczekiwał wyczerpujących odpowiedzi.

Odwrócił się, przesłał Carolyn pocałunek i wyszedł. Brian siedział bez ruchu, próbując uporządkować myśli. Czy Weber nie kłamał, mówiąc, że nie podsłuchiwali jego domowych rozmów w Reading? Jeśli nie, to w jaki sposób...

–Brian, jesteś przytomny?

Carolyn stała na progu sypialni. Sińce pod jej oczami wyglądały strasznie. Miała rozciętą dolną wargę.

–Już mi lepiej – odparł z wysiłkiem. – Dlaczego się przebrałaś?

–Ja... zwymiotowałam. Kazali mi patrzeć, kiedy cię bili.

–Dobrze, że tego nie widziałem.

Miał zamiar kontynuować rozmowę, ale powstrzymała go myśl, że być może Weber obiecał coś Carolyn, jeśli uda jej się wyciągnąć z Briana to, czego nie osiągnął biciem i narkotykami.

Podeszła do umywalki, zmoczyła ręcznik i delikatnie obmyła mu rany. Potem przyniosła sobie krzesło, stojące przy małym stoliku kuchennym, i ustawiła je tak, żeby mógł widzieć jej twarz. Brian czuł, że oboje zastanawiają się nad jakimś sposobem ucieczki. W tym momencie zdał sobie sprawę, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko jej zaufać. Mimo to postanowił nie wspominać o Teri ani o Sharpe'ach. Zauważył, że jeden z mężczyzn znajduje się w pokoju po lewej, drugi, ten który śmierdział tanimi perfumami, z tyłu, nieco po prawej. Trzecim był Leon, stojący blisko Jessup. Wszyscy mieli pistolety w kaburach pod pachami. Szanse były niewielkie.

–Wybacz mi, Brian – powiedziała Jessup, patrząc mu prosto w oczy i mówiąc przeciągle, jak mu się zdawało, znacząco wolno. – Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Wspominam lata naszej współpracy i setki bardzo chorych pacjentów, których nam się udało wyleczyć.

O czym ty, do diabła...?

Ekspresja wzroku Jessup powstrzymała go przed wyrażeniem zdziwienia.

–Tak – odparł, nie mając pojęcia, o co chodzi. – Pamiętam.

–Podziwiałam cię szczególnie w okolicznościach związanych z tym miłym dżentelmenem... bardzo mi wtedy pomogłeś... któregoś wieczoru w klinice. Walter... nie pamiętam nazwiska.

Louderman. Brian rzucił okiem na Leona, który stał dwa kroki dalej, opierając się o kredens kuchenny. Przysłuchiwał się ich rozmowie z wyrazem obojętności na twarzy.

–To był fascynujący przypadek – ciągnęła Jessup. – Podobny do Hennessey – owej kobiety, która miała tak nieprawdopodobne arteriogramy i której uratowałeś życie w pracowni hemodynamicznej.

Louderman... arteriogramy podobne do Nellie... Nagle zrozumiał. Nie wszystkie dowody oszustw spłonęły w pożarze. Pozostał jeden komplet filmów – starannie ukryty przed niepowołanymi oczami – arteriogramy człowieka, który był kandydatem na stanowisko przyszłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Brian skinął głową na znak, że zrozumiał. Spojrzał na ekran telewizora, na którym odbywał się jakiś mecz. W Katedrze Hipokratesa nic się jeszcze nie działo.

–Czy na pewno przyjęliśmy go w klinice?

–W tej chwili przypominałam sobie, że to było w moim gabinecie – odparła. – Zrobiliśmy mu elektrokardiogram tym specjalnym aparatem, który sama wynalazłam. Tym, który stoi obok szafy z dokumentacją.

W gabinecie Jessup. Filmy Loudermana znajdują się w szafie z dokumentacją, obok spreparowanego elektrokardiografu. To był dowód, którego tak gorączkowo szukał – dowód, który mógł wstrzymać zatwierdzenie vasclearu, spowodować zamknięcie Newbury i w znacznym stopniu oczyścić go od zarzutu morderstwa.

Leon przysłuchiwał się uważnie, ale jeśli zorientował się, że ich konwersacja jest totalnym nonsensem, potrafił to doskonale ukryć. Brian nie miał pojęcia, jak mogliby się uwolnić, ale na wszelki wypadek, gdyby w jakiś sposób udało mu się dostać na górę, chciał znać kod otwierający gabinet Jessup.

–Pamiętam tamte okoliczności – powiedział, krzywiąc się z powodu bólu w piersi. – On i ja czekaliśmy w korytarzu przez całą godzinę, bo nie mogliśmy się dostać do środka.

Jessup skinęła głową.

–Rzeczywiście. Myślałam wtedy, że ma kłopoty z najniższym kręgiem szyjnym.

S7 – najniższy krąg szyjny.

–Tak – odparł – ale to było coś innego.

–Masz rację. Jeśli mnie pamięć nie myli, sprawdziliśmy wtedy wszystkie przewody elektrokardiografu.

Dwanaście przewodów... 7-1-2...

–Masz doskonałą pamięć.

–Trudno zapomnieć coś takiego. Znakomicie się wtedy sprawiłeś. Zwłaszcza przy ocenie stanu jego głównych naczyń wieńcowych.

Cztery... 7-1-2-4... Brian dał jej do zrozumienia, że zna kombinację cyfr kodu i naprężył mięśnie, próbując wytrzymałość sznura do bielizny, krępującego mu ręce. Nie mógł nic wskórać. Był w stanie najwyżej przyciągnąć kolana do piersi i kopnąć albo uderzyć głową, ale sznur zaciśnięty wokół kostek nie pozwoliłby mu stanąć. Nie wiedział, ile ciosów w żebra zdoła wytrzymać.

–Co z twoim sercem? – spytała Jessup, z wyrazem twarzy sugerującym, że powinien bacznie uważać.

–Boli mnie – odparł.

–Oby to nie było migotanie komór.

Migotanie komór... Oznaczało grożący śmiercią rytm pracy serca, połączony zwykle z zapaścią i atakiem. Carolyn chciała, żeby był gotów zasymulować zatrzymanie akcji serca. Ale kiedy?

Obserwował bacznie jej ruchy, kiedy wstała i obeszła pokój. Na stole stała do połowy opróżniona butelka z wódką. Wypiła łyk – nikt jej w tym nie przeszkadzał – i postawiła ją z powrotem. Narzędzie. Potem zwróciła uwagę na ekran telewizyjny. Uroczystość jeszcze się nie zaczęła. Brian jechał kiedyś z lotniska do Bostonu o tej samej porze dnia co prezydent. Milowej długości tunel wjazdowy do miasta trzeba było zamknąć i opróżnić z wszelkiego ruchu. Kawalkada składała się z dwóch ambulansów, pół tuzina policjantów na motocyklach, kilku samochodów patrolowych i sześciu lub siedmiu limuzyn. Byłby cud, gdyby udało im się zdążyć na czas.

Jessup zajrzała do lodówki i do szafek, które były całkowicie puste. Potem poluźniła tasiemki spodni i powoli, afektownie wpuściła do nich górną część stroju. Na koniec zawiązała z powrotem sznurki wokół szczupłej talii. Był to ruch, który każdy

mężczyzna mający w swoim organizmie choćby jedną cząsteczkę testosteronu uznałby za podniecający. Brian widział, że ochroniarze znajdujący się w pokoju patrzyli na nią z zainteresowaniem. Przysunęła się do Leona, starając się skupić jego uwagę na swoich kształtach i poskarżyła się, że jest głodna. Wystarczy jej pączek i filiżanka kawy, przymilała się, ocierając się o jego ramię. Musiało ją to sporo kosztować.

Nie uda jej się, pomyślał Brian, mimo to podziwiając ją za odwagę. W tym momencie Leon uśmiechnął się od ucha do ucha i poklepał ją po pośladkach.

–Pączki – powiedział, śmiejąc się głośno. Zaterkotał jak karabin maszynowy, wyrzucając z siebie serię rozkazów po rosyjsku do mężczyzny z wąsem, który pospiesznie zajął jego miejsce na wprost Briana. Potem zawołał tego, który siedział w sypialni. Wydawał się znacznie młodszy od dwóch pozostałych. Pojawił się natychmiast, zajmując stanowisko obok zewnętrznych drzwi. Był wysoki i dobrze zbudowany, ale bardzo młody – nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat. Leon wziął Carolyn za ramię i posadził ją na kanapce przed telewizorem.

–Siedź tu – rozkazał.

Dał jeszcze kilka poleceń swoim podwładnym i wyszedł. Mamy pięć minut, najwyżej dziesięć – pomyślał Brian. Jeśli mieli podjąć jakiegokolwiek działanie, trzeba było zacząć natychmiast.

–Hej – zwrócił się do nowego dowódcy – znasz trochę angielski?

–Mówię dobrze po angielsku.

–Jakoś źle się czuję.

Odczekał pół minuty, a potem zgiał się wpół i zaczął jęczeć, łapiąc z trudem powietrze.

–Co z tobą? – spytał rewolwerowiec. – Co ci jest?

–Brian, czy to serce?! – krzyknęła Jessup, zrywając się z kanapki.

Brian jęczał coraz głośniej, potem rzucił się na podłogę, trzęsąc konwulsyjnie głową i starając się zachowywać, na ile mu pozwalały pęta, jak człowiek, który ma atak.

–To atak serca! – zawołała. – Szybko, rozwiążcie go, żebym mogła się nim zająć.

–Nie. Poczekaj na Leona.

–Do tego czasu już nie będzie żył, ty idioto! Przyjrzyj mu się.

–Nie – powtórzył mężczyzna.

–Ty, tam! – rozkazała Jessup młodszemu ze zbirów. – Odwróć go na plecy.

Obaj strażnicy stawali się z każdą sekundą coraz bardziej zdezorientowani. Szwargotali między sobą po rosyjsku, podczas gdy Brian jęczał, rzucając konwulsyjnie nogami.

W wyniku dyskusji młodszy schylił się i położył Briana na plecach. Brian dostrzegł, że Jessup, która na chwilę odeszła, trzymała za sobą butelkę z wódką.

–Teraz! – usłyszał jej okrzyk.

Butelka rozprysnęła się na głowie krępego mężczyzny, zasypując go gradem odłamków szkła i zalewając oczy wódką. Młodszy odwrócił się od Briana, żeby zobaczyć, co się stało. Atak Briana, mimo że spowolniony, był jednak dostatecznie szybki. Przerzucił ręce nad głową przeciwnika, zaciskając krępujący je sznur na jego gardle. Napiął sznur i rzucił się w tył. Czeczeniec zwałił się ciężko na niego, z twarzą zwróconą w stronę sufitu.

Nie zważając na ból, Brian ściągał sznur z całej siły, jaka mu pozostała w rękach. Młody mężczyzna wierzgał dziko, ale w żaden sposób nie mógł się odwrócić. Jego łokieć był jak oszczep, wbijający się raz po raz w zraniony bok Briana. Potem ciało wydawało się wiotczeć. Brian, któremu krew lała się z nosa, nie zwalniał zaciśniętej pętli.

–Już dość, Brian – wyszeptała Jessup. – On nie żyje.

Brian zrzucił z siebie trupa, nie mogąc się powstrzymać od spojrzenia na fioletowy kawałek mięsa, wystający z jego ust, który kiedyś był językiem. Zdumiał się, że nie ma wyrzutów sumienia, choć już powtórnie zabił człowieka. Carolyn, łapiąc z trudem oddech, uklękła przy nim i rozwiązała mu pęta.

–Czy ten drugi żyje?

–Tak. Chyba nawet się budzi.

Brian pomógł jej obrócić półprzytomnego mężczyznę twarzą do podłogi. Związali mu ręce za plecami i nogi w kostkach.

–Chcesz zostać i zacząć się na Leona? – spytała.

–Chcę się stąd wydostać. Nie jestem w odpowiedniej formie, żeby zmierzyć się z

Leonem.

–Wobec tego musimy jak najszybciej dostać się do mojego gabinetu. Jeśli uda nam się wynieść stamtąd filmy do Katedry Hipokratesa i pokazać Alexandrowi Bairdowi dowody, będzie miał jeszcze czas, żeby wstrzymać uroczystość.

–Przyrzekam ci, że wszystkim, którzy będą chcieli mnie wysłuchać, opowiem, w jaki sposób uratowałam mi życie – obiecał jej Brian, kiedy pomogła mu wstać z podłogi. – To trochę zmieni twoją sytuację.

Jessup schyliła się, wyjęła pistolet z kabury zabitego mężczyzny i podała Brianowi. Ten pokręcił odmownie głową.

–Właśnie wczoraj mój dobry przyjaciel poradził mi mądrze, że jeśli będę uzbrojony, to możliwość, że ktoś będzie wołał najpierw do mnie strzelić, a dopiero potem zadawać pytania, znacznie wzrośnie.

–W takim razie niech strzelają do mnie – stwierdziła, bawiąc się bronią. – Jeszcze nigdy nie miałam czegoś takiego w ręce. Jak się tym posługiwać?

–Celujesz i naciskasz spust – podobnie jak w aparacie fotograficznym.

Ostrożnie otworzyli drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Pokój był dokładnie taki, jak Brian sobie wyobrażał – najnowocześniejsza aparatura rejestrująca, na ścianie z pół tuzina monitorów.

Zewnętrzny korytarz był pusty.

–Wejźmy schodami na pierwsze piętro, a stamtąd windą na czwarte – powiedziała Jessup.

–Mając na uwadze nasz wygląd, pójdźmy lepiej schodami.

Carolyn wyjęła z pudełka na stole chusteczkę higieniczną i wytarła resztki krwi z twarzy Briana.

–Może rzeczywiście lepiej schodami. Trzymaj się, Brian. To już prawie finisz.

–Mam nadzieję – odparł. – Powiedz mi coś – dodał, kiedy biegli korytarzem w stronę klatki schodowej. – Skąd się wziął Art ze swoimi zbirami w twoim domu wczoraj wieczorem? Sądzisz, że cię śledzili?

Jessup zastanawiała się chwilę nad pytaniem.

–Nie wiem – powiedziała w końcu. – Zatrzymałam się na chwilę na plaży, przy końcu grobli, ale nie było tam żywej duszy. Mój samochód był jedyny na malutkim parkingu. Gdyby ktoś za mną jechał, z pewnością bym go zauważyła. Czemu pytasz?

–Jestem po prostu ciekaw – odparł Brian. – Nic poza tym.

Rozdział 40

WHDH- TV

Kanał 7

„Mówi Kimberly Herrera ze stanowiska sprawozdawczego w amfiteatrze majestatycznej Katedry Hipokratesa w szpitalu White Memorial, do którego przed chwilą wszedł prezydent Stanów Zjednoczonych, witany entuzjastycznym aplauzem około czterystu osób wypełniających to wspaniałe audytorium. Przybył w towarzystwie dyrektora FDA, doktora Alexandra Bairda. Powitali ich obecni na sali senatorowie Sal Giglia i Walter Louderman.

Atmosfera w audytorium jest pełna napięcia. Za chwilę doktor Baird i prezydent podpiszą dokument, zatwierdzający do powszechnego użytku vasclear, rewelacyjny lek na serce, opracowany przez firmę Newbury Pharmaceuticals z Bostonu i przetestowany tu na miejscu, w renomowanym Bostońskim Instytucie Serca. Po zakończeniu tej części uroczystości prezydent podpisze proklamację ustanawiającą Narodowy Tydzień Zdrowego Serca.

Podniosły nastrój w sali, wypełnionej lokalnymi znakomitościami, spowodowany jest nie tylko obecnością głowy państwa, lecz również ogromnych rozmiarów kolorowymi witrażami w kopule, obrazującymi wielkie wydarzenia w historii medycyny. Katedra jest w tej chwili w końcowej fazie trwającej od dwóch lat restauracji, kosztującej ponad pięć milionów dolarów, przy czym cała kwota, zgodnie z tym, co nam powiedziano, pochodzi z prywatnych źródeł. Jak państwo widzą, wokół ścian Katedry stoją jeszcze rusztowania, efektownie rozświetlone specjalnie ustawionymi reflektorami. W tej chwili oświetlenie widowni ciemnieje. Pozostają rozjarzone witraże Katedry. Prezydent skończył ścisnąć ręce i zajął miejsce na proscenium. Dzisiejszy dzień jest znamienny dla medycyny Bostonu, miasta powszechnie uznawanego za centrum medyczne całego świata...”

Brian wspinał się za Carolyn Jessup po schodach, do jej gabinetu na czwartym piętrze, napędzany przypiływem adrenaliny, mimo to dość powoli, ze względu na ogólną obolałość. Najgorzej było z oddychaniem. Nos miał całkowicie zalepiony zakrzepłą krwią, a uszkodzone żebra bolały go przy każdym oddechu. Zdołał jednak pokonać bez zatrzymywania się całe sześć kondygnacji, dzielących gabinet od piwnicy. Carolyn miała rację – finisz był o krok.

Jak można się było spodziewać, klatka schodowa z powodu wizyty honorowego gościa była opustoszała. Dotarli do jej gabinetu, nie spotkawszy po drodze żywej duszy. Jessup otworzyła drzwi szyfrem i pospiesznie wprowadziła Briana przez poczekalnię do następnego pomieszczenia. Elektrokardiograf stał w miejscu, które

wcześniej opisała Brianowi, obok dębowej szafki z czterema szufladami. Jessup westchnęła z jękiem.

–Kluczyk jest w moim komplecie.

–Nie masz zapasowego?

–Moja sekretarka ma, ale w swoim komplecie. Brian przeszukał biurko sekretarki i przyniósł wprawdzie nie kluczyk, za to całkiem solidny otwieracz do kopert.

–To, że senator Louderman został do mnie skierowany w celu postawienia diagnozy, było dla nas darem z nieba – opowiadała Jessup, podczas gdy Brian męczył się, próbując otworzyć szufladę. – Dzięki temu, że uwierzył w vasclear, cały proces jego zatwierdzenia został przyspieszony.

–Przecież on nie chorował na serce.

–Nie. Miał zwykłe zapalenie przełyku.

Brian zauważył w jej głosie nutę satysfakcji. W tym momencie zamek szuflady puścił. Filmy opatrzone nazwiskiem Loudermana schowane były w małym etui z miękkiej skóry.

–Musimy się spieszyć – ponaglił ją Brian. – Leon mógł do tej pory wrócić z twoją kawą. Pewnie już nas zaczęli szukać. Chodźmy.

Kiedy ruszyli w stronę drzwi do poczekalni, Brian powiedział:

–Nie jestem pewny, czy prezentuję się odpowiednio, żeby spotkać...

Ciche puknięcie wystrzału z pistoletu z tłumikiem zatrzymało go w pół zdania. Oglądając się na Carolyn, zobaczył, że łapie się za pierś, robi pełny obrót i pada obok biurka sekretarki. Przy drzwiach stali, z wycelowanymi pistoletami, Leon i krępy morderca, którego związali w piwnicy. Brian jęknął na myśl o tym, jak głupio postąpili, zostawiając odzyskującego przytomność mężczyznę na podłodze, i do tego z bronią.

Mordercy weszli do poczekalni. Brian spojrział z rozpaczą w stronę okna. Gabinet Jessup był na czwartym piętrze, ale o piętro niżej był dach przykrywający obserwatorium sali operacyjnej. Czy zdobędzie się na odwagę, żeby skoczyć głową naprzód przez szybę okienną? Czy zdoła przeżyć taki skok?

–Nie-dob-ry dok-to-rek – powiedział Leon, wyszczerzając karykaturalnie zęby w stronę Briana. – Zostań tu – rozkazał po angielsku swojemu towarzyszowi.

Zrobił krok przed siebie. Brian zauważył, że z tyłu za nim Carolyn poruszyła się. Drugi bandyta nie zwrócił na to uwagi, patrząc zza Leona na Briana. Moment nieuwagi skończył się dla niego tragicznie. Carolyn strzeliła z trudnej pozycji, trafiając go w środek czoła. Kiedy padał w tył, Jessup strzeliła ponownie. Z kolei Leon krzyknął i złapał się za bark. Strzelił w jej stronę, ale Carolyn, na kolanach, zdążyła schować się za biurko.

Brian zorientował się, że nadeszła odpowiednia chwila. Rzucił się ku drzwiom gabinetu, zatrzaskał je i zaryglował. Usłyszał po drugiej stronie strzał, potem jeszcze jeden.

Myślał, czy nie zadzwonić o pomoc do operatora centrali szpitalnej, ale zrezygnował, kiedy pierwszy, a następnie drugi pocisk rozerwał drewno wokół zamka. Podniósł nad głowę ciężkie, skórzane krzesło stojące przy biurku Jessup i trzasnął nim z całej siły w okno. Do gabinetu wdarło się zimne, wilgotne, wieczorne powietrze. Na zewnątrz z czarnego nieba lały się strugi przemiatanego wiatrem deszczu. Padł następny strzał. Znow posypały się drzazgi.

Brian wykopał nogą kilka pozostałych w ramie odłamków szyby, przewlókł dłoń przez ucho torebki z filmami Loudermana i wychylił się do pasa przez okno. Wysięk pociągnął za sobą rozdzierający ból w klatce piersiowej. Dach wydawał się niżej, niż zakładał, ale nie miał wyboru. W momencie kiedy usłyszał trzask pękających drzwi, rzucił się naprzód.

Upaść miękko i potoczyć się – myślał tylko o tym, lecąc w dół poprzez deszcz. Upaść miękko i...

Spadł ciężko i sztywno na zwirowany dach, z nogami wyprostowanymi i niezdarnie odrzuconymi w bok. Poczul eksplozję bólu w klatce piersiowej. Uszkodzone żebra rozstały się jeszcze bardziej. Bark, którym uderzył o mokry żwir, oraz część twarzy były odarte ze skóry. Wstrząs oszołomił go, mimo to zdołał usłyszeć rozbrzmiewającego w mózgu nakazu.

Uciekać!... Uciekać!

Zaczął się staczać po dachu. Pocisk uderzył w żwir tuż koło jego szyi. Leon, wychylony z okna, strzelił powtórnie. Tym razem pocisk rozdarł Brianowi mięsień uda. Krzyknął, nie przestając się staczać po dachu. Obejrzał się na Leona, który gramolił się przez okno, mając sprawną tylko jedną rękę.

Ściskając taśmy z arteriogramami Loudermana, Brian zmusił się, żeby stanąć na nogach i powłóczyć lewą, pokuśtykał do miejsca, w którym, jak sądził, powinny być schody pożarowe. Zamiast nich znalazł rozległe rusztowanie, ciągnące się aż do następnego budynku. O pięćdziesiąt jardów przed nim jarzyło się od światła. Blask z

punktowych reflektorów, porozmieszczanych na sąsiednich budynkach, rozjaśniał tylko jeden obiekt. Katedrę!

Gdyby mu się udało przedostać na tamten dach, mógłby rzucić pudełko z filmami przez witraż, a potem spróbować zejść po rusztowaniu wzdłuż ściany Pinkham Building. W ten sposób ocalałby przynajmniej dowód. Sklepienie amfiteatru rozciągało się mniej więcej trzydzieści stóp nad podłogą, ale taśmy wydawały się dobrze opakowane.

Brian obejrzał się w chwili, kiedy Leon zeskakiwał na dach. Mimo zranionej ręki morderca potoczył się niczym wytrenowany komandos, wstając z kocią zręcznością na równe nogi. Żaden z obrońców futbolowych, których spotkał w swojej karierze, nie poruszał się tak jak Leon. Brian, pokonując ból, wciągnął się na rusztowanie i pokuśtykał przez ulewę w stronę światła, wiedząc, że lada chwila bandyta go dogoni. Rozjarzone kolory były już niedaleko. Z tyłu słyszał zbliżające się dudnienie kroków. Miał parę sekund przewagi. Nie było już szansy na to, że zdoła zejść po rusztowaniu na dół. Ostatnim ruchem owinął miękką skórę etui wokół pudełek z taśmami i rzucił nimi jak piłką futbolową o ułamek sekundy wcześniej, nim kolba pistoletu Leona spadła mu na plecy. Pakunek przebił witraż mniej więcej w połowie wysokości kopuły.

Zdołał, potykając się, przejść jeszcze parę kroków i upadł tuż obok szklanej krawędzi. Z dołu słyszał wrzawę głosów. W ułamku sekundy Leon siedział już na nim. Rozwścieczony, chwycił Briana za koszulę na piersiach, podniósł na kolana i wpakował mu tłumik lufy pistoletu do ust. Brian zamknął oczy i czekał na koniec.

„Służby specjalne! Rzuć broń! Natychmiast!”.

Głos dochodził z okna budynku po lewej stronie Briana. Ujrzał agenta z wycelowanym karabinem snajperskim, wychylającego się z pobliskiego okna. Poczul, że chwyt ręki trzymającej go za koszulę na piersi zelżał. Leon powoli wycofał lufę pistoletu z jego ust, potem błyskawicznym ruchem zatoczył ręką w stronę agenta i strzelił. Tamten odpowiedział całą serią. Brian czuł uderzenia pocisków wbijających się w ciało Leona, który trzymając wciąż w garści jego koszulę, zwałił się na niego, odrzucając siłą bezwładności w tył, na szkło.

W dole rozległy się piski i krzyki. Brian, pod ciężarem martwego Leona, przeleciał przez witraż, pewny, że to jego ostatnia chwila. Upadek skończył się o cztery stopy niżej, na

wąskim metalowym rusztowaniu wewnątrz Katedry Hipokratesa. Bezwładne ciało mordercy bardzo wolno stoczyło się na bok, znikając z pola widzenia Briana. W następnym momencie usłyszał głuchy odgłos uderzenia dochodzący z amfiteatru.

–Rusz się, a będziesz martwy! – krzyknął do niego jakiś mężczyzna.

Brian uśmiechnął się blado i zamknął oczy.

Nie martw się, pomyślał, przez jakiś czas nie będę mógł.

Nie miał pojęcia, jak długo to trwało. Kiedy otworzył oczy, wciąż leżał na rusztowaniu. Nad nim stał mężczyzna w ciemnoniebieskiej wiatrówce, z pistoletem wycelowanym w środek jego czoła.

–Służby specjalne, Holbrook. Nie waż się ruszyć. Zaraz przystawią drabinę. Przywiążemy cię do deski i spuścimy na dół. Słyszysz, co mówię?

Brian tylko skinął głową, skupiając całą uwagę na płytkim oddychaniu, żeby nie czuć przeszywającego bólu w klatce piersiowej. Chwilę później drabina szczęknęła o metal rusztowania. Drugi agent służb specjalnych i sanitariusz wdrapali się na górę, niosąc z sobą deskę.

–Leż spokojnie, bracie – powiedział sanitariusz. – Zniesiemy cię na dół.

–Przez cały czas mamy cię na muszce – ostrzegł Briana agent.

Brian zmrużył oczy przed deszczem wpadającym przez ogromną dziurę w witrażowej kopule dachu.

–Słyszę – wymamrotał.

Mężczyźni przywiązali go do deski, spuścili w dół, gdzie natychmiast umieszczono go na noszach. Amfiteatr był niemal opustoszały. Dwaj lekarze i dwie pielęgniarki natychmiast zajęli się Brianem. Jedna z kobiet pochyliła się nad nim.

–Brian, nie poznajesz mnie? Jestem Sherry – powiedziała jego dawna znajoma z Suburban. – Sherry Gordon.

–Jak się masz?

–Staraj się nie mówić. Chcę ci tylko powiedzieć, że doktor Jessup znajduje się pod opieką. Dostała parę kul, ale jest przytomna. Pytała o ciebie. Chirurdzy twierdzą, że przeżyje. Biorą ją w tej chwili na blok operacyjny.

–Dziękuję – bezgłośnie poruszył wargami.

Miejsce agenta służb specjalnych zajął teraz umundurowany policjant, który przykuł jeden z przegubów Briana do poręczy noszy.

–Niepotrzebnie to robisz – powiedziała Sherry.

–Zajmij się swoimi obowiązkami i nie wtrącaj się do moich – warknął policjant.

Chwilę później Sherry odsunęła się na bok, robiąc miejsce Lajowi Randzie. Sikh, ubrany w nieskazitelny, ciemny garnitur i pomarańczowy turban, osłuchał pierś Briana, a na koniec uścisnął mu delikatnie dłoń.

–Przypuszczam, że masz zapaść prawego płuca – oznajmił. – Udamy się teraz na izbę przyjęć, gdzie założę ci rurę. Potem zobaczymy, co jeszcze będzie trzeba. Przeszedłeś piekło, żeby mi udowodnić, iż przyjąłeś moje poglądy na temat vasclearu.

–Rzeczywiście.

Podnieśli nosze, ale zatrzymał ich męski głos.

–Mogę z nim porozmawiać? – usłyszał Brian.

–Tylko parę słów, senatorze – odparł policjant. – Nie więcej. I proszę stanąć po tej stronie noszy. Ten człowiek jest ścigany za morderstwo.

–Wiem.

Brian zobaczył pochylonego nad nim Waltera Loudermana. Senator miał zmartwioną twarz.

–Co z tymi filmami, Holbrook? – spytał. – Czemu mi to robisz?

Brian próbował się uśmiechnąć, świadomy brakującego zęba. Wyciągnął zakrwawioną dłoń i poklepał senatora po rękawie. Zebrał resztę sił, żeby mu odpowiedzieć:

–Jeszcze długo nie będę pana niepokoił.

Epilog pierwszy

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ

Seria burz z piorunami spowodowała, że na międzynarodowym dworcu lotniczym w Miami było tłoczniej niż zazwyczaj. Art Weber denerwował się z powodu opóźniającego się startu samolotu do Bogoty, za to kłębiący się wokół tłum był mu bardzo na rękę. Wszystko, byle nie zwrócić na siebie uwagi. Z tego samego powodu leciał klasą turystyczną.

W chwili kiedy trup Leona Kulrusztyna przebił witrażową kopułę Katedry Hipokratesa i spadł jak worek cementu na siedzenia amfiteatru, Weber już wiedział, że jego wszystkie plany życiowe wzięły w łeb. Co więcej, jeśli nie zacznie działać szybko i zdecydowanie, będzie skończony w najdosłowniejszym sensie. W panice wyśliznął się z amfiteatru i pojechał prosto do kawalerki, którą wynajmował w Cambridge, vis-à-vis swojego apartamentu na ostatnim piętrze w Bay Bridge, po przeciwnej stronie rzeki.

Kawalerki używał rzadko, na ogół po to, żeby uprawiać seks z egzotycznymi kobietami, sprowadzanymi za pośrednictwem luksusowych agencji towarzyskich. Przede wszystkim jednak miała stanowić rezerwę na wypadek nieszczęścia w rodzaju tego, które właśnie ściągnął na niego Brian Holbrook. Trzymał w niej rzeczy osobiste, walizki, trzy paszporty na fałszywe nazwiska, kilka pistoletów i sto tysięcy dolarów w dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowych banknotach. Przez okres swojego związku z Newbury Pharmaceuticals zgarnął ponad trzy miliony dolarów, które spoczywały bezpiecznie w banku na Kajmanach.

Miał nadzieję, że Czeczeni, którzy teraz będą mieli na głowie władze i policję, nie zaczną go szukać wcześniej niż za kilka dni i w tym czasie zdoła umknąć na bezpieczną odległość. Potem z pewnością ruszy za nim pościg. Wykorzystają przeciw niemu wszelkie układy, dadzą łapówki, wyznaczą nagrody. W latach po upadku Związku Sowieckiego dość luźno zorganizowana mafia czeczeńska rozlała się po przeważającej części stanów Ameryki Północnej. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś zdołał jej się wymknąć, lecz do tej pory nie miała do czynienia z osobą tak inteligentną i przewidującą jak Weber.

Kluczem powodzenia był opracowany plan. Znacznie wcześniej zanim to się okazało potrzebne, Weber zaplanował ucieczkę do Kolumbii i zaczął przysyłać pieniądze ludziom, którzy pomogliby mu zniknąć na pewien czas. Czekał w kolejce do odprawy bagażu, pogratulował sobie szybkości działania i bezbłędnie obmyślonej ucieczki. Za niecałe pięć godzin będzie już jechał z Bogoty w kierunku dżungli.

Poczuł, że czyjaś walizka dotknęła jego nogi.

–Najmocniej przepraszam, señor – powiedziała nieśmiało młoda kobieta stojąca za nim.

Weber odwrócił się ku niej. Mogła mieć nieco ponad dwadzieścia lat, była ubrana w białą, plisowaną bluzkę i kolorową, ludową spódnicę. Wydawała się olśniewająco piękna -skóra koloru miedzi, gęste, kruczoczarne włosy, duże ciemne oczy i ciało, na którego widok poczuł, że robi mu się sucho w ustach.

–Drobiazg, nie ma o czym mówić – odparł swoim niemal bezbłędnym hiszpańskim. –

Leci pani do Bogoty?

Nim zdążyła odpowiedzieć, wyobraził ją sobie nagą.

–To moje miasto – odrzekła, jakby z odcieniem zawstydzenia.

–Niedługo będzie również moje – oświadczył, zmuszając się do oderwania oczu od rowka między jej imponującymi piersiami. – Interesy zatrzymają mnie tam na wiele miesięcy.

–Mówi pan doskonale po hiszpańsku.

Miała na imię Rosalita i wracała do domu po wizycie u swojej siostry w Miami. Nim jeszcze Weber oddał swój bagaż, zgodziła się usiąść koło niego w samolocie. Stał obok, kiedy oddawała swoją sfatygowaną walizkę. Zanim wylądują w Bogocie, będą się już trzymali za ręce, a ona zaśnie... z głową opartą na jego ramieniu. A potem...?

Mieli jeszcze ponad godzinę do odlotu. Pomyślał, że kobieta, którą uważał już za swoją, była nagrodą za jego przezorność. Pięćdziesiąt milionów i Carolyn Jessup w Bostonie albo trzy miliony i ten oszałamiający diament w tropiku. Gdyby mógł wybierać, decyzja byłaby niełatwa. zaproponował jej drinka i wziął pod rękę, kiedy szli w stronę położonego na uboczu barku. Usiedli w najciemniejszym kącie wnętrza z drewnianymi, wykładanymi skórą meblami. Weber nie mógł oderwać wzroku od piersi swojej towarzyszki. Przemknęła mu przez głowę nedorzeczna myśl, że może jest dziewczicą – „gliną”, którą dopiero on ukształtuje.

Przez pewien czas prowadzili rozmowę na ogólne tematy. Weber usiłował bez powodzenia wstrzymać się od dotykania jej. W końcu objął szczupłą kibić dziewczyny, czując się wniebowzięty, kiedy nie zaproponowała.

–Jesteś bardzo piękna – wyszeptał.

–A ty jesteś przystojny i bardzo męski.

Obróciła się ku niemu. Pachniała oszałamiająco. Jej piersi, które teraz szczelnie przyciskała do niego, były twarde jak u nastolatki. Kuszące wargi znajdowały się o parę cali od jego twarzy. Weber rozejrzał się ukradkiem, czy może ją pocałować bez wywołania skandalu. Nieliczni stali bywalcy nie wydawali się w najmniejszym stopniu zainteresowani nimi. Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Rozchyliła wargi, wsuwając język głęboko w jego usta.

Nim Weber poczuł ból pod żebrami i zorientował się, co się stało, dziesięciocalowy sztylet zdążył przebić przeponę i wniknąć głęboko w jego serce. Kobieta z wprawą przekręciła klingę, żeby powiększyć otwór, przez cały czas utrzymując jego wargi przyciśnięte do własnych tak szczelnie, że nie mógł nawet krzyknąć. Potem odsunęła się, pozostawiając jego ciało w pozycji siedzącej. Na koniec uklękła obok na siedzeniu i zbliżyła usta do ucha Webera, kładąc jedną rękę na jego pachwinie.

–Koniec namiętności – szepnęła.

Epilog drugi

MIESIĄC PÓŹNIEJ

Siedziba Instytutu Żywności i Leków mieściła się w trzynastopiętrowym, szarym, posępnym budynku w Rockville, w stanie Maryland. Zbudowano go w kształcie kwadratu i zajmował całą przestrzeń między dwoma przecznicami. Był bezchmurny listopadowy dzień. Brian zostawił na parkingu wynajęty samochód i wszedł do Parklawn Building.

Nadeszła pora, żeby spotkać się z Teri. Czując się niezręcznie z powodu utykania, Brian podszedł do strażnika w głównym holu i został skierowany do biura na czwartym piętrze. Z rozmowy z nią wynikało, że była zaskoczona jego prośbą o spotkanie w biurze zamiast u niej w domu lub gdziekolwiek poza miejscem pracy. Z pewnością wyczuwała, że sytuacja się zmieniła. Zatelefonowała do niego następnego dnia po tragicznych wydarzeniach, ale od tamtej pory nie rozmawiali z sobą. Nie dzwonił do niej ani nie przyjmował jej telefonów.

Wysiadł z windy i udał się do surowej recepcji, obsługującej dziesiątki biur. Po rozmowie z recepcjonistką pomyślał, że o ile można zarzucić FDA nieefektywność, to z pewnością nie można mieć pretensji o przesadne wydatki na wystrój wnętrza. Usiadł w sfatygowanym, skandynawskim foteliku i, dotykając językiem mostka, w którym tkwił tymczasowy ząb, rozmyślał nad tym, co jej powie.

Jesteś najbardziej pociągającą kobietą, jaką w życiu spotkałem i jakiej prawdopodobnie już nie spotkam. To byłoby prawdziwe, ale nie miał zamiaru jej tego mówić. Recepcjonistka zamachała do niego, wskazując na niczym niewyróżniające się drzwi, opatrzone tabliczką T. Sennstrom, dr medycyny, dr filozofii. Brian zapukał i wszedł do środka.

Biuro okazało się małe, niecałe dwanaście stóp na dwanaście. Ściany pokryte były metalowymi, oksydowanymi półkami, wypełnionymi po brzegi rękopisami, książkami i czasopismami. Teri siedziała za typowym, masowej produkcji biurkiem. Podała Brianowi rękę ponad blatem. Miała na sobie prostą, czarną spódniczkę i lawendowego koloru bluzkę – w sumie strój bardzo skromny, który na niej wyglądał elegancko. Brian zajął miejsce po przeciwnej stronie biurka. Czekala go trudna rozmowa, ale chciał ją przeprowadzić uczciwie.

–Wyglądasz dobrze – powiedziała Teri. – Musisz się cieszyć, że zdjęli z ciebie oskarżenie o morderstwa.

–Dziękuję. Mój nos wraca do dawnych wymiarów, chociaż nie sędzę, żeby do poprzedniego kształtu. Wyglądasz jak zwykle bardzo pięknie.

–Było mi przykro, że nie odpowiedziałeś na żaden mój telefon.

–Wiem. Phoebe odwiedzała mnie codziennie w szpitalu. Spędziłem u niej okres rekonwalescencji. Zaczęliśmy... zastanawiamy się, czy nie wrócić do siebie.

–To dlatego do mnie nie dzwoniłeś?

Brian zmieszał się, ale nie opuścił wzroku.

–Prawdę mówiąc, nie dlatego – odparł. – Są pewne sprawy, które mnie dręczą, Teri... nawet bardzo. Chciałem się z tobą podzielić moimi spostrzeżeniami i zorientować się, jaki

miałaś wpływ na pewne rzeczy.

Patrzyła na niego dziwnie, niezbyt przyjaźnie.

–Mów – rzuciła.

–Kiedy byłem uwięziony w tej śmierdzącej dziurze w szpitalu, wiedząc, że nie wyjdę z niej żywy, Art Weber zapewnił mnie, że mój telefon nie był na podsłuchu. Jestem pewny, że mówił prawdę.

–Co dalej?

–Leon i ten drugi facet czekali na mnie w Fulbrook, pod Nowym Jorkiem.

–Może jechali za tobą.

–Nie wierzę w to. Myślałem i myślałem nad tym, kto mógł im powiedzieć o moim wyjeździe, i doszedłem do wniosku, że tylko ty.

–Nonsens – odrzekła, blednąc.

–Mam wrażenie, że nie. Ale to nie wszystko. Był pewien stary sympatyczny facet o nazwisku Elovitz. Bill Elovitz. Przetrzymał nazistowskich oprawców w niemieckim obozie śmierci, ale nie przetrzymał łajdaków z Newbury Pharmaceuticals. Zabili go, kiedy zacząłem podejrzewać, że ma nadciśnienie płucne. Skąd mogli to wiedzieć? Powiedziałem o tym tylko tobie, Teri, a ty z kolei powiedziałaś im.

–Ale...

–Potem Art Weber pojawił się dokładnie w chwili, kiedy Carolyn Jessup zgodziła się mi pomóc. Jest pewna, że nikt jej nie śledził, kiedy wracała ze szpitala do domu. Zastanawiałem się, kto wiedział o tym, że mam zamiar do niej pojechać. Były tylko dwie takie osoby. Jedną z nich był mój kurator, który skoczyłby dla mnie w ogień.

Drugą byłaś ty. Powiedz, Teri, ile Weber ci płacił za szpiclowanie mnie?

–Brian, przestań, to śmieszne!

–To nie jest śmieszne. Przeanalizowałem wszystkie fakty sto razy. Byłaś na liście płac Webera.

Zaczęła płakać.

–Nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodziło. Musisz mi uwierzyć. Weber płacił mi za samo przekazywanie informacji. Nic więcej. Nie wiedziałam, do czego im były potrzebne. Nie miałam podstaw, żeby podejrzewać, że z vasclearem jest coś nie w porządku, dopóki... dopóki ty nie zacząłeś informować mnie o różnych rzeczach. Kiedy zorientowałam się, kim jest Weber, on już miał mnie uwiecznioną na taśmie wideo... jak przyjmuję pieniądze. Byłam przerażona. Nie wiedziałam, co począć.

Brian pokiwał głową.

–Przez ciebie zginęli ludzie.

Łzy w jej oczach zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Teri Sennstrom podniosła wyzywająco podbródek.

–Jak śmiesz obarczać mnie winą z tego powodu – warknęła. – Nikogo nie zabiłam. W rzeczy samej nie zrobiłam niczego nielegalnego. Urabiam sobie ręce po łokcie za to wszawę, państwowe wynagrodzenie. Art Weber zapłacił mi w ciągu tych paru miesięcy więcej, niż zarobiłam w czasie całej mojej pracy w tym instytucie. Ja zasłużyłam na te pieniądze.

–Opowiem o wszystkim doktorowi Bairdowi – oświadczył Brian.

–Ty draniu! Idź do niego. Zaprzeczę wszystkiemu, co powiesz. On mnie kocha. Wie, jaka tu jest praca. No już, idź!

Brian westchnął. Jej twarz, o której marzył, którą wyobrażał sobie po nocach, była teraz ściągnięta gniewem i brzydka.

**–Teraz to już nie będą twoje słowa przeciw moim, Teri – stwierdził z westchnieniem.
– To będą twoje przeciw twoim.**

Podszedł do drzwi i otworzył je. Potem odwrócił się znów do Teri, rozpiął skórzaną kurtkę lotniczą i pokazał jej magnetofon przymocowany do podszewki.

–To zamyka sprawę mojego pacjenta, który został zastrzelony – powiedział, nie czując satysfakcji – sprawę mojego ojca, a także moją.

Teri krzyknęła tak głośno, że recepcjonistka przybiegła sprawdzić, co się stało, ale Brian po prostu minął ją, idąc w stronę schodów. Inwektywy Teri rozbrzmiewały w recepcji jeszcze długo po tym, jak zamknęły się za nim drzwi wychodzące na klatkę schodową.

W drodze powrotnej do Waszyngtonu, gdzie miał się spotkać z Phoebe i dziewczynkami, zatrzymał się w małym parku, w którym dwie grupy nastolatków losowały strony boiska, żeby pograć w futbol.

–Nie jest wam potrzebny quarterback? – spytał.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-08

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/